



Spis treści

Przedmowa	15
Bibliografia	38
ANTOLOGIA	41
I. Granice ojczyzny	43
1. W zamierchłej przeszłości	45
„Biblioteka Warszawska” 1841, t. 111	
Granice podług dawnego prawa [fragmenty]	
2. Ostatnie spojrzenie na granice Rzeczypospolitej. 1770–1771	52
Franciszek Karpiński (1741–1825)	
Pamiętniki [fragmenty]	
3. Bolesne wspomnienie polskiej granicy. 1804	55
Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)	
Pamiętniki 1804–1807. Dziennik drugiej	
podróży do Ameryki [fragment]	
4. Odrobiona lekcja z historii. 1827	56
Helena Szymanowska (1811–1861)	
Dziennik [fragment]	
5. Symboliczna granica ojczyzny. 1829	57
Zygmunt Krasiński (1812–1859)	
Listy do Ojca [fragment]	
II. Urzędowy punkt widzenia	59
6. Plombowanie towarów. 1810	61
Jan Węgleński (ok. 1765–1835)	
Instrukcja dla oficjalistów	

7. Zmiany na granicach Królestwa Polskiego. 1820 Jan Węgleński (ok. 1765–1835) Urządzenia krajowe, „Orzeł Biały” 1820, nr 13 [fragmenty] Komisja Rządowa Przychodów i Skarbu	67
8. Zmiany taryf celnych. 1823 Józef Zajączek (1752–1826) „Gazeta Warszawska” 1823, nr 1 [fragmenty]	76
9. Zmiany w prawie celnym. 1826 „Monitor Warszawski” 1826, nr 109 Obwieszczenia rządowe	81
10. Dochody graniczne. 1831 „Tygodnik Petersburski” 183, nr 33 [fragment]	85
11. Rosyjska „doktryna graniczna”. 1834 Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841) Pamiętnik. Dziennik pobytu za granicą 1833–1834 [fragmenty]	86
12. Wydawanie dezertarów i zbiegów. 1844 „Kurier Warszawski” 1844, nr 199 Porozumienie rosyjsko-pruskie [fragmenty]	88
111. Graniczne uciążliwości	91
13. Skutki blokady kontynentalnej. 1811 Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841) Pamiętniki 1811–1820 [fragment]	93
14. Nad granicą Wolnego Miasta Krakowa. 1825 Kazimierz Girtler (1804–1887) Opowiadania. Pamiętniki z lat 1803–1857 [fragmenty]	94
15. Na kwarantannie w Strażkowie. 1831 Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841) Dziennik pobytu za granicą 1831–1832 [fragmenty]	96

16. Za Tomaszowem przed szlabanem. 1832 Jan Aśnikowski (1797 lub 1798 lub 1800–1849) Karczna na granicy austriackiej, czyli Podróż z Warszawy. Komedioopera w 2 aktach [fragment]	102
17. Przeciw paszportom i granicom. 1833 Adam Mickiewicz (1798–1855) O dążeniu ludów Europy [fragment]	110
18. Komora na Podgórzu. 1843 Ludwik Pietrusiński (1803–1865) Podróż z Krakowa do Wiednia [fragmenty]	111
19. Kłopoty z wizą. 1845 Ludwik Pietrusiński (1803–1865) Przelet z Krakowa na szczyt Łomnicki w Tatrach [fragmenty]	113
20. Komora w Michałowicach. 1847–1848 Kazimierz Girtler (1804–1887) Opowiadania. Pamiętniki z lat 1803–1857 [fragmenty]	115
21. Bezduszni pogranicznicy z Michałowic. 1850 Maria z Morów Kietlińska (1843–1927) Wspomnienia [fragmenty]	119
22. Komora na Baranie. 1851 Kazimierz Girtler (1804–1887) Opowiadania. Pamiętniki z lat 1803–1857 [fragmenty]	121
23. Złośliwy urzędnik na stacji w Maczkach. 1856 Bibianna Moraczewska (1811–1887) Dziennik [fragment]	124
24. Rodzinne spotkanie nad Zbruczem. 1860 Teodor Tomasz Jeż (1824–1915) Od kolebki przez życie [fragmenty]	125
25. Ślub emisariusza na granicy. 1861 Teodor Tomasz Jeż (1824–1915) Od kolebki przez życie [fragmenty]	127

iv. Inne światy za miedzą	133
26. Za kurlandzką granicą. 1818	135
Franciszek Paszkiewicz Dziesięciodniowa podróż do Rygi [fragment]	
27. Niemiecko-francuskie pogranicze. 1832	137
Ignacy Domeyko (1802–1889) Moje podróże [fragment]	
28. Przy granicach Szwajcarii. 1837	139
Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798–1845) Pamiętniki [fragmenty]	
29. Galicyjski Złoczów z perspektywy Podola. 1848	140
Teodor Tomasz Jeż (1824–1915) Od kolebki przez życie [fragment]	
30. Różnica między Koroną a Litwą. 1858	141
Władysław Syrokomla (1823–1862) Podróż swojaka po swojszczyźnie [fragmenty]	
v. W Europie i dalej	145
31. Przez kraje niemieckie w czasach napoleońskich. 1804	147
Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841) Pamiętniki 1804–1807 [fragmenty]	
32. Z Francji do Ameryki. 1804	153
Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841) Pamiętniki 1804–1807 [fragmenty]	
33. Przez granicę mongolską i chińską. 1820	155
Jegor Fiodorowicz Timkowskij (1790–1875) Podróż do Chin przez Mongolią [fragmenty]	
34. Jak przedostać się do walczącej Grecji? 1826	162
Henryk Bogdański (1804–1887) Dziennik podróży z lat 1826–1827 [fragment]	

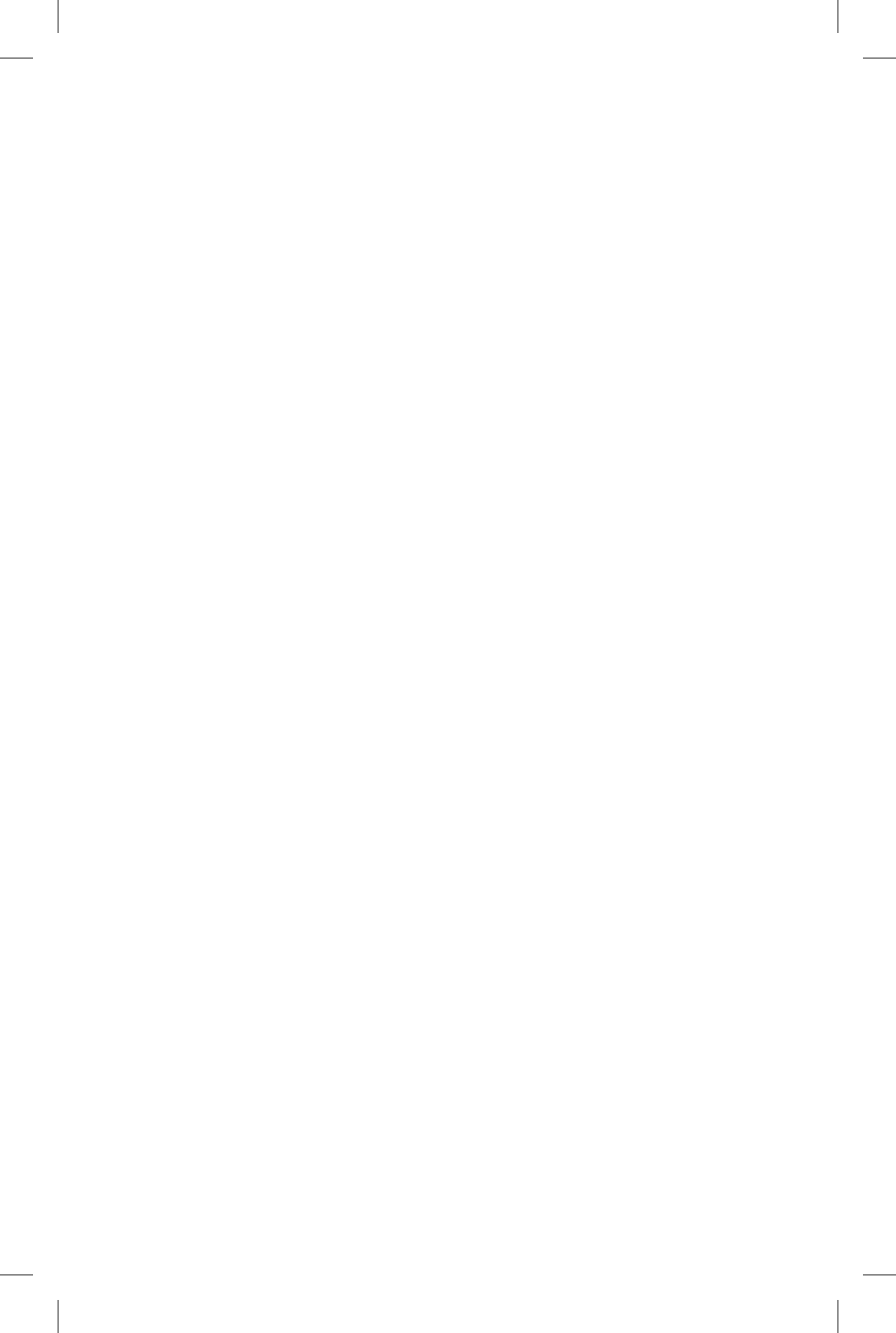
35. Na ziemi francuskiej. 1831	169
Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798–1845)	
Pamiętniki [fragmenty]	
36. Pierwsze wrażenie z Francji. 1832	171
Ignacy Domeyko (1802–1889)	
Moje podróże [fragment]	
37. W tureckim biurze paszportowym. 1854	173
Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)	
Od kolebki przez życie [fragment]	
vi. Różne oblicza przemytu	175
38. Przemyt mały i duży, anegdota. 1828	177
„Motyl” 1828, nr 7	
39. Los towarów z porzuconej kontrabandy. 1832	178
„Dziennik Powszechny” 1832, nr 240	
Ogłoszenia urzędowe	
40. Spiskowcy i przemyt książek. Cytadela 1839	180
Karol Bogdaszewski (1816 – po 1857)	
Zeznania w Warszawskiej Komisji Śledczej, Warszawa	
24 VII / 5 VIII – 18/30 VIII 1839 [fragmenty]	
41. Zagraniczne innowacje. 1841	185
„Rozmaitości” („Gazeta Lwowska”) 1841	
Z „Journal des Débats”	
42. Po zakupach w Odessie. 1843	186
Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)	
Od kolebki przez życie [fragment]	
43. Przemyt przez Wisłę pod Sandomierzem. 1847–1890	188
Jan Słomka (1842–1932)	
Pamiętniki włościanina [fragment]	
44. Z książkami przez komorę warszawską. 1856	190
Bibianna Moraczewska (1811–1887)	
Dziennik [fragment]	

45. Komediowa wizja przemytu. 1858 Józef Korzeniowski (1797–1863) Podróżomania [fragment]	193
46. Zbawienna ostrożność. 1860 Bibianna Moraczewska (1811–1887) Dziennik [fragment]	204
47. Uprzejmy naczelnik komory w Michałowicach. 1860 Maria z Morów Kietlińska (1843–1927) Wspomnienia [fragment]	206
48. Z Mołdawii do Warszawy i z powrotem. Przerzut emisariusza. 1862 Teodor Tomasz Jeż (1824–1915) Od kolebki przez życie [fragmenty]	208
vii. Przez zieloną granicę	223
49. Próba ucieczki przez morze. 1831 Ignacy Domeyko (1802–1889) Moje podróże [fragment]	225
50. Z Polski do Londynu. 1833 Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841) Pamiętnik. Dziennik pobytu za granicą [fragment]	228
51. Przeskok w biały dzień – z Połagi do Prus. 1846 Rufin Piotrowski (1806–1872) Pamiętniki z pobytu na Syberii [fragmenty]	229
52. Zdrada przewodnika na austriackiej granicy. 1848 Franciszek Bagiński (1830–1909) Wspomnienia starego Wołyniaka [fragment]	245
53. Z Wołynia do Galicji sposobem przekradanym. 1848 Teodor Tomasz Jeż (1824–1915) Od kolebki przez życie [fragmenty]	256
54. Przez Besarabię na Ukrainę. 1851 Teodor Tomasz Jeż (1824–1915) Od kolebki przez życie [fragmenty]	263

55. Z angielskim paszportem na Wołoszczyźnie. 1855	266
Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)	
Od kolebki przez życie [fragmenty]	
56. Piechotą bez dokumentów przy komorze w Służewie. 1857	268
Bibianna Moraczewska (1811–1887)	
Dziennik [fragment]	
57. Ucieczki młodzieży do Mołdawii. 1862	269
Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)	
Od kolebki przez życie [fragmenty]	
VIII. Na wojnie i w powstaniach	275
58. Przez Bug do Księstwa Warszawskiego. 1809	277
Leon Drewnicki (1791–1870)	
Wyprawa do Warszawy i udział w bitwie pod Raszynem [fragment]	
59. Incydent graniczny. 1830	280
„Dziennik Wielkopolski” z 11 stycznia 1831	
Z Kalisza	
60. Nieudana misja. Z Litwy do Królestwa i z powrotem. 1831	282
Ignacy Domeyko (1802–1889)	
Moje podróże [fragmenty]	
61. Groźny kordon sanitarny. 1831	290
„Dziennik Powszechny Krajowy” z 12 lipca 1831	
Z Pызdr	
62. Przerzut depesz przez Prosnę. 1831	291
Kunegunda z Giedroyciów Białopiotrowiczowa (1793–1883)	
Z pamiętnika księżnej G. [fragment]	
63. Przejście do Prus pod Memlem. Lipiec 1831	293
Ignacy Domeyko (1802–1889)	
Moje podróże [fragmenty]	
64. Pod Brodnicą 5 x 1831	302
Napoleon Sierawski (1809–1883)	
Pamiętnik oficera konnego pułku gwardii	

65. Przez Kalisz na emigrację. 1831 Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798–1845) Pamiętniki [fragmenty]	305
66. Na Węgry z ułańską fantazją. 1848 Jacenty Grabowiecki (1795–1857) Moje wspomnienia w emigracji [fragment]	307
67. Droga na Węgry. 1848 Teodor Tomasz Jeż (1824–1915) Od kolebki przez życie [fragmenty]	309
68. Rozbrajanie posterunków na granicy. rosyjsko-austriackiej. 1863 „Czas”, luty 1863 [fragmenty]	314
69. Barbarzyństwa kozactwa przy granicy. 1863 Korespondencja „Czasu” Z Rzeszowskiego 17 lutego	318
70. Z Wielkopolski do powstania. 1863 Bibianna Moraczewska (1811–1887) Dziennik [fragment]	320
SPIS ILUSTRACJI	323
ILUSTRACJE	327

Przedmowa



Tematem antologii są granice¹ w życiu Polaków doby romantyzmu. Nie w wymiarze symbolicznym, kulturowym czy antropologicznym, ale w postaci konkretnych doświadczeń osobistych (zapisanych na kartach pamiętników) oraz wiedzy czerpanej z ówczesnej prasy.

Paszporty, wizy i komory celne były w tamtych czasach zmorą wszystkich Europejczyków, co dobitnie wyraził Mickiewicz w artykule *O dążeniu ludów Europy*². Wiek XIX nie wynalazł tych środków kontroli ludności, jednak je udoskonalił i upowszechnił. Paszporty (ważne przez określony czas) wydawano na podróże krajowe i zagraniczne, a wizować je należało w każdym miejscu postoju na wyznaczonej trasie – pod karą więzienia za niedopełnienie tego obowiązku.

Paszport miał kilka stron większych od formatu A4. Na pierwszej znajdowały się informacje o właścicielu razem z drobiazgowym rysopisem, na kolejnych liczne wpisy wizujące pobyt w odwiedzanych miastach. Potwierdzał on tożsamość człowieka, co było potrzebne poza stałym miejscem zamieszkania, gdzie wszyscy się znali. Rewolucja francuska, która skruszyła feudalizm we Francji, a potem stopniowo w zachodniej Europie, nadała każdemu obywatelowi wolność osobistą, a więc i wolność przemieszczania się. Z obawy przed anarchią, związaną ze swobodnym migrowaniem obywateli, pojawiła się wtedy potrzeba papierów podróжных od różniających swojego od obcego w nowym środowisku. Chodziło przede wszystkim o kontrolę ludności, zwłaszcza niższych stanów,

1 Granice linearne we współczesnym znaczeniu zaczęły się kształtować w wieku XVI wraz z odkryciami geograficznymi, rozwojem kartografii, a także coraz ściślejszym wyznaczaniem terytoriów państw. Zob. Maria Baramova, *Border theories in Early Modern Europe*, w: European History Online, <http://ieg-ego.eu/en/threads/crossroads/border-regions/maria-baramova-border-theories-in-early-modern-europe> [7.04 2017].

2 „Pielgrzym Polski” z 24 kwietnia 1833 roku (zob. tekst nr 17).

skłonnych do rebelii, występku czy włóczęgostwa. Wspierała tę ideę konieczność pozyskiwania ze wsi, a potem z zagranicy pracowników dla rodzącego się przemysłu³.

Dokumenty zwane paszportami wymagane były przy przekraczaniu wszelkich granic wewnętrznych i zewnętrznych: departamentów, guberni, księstw, kantonów, miast, wreszcie państw. Poszczególne kraje miały własne przepisy dotyczące podróżowania, niemniej wszędzie wspólna była tendencja, by w miarę powiększania swobód osobistych ludności zwiększać kontrolę, od poziomu lokalnego poczynając. W zachodniej Europie, przeoranej przez idee rewolucji francuskiej i wojny napoleońskiej, proces ten przebiegał szybciej niż na wschodzie, gdzie stosunki feudalne, pańszczyźniane, trwały dłużej.

Problemem władz państwowych wprowadzających ustawy paszportowe było prawne zdefiniowanie tożsamości właściciela dokumentu. Początkowo większą wagę przykładano do lokalnych, regionalnych atrybucji podróżującego; dopiero w końcu XIX wieku, po zjednoczeniu Niemiec, w okresie rosnących migracji zarobkowych z kraju do kraju i na inne kontynenty, przeważała w Europie ideologia tożsamości narodowej, przypisanej do całości terytorium danego państwa⁴. Paszporty wewnętrzne zaczęły zanikać, by u progu I wojny światowej stać się dokumentem potrzebnym wyłącznie do jazdy za granicę.

Oczywiście jest to obraz bardzo skrótowy, bez wnikania, gdzie, kto, kiedy i komu mógł takie dokumenty wystawiać – różnie to

³ Zob. Noiriel Gérard, *Surveiller les déplacements ou identifier les personnes? Contribution à l'histoire du passeport en France de la 1^e à la 11^e République*, w: „Genèses” 30, 1998. *Emigrés, vagabonds, passeports*, s. 77–100; http://www.persee.fr/doc/genes_1155-3219_1998_num_30_1_1497 [9.05 2017], oraz Torpey John, Charlot Michel, *Le contrôle des passeports et la liberté de circulation. Le cas de l'Allemagne au XIX^e siècle*, tamże, s. 53–76; http://www.persee.fr/doc/genes_1155-3219_1998_num_30_1_1496 [9.05 2017].

⁴ Towarzystwo tej ideologii procesy ujednoczania kulturowego w obrębie państwa oraz wynaradawiania odmiennych grup etnicznych. Polacy pod zaborami wtedy zaczęli podlegać intensywnej rusyfikacji oraz germanizacji (Kulturkampf).

wyglądało w poszczególnych krajach europejskich – najmniej restrykcyjnie w Anglii – najbardziej w carskiej Rosji.

Wraz z paszportowymi przepisami pojawiły się sposoby ich nielegalnego omijania. Dużą rolę odgrywały osobiste znajomości z urzędnikami wystawiającymi dokumenty, co umożliwiało uzyskanie ich na fałszywe nazwisko. Częściej wszakże posługiwano się cudzym paszportem wypożyczonym lub darowanym. Korzystali z tego nasi emigranci, w tym i Mickiewicz podróżujący do Wielkopolski podczas powstania listopadowego. Należało zachowywać ostrożność, gdyż rysopisy osób poszukiwanych znajdowały się u pograniczników, którzy porównywali je z paszportami i z wyglądem podróżnych, co niekiedy kończyło się aresztowaniem. Dopiero w końcu XIX wieku do fałszowania paszportów włączyła się poligrafia, przeżywająca wtedy gwałtowny rozwój.

Kontrole graniczne obejmowały też przewożone towary i rzeczy osobiste podróżnych. W pierwszej połowie XIX wieku oświecone monarchie absolutne, które w poprzednim stuleciu wykształciły sprawną administrację, wojsko i służby celne, chroniły swoje terytoria przed napływem obcych produktów, stosując politykę protekcjonizmu i wysokich ceł. Barrier tych w Europie było wiele, gdyż obejmowały one również księstwa, kantony czy miasta.

W przedrozbiorowej Rzeczypospolitej ochrona granic i służby celne wyglądały słabo w porównaniu z Europą. Wprawdzie w 1764 roku sejm uchwalił jednolite cło dla wszystkich stanów (wcześniej szlachta była z tej opłaty zwolniona), a rok potem zreformował służby celne, podlegające Skarbowi Koronnemu, ustanawiając 113 komór celnych – jednak było to niewiele, jeśli pamiętać, że potem małe Księstwo Warszawskie takich komór miało 71, a służbę celną zorganizowaną na wzór francuski. Kongres wiedeński zawarł w końcowym traktacie postanowienie przywrócenia prowincjom polskim korzyści ekonomicznych i komunikacyjnych utraconych w wyniku rozbiorów, co sprowadzało się do unifikacji celnej ziem dawnej Rzeczypospolitej i było nierealne. Powstały zatem granice celne Królestwa Kongresowego z Austrią i Prusami,

a ono samo zostało włączone do rosyjskiego obszaru celnego; w 1822 uzyskało autonomię celną, a wkrótce minister Ksawery Lubecki zaczął prowadzić protekcyjną politykę w handlu zagranicznym, chroniącą gospodarkę kraju⁵. Po upadku powstania listopadowego przywileje polskie w tym zakresie zniesiono, ochronę granic poddano przepisom rosyjskim, a od 1850 roku służbę celną zaczęli pełnić tylko Rosjanie.

Łączność na kontynencie zapewniały w owym okresie trakty pocztowe, czyli bite lub żwirowane drogi z regularnie kursującymi dyliżansami na trasach lokalnych i międzypaństwowych. W zachodniej Europie wcześniej je pobudowano, na ziemiach polskich dopiero w Królestwie Kongresowym zaczęto nadrabiać zaległości. Komory celne znajdowały się w miejscowościach przygranicznych. Poza szlabanem zaczynał się pas ziemi niczyjej, a dalej kolejny szlaban i komora obcego państwa. Punkty celne lokowane też były nad rzekami, któredy spławiano towary wzdłuż biegnącej rzeką granicy, oraz w portach morskich, przy wejściu podróżnych na statek. Pojawienie się pierwszych kolei żelaznych w latach 30. XIX stulecia od razu wzbudziło pytania o sposoby przekraczania granic tym środkiem transportu, zanim jeszcze linie kolejowe granice przecinać zaczęły. W „Wiadomościach Handlowych” z 1836 roku twierdzono, że komora celna na stacji kolejowej nie da rady skutecznie skontrolować jednorazowo 1500 pasażerów przywiezionych przez pociąg:

Gdyby chciano utrzymać dotychczasowe urządzenia celne i pogodzić je z zaprowadzeniem kolei żelaznych, snadnie można popaść w liczne niedorzeczności. Kto chce mieć pierwsze, nie może na drugie pozwalać. Wozy parowe muszą więc powalić komory celne, na miejscu których raczej składy węgla pozakładać wypadnie. Zobaczymy niedługo może, jakie skutki wypadną, gdy od jednego końca Francji do drugiego, wszertz i wzdłuż, we

⁵ Zob. Andrzej Jezierski, *Handel zagraniczny Królestwa Polskiego 1815–1914*, Warszawa 1967, s. 17–18.

wszystkich kierunkach, będą pozakładane koleje żelazne, i gdy nastąpi ich połączenie z kolejami Belgii.⁶

Obawy te okazały się jednak nieuzasadnione. Komory i składy celne ustanowiono na przygranicznych dworcach, pociągi nie przywoziły aż tylu ludzi, celnicy wyławiali z tłumu tylko niektóre osoby do drobiazgowej kontroli, a poza tym nie interesowało ich, na jak długo przerwą podróż jadącym, którzy na granicy przesiadali się zazwyczaj do innego pociągu. W Polsce pierwszą stacją graniczną oddaną do użytku na kolei warszawsko-wiedeńskiej były od 1848 roku Maczki, zwane Granicą (dziś Sosnowiec). Trzeba tu jednak dodać, iż koleje, przejeżdżające bez zatrzymania długie odcinki drogi, przyczyniły się do likwidacji paszportów wewnętrznych, pomiędzy prowincjami danego państwa.

Restrykcyjnym przepisom celnym towarzyszył bujny rozwój przemytu w całej Europie. Zajmowały się nim grupy przestępcze oraz wiejscy mieszkańcy nadgranicznych miejscowości dobrze znający teren i bezpieczne przejścia. Działali tu także indywidualiści, ufający we własne szczęście, znajomość z celnikiem czy łapówkę. Dlatego też istotną kwestią była ochrona samych granic. W zależności od państwa zajmowała się tym straż graniczna, przygraniczne garnizony wojskowe, wojskowi weterani. Granice dzielono na odcinki, których pilnowały konne i piesze patrole. W Królestwie Kongresowym służbę tę pełnili Polacy. W pasie przygranicznym kontrolowali cały teren oraz ludzi podejrzanych o przemyt, dezercję, włóczęgostwo lub poszukiwanych za przestępstwa kryminalne. Na niektórych odcinkach (np. w Augustowskim) byli wspomagani przez konnych Kozaków. Po 1850 roku, podobnie jak na komorach celnych, służbę graniczną zaczęli pełnić wyłącznie Rosjanie⁷. Pogranicznicy wszędzie byli grupą podatną na korupcję. W Królestwie

⁶ *Wozy parowe. (Wyjątek z dziełka o kolejach)*, „Wiadomości Handlowe i Przemysłowe” 1836, nr 28, s. 112.

⁷ Szerzej zob. Krzysztof Latawiec, *Polskie formacje celne do 1851 r.*, w: tenże, *Rosyjska straż graniczna w Królestwie Polskim w latach 1851–1914*, Lublin 2014.

Kongresowym władze próbowały temu zapobiec stosunkowo wysokimi pensjami, nagrodami za udaremnienie przemytu czy pojmowanie zbiega; z czasem wprowadzono także rotację, by strażnicy nie przebywali zbyt długo w jednym miejscu. W rosyjskiej służbie stosowano bardzo ostre środki karania prostych żołnierzy, którzy nie upilnowali swojego odcinka⁸.

Osobne środki bezpieczeństwa wprowadzano na granicach w sytuacjach nadzwyczajnych – politycznych zaburzeń czy epidemii. Wtedy do akcji wkraczało regularne wojsko, tworząc kordon sanitarny przed zarazą w dosłownym bądź przenośnym znaczeniu. Zawierano także dwustronne umowy między sąsiadującymi państwami o przygranicznej współpracy, zwłaszcza w kwestii wydawania dezertarów, przestępców politycznych lub pospolitych. Nasi zaborcy na ogół zgodnie w tych sprawach działali.

Koniec XVIII i początek XIX wieku to także okres wielu zmian terytorialnych w Europie, spowodowanych przez ekspansję absolutnych monarchii Prus, Austrii i Rosji (jej rezultatem były rozbiory Polski) oraz przez wojny napoleońskie, będące następstwem francuskiej rewolucji. Ostateczny kształt granic północy kontynentu zatwierdził kongres wiedeński (1815); w 1830 pojawiła się na mapie Belgia (czemu pomogło powstanie listopadowe) oraz Grecja (w efekcie kilkuletniego powstania antytureckiego wspomaganego przez ochotników z Europy oraz Anglię, Francję i Rosję). W drugiej połowie stulecia, po Wiośnie Ludów i wojnie krymskiej, rozbudzone aspiracje Włochów znalazły w 1861 roku uwieńczenie w zjednoczonym Królestwie Włoskim, w tymże roku połączyły się naddunajskie księstwa Mołdawii i Wołoszczyzny, by stworzyć Rumunię. Następnie po wojnie austriacko-pruskiej (1866) i francusko-niemieckiej (1870) doszło do zjednoczenia Niemiec.

Polska (tj. Rzeczpospolita Obojga Narodów) po trzecim rozbiorze zniknęła z mapy, a na jej terenach spotkały się granice zaborców. Stan ten zmienił się w czasie wojen napoleońskich, kiedy

⁸ Zob. tekst nr 51.

to w 1807 reaktywowano okrojone mocno Księstwo Warszawskie pod francuską protekcją. Znalazły się w nim części trzech zaborów z Poznaniem, Warszawą oraz Krakowem. Po klęsce Napoleona i kongresie wiedeńskim powstało Królestwo Polskie jeszcze bardziej uszczuplone. Z dawnego obszaru Księstwa oddano Prusom Toruń i Wielkie Księstwo Poznańskie, a na południu utworzono Wolne Miasto Kraków – otoczony granicą teren w promieniu od kilkunastu do czterdziestu kilometrów wokół Krakowa, pozostający pod kontrolą trzech zaborczych mocarstw⁹.

Przekraczanie granic nie było częstym doświadczeniem mieszkańców przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Do obcych krajów peregrynowały elity – magnaci, pielgrzymi, dyplomaci, młodzi po naukę. Dalekie podróże gwarantowała własna rozległa ojczyzna. Rozbiory zamknęły tę epokę, a wiek XIX rozpoczął życie polskie pomiędzy kordonami. Niektóre nacje zachodniej Europy były w tym okresie również poszatowane, niemniej tylko u nas trwała świeża pamięć jednolitego organizmu państwowego niedawno zdefragmentowanego, pamięć przekazywana przez pokolenie konstytucji trzciemajowej swoim dzieciom już urodzonym w niewoli, „okutym w powiciu”. Najbardziej odczuwali to mieszkańcy dawnej Korony, bo tam granic wytyczono najwięcej. Królestwo Polskie, położone w środku tego obszaru, miało (w przybliżeniu) kształt koła o średnicy ok. 400 km (z wyjątkiem długiej i wąskiej północno-wschodniej enklawy, sięgającej po Niemen). Czyli ze środka Królestwa do granicy nie było więcej niż 200 km. A za kordonem Poznań, Toruń, Białystok, Kraków, o dalszych nie wspominając. Rzeczypospolitą Krakowską otaczały osobne granice – od północy z Królestwem, od południa z habsburską Galicją, od zachodu z Prusami¹⁰.

⁹ Pisał o tym Ludwik Pietrusiński (*Podróże, przejazdk...*): „Z powodzi kongresu wiedeńskiego wypłynął neutralny Kraków z 20-to milowym swym okręgiem, zabłyśły naprzeciw niego komory i przykomórki na lewym brzegu Wisły: w Broszkowicach, Spytkowicach, Pasiece, Tyńcu, Rybakach i na Podgórzu”. Zob. tekst nr 19.

¹⁰ Na ziemiach zabranych, przyłączonych do cesarstwa rosyjskiego, było odwrotnie – jak słusznie zauważa Katarzyna Sawicka-Mierzyńska – tam po rozbiorach wprawdzie

Tym sposobem istniejąca dotąd w zbiorowej wyobraźni przestrzeń swojska i domowa rozpadła się, a jej miejsce zajęły nazwy komór granicznych koniecznych do pokonania, by tę przestrzeń na powrót imaginacyjnie i realnie scalić. Ponieważ ziemie dawnej Korony były najgęściej zaludnione, życie w cieniu granic dotyczyło wielu osób, całych wsi i miasteczek przygranicznych, podzielonych granicami majątków, rodzin, znajomych, o interesach gospodarczych nie wspominając. Lapidarnie ujął tę sytuację Niemcewicz już w 1804 roku:

Ród mój cały umieszczony jest w Litwie. Brat stryjeczny w części austriackiej, przyjaciele po wszystkich trzech rozdziałach, dali mi sposobność przypatrzenia się z bliska każdemu z rządów, ich małym zaletom a wielkim błędom i obchodzeniu się z Polakami.¹¹

Niemcewicz nie miał ochoty pozostać w żadnym z trzech „rozdziałów” i wyjechał wtedy za ocean, do swojej amerykańskiej żony. Szybko powrócił jednak w 1807, gdy ukonstytuowało się Księstwo Warszawskie. Zaakceptował również Królestwo Kongresowe, dopiero klęska powstania listopadowego przypieczętowała jego pozostanie na emigracji. W swoich licznych podróżach przekroczył wielką liczbę granic i szczerze nienawidził przetrząsania bagażu na komorach celnych. Uważał, że „narody tylko niemające kwitującego handlu, zakładają pomyślność onego na drobnych i głupich trzęsieniach i surowościach”¹². Dlatego najmilej żeglował mu się po morzu – szybko i bez barier granicznych: „Sześćdziesiąt mil

pojawiła się granica na zachodzie, ale zniknęła granica wschodnia i rozległe imperium stanęło otworem (zob. Katarzyna Sawicka-Mierzyńska, *Granica w doświadczeniu romantycznych podróżników*, w: *Georomantyzm. Literatura, miejsce, środowisko*, red. Elżbieta Dąbrowicz, Marcin Lul, Katarzyna Sawicka-Mierzyńska, Danuta Zawadzka, Białystok 2015, s. 211). Sytuacja ta miała jednak i gorszą stronę: szybkie przemieszczanie się armii rosyjskiej w przypadku politycznych zaburzeń. Z tego też powodu markiz de Custine nazwał Rosję „przestronnym więzieniem”.

¹¹ Julian Ursyn Niemcewicz, *Pamiętniki 1804–1807. Dziennik drugiej podróży do Ameryki*, Łwów 1873, s. 4.

¹² Tamże, s. 123.

polских płynie się w 24 godzinach, bez trzęsienia się i kłócenia z pocztylionami i celnikami u bram”¹³.

Mickiewicz, urodzony na Litwie, przez całą swoją młodość znajdował się w obrębie carskiego imperium. Po raz pierwszy przekroczył granicę w Kronsztadzie w maju 1829 roku, kiedy wszedł na statek wiozący go do Niemiec. Jak wiadomo, nie był to spokojny wyjazd, nastąpił nagle, a poeta do końca nie miał pewności, czy mu cudem uzyskanego paszportu nie cofną. Jednak granica istniała w jego życiu już wcześniej, od czasów kowieńskich, gdy z okna oglądał leżące w Królestwie „czerwone góry polskie” po drugiej stronie Niemna. Uczucia wiążące się z tym widokiem i z życiem przy granicy zawarł w wierszach otwierających *Konrada Wallenroda*:

I ci, i owi pilnują przeprawy.
Tak Niemen, dawniej sławny z gościnności,
Łączący bratnich narodów dzierzawy,
Już teraz dla nich był progiem wieczności;
I nikt, bez straty życia lub swobody,
Nie mógł przestąpić zakazanej wody.
Tylko gałązka litewskiego chmielu,
Wdziękami pruskiej topoli nęcona,
Pnąc się po wierzbach i po wodnym ziele,
Śmiałe, jak dawniej, wyciąga ramiona
I rzekę kraśnym przeskakując wiankiem,
Na obcym brzegu łączy się z kochankiem.¹⁴

Mieszkańcy rosyjskiego imperium carów traktowali granice inaczej niż reszta Europy. Na co dzień nie uprzykrzały im życia, bo ich nie było, a te na odległych krańcach, oddzielając rodzimy obszar niewoli od wolności, nadawały kierunek ich marzeniom – tylko wybranym bowiem zezwalano na wyjazd w obce kraje. Puszkina nigdy nie opuścił granic swojej ojczyzny. Gdy zesłany przebywał na południowych rubieżach cesarstwa, miał krótki moment nadziei,

¹³ Tamże, s. 111.

¹⁴ Adam Mickiewicz, *Konrad Wallenrod*, w: *Dzieła*, t. 11, opr. Władysław Floryan, Wydanie Rocznicowe, Warszawa 1994, s. 71.

że postawił stopę na obcej ziemi, co opisał w *Podróży do Erzerum*: „nigdy jeszcze nie wyrwałem się z granic niezmierzonej Rosji. Wesoło wjechałem w fale wymarzonej rzeki i dobry koń wyniósł mnie na turecki brzeg. Ale ten brzeg był już zdobyty: wciąż jeszcze znajdowałem się w Rosji”¹⁵.

Mickiewiczowi udało się wyjechać; póki przekraczał granice europejskie jako niespieszny turysta z rosyjskim paszportem, nie stanowiły dlań wielkiego problemu. Dopiero po wybuchu powstania listopadowego, kiedy postanowił dołączyć do walczącej Polski, okazały się trudnymi do przebycia barierami. W granice Prus i Księstwa Poznańskiego przedostał się na fałszywych dokumentach, a nieudana próba przejścia do gasnącego już powstania pozostawiła mu traumę na resztę życia¹⁶. Echo tych jego nadniemeńskich i wielkopolskich doświadczeń znajdujemy w I księdze *Pan Tadeusza* – zarysowany tam obraz to jakby spełnienie tego, czego sam poeta nie zaznał:

Mowy starca krążyły we wsi po kryjomu;
 Chłopiec, co je posłyszał, zniknął nagle z domu,
 Lasami i bagnami skradał się tajemnie,
 Ścigany od Moskali, skakał kryć się w Niemnie
 I nurkiem płynął na brzeg Księstwa Warszawskiego,
 Gdzie usłyszał głos miły: „Witaj nam kolego!”
 Lecz nim odszedł, wyskoczył na wzgórek z kamienia
 I Moskałom przez Niemen rzekł: „Do zobaczenia!”
 Tak przekradł się Gorecki, Pac i Obuchowicz,
 Piotrowski, Obolewski, Rożycki, Janowicz,
 Mierzejewscy, Brochocki i Bernatowicze,
 Kupść, Gedymin i inni, których nie policzę:
 Opuszczali rodziców i ziemię kochaną,
 I dobra, które na skarb carski zabierano.¹⁷

¹⁵ Aleksander Puszkina, *Podróż do Erzerum* (tłum. M. Toporowski). Cyt. za: Wiktor Woroszyński, *Kto zabił Puszkina*, Warszawa 1983, s. 281.

¹⁶ O szczegółach pobytu Mickiewicza nad granicą Królestwa pisze Jarosław Maciejewski, *Mickiewicza wielkopolskie drogi. Rekonstrukcje i refleksje*, Poznań 1972, s. 160 i n.

¹⁷ Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, *Dziela*, t. IV, opr. Zbigniew Jerzy Nowak, Wydanie Rocznicowe, Warszawa 1995, s. 39–40.

Uwznioślił Mickiewicz w owej scenie przeszłe, ale powtarzające się potem regularnie podobne chwile, kiedy młodzi Polacy forsowali zielone granice, by spełnić swój patriotyczny obowiązek i dołączyć do walki lub spisku. Wiele lat później podsumował to Zygmunt Miłkowski (bardziej znany pod literackim pseudonimem Teodora Tomasza Jeża) – uczestnik kampanii węgierskiej i wytrawny emisariusz:

Przekradałem się tyle razy, że ten sposób przyjąłem ze spokojem, nawet z uznaniem. Uznawałem prawowitość jego wobec nieprawowitości moskiewskiej.¹⁸

Podobnie traktowała granice rozbiorowe większość Polaków, zwłaszcza po powstaniu listopadowym, gdy Królestwo Polskie straciło nawet pozory niezależności. Oczywiście przepisy graniczne łamano głównie z powodów codziennych, życiowych, z chęci zysku i dla wygody – gdyż stosowanie się do nich wymagało nieraz wielu zachodów, a skutek bywał niepewny. Przy czym zdarzały się okresy, gdy wydarzenia polityczne praktycznie uniemożliwiały legalne przejście. Granice pod tym względem okazywały się bardzo czułym barometrem sytuacji po tej lub tamtej stronie. Gdy się pogarszała, zaostrzano kontrole, wprowadzano wojsko lub całkiem przecinano komunikację. O takich utrudnieniach podczas akcji wyrzucania polistopadowych emigrantów z Krakowa¹⁹ czytamy w dzienniku panny Heleny Mioszewskej:

Jeździłyśmy na wieś, na komorze bardzo ściśle rewidują, każdy chłop przechodzący musi się rozbierać i rozzuwać. Obywatelom po kieszeniach szukają, najściślej rewidują wszelkie książki i papiery, najmniejszy świstek przez nich czytany, a każdy kawałek

¹⁸ Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. II, s. 396.

¹⁹ Represje wywołało zabójstwo carskiego szpiega Jana Behrensa 6 stycznia 1836 roku, dokonane przez członka Stowarzyszenia Ludu Polskiego, w wyniku czego nastąpiły aresztowania, wysiedlenie emigrantów oraz okupacja Wolnego Miasta Krakowa przez wojska trzech mocarstw rozbiorowych.

gazety w kawałki podarty. Panu Oraczewskiemu skonfiskowali likarstwa, nam po wszystkich walizach plądrowali, rzeczy na ziemię wyrzucili, cały powóz i furmana najściślej rewidowali, takich szykan jeszcze dotąd nie było, utrudniają i przedłużają drogę, myśmy przeszło dwie godziny na tej komorze strawiły. [...]

Jednak to bardzo przykre w swoim własnym kraju tak czuć się skępowanym, bo ktokolwiek ruszyć się chce z Krakowa poza rejon, musi się prosić i kłaniać o udzielenie paszportu, i to jeszcze narażony, jak my obecnie, na odmowę i do własnego majątku, gdzie pilne i ważne wołają interesa, położonego o trzy mile od Krakowa jechać nie można.²⁰

Poza zwykłymi szykanami zdarzały się na granicach i gorsze rzeczy. Można było w razie wpadki trafić stamtąd do więzienia, na zesłanie albo prosto przed pluton egzekucyjny, który czekał uciekinierów z rosyjskiego wojska, oddawanych carskim władzom przez kraje ościenne. Taki los spotkał braci Tomasza Teodora Jeża zbiegłych z zaboru rosyjskiego. Jeż próbował przemycić ich bez dokumentów (w roli służących) do Gałacz w Mołdawii, gdzie zostali aresztowani i wydani Rosjanom²¹: „Sąd śledczy domyślał się sprzysiężenia i chciał osnowę i skład onego poznać. Józef i Szczęsny nic i nikogo nie wydali, tak że pozostawał jeno na nich zarzut dezercji z szeregów, tyżący się Józefa wyłącznie. Na podstawie tej wskazano go na śmierć; Szczęsnego zaś do robót aresztanckich”²².

Osobną kartę zapisały granice w dziejach powstań. W trakcie i po upadku powstania listopadowego przez granicę pruską

20 Helena z Mieroszewskich Darowska, *Dwa lata z moich wspomnień z życia krakowskiego 1836–1837*, w: *Kapitan i dwie panny: krakowskie pamiętniki z XIX wieku*, przygotowali do druku Irena Homola i Bolesław Łopuszański, Kraków 1980, s. 83–84, 98.

21 Długie ręce Rosji sięgały i poza granicę – za sprawą konsula rosyjskiego rząd Mołdawii wyznaczył za Józefa Miłkowskiego nagrodę.

22 Zob. Teodor Tomasz Jeż, *Od kolebki przez życie*, s. 72.

(koło Memla²³ i Brodnicy) i austriacką przechodziły wielotysięczne oddziały polskie osaczane przez Rosjan i zmuszane do złożenia broni. Rozgrywały się tam sceny tragiczne, zwłaszcza w lipcu, pod Memlem, gdzie powstańcy zastrzelili generała Antoniego Giełguda, a zdeterminowane grupy, nawet już rozbrojone, przedzierały się gwałtem z powrotem na Litwę, by próbować przebić się do Polski i kontynuować walkę. Dla wszystkich była to trauma związana nie tylko z klęską militarną, ale też ze świadomością, iż decydują się tu ostatecznie indywidualne losy każdego – czy wybrać tułactwo i wieczne rozstanie z rodziną, czy ryzykowny powrót pod rosyjskie represje. Domeyce pod Memlem przyśniła się rodzina, której już miał nie zobaczyć:

Zdrzemałem się, a równo ze snem poczęły mię dręczyć sny gorsze od rzeczywistości obecnej; widziałem w nich matkę, siostry; wymawiały mi, że je opuszczam na zawsze, ukazywały mi się wsie, pola, łąki i gaje rodzinne jakoś zmienione i ludzie niezna-nej postaci.

Ocknąłem się ze zroszoną łzami twarzą, a obudził mię harkawy, niemiły głos mowy niemieckiej objeżdżającego nasz obóz jakiegoś oberlandrata i starego, może z frydrykowskich czasów majora, lustrujących nasze gromady rozbrojonych żołnierzy.²⁴

Zupełnie odmienna sytuacja wytworzyła się w początkach powstania styczniowego. Powstańcy przejęli rosyjskie posterunki na całości granicy austriackiej i częściowo pruskiej i wprowadzili polskie załogi. Pisał o tym Wacław Tokarz:

Nowe władze wydawały paszporty, które wówczas nawet przyjeżdżający do Warszawy przedkładali miejscowym władzom policyjnym, objęły pocztę, zaprowadzając stempel powstańczy; miały baczne oko na ruch przyjezdnych. W Maczkach np., gdzie

²³ Dzisiejszej Klajpedy.

²⁴ Ignacy Domeyko, *Moje podróże: pamiętniki wygnańca*, przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami Elżbieta Helena Nieciowa, t.1, Wrocław 1962, s. 79.

początkowo panowała pewna anarchia, sam Kurowski²⁵ zaprowadził w dniu 11 lutego porządek: „polską manipulację”, jak pisały o tym gazety wiedeńskie. Zakazano odtąd przechodzenia granicy bez paszportu lub przepustki, stosując ten przepis przede wszystkim do urzędników austriackich, których podejrzewano o zbytnią skłonność do obserwowania. W Sosnowcu urzędnicy narodowi rewidowali pociągi, zatrzymując każdą osobistość podejrzaną; badali oni starannie pocztę, a przede wszystkim wysyłane telegramy, gdyż po pewnym czasie oddano stacjom z powrotem aparaty telegraficzne. Objęto w zarząd [...] komory celne na granicy, wprowadzając do nich częściowo nowych urzędników; w ten sposób np. w Maczkach dyrektorem komory został właściciel miejscowego domu spedycyjnego. Władze rosyjskie musiały z tego powodu ogłaszać na giełdzie warszawskiej, że towary oclone przez komory powstańcze podlegają ponownemu oczeniu w Warszawie. Te nowe komory nie robiły zresztą żadnych trudności przemysłnictwu, gdyż władze powstańcze – ze względu na zakupno broni i amunicji z Prus – musiały wejść w stosunki z przemysłnikami. Toteż dla tych ostatnich tych kilkanaście dni „czasów polskich” było później bardzo miłym wspomnieniem, gdyż ruch towarów ze Śląska do Zagłębia przybrał wówczas niezwykle poważne rozmiary.²⁶

Z Galicji do Królestwa przenikała wtedy wszelka pomoc dla powstania – broń, żywność i ludzie, a jako przewodnicy przez zieloną granicę chodzili okoliczni chłopci. Przedstawił to na symbolicznym obrazie z 1865 roku Artur Grottger, gdzie dziewczyna w stroju krakowianki prowadzi przez zarośla obok słupa granicznego kilku powstańców²⁷.

Życie pomiędzy rozbiorowymi granicami wpływało na różnicowanie się mieszkańców dawnej Rzeczypospolitej. Wzmacniało się (istniejące już wcześniej) poczucie więzi lokalnej, regionalnej, na

²⁵ Pułkownik Apolinary Kurowski (1818–1878). Zob. tekst nr 48 oraz 68, przyp. 1 i 4.

²⁶ Wacław Tokarz, *Kraków w początkach powstania styczniowego i wyprawa na Miechów*, Kraków 1916, t. 11, s. 148–149.

²⁷ Obraz pt. *Przejście przez granicę*. Zob. il. nr 1.

którą składały się dawniejsze, wynikające z geografii odrębności językowe i obyczajowe, modyfikowane przez kulturowy i cywilizacyjny wpływ państw zaborczych. Do tego dochodziła odmienność losów poszczególnych prowincji, związana z ich statusem politycznym i bieżącymi wydarzeniami. Inaczej było na ziemiach zabranych po pierwszym rozbiorze, inaczej w centrum i na kresach, inaczej tam, gdzie szybko germanizowano administrację, inaczej pod berłem cara, gdzie polskie instytucje dłużej funkcjonowały, a ich likwidowanie przebiegało stopniowo, w ramach represji po wykrytych spiskach i kolejnych powstaniach. Całkiem osobnym miejscem było Wolne Miasto Kraków. Różnice między prowincjami zauważał Jeż podczas swych licznych wędrówek. Galicyjski Złoczów np. wydał mu się wspaniałą metropolią na tle znanych mu miasteczek rosyjskiego Podola, a kiedy w 1862 roku po raz pierwszy znalazł się w Małopolsce, w okolicach Miechowa nad granicą rosyjską, nie zrozumiał mowy tamtejszych mazurzących przemytników²⁸.

Warto tu dodać, iż trasy powstających w drugiej połowie XIX wieku linii kolejowych zgodne były z interesem zaborców, którym nie zależało na integracji Polaków, toteż nie istniały bezpośrednie połączenia zagraniczne pomiędzy polskimi miastami – Warszawą, Poznaniem, Lwowem, liczyła się komunikacja ze stolicami trzech monarchii²⁹.

Zarysowanym procesom rozproszenia towarzyszyły tendencje przeciwnie, dośrodkowe. Niewątpliwie największą w tym rolę odegrało Królestwo Polskie, utworzone w okrojonych granicach Księstwa Warszawskiego. „Kongresówkę”, cieszącą się do 1831 roku pewną autonomią, postrzegano z innych zaborów jako „Polskę”, nawet po powstaniu listopadowym, gdy coraz silniej spajała się z resztą carskiego imperium. W tę stronę kierowały się wszystkie spojrzenia. O Warszawie, polskiej stolicy, pisał Jeż:

²⁸ Zob. teksty nr 29 i 48.

²⁹ Zob. Witold Molik, *Granica prusko-rosyjska w okresie zaborów w Wielkopolsce. Przegląd problematyki badawczej*, s.17, http://www.echo.nazwa.pl/data/modules/zdjecia/obr_granica_2.pdf [9.06 2017].

Od najwcześniejszego dzieciństwa, od chwili kiedy najpierwsze brzaski myśli do mózgu mego zaglądać poczęły, Warszawa przyświecała mi na kształt gwiazdy pierwszej wielkości. Ślaniała się ona w oczach moich na horyzoncie polskim – hen – gdzie? – tam jeszcze, na najdalszej Polski rubieży, na Pobereżu. Zwracałem się wciąż ku niej, okiem za nią przez lat trzydzieści kilka wodząc, z okiem w nią, w wyobraźni mojej stojącą, wlepionym błdziłem po łąkach i morzach: dotarłem do niej na koniec. Warszawa!³⁰

Trzy nasze zabory łączyła też wspólnota losu kraju podbitego, co przejawiało się w powszechnej społecznej mobilizacji podczas narodowych zrywów. Wtedy przez zielone granice ochotnicy dążyli tam, gdzie coś się działo. Do Królestwa w roku 1831 i 1863, do Galicji w 1848. Poza okresami nadzwyczajnymi, na co dzień istotną rolę integrującą pełniła prasa i literatura. Szczególną popularnością cieszyły się relacje z wędrówek po ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Rozpoczął tę pracę na rzecz rodaków Niemcewicz w *Podróżach historycznych po ziemiach polskich od 1811 do 1828 roku*, a kontynuowali Hoffmanowa, Pol, Kraszewski, Syrokomla i inni, dzieląc – jak twierdzi Anna Kurska – „jego przeświadczenie, że wędrówka po kraju może być jednym ze sposobów odzyskiwania (konstruowania) utraconej po rozbiorach tożsamości”³¹.

Na koniec wypada zadać pytanie, czym różniło się polskie doświadczenie granic rozbiorowych w porównaniu z resztą Europy? Jak już powiedziano na wstępie, granice i paszporty istniały wszędzie i doskwierały podróżnym. Wszędzie popularna była korupcja urzędników celnych, przetrząsanie bagażu, rekwizycje przewożonych rzeczy. Również kwarantanny. Istniał przemyt i szlaki przez zieloną granicę, którymi poruszali się kontrabandziści, uciekinierzy, emisariusze włoscy, słowiańscy, greccy itd. Specyfiką polskiego doświadczenia było to, że mieszkańcy dawnej Rzeczypospolitej,

³⁰ Teodor Tomasz Jeż, *Od kolebki przez życie*, s. 400.

³¹ Anna Kurska, *Niemcewicz. Podróże po Polsce*, w: *Atlas polskiego romantyzmu. Świat – Europa – Polska*, red. Dorota Siwicka, Marta Zielińska przy współpracy Grzegorza Marca, <http://nplp.pl/artukul/niemcewicz-podroze/> [4.06 2017].

przemieszczając się na ogromnym obszarze, wędrowali jako swojacy po swojszczyźnie, by zacytować Syrokomlę. Znała to i Europa, ale w nieporównywalnie skromniejszym zakresie. I nie chodziło u nas tylko o historyczne sentymenty i łatwość poruszania się przybysza w podobnym kulturowo i językowo terenie. Także o szczególną mobilizację transgraniczną, uaktywnienie międzyzaborowej wspólnotowej więzi w sytuacjach nadzwyczajnych. W 1848 roku działała na przykład tzw. „poczta obywatelska”, przewożąca ścigane, zagrożone osoby prywatnymi zaprzęgami, od dworu do dworu, jak najszybciej do granicy, „zielonej” rzecz jasna, by zdążyć przed żandarmami. Zaś w przededniu wybuchu powstania styczniowego funkcjonowało ponad zaborami państwo podziemne – jak to pokazuje wyprawa Jeża z Mołdawii do Warszawy. Ktoś tę jego podróż zaplanował, dał pieniądze i kontakty, a sam emisariusz przekazywany był z rąk do rąk, póki nie osiągnął celu. Nietrudno zauważyć, że na terenach przygranicznych organizacja taka opierała się również na miejscowych przemytnikach. Bardzo to wszystko podobało się Jeżowi:

Przewodnicy nasi czas jakiś zabawili w karczmie, żartowali z kontrabandzistów, z którymi się znali, a którzy im szczególnie okazali respekt, wreszcie zabrali nasze walizki i przeprowadzili nas z ziemi naszej, dla mnie zakazanej, na ziemię naszą, również dla mnie zakazaną. Ironia sytuacji... Bezprawie uczyniło mnie wyrzutkiem z własnej, z rodzonej ojczyzny. Prawo przyrodzone upoważniało mnie do gwałcenia bezprawia. Powiodło mi się ono pomyślnie. [...] Stała mi w oczach Polska cała w taki zorganizowana sposób. Gdyby zorganizowana była stale, nie z dziś na jutro, ale na zawsze, przed każdym powstaniem i po każdym powstaniu, jakżeby ona siebie szanować, jakby się ze sobą liczyć kazała!... Taka Polska mogłaby o przyszłość swoją być spokojną. Przyszłość zapewniała jej by organizacja, czuwająca nad nią nieustannie i powołująca naród do czynu nie kiedy się zdarzy, nie kiedy się miara cierpliwości przebierze, ale kiedy nadejdzie sposobna i odpowiednia pora. O! tak zorganizowana Polska...³²

³² Teodor Tomasz Jeż, *Od kolebki przez życie*, s. 396–397.

Kolejną istotną rzeczą, odróżniającą polskie doświadczenia graniczne od europejskich, był fakt, iż przytłaczająca większość ludzi przemieszczających się między zaborami musiała pokonywać granicę rosyjską. Szczególnie widoczne się to stało po 1850 roku, kiedy nie istniały już pół niepodległe obszary Królestwa Polskiego i Wolnego Miasta Krakowa, a wszystkie straże i posterunki graniczne zostały obsadzone wyłącznie przez Rosjan. Wtedy to te granice: rosyjsko-pruska (od okolic Kłajpedy/Memla w Prusach Wschodnich po Mysłowice na Górnym Śląsku) i rosyjsko-austriacka (od Mysłowic po Czerniowce na Podolu) liczyły razem ponad dwa tysiące kilometrów. O pruskiej pisał Witold Molik, że „była wówczas nie tylko granicą państwową, ale również granicą cywilizacyjną. Dzieliła jedno z najnowocześniejszych państw europejskich, jakim były Prusy/Niemcy od potężnej, ale w porównaniu z czołowymi państwami zachodnio-europejskimi zacofanej i absolutystycznej monarchii Romanowów”³³. Różnice między habsburską Galicją a rosyjskim Podolem też istniały, niemniej na nieporównywalnie niższym poziomie i tylko ktoś taki, jak młody Jeź, nieznający jeszcze Europy, mógł je zauważyć³⁴. Na całej długości tej granicy spotykało się Polaków (najwięcej w obrębie Królestwa Polskiego i zachodniej Galicji). Od północnego krańca Rufin Piotrowski przemykał się z Poługi do Prus, od południowego, na styku Galicji, Mołdawii i Podola, potajemnie przeprawiał się przez Prut Teodor Tomasz Jeź do rodzinnego Niemirowa, leżącego za rosyjskim kordonem³⁵. Rosyjska granica była jedną z najtrudniejszych do przebycia w Europie. Wiedział to już markiz de Custine indagowany w Kronsztadzie³⁶. Ponadto na obszarze Królestwa Polskiego trwał prawie permanentnie stan wojenny. Najpierw w następstwie partyzantki Zaliwskiego – od roku 1833 aż do śmierci Iwana Paskiewicza w 1859. Niezadługo znowu wprowadzono, by ukrócić demonstracje

³³ Zob. Witold Molik, *Granica prusko-rosyjska w okresie zaborów w Wielkopolsce*, s. 12.

³⁴ Zob. tekst nr 29.

³⁵ Zob. teksty nr 51 i 54.

³⁶ Astolphe de Custine, *Rosja w roku 1839*, przekład i opracowanie Paweł Hertz, Warszawa 1995, t. 1, s. 146 i n.

patriotyczne poprzedzające wybuch powstania styczniowego; po jego upadku przekształcił się w stały system państwa policyjnego. Wszystko to w szczególnym stopniu dotyczyło granic. Mało komu zezwalano na wyjazd z Królestwa, a polskich przybyszów zza kordonu traktowano – poza krótkimi okresami swobody – z wyjątkową podejrzliwością.

W oficjalnym dyskursie epoki romantycznej granice są bardzo skromnie i jednostronnie reprezentowane. Z przyczyn oczywistych – nie ma tu miejsca na publiczne przyznanie się do omijania lub kwestionowania prawa. Spotykamy w prasie urzędowe ogłoszenia o zmianach przepisów celnych, anonse o porzuconym przez przemytników towarze, czekającym daremnie na zgłoszenie się właściciela, zabawne historyjki o celnych perypetiach gdzieś w odległych krainach. W naszej literaturze pięknej temat ten również nie jest eksploatowany. Z dwóch zamieszczonych w antologii fragmentów komedii wydanych w zaborze rosyjskim w pierwszym wymiano korupcję austriackich celników (co z uwagi na drażliwość tej kwestii wymagało czołobitnej dedykacji autora dla rosyjskiego generała). W drugim, pióra Korzeniowskiego, napiętnowano w prepozytywistycznym tonie indywidualne wady niegospodarnej żony i matki, która z chciwości nie zgłasza na cle zagranicznych zakupów, traci je wszystkie, płaci karę pieniężną i wraca do domu zadłużona. Pisarz promuje przy okazji kupowanie w kraju – dla dobra naszej gospodarki – nie wiemy wszakże, czy nie będą to towary rosyjskie.

Wyjątkiem są okresy powstań. Polska prasa podczas powstania listopadowego informowała o zdarzeniach przygranicznych, nie dotyczyło to jednak rzecz jasna nielegalnych kontaktów między organizacjami za kordonem. W czasie powstania styczniowego funkcję tę – oprócz prasy podziemnej w Królestwie – pełniły gazety krakowskie, co „Czas” przypłacił chwilowym zawieszeniem i musiał wychodzić pod innym tytułem³⁷.

³⁷ Od 18 grudnia 1863 do 31 marca 1864 roku „Czas” ukazywał się jako „Chwila”, zresztą w identycznej szacie graficznej.

Oczywistą jest rzeczą, że prawdziwe i interesujące graniczne historie ogłaszane być nie mogły bez poważnych konsekwencji dla wymienionych w nich osób i spraw. Chyba że chodziło o nieszkodliwe drobiazgi – jak w opublikowanych w 1849 roku w Berlinie *Pamiętnikach* Klementyny Hoffmanowej, w podróżach „swojaka” Syrokomli bądź w wycieczkach Ludwika Pietrusińskiego. Najciekawsze materiały musiały jednak czekać na druk co najmniej kilkadziesiąt lat, licząc od momentu opisanych w nich zdarzeń.

Wśród autorów zamieszczonych w antologii mamy dwóch wyjątkowych ekspertów od kwestii granic – Niemcewicz i Jeża. Niemcewicz, wychowany na dworze Czartoryskich, poseł na Sejm Wielki, współtwórca majowej konstytucji, uczestnik insurekcji kościuszkowskiej, więzień w Petersburgu, potem emigrant w Ameryce i pierwszy Polak z amerykańskim obywatelstwem – polityk, historyk i pisarz, bywalec najważniejszych europejskich salonów, z oświeceniową trzeźwością oglądający świat – pilnie obserwował wszystko podczas swoich niezliczonych podróży, a jego wiedza i możliwość porównań czyniły zeń wybitnego komentatora rzeczywistości. W interesującym nas okresie (od 1804 do 1833 roku) odnotowywał w dzienniku każdą komorę celną i nie szczędził zjadliwych uwag. Podkreślić również należy, że zawsze przekraczał granice legalnie. Teodor Tomasz Jeż, który mógłby być jego wnukiem, zebrał doświadczenia z drugiej połowy stulecia, tak że wspólna pamięć ich obu – jednakowo bystrych i długowiecznych – obejmuje bez mała cały okres zaborów. Przy tym Jeż stanowił przeciwieństwo autora *Śpiewów historycznych*. Syn skromnego, chodzącego po dzierzawach szlachcica z wieloetnicznej Braclawszczyzny, uczeń miejscowych szkół oraz uczelni w Odessie i Kijowie, pierwszy raz udał się za granicę z Wołynia do Galicji w roku 1848. I od razu nielegalnie, co stało się jego podróżną normą konspiratora i działacza niepodległościowego. Pod własnym nazwiskiem przypłynął jedynie do Anglii jako emigrant z powstania węgierskiego. Potem jeździł na fałszywych dokumentach lub przekradał się przez granice, niekiedy w wieśniaczym przebraniu. Niemcewicz najdokładniej poznał

Europę północno-zachodnią³⁸, Jeż – południowo-wschodnią, toteż i w zakresie geograficznym wzajemnie się dopełniają. A zarazem ich różne losy pokazują zmiany, jakie na przestrzeni XIX wieku zachodziły w Europie. Niemcewicz należy do ścisłej elity, która niewielkie miała trudności w podróżowaniu za granicę – tak formalne, jak materialne, Jeż funkcjonuje na samym dole – wśród chłopów, karczmarzy, przemytników, drobnych urzędników i przedsiębiorców – w czasach ruchów narodowych, zapoczątkowanych przez Wiosnę Ludów. Niemcewicz dostrzega głównie absurdy ekonomiczne i biurokratyczne granic – Jeż traktuje je praktycznie, jako bariery do pokonania podczas swoich misji, co wymaga napiętej uwagi i prawidłowego rozpoznania zasad granicznych w konkretnym miejscu, gdyż najmniejszy błąd grozi aresztowaniem.

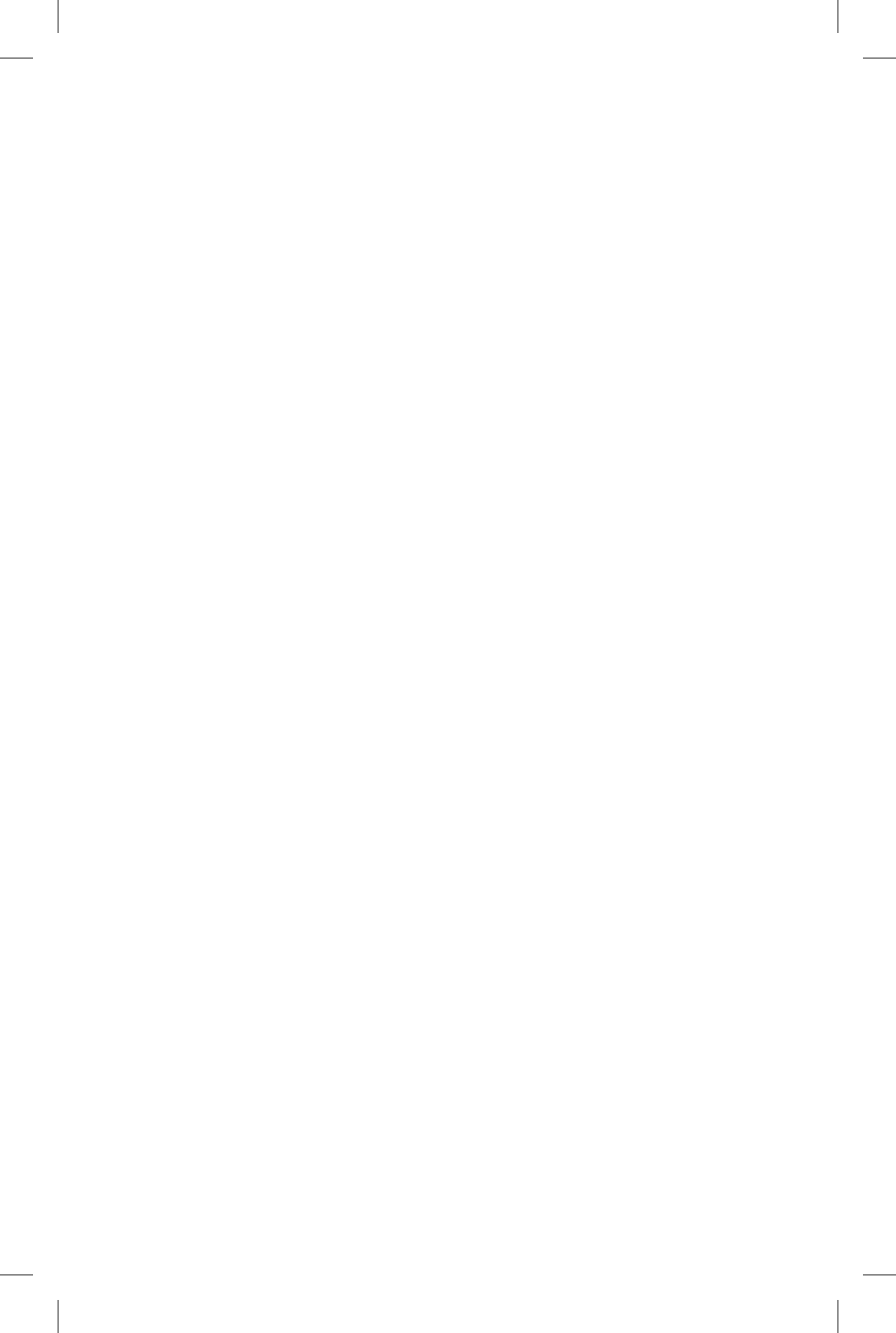
Teksty w antologii zostały dobrane tak, by możliwie najszerzej ilustrowały kwestię granic, przede wszystkim rozbiorowych. Istotna tu okazała się zarówno geografia, jak i czas opisywanych wydarzeń, ponieważ przepisy i sytuacje na granicach były zmienne. W tych ramach wprowadzono podział tematyczny, niekiedy arbitralny, gdyż niektóre z relacji można przyporządkować kilku kategoriom. Każdy tekst został zaopatrzony w datę wskazującą na moment danego zdarzenia i umieszczony zgodnie z chronologią w obrębie danej grupy. Tam, gdzie to było możliwe, podano nazwy komór celnych, które dla ówczesnych podróżnych stanowiły znaczące punkty w przestrzeni i miały własną lokalną historię. Jest to ważne także dlatego, że obecnie tropienie śladów tych komór cieszy się sporą popularnością i powstają ciekawe strony internetowe z nimi związane.

³⁸ W czasie podróży z Wołynia przez Podole do Odessy, odbytej w roku 1818, Niemcewicz odwiedził rodzinne strony Jeża, nie zabawił tam jednak długo.

Bibliografia

- Maria Baramova, *Border theories in Early Modern Europe*, <http://ieg-ego.eu/en/threads/crossroads/border-regions/maria-baramova-border-theories-in-early-modern-europe> [7.04 2017].
- Marek Bieńczyk, *Granica romantyczna – Rekonesans*, w: *Romantycy i Europa. Marzenia, doświadczenia, propozycje*, red. M. Piwińska, Warszawa 2006.
- Magdalena Dalman, *Autobiograficzna mapa Europy młodego Zygmunta Krasieńskiego. Fragment*, w: *Georomantyzm. Literatura, miejsce, środowisko*, red. Elżbieta Dąbrowicz, Marcin Lul, Katarzyna Sawicka-Mierzyńska, Danuta Zawadzka, Białystok 2015, s. 375–395.
- Henryk Dominiczak, *Granice państwa i ich ochrona na przestrzeni dziejów 966–1996*, Warszawa 1997.
- Historyczne Maczki. Strona poświęcona historii dzielnicy Maczki przed II wojną światową. Pamiętny rok 1863*, http://historycznemaczki.wordpress.com/2016/02/05/pamietny_rok_1863/ [9.06 2017].
- Andrzej Jezierski, *Handel zagraniczny Królestwa Polskiego 1815–1914*, Warszawa 1967.
- Komory i posterunki celne*, „Strażnicy Czasu – Forum dla wszystkich, którzy chcą ocalić historię przed zapomnieniem”, <http://www.straznicyczasu.pl/viewforum.php?f=244> [9.06 2017].
- Józef Krasieński, *Przewodnik dla podróżujących w Polsce i Rzeczypospolitej Krakowskiej*, Warszawa 1821.
- Krzysztof Latawiec, *Rosyjska straż graniczna w Królestwie Polskim w latach 1851–1914*, Lublin 2014.
- Jarosław Maciejewski, *Mickiewicza wielkopolskie drogi. Rekonstrukcje i refleksje*, Poznań 1972.
- Antoni Mączak, Henryk Samsonowicz, Andrzej Szwarz, Jerzy Tomaszewski, *Od plemion do Rzeczypospolitej. Naród, państwo, terytorium w dziejach Polski*, red. nauk. Antoni Mączak, Warszawa 1996 i 1999.
- Jadwiga Mizińska, *Granice i pogranicza*, w: *Polska – Litwa. Historia i kultura*, red. Jan Miziński, Jerzy Święch, Lublin 1994.
- Witold Molik, *Granica prusko-rosyjska w okresie zaborów w Wielkopolsce. Przegląd problematyki badawczej*, http://www.echo.nazwa.pl/data/modules/zdjecia/obr_granica_2.pdf [9.06 2017].

- Janusz Myszczyszyn, *Ewolucja polityki wolnego handlu w XIX w. ze szczególnym uwzględnieniem gospodarki Niemiec*, „Kultura i Historia” 2011, nr 20, / <http://www.kulturaihistoria.umcs.lublin.pl/archives/2586>, [9.06 2017].
- Gérard Noiriel, *Surveiller les déplacements ou identifier les personnes? Contribution à l'histoire du passeport en France de la 1-e à la 111-e République*, w: „Genèses”, 30, 1998. *Emigrés, vagabonds, passeports*, s. 77–100; http://www.persee.fr/doc/genes_1155-3219_1998_num_30_1_1497, [9.05 2017].
- Zbigniew Olkowski, *Epidemia cholery azjatyckiej w Prusach Wschodnich w latach 1831–1832*, „Komunikaty Mazursko-Warmińskie” 1968, nr 4, s. 531–572.
- Marek Rutkowski, *Stosunki handlowe Królestwa Polskiego z Cesarstwem Rosyjskim oraz z Chinami w początkach ery paskiewiczowskiej*, „Wschodni Rocznik Humanistyczny” 2006, t. 111, s. 189–203.
- Marek Rutkowski, *Uwarunkowania oraz bilans handlu zagranicznego Królestwa Polskiego wczesnej epoki paskiewiczowskiej*, „Wschodni Rocznik Humanistyczny” 2008, t. v, s. 129–141.
- Katarzyna Sawicka-Mierzyńska, *Granica w doświadczeniu romantycznych podróżników*, w: *Georomantyzm. Literatura, miejsce, środowisko*, red. Elżbieta Dąbrowicz, Marcin Luł, Katarzyna Sawicka-Mierzyńska, Danuta Zawadzka, Białystok 2015, s. 201–215.
- Janusz Staszewski, *Kalisko-poznańskie pogranicze 1831 r.*, „Ziemia Kaliska” 1930, nr 8–9.
- Wacław Tokarz, *Kraków w początkach powstania styczniowego i wyprawa na Miechów*, Kraków 1916, t. 11.
- John Torpey, Michel Charlot, *Le contrôle des passeports et la liberté de circulation. Le cas de l'Allemagne au XIXe siècle*, w: „Genèses”, 30, 1998. *Emigrés, vagabonds, passeports*, s. 53–76; http://www.persee.fr/doc/genes_1155-3219_1998_num_30_1_1496, [9.05 2017].
- Małgorzata J. Willaume, *Zygmunt Miłkowski (1824–1915) w powstaniu styczniowym*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska” 2012, Sectio F, Vol. LXV11, z. 2.
- Marcin Woźniczko, *Historia celnictwa polskiego*, „Wiadomości Celne” 2009, nr 1–2, http://mf-arch.mf.gov.pl/documents/764034/1395261/Wiadomosci+Celne_+numer+specjalny_+historia+celnictwa+polskiego [9.06 2017].
- Katarzyna Wydra, *Zszywana Ziemia czyli o pozostałościach granic rozbiorowych*, http://www.slideshare.net/mik_krakow/katarzyna-wydra-zszywana-ziemia-czyli-o-pozostaociach-granic-rozbiorowych-kolonialne [7.04 2017].



ANTOLOGIA



Granice ojczyzny



1. W zamierchłej przeszłości
„Biblioteka Warszawska” 1841, t. 111

Granice¹ podług dawnego prawa [fragmenty]

Niejednemu może z czytelników, na wspomnienie *granic* i *spraw granicznych*, staną na myśli wieczne pieniactwa, krzywoprzysięstwa świadków, swary interesowanych gromad, bitwy, zabójstwa, słowem gwar, jaki – używając słów jednej starożytnej powieści – usłyszyć tylko można tam, gdzie się wioska lub miasto zakłada. – A jednak, pomimo odrazy, jaką obudza, prawo graniczne polskie z wielu względów zasługiwać powinno na szczególną naszą uwagę. – Starożytność tego prawa sięga epoki bałwochwalstwa, epoki pierwszego zajmowania i uprawiania ziemi; jego burzliwa historia przedstawia historię burzliwego wówczas gospodarstwa, w którym z jednej strony praca, z drugiej przemoc lub opieka stanowiły majątek prywatnych. Tajemnicza jakaś symboliczność znaków granicznych, a razem poetyczne formy pierwszego zajęcia własności, tłumaczą znowu początkowe nazwiska długości i powierzchni ziemi, cofają nas do kolebki rozumu narodu, sadowią nas przy niej

¹ Pozbawionym będąc najważniejszych materiałów, nie mogłem się uchronić od pomyłek, które tu zapewne czytelnik spostrzeże. Chciałem zresztą jak najprędzej wprowadzić do piśmiennictwa naszego wypuszczony dotąd oddział: *Starożytności prawa*, tyle posiadający jeszcze skarbów w zwyczajach ludu, a które niezbrane w całość jako niepoznane marnieją. Rachuję dlatego na pobłażanie czytelników, ale zarazem spodziewam się, że niejednego z nich do podobnych poszukiwań zachęcę. Najtrudniejszą w tym względzie rzeczą jest odgadnięcie charakteru zwyczaju i ocenienie jego wewnętrznej w stosunku praw wartości. Ta uwaga przewodniczyła zawsze mej pracy. Nie ufałem nigdy zwyczajom płaskim bez koloru, chociaż widziałem, że cierpi na tym całość obrazu. Uniknie tego każdy szukający źródeł na miejscu i wiele przez to przyczyni się do uporządkowania i wyciągnięcia korzyści z podań gminnych, które tak jak są, pomimo swej starożytności i wartości literackiej, niewiele jeszcze przedstawiają użytku dla nauk [przyp. autora, podobnie jak wszystkie pozostałe przypisy w tym tekście. Z uwagi na obfite przypisy autora zrezygnowano z komentarza do nich i do samego tekstu. Zastosowane tam skróty są dla zainteresowanych nietrudne do rozszyfrowania].

i wyciskają zniamię wyraźnej wierności nagromadzonym materiałom, które mimo podrzędności swojej może niemało mogą historią domową albo rodzinną wyjaśnić.

[...]

Granice jednym słowem odosobniają każdą osobę i jednostkę ziemi, a zatem pomagają do przedstawienia całości człowieka, tak w jego istności, jak w przymiotach albo uzupełnieniach jego natury. – Zdziwiającą bowiem jest duma człowieka. – Stworzony z ziemi i doczesny jej tylko posiadacz, nie waha się on przecież uważać się za jej boga. „To moja własność, mówi on, to moja ziemia, to mój grunt”. W swoim panteistycznym obłąkaniu nazywa ziemię także bogiem, bogiem najlepszym i największym: *fundus optimus, maximus*. – U niego panowanie nad ziemią jest jakby boskości jego najkonieczniejszym przymiotem; u niego historia praw ziemi jest to tylko obraz sposobów jej dzierżenia; cała zaś nietykalność i świętość prawa własności jest tylko świadectwem jego niezmiennej woli, woli posiadania ziemi, którą wybrał i sobą samym oznaczył. – Kto też jest w stanie wyliczyć znamiona, a zarazem, kto jest kiedy w stanie przedstawić dostateczność znamion materialnego zajęcia własności? – Uderzy kto w ziemię nogą jako pan, zostawi na niej ślad dziesięciu palców jak Brahma i Herkules²,

² Po napisaniu tego artykułu znalazłem w dziele p. Narbuta (T. VIII dodat. str. 45), że taki zwyczaj azjatycki brania w posesję ziemi i graniczenia jej wprowadzony był do Słowiańszczyzny z Tatarami. *Basma* po tatarsku znaczy stopę człowieka, stąd po rosyjsku *Baszma* trzewik. Stopa czyli *basma*, wyciśnięta na wosku, owinięta w jedwabie i zamknięta w kosztownej skrzyni, była posyłana do Moskwy przez Hana hordy kopczackiej wstępującego na tron. *Basma* znaczyła panowanie i figurowała obok tronu wielkiego księcia. – W postaci zaś kamienia z wybitą na nim stopą, używana była jako znak graniczny. Takie kamienie znajduje się dotąd w Litwie w miejscach, które pan Narbut wymienia. – Do tak ciekawych wiadomości dodać muszę inne tłumaczenie. – Słyszałem, że w Podlaskiem i Augustowskiem znajdują się kamienie ze stopą ludzką i z podkową końską, i że ich używano dla zostawienia śladu objazdu granicznego, o którym mówię później. – Kierunek takiej kamiennej stopy albo podkowy miał oznaczać kierunek, w jakim postępował orszak objazdowy. Które z tych tłumaczeń jest prawdziwsze, albo który kamień jednym albo drugim sposobem wytłumaczonym być może, zostawiam to, w niemożności zebrania obszerniejszych dowodów, dalszym poszukiwaniom miłośników starożytności.

a ziemia przecież nie będzie jeszcze dla niego. Żeby ją posiadał, żeby się z nią w braku moralnego związku materialnie zjednoczył, albo żeby ją przeczłowieczył (*transhumane*), jak chce Dante, musi jeszcze jak purytański pionier włożyć w nią to, co ma najświętszego: wolę i pracę swoją, musi ją uprawić i oblać swoim potem, musi na niej obrać dla siebie łoże, a nareszcie grób³. Wtenczas dopiero zaczyna należeć ziemia do niego i jego rodu i staje się nierozdzieloną z nim samym.

Na takich zawsze warunkach zasadało się prawo pierwszego zajęcia lub posesji, i na takichże samych warunkach powstało później prawo własności. – Dlatego to symbole praw za pierwszą miarę ziemi dają: palec, stopę, łokieć i inne części ciała, a za pierwszą *granice* własności dają samo *ciało człowieka*. Ziemia, którą przykryć mogło, była pierwszą jej miarą, miarą długości i szerokości grobu, albo wielkości kolebki, jak mówi prawo niemieckie – lub tarczy⁴. – Formułą tego symbolu było dotknięcie ziemi ciałem. – Zwyczaj wieśniaków podlaskich kładzenia z uroczystością nowo narodzonego dziecka na ziemi i podnoszenia go przez ojca jest jedną ze szczupłej dotąd liczby takich formuł symbolicznych, które czasów pierwszego zajmowania słowiańskiej ziemi sięgają⁵. Położenie dziecka na ziemi miało je wzmacniać i udzielać pewnych praw do jej posiadania. Symbol zatem starożytnej tradycji praw nacechowany jest jak wszystko, co ma początek słowiański, materialnym znamieniem,

³ Stąd grzebanie umarłych na swoich własnościach. Stąd w Kijowie na grobie Oskalda wystawiono kościół ś. Mikołaja, a na grobie Dira kościół ś. Jerenego. (Nestor, tłumaczenie francuskie p. *Louis Paris* t. 29). – Książę Emeryk, zakładając klasztor na górze Świętokrzyskiej, włożył w fundamenta kawałek drzewa z krzyża świętego, mówiąc: *Hoc preciosissimi lignum... et quo charius nihil habui*. Dług. wyd. Lip. I. 148. – Kiedy zakładano fundamenta twierdzy Skandar w Serbii, i założone mury kilkakrotnie walały się, kazała Wiła zakładającemu zamurować dwóch braci rodzonych, mówiąc, że: „wtenczas dopiero o królu! wzmocni się ziemia, i ty będziesz mógł stawiać twą twierdzę”. Zbiór Wuka Stefanowicza, przetłumaczony na francuskie przez panią Voïart I. 207.

⁴ W pieśni jednej serbskiej Wenecjanka, przeklinając Miłosza za zatrzymanie darów ślubnych, mówi: „bogdajby tarcza była twoim grobowym kamieniem”, tamże t. 283.

⁵ Czacki o lit. i pol. prawach II, 51.

a wiążący się z mitami azjatyckimi przez podobieństwo, któremu ani historia, ani genealogia ludzkich pokoleń nie przeczy⁶.

Dzięki jednak niebu, człowiek nie jest do tego stopnia stworzeniem materialnym, aby mógł pod barwą nawet symboliczną na takim szczupłym ograniczeniu poprzestać. Co albowiem ciało przykryć, lub czego ręka dosięgnąć nie może, tego dosięga woła. Augur na przykład etruski dzieli hardzie swoim *lituus* niebo i ziemię, trybem zaś średniego wieku (Rienzi), ogłada się na trzy strony świata, tnie powietrze trzema cięciami szabli i woła: „to tutaj i tam, i tamto jeszcze będzie należało do mnie”. – Takie zajęcie w odległości formułowane było przez krzyk, bieg strzały⁷, rzut młotka albo kamienia. Puścił kto strzałę i zaraz ziemię, jak długi był lot strzały, dla siebie nabywał. *Dextra mihi Deus et telum quod missile libro, nunc adsint* [*Eneida*, ks. X, – mż]. – W Polsce przestrzeń, na której mógł być słyszany krzyk człowieka, wynosiła podług podań metrykantów koronnych łokci sto siedemdziesiąt, w Litwie zaś łokci sto pięćdziesiąt, strzał z łuku łokci sto pięćdziesiąt pięć⁸. Nie była to miara pewna i stała, bo nierówne są wole ludzi. „Ustąp mi – mówił raz do oceanu jeden wygnany bóg indyjski – ustąp mi kawałek tego brzegu, który obmywasz twoimi falami! tylko na jeden strzał łuku, nie więcej! Strzelił i o dwieście mil strzała upadła⁹.”

Inną granicą woli była miara *sily* albo *pracy* człowieka. – Ukrywał ją symbol, wystawiający ziemię *uprawioną* rękami człowieczymi, albo przynajmniej *oboraną* lub *objechaną* przez niego. I tak: Scytowie, Turcy i Rzymianie dawali zwykle naczelnikom rodów lub osiedlającym się kolonistom tyle ziemi, ile kaźden z nich mógł w jednym dniu pługiem zaorać albo tylko zakreslić. – Podobny zwyczaj miał

⁶ Podobny zwyczaj był u Skandynawów.

⁷ Pieśń Igora mówi do synów Jarosława łuckiego: „O! wy sławnego gniazda szóstoskrzydłacy, zagródzicie nieprzyjacielowi pole strzałami ostrymi” – A do Jarosława halickiego: „Zamykasz ujście Dunaju, otwierasz drogę do Kijowa, puszczasz strzały w krainy odległe”, Karamzin III, 203. – Bolesław I naznaczył granice mieczem od anioła mu danym. Bogułał u Sommers. II, 25.

⁸ Czacki II, 179.

⁹ Michelet, *Origines du droit français*.

także miejsce w Polsce. Dlatego to w czasach przedchrześcijańskich wyraz *socha* i wyraz *plug* oznaczały grunta osadnicze w ich wielkości normalnej. Od takich, mówi Helmold¹⁰ i Bogufał¹¹, podatki płacono, i zwyczaj ten w Ziemi Halickiej przynajmniej zachował się aż do XVI wieku, o takiej bowiem miarze jeszcze uniwersał poborowy z r. 1578 wspomina. Później miejsce osady rolnika nazwano *mansio* od *manere*, po polsku łanem albo włóką od włóczenia, albo morgiem od niemieckiego wyrazu morgen¹². Ale i te także nazwania, tak cudzoziemskie, jak narodowe, długo były dla mierników polskich rozpaczającej trudności, z przyczyny różnaitości miary, miary pracy, to jest rzeczy tyle zawsze różnej, ile jest stopniowań w sile, albo ile jest odcieni w niepojętej nigdy woli ludzkiej.

Wyścigi, obiegi a wreszcie *objazdy*, zachowały również w Polsce, wspólny wyż rzeczonym narodom charakter. – Wyścigi, jako środek dziedziczenia władzy po zmarłym, używane były w elekcjach panujących, a jako środek dziedziczenia majątku niemal w całej słowiańszczyźnie. W narodzie sąsiedzkim – u Estów – nie grzebano zmarłego, dopóki nie przeznaczono dziedzica dla majątku, który zmarły zostawił. Rozkładano w różnych odległościach pozostałe ruchomości, przeznaczając dla rzeczy największej ceny, najodleglejszą metę, i za danym znakiem otwierano wyścigi¹³. – U Słowian takiego rodzaju wyścigi, czyli turnieje albo tryzny, odbywały się po odbytych pogrzebie i przy mogile zmarłego¹⁴. Stąd poszedł wyraz *zagon*, po rusku *zahon*, to jest, zagnanie, zapęd, przestrzeń, jaką w jednym zawodzie ubiec było można; wyraz oznaczający dotąd na Rusi oddzielną, to jest pewną miarę mającą rolę¹⁵. – Od wyrazu

10 Wyd. Lub. L.1. C.12. §. 7. – Także Narbut 111, 501, gdzie dyplomata z r. 1230; *de quolibet anco (socha) soluerent nobis annuatim dimidium nouale talentum silignis, et de epica (brona)... dimidium talentum silignis.*

11 *A quolibet aratro duo mensura.*

12 Czacki I, 219.

13 Narbut 111, 135.

14 Rakowiecki, pr. rus. I, 36.

15 Linde V. Zagon.

*objazd*¹⁶ *circuitio*, *circumitio*, poszedł wyraz *wyjazd* albo *ujazd* czyli znak graniczny, jak świadczy statut Władysława Jagiełły¹⁷, od niego poszły *nawróciska*¹⁸, jako też wyrażenie prawnicze: „przysiągł, że sprawiedliwie *wiódł* i *graniczył*”, które Jan Tarnowski w ustawach praw ziemskich przytacza, a nareszcie *ujezd* oznaczający powiat w narzeczu ruskim, a w czeskim ziemię, którą w jednym dniu obobrać można jednym sprzężajem wołów¹⁹.

Objazdy jako *granice całego kraju z łątwością się tłumaczy*. – Żeby bowiem mieszkańcy różnych stron państwa uznali władzę panującego, którą żadna idea prawna, żadna namiestnicza fikcja, nie mogła w ich prostych jeszcze umysłach zastąpić, musiał kaźden panujący pokazać się im na oczy, musiał ich sam do obowiązków względem siebie nakłonić, i jak bogini Hirta cały obszar kraju dla ustanowienia granic i wzięcia go w swoje dzierżenie objechać. Takie objazdy w towarzystwie rad, panów i wojska odbywał: Ziemowit, Bolesław pierwszy i drugi i jak Chrobry, bili na granicach pale albo robili szczyrby czyli zaciosy²⁰. Takież same objazdy miewały miejsce w Rosji, a mieszkańcy na pamiątkę objazdu jak Pskowianie po przejeździe Olgi – chowali religijnie wóz lub sanie, na których monarchini wpośród ich rodów wjechała²¹. [...]

Zwyczaj objazdów wprowadził do mowy polskiej wiele nazwisk granicznych, które ułatwiają jego wytłumaczenie. Nazwiska te przenoszą kaźdego w epokę życia obozowego i zaborczego, w epokę

¹⁶ Kiedy w objazd Kijowa siedm mil powiadano. Jan Kochan. Wyd. Bobr. 111, 13.

¹⁷ Z r. 1420. Bandtkie Jus polon. I, 209.

¹⁸ Maciejowski Pr. Słow. IV, 428.

¹⁹ Jungman, Słow. Czeski.

²⁰ *Universam curam... pro restituendis finibus regni occupatis... finitimis... pro terminis regni sui sub Popiel... occupatis, bella movit (Ziemowitus)... cunctisque per circuitum nationibus in terrorem erat. Dług. I, 84. – Bolesław I castris in confiniis positus et hostibus terris confrontatis; tamże I, 170. – in portam... forti brachio mueronem vibrans impedit... et signum triumphale suae captivae reliquit; tamże I, 153. – Astuabat vir (Boleslaus II)... gades veteres per proavum suum... regno suo adjicere et innovare. tamże I. 204. – Boleslaus II omni in circuitu regna pervasit proeliis. Jan Krom u Sommers. I, 4. – Bol. II... ad alios fines se transtulit... utriusque Russiae partibus peragratis. Bogułał, u Sommers. II, 26.*

²¹ Nestor I, 78.

nieustannych walk, w których wozy i kopyta koni zajeżdżającego orszaku zdawały się nieustannie tratować i ujeżdżać granice. Do dziś dnia *ujazdy, wyjazdy, rozstajne drogi, znamiona na krzyż, karczuki i nawróciska*²² są jeszcze w niektórych okolicach granicami własności; do dziś dnia w Litwie, pomimo rozumniejszego i stałego trybu graniczenia, dawny zwyczaj lekkiego przepędzania sochą po obwodnicy gruntu, który dawniej mało kosztował pracy, dotychczas pozostał²³; do dziś dnia na koniec używane są oborywania do określenia nowej wioski czyli miru, ile razy wymaga tego potrzeba jej założenia.

PRZEDRUK ZA: ***, *Granice podług dawnego prawa*, „Biblioteka Warszawska” 1841, t. 111, s. 151–167.

²² Maciejowski praw. Słow. IV, 428.

²³ Korowiecki proces gran. s. 79.

2. Ostatnie spojrzenie na granice Rzeczypospolitej. 1770–1771

Franciszek Karpiński (1741–1825)

Pamiętniki [fragmenty]

W Białej, ostatnim miasteczku polskim, zastaliśmy wiele marszałków naszych konfederackich, już trzymających się umyślnie blisko granicy, ażeby w przypadku uchylić się można do cudzej ziemi¹, co też niedługo potem nastąpiło. Z Białej wyjeżdżając do bliskiego miasteczka szląskiego Bilitz, postrzeżone przy drodze znaki graniczne orłów cesarskich wzruszyły we mnie miłość Ojczyzny mojej, którą porzucałem².

Postrzegłem w Bilitz zaraz inny porządek, wiele domów miejskich murowanych i ochędóstwo wszędzie największe, wtenczas kiedy my jak we wszystkim, tak około domów i miast naszych niedbali. Jak w ojczyźnie, tak i w miastach polskich nie zamieciono!

Szląsk kiedyś był polską prowincją, i miło mi było, kilkanaście już mil w ten kraj wjechawszy, spytać się moim językiem wieśniaka po drodze orzącego o drogę do Oderbergu. A on mi odpowie, że dobrze jedziemy, ale dodał: „Niemcy to nazwali Oderberg, a to miasto zowie się po dawnemu – Bogumin”³. Tak to dawność i usiłowania niemieckie nie mogły wymazać z pamięci pospólstwa nazwisko starożytne miasta tego. Znowu ja na ciebie wspomniałem, ojczyzno moja, jak daleko kiedyś rozciągały się twoje osady, które nieładem potraciłaś!

1 Granica polsko-austriacka przebiegała wówczas rzeką Białką, między Białą a Bielskiem (niem. Billitz). W Białej ukonstytuowała się 31 x 1769 Generalność konfederacji barskiej.

2 Wyjazd Karpińskiego do Wiednia nastąpił wiosną 1770. Wspomnienia swoje spisywał jednak już po rozbiorach, w początkach XIX wieku.

3 Bogumin (czes. Bohumin) leży na Morawach, na granicy z Polską; znaczną część rdzennej ludności miasta i okolic stanowią do dziś Polacy.

Przez Opawę, Ołomuniec, Bryn⁴ w Morawii, wszystkie te kraje dawnych naszych Słowianów przejeżdżając, wszędzie z popółstwem moim językiem rozmawiałem się, i dopiero do Austrii wjechawszy, już chłopci niemieckim tylko językiem odpowiadali. Wszystkie wsie, miasteczka i karczmy uporządkowane, czego tylko wygoda chciała, dostarczały; drogi najlepiej utrzymywane podróz najmilszą czyniły.

Ale wjechawszy w Austrią, obraziło mnie przy stacjach podróżnych wybieranie od przyjeżdżających myta⁵, po grajcarze jednym więcej od mili, jak płaciliśmy dotąd. Kiedym się o przyczynę mytnika pytał, odpowiedział mi, że ponieważ jeszcze do środka marca zima jest, opłaca się zwyczajnie w tych czasach na kozuch dla Marii Teresy, cesarzowej, krajcar na milę jedną od podróżnych. Znowu ja pomyślałem: czyliż ja temu winienem, że zimno? i czyli Maria Teresa nie ma z czego sobie kozucha sprawić, ażeby aż podróżnych w zimnie także jadących obdzierała? Tak uważając ślady absolutnego panowania, znowu sobie słodziłem moje, chociaż w kłótlwym, ale kraju wolnym, urodzenie.

[...]

Tęskność moja do ojczyzny tym bardziej pomnażała się, im bardziej ją widziałem nieszczęśliwą, i te wiersze moje zaświadczą, które pod tytułem: *Tęskność do kraju* – w Wiedniu napisałem⁶. Myślałem sobie: niechbym przynajmniej umarł na gruncie polskim, bo jakimś nadzwyczajnym uprzedzeniem nawet wzdrygałem się na to, ażebym między Niemcami nie był pogrzebiony⁷.

Wybrałem się tedy z Wiednia ku końcowi miesiąca septembra roku 1770⁸, bawiąc tam więcej półtora roku, a wybrałem się przez Węgry powracać, ażebym i ten kraj cokolwiek poznał. [...]

4 Niemiecka nazwa Brna (właśc. Brünn).

5 Myto to opłata za przejazd groblą, drogą, mostem, przez roгатkę, a grajcar (też krajcar) – dawny miedziak austr., 1/100 guldenu (z niem. der Kreuzer).

6 Pierwodruk *Tęskności do kraju*, powstałej u schyłku pobytu poety w Wiedniu, znalazł się w *Zabawkach wierszem i przykładach obyczajnych*.

7 Podczas pobytu w Wiedniu Karpiński często chorował.

8 Pomyłka: powinno być 1771.

Z Pestu⁹ – przez Tokaj, Ungwar¹⁰ – na Lisk¹¹ przebierałem się do ojczyzny. Przeprowadzając się przez góry węgierskie, kiedy na największej ich wysokości stanąłem, widziałem Węgry całe i ziemię moją polską ukochaną. Jaśnie z tej wysokości poznać mogłem, jak daleko wyżej wzniesiona ziemia polska nad Węgry, że gdyby zalew ziemi następował, kiedy Węgry całe już byłyby zatopione, Polska by jeszcze nietkniętą została. Taka w tym miejscu gór była wyniosłość, że chmury kawałkami przechodząc, twarz mi odwilżyły.

Po kilku godzinach jazdy, z gór ku Polsce spuszczać się, przybyłem na koniec do komory granicznej polskiej – i całując ziemię, na której się urodziłem, słodkie łzy radości wylewałem. Tam strażnik polski, nazwiskiem Rudnicki, żem mu darował wina tokajskiego dwa garce (którego antał dla utraktowania przyjaciół we Lwowie wiozłem), dał mi polską wieszczkę, gdzie żądany barszcz narodowy mile przywitałem i gdzie po noclegu zaraz poczułem się zdrowszym. Tak swoje klima, humor weselszy i narodowe jądło nad insze lekarstwa najskuteczniejszym każdemu będą. O ty, ojczyzno moja! kiedy na twoim gruncie stanąłem, zdało mi się, że piękniejsze daleko, niżeli go w Wiedniu widziałem, wschodziło słońce i dym w izbie strażnika Rudnickiego nie był tak przykry jak indziej.

PRZEDRUK ZA: Franciszek Karpiński, *Historia mego wieku i ludzi, z którymi żyłem*, oprac. Roman Sobol, Warszawa 1987, s. 60–61, 74, 78–79.

⁹ Dzisiejszy Budapeszt to w przeszłości dwa miasta, połączone stałym mostem dopiero w 1767 roku. Od 1361 do podboju tureckiego Buda była stolicą Węgier, w Węgrzech habsburskich wolnym miastem królewskim (jak i Peszt), do 1777 siedzibą władz.

¹⁰ Užhorod na Rusi Zakarpackiej.

¹¹ Lesko nad Sanem, już w granicach Rzplitej.

3. Bolesne wspomnienie polskiej granicy. 1804

Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)

Pamiętniki 1804–1807. Dziennik drugiej podróży do Ameryki [fragment]

Deszcz, wiatr i śnieg mocniej już przez całą podróż dokuczały nam. Już było blisko pierwszej z północy, gdyśmy przybyli do Międzyrzecza¹. W tej słońce, niewczasach i trudach człowiek wędrownemu życiu swojemu złorzeczy najbardziej; nie widzi światła w oknie, nie wniwdzie do ciepłej izby, gdzie mąż z żoną i dziećmi spokojnej używa mierności, żeby im nie zazdrościł.

Za Międzyrzeczem nie bez ściśnienia serca minąłem dawną granicę Polski. Ile bolesnych wspomnień i uwag!...

PRZEDRUK ZA: Julian Ursyn Niemcewicz, *Pamiętniki 1804–1807. Dziennik drugiej podróży do Ameryki*, Lwów 1873, s. 17.

¹ W roku 1793, po II rozbiórce, Międzyrzecz przypadł Prusom. W okresie wojen napoleońskich i Księstwa Warszawskiego (1807–1812) miasto na krótko powróciło do Polski.

4. Odrobiona lekcja z historii. 1827

Helena Szymanowska (1811–1861)

Dziennik [fragment]

Piątek, 2 [listopada]

Jechałyśmy dzień i noc, nic uwagę zwrócić mogącego nie widziałyśmy prócz Siedlc, małego, lecz ładnego miasteczka, gdzieśmy były w kościele. Stanęłyśmy na noc w Terespolu, bo już było późno, a do ósmej tylko przez granicę przepuszczają. O dziesiątej z rana stanęłyśmy w Brześciu, gdzie dla paszportu i podorożnego¹ kilka godzin musiałyśmy się zatrzymać. Stanąwszy tamże, na poczcie² widziałyśmy się z Fedorami, którzy równie jak i my do Moskwy jadąc, po drodze konie dla nas zamawiać obiecali.

Przejechawszy granicę, zatrzymałyśmy się w Kobryniu, miasteczku bardziej żydowskim jak ruskim, bo samymi Żydami zamieszkanе. Choć już przejechałam granicę dzisiejszej Polski pod Brześciem, aż do Mińska kraj przebyły uważałam za Polską ziemię, bo choć przemoc wydarła ziomkom naszym to, co Jagiełło z dobrej woli oddał Polakom, dlatego jedynie, że sobie miał za szczęście z Polakami się złączyć, jednakże język polski nie zaginął, a za pierwszym hasłem pewnie by mieszkańcy dzisiejszej Rosji okazali, że w ich żyłach polska krew płynie.

PRZEDRUK ZA: Helena Szymanowska-Malewska, *Dziennik (1827–1857)*, oprac., wstęp, przypisy Zbigniew Sudolski, Warszawa 1999, s. 17–18.

¹ Dokument podróży w Rosji, uprawniający do korzystania z koni pocztowych.

² Tj. na stacji pocztowej. Autor *Przewodnika dla podróżujących w Polsce* pisał o komunikacji pocztowej: „Dyliżanse przebiegające regularnie wszystkie znaczniejsze trakty w Królestwie sporządzone niedawno zostały na wzór francuskich. Są to wielkie bardzo karety, o ośmiu mocnych resorach z dobrymi portierami, safianem wybite, mające wygodne wewnątrz siedzenia dla pasażerów, których do dwunastu mieścić może. Idą ciągle we dnie i w nocy, w miastach zaś większych, a szczególnie tych, gdzie są dyrekcje poczt, jako to: w Kaliszu, Płocku, Lublinie, Zamościu, itp. zatrzymują się po kilka godzin” (Józef Krasiński, *Przewodnik dla podróżujących w Polsce i Rzeczypospolitej Krakowskiej*, Warszawa 1821, s. 90–91).

5. Symboliczna granica ojczyzny. 1829

Zygmunt Krasiński (1812–1859)

Listy do Ojca [fragment]

Niezmiernieśmy prędko jechali, *chaussée* była wyborna, a konie żywe i mocne. Stanęliśmy więc w Kaliszu koło pierwszej godziny po południu. [...] List Papy odesłałem do pułkownika Müllera, który przyszedł nas odwiedzić w oberży, gdzieśmy obiad jedli, i ułatwił przejście przez komorę.

Po obiedzie dalej ruszyliśmy z czterema końmi pocztowymi, gdyż dla złej drogi poczmistrz kaliski żadnym sposobem mniej nam dać nie chciał. Zbliżaliśmy się już więc do granicy Polski i ostatni kraniec jej ziemi przejechaliśmy wieczorem. Słońce już było zaszło. Chmury czarne zasępiły niebo, mroźny wiatr przewiewał i lekki ostry deszczyk jesienny prószył powietrze. Opuszczając na długie dni moją ojczyznę, by wejść w świat nieznany mi i sam nieznany od niego, uczułem gorzką żalność i ponowił się smutek w całym swoim natężeniu. Obróciłem jeszcze raz oczy ku rodzinnej stronie, wyciągnąłem ku naszym sosnowym lasom i piaskowym polom ramiona, jak gdybym chciał ich ostatnim żegnać uściśnieniem, a potem wtoczyłem się w ciemny zakątek kocza i zakrywszy się płaszczem wpadłem w głębokie marzenie, przerwane dopiero, kiedy trąbka postyliona oznajmiła, że jesteśmy w Ostrowiu¹, pierwszej stacji po Kaliszu, kiedy dźwięk niemieckiej mowy przekonał mnie, że już nie jestem w ojczystej ziemi.

PRZEDRUK ZA: Zygmunt Krasiński, *Listy do Ojca*, opracował i wstępem poprzedził Stanisław Pigoń, Warszawa 1963, s. 30–31.

¹ Kalisz z komorą celną był ostatnim granicznym miastem Królestwa Polskiego, Ostrów (Ostrowo, obecnie Ostrów Wielkopolski) pierwszym po stronie pruskiej. Podział ten istniał wówczas od niedawna – od kongresu wiedeńskiego w 1815 roku. Wcześniej, po trzecim rozbiorze, oba miasta znajdowały się w zaborze pruskim, a w latach 1807–1815 w obrębie Księstwa Warszawskiego.



Urzędowy punkt widzenia



6. Plombowanie towarów. 1810

Jan Węgleński (ok. 1765–1835)

Instrukcja dla oficjalistów

INSTRUKCJA

dla Oficjalistów Komór Celnych i Konsumcyjnych, jak sobie przy
plombowaniu towarów postępować mają.

MINISTER SKARBU

Zważywszy, jak ważną dla zabezpieczenia dochodów Skarbu jest rzeczą, aby plombowanie towarów do kraju wchodzących, z wewnątrz kraju za granicę wychodzących i przez kraj *transito* przechodzących, właściwemu zamiarowi swojemu odpowiadało, i aby transporta podobne z przyczyny niedokładnie odbytego plombowania po drodze ze szkodą Skarbu podstępnie odpakowywane, potajemnie po części składane lub zamieniane być nie mogły: następujące w tej mierze komorom podaje przepisy, które summiennie przez Oficjalistów plomby przykładających w każdym szczególnym zdarzeniu wykonywane być mają.

Dział 1.

O gatunkach i cenie plomb używanych.

§ 1.

Gatunki i cena plomb na teraz w Księstwie Warszawskim używanych są następujące.

- a. Po groszy pol. 12 sztuka,
- b. Po groszy pol. 6 sztuka i
- c. Po groszy pol. 2 sztuka.

§ 2.

Plomby pierwszego gatunku ceny gr p. 12 używają się do plombowania:

- a. Bryk, wozów i statków, na których towary bez zapakowania pod przykryciem tylko znajdują się, a to w liczbie następującej.
1. Do bryki wielkiej ośm do dwunastu sztuk,
 2. Do wozu mniejszego cztery do sześciu sztuk, a
 3. Do statku w ogólności tyle, ile do zabezpieczenia potrzeba, aby nic z towaru prowadzonego spod przykrycia ubranym być nie mogło.
- b. Do pak, skrzyń jako też beczek i fass¹, tak amballowanych², że tylko jednej plomby potrzebują, i które ośm centnarów lub więcej ważą.

§ 3.

Plomby drugiego gatunku ceny gr p. 6 używają się.

- a. Do beczek i fass nieamballowanych ośm centnarów³ lub więcej ważących, do oplombowania których dwie plomby są potrzebne;
- b. Do pak, skrzyń, kufrów i amballowanych beczek i fass mniej jak ośm centnarów ważących, do oplombowania których jedna sztuka jest potrzebną, i na koniec
- c. Do beczek i fass nieamballowanych mniej jak ośm centnarów ważących, które dwoma plombami, to jest u dna wierzchniego i spodniego plombowane być powinny.

§ 4.

Plomby trzeciego gatunku ceny groszy pol. 2 używają się jedynie do plombowania towarów rękodzielnych i łokciowych w sztukach, postawach⁴, nygach⁵ itd. na znak, że są krajowe lub zagraniczne na skarb opłacone.

1 Fasa (z niem. *Fass*) – naczynie drewniane (kadź, beczka) z jednym dnem.

2 Amballowany (z fr. *emballer*) – zapakowany.

3 Cetnar – sto funtów. Funt warszawski wynosił 405,5 g, funt celny, niemiecki albo metryczny – 0,5 kg.

4 Postaw – bela sukna.

5 Nyga – resztki materii, płótna itp.

Dział 11.
O przykładaniu plomb.

§ 5.

Oficjalista skarbowy subordynowany, bez wiedzy i wyraźnego rozkazu oficjalistów kasowych *respective*⁶ komory, do plombowania przybyłych na komorę pak, bryk, statków, etc. etc. przystępować nie jest mocen.

§ 6.

Oficjalista skarbowy plomby przykładający za uchybienia w plombowaniu i szkody z niedbale lub podstępnie odbytego oplombowania dla skarbu wynikłe jest odpowiedzialnym.

§ 7.

Oficjalista plomby przykładający starać się powinien, aby

a. *Collis*⁷ plombować się mające przezornie na krzyż i w taki sposób zsnurowane były, by szpagat do oplombowania przez niego użyty i *collis* samo bez wyraźnego gwałtownego naruszenia otwarzane być nie mogły; w którym to celu szpagat do plombowania używać się mający cały i niesztukowany, a węzeł w plombie dostatecznie zaciągany być powinien.

b. Gdy fassy albo beczki plombować się mają, natenczas klepki onych zewnątrz den wystające w obudwu końcach na każdej stronie po cztery razy przewiercane być powinny; przez które otwory szpagat na krzyż przeciągniony we środku dna węzłem mocnym związany, a małym ćwieczkiem do dna przybity, zaraz przy samym węźle plombę nosić powinien.

c. Przy plombowaniu bryk i wozów przykrycia płócienne do drabin szpagatem i plombami tak przymocowywane być

⁶ *Respective* (z łac.) – względnie.

⁷ *Collis* – (z wł. *colli*, fr. *colis*) – paczka, skrzynka, będąca przedmiotem transportu lub wysyłki.

powinny, aby bez wyraźnego onych uszkodzenia nic z towaru ubranym być nie mogło.

d. W ogóle plombować się mające worki lub przykrycia bryk i wozów etc. etc. płócienne, a w każdym przypadku powinny być całe, bez łat i mieć wszystkie szwy wewnątrz obrócone.

§ 8.

Gdy statek, bryka, wóz, paka etc. etc. plombować się mające, należy już są szpagatem zsznurowane, przystąpić należy oficjaliście do przyłożenia plomb w sposób co do każdego gatunku plomb używanych w szczególności, niżej opisany.

a. *Co do plomb ceny gr p. 12.*

Gatunek ten plomb ma jeden otwór na stronie tylnej, przez który obadwa końce szpagatu przeciągnięte, we śródku pod klapką związane i końce na krzyż pobocznymi otworami wyciągnięte być powinny. Klapka natenczas węzeł zakryć mająca z lekka się przybija i spłaszcza, plomba po przykryciu klapką węzła wewnętrznego, na stempel kowadełka klapką pomienioną do góry się kładzie i stempel wierzchny przyłożony zwykle podwójnym uderzeniem na plombie wybija się.

b. *Co do plomb ceny gr p.6 i gr p.2.*

Dwa te gatunki w składzie swoim zupełnie sobie podobne i wielkością jedynie różniące się, od poprzedniczego w tym są różne, że otworów pobocznych wcale nie mają i dlatego obadwa końce szpagatu przez jeden tylny otwór i środek pod klapkę, przewieszzone, a przez drugi tylny otwór wyciągnięte być powinny; po czym klapka lekko przyplaszczona i stempel wyżej opisanym sposobem na kowadełku wybity bywa.

§ 9.

W ogólności plomby przykładający oficjalista na to uważać powinien, aby wierzchni stempel na tej zawsze stronie, gdzie się klapka przyklepała, był wybijany, i aby grubość szpagatu do wielkości plomby i jej otworów stosowna była.

§ 10.

Wybijanie stempla tak mocno skutecznić się powinno, iżby plombę po szpagacie ani zsunąć, ani innym jakim bądź sposobem odjąć niepodobną było do wykonania rzeczą.

§ 11.

Płombowanie bryk, wozów, pak etc. etc. prócz statków, na *Pakhofie*⁸ lub placu rewizyjnym, a jeśliby takowych nie było, przed komorą odbywać się powinno. Zaraz po ukończonym plombowaniu oficjalista plomby przykładający na deklaracji ręką własną zaświadczać ma, ile pak oplombował z przytoczeniem liczby i ceny użytych plomb, po czym narzędzia do plombowania ze skrzyni kasowej wyjęte, do tejeż na powrót składane i zamykane być powinny, tak, aby przy urzędach, gdzie są kontrolerowie ustanowieni i klucze od kasy w ręku oficjalistów kasowych wspólnie się znajdują, bez ich wspólnej wiedzy narzędzia do plombowania używane być nie mogły.

§ 12.

Niemniej zapas plombów w skrzyni kasowej chowany być powinien i za każdą wydarzoną ekspedycją przyłożenia plomb wymagającą potrzebną onych ilość pisarz komory z wiedzą kontrolera, tam gdzie jest ustanowiony, oficjaliście plomby przyłożyć mającemu wydawać powinien.

§ 13

Oficjaliści przy plombowaniu jak najściślej powyższych przepisów dopełniać powinni; inaczej za nierzetelnych i skarb w dochodach jego uszkadzających uważani i jako tacy karani będą. Jednakże postępowanie ich z publicznością powinno być takie, aby nikomu sprawiedliwego nie dawało powodu do użalania się na zwłokę, szykany, a mianowicie wymagania nieprzyzwoitych za

⁸ *Pakhof* (z niem.) – komora celna.

dopełniony obowiązek służby remuneracji⁹, w którym to ostatnim przypadku kary zbiorem przepisów i ustaw na przewinienia i wykroczenia służbowe oficjalistów skarbowych de data 15 października r. 1809 §§. 15 i 16 oznaczone, w całej onych surowości na przestępnych dopełniane będą.

§ 14

Oficjalistów kasowych i rewizje sobie powierzone mających szczególnym jest obowiązkiem, bacznie mieć oko na oficjalistów plomby przykładających, i nieumiejętnych oświecać, aby ci powierzchownym plombowaniem skarb na szkody stąd wyniknąć mogące, za które są także odpowiedzialnymi, nie narażali. W tym celu po ukończonym oplombowaniu każdego transportu w szczególności o należywym zabezpieczeniu skarbu ile możliwości sami osobiście przekonywać się mają.

W Warszawie d. 11 czerwca 1810.

podpis: *Jan WĘGLEŃSKI*
Minister Skarbu

Kazimierz Schrader
Intendent Jeneralny Skarbu

PRZEDRUK ZA: *Instrukcja dla Oficjalistów Komor Celnych i Konsumcyjnych, iak sobie przy plombowaniu towarów postępować mają,* Warszawa 1810.

⁹ Remuneracja (z łac.) – rekompensata, odszkodowanie.

7. Zmiany na granicach Królestwa Polskiego. 1820

Jan Węgleński (ok. 1765–1835)

Urządzenia krajowe, „Orzeł Biały”

1820, nr 13 [fragmenty]

Komisja Rządowa Przychodów i Skarbu.

W zamiarze dopełnienia postanowienia Księcia Namiestnika Królewskiego z dnia 29 stycznia br. zawiadamia handlującą publiczność, iż po nastąpiącym zniesieniu dotychczasowych komór rosyjskich na granicy między Cesarstwem Rosyjskim a Królestwem Polskim¹, i ustanowieniu w ich miejscach komór kontrolowych rosyjskich obok polskich komór celnych na te same granice będących, zaprowadzone zostały wskutek najwyższej woli Monarchy – na linii zewnętrznej Królestwa Polskiego, komory deklaracyjne rosyjskie, a mianowicie:

Od granicy Prus.

1. W Wierzbołowie. – 2. W Raczkach. – 3. W Szczucinie. – 4. W Kolnie. – 5. W Chąrzellach. – 6. W Nieszawie. – 7. W Słupcy. – 8. W Kaliszu. – 9. W Praszcze. – 10. W Czeladzi.

Od granicy Obwodu Wolnego Miasta Krakowa.

11. W Krasieńcu.

¹ „Po zawarciu konwencji petersburskiej z Prusami Aleksander I ukazem 15 XI 1819 roku – ważnym od 1 I 1820 r. – włączył Królestwo Polskie do rosyjskiego obszaru celnego i rosyjski system celny przeniósł na zewnętrzne granice Królestwa Polskiego. W ten sposób Królestwo uzyskało nader liberalną taryfę celną – rosyjską zarówno na granicy pruskiej, jak i austriackiej. Od dnia 1 I 1820 r. na granicach Królestwa Polskiego z Prusami i Austrią zaczęło działać 13 rosyjskich komór celnych, których zadaniem była kontrola nad przywozem towarów dostarczanych tranzytem przez Królestwo do Rosji, a 13 komór polskich zajmowało się kontrolą importu towarów do Królestwa. Na granicy polsko-rosyjskiej pozostawiono 9 komór kontrolnych, których zadania w pierwszym okresie nie zostały ściśle sprecyzowane” Cyt. za: Andrzej Jezierski, *Handel zagraniczny Królestwa Polskiego 1815–1914*, Warszawa 1967, s. 17–18.

Od granicy Austrii.

12. W Zawichoście. – 13. W Dołhobyczowie.

Komory powyżej wymienione są ulokowane obok komór polskich pogranicznych wchodowych w tychże punktach znajdujących się, przez które wyłącznie mogą tylko odtąd wchodzić z państw zagranicznych pozwolone towary i produkta przez Królestwo Polskie do Rosji i z Rosji za granicę deklarowane.

Przepisy dla tychże komór wydane Komisja Rządowa Przychodów i Skarbu podaje także do wiadomości publicznej (obacz poniżej).

Działo się w Warszawie dnia 19 lutego 1820.

Minister Prezydujący
(Podpisano) Węgleński.
Sekretarz Jeneralny,
(Podpisano) Kruszyński.

WYJĄTEK

z regulaminu dla komór celnych rosyjskich w Cesarstwie Rosyjskim i Królestwie Polskim dla handlu lądowego na granicy zachodniej ustanowionych.

Część szósta.

TYTUŁ I

O ustanowieniu komór celnych deklaracyjnych rosyjskich na granicy zewnętrznej Królestwa Polskiego, głównych rosyjskich wewnątrz tego Królestwa oraz o głównej Administracji interesów handlowych rosyjskich w Warszawie.

Dział 1.

O ustanowieniu komór celnych deklaracyjnych na zewnętrznej granicy Królestwa Polskiego.

O liczbie urzędników przy komorach celnych deklaracyjnych.

§ 587. Przy każdej z trzynastu komór celnych polskich w dołączonym wykazie B. wymienionych na granicy zewnętrznej Królestwa Polskiego, ustanawiają się komory celne deklaracyjne rosyjskie, złożone z 4 urzędników, a mianowicie:

1. Dyrektora. – 2. Kontrolera. – 3. Inspektora (Dozorcy). – 4. Kopysty i Stróża.

O podległości komór celnych deklaracyjnych.

§ 588. Rzeczony deklaracyjne komory należą do komór celnych rosyjskich trzeciej klasy, o których nadmieniono będzie poniżej w Tytule III oddziału² 1, względem podziału komór celnych, i zostają w zawiadywaniu głównej Administracji Komor Celnych i interesów handlowych rosyjskich w Warszawie.

O obowiązkach Komor deklaracyjnych.

§ 589. Na takowe komory włożone będzie sprawdzenie, czyli kontrola wszelkich towarów i płodów, ekspediujących się z Rosji przez Królestwo Polskie do krajów zagranicznych, również i tych, które przez wspomniane Królestwo do Rosji będą prowadzone, lub *transito* przez Państwo Rosyjskie do państw zagranicznych przechodzą.

O pobieraniu cła od towarów Rosyjskich wyprowadzanych.

§ 590. Gdyby się zdarzyło, iżby wyprowadzone z Rosji towary przewiezione były przez Królestwo Polskie, nie opłaciwszy na granicy rosyjskiej przypadającego do Skarbu Rosyjskiego cła wychodowego, i nie uzyskawszy na skuteczną opłatę kwitu; natenczas przy ekspedycji rzeczonych towarów z Królestwa Polskiego komory celne deklaracyjne rosyjskie pobierać będą takowe cło na rzecz Skarbu Rosyjskiego.

O informowaniu prowadzących towary o istniejących przepisach.

§ 591. Komory rzeczony obowiązane są informować i udzielać wiadomości właścicielom towarów lub ich komisantom na pierwsze

² Tj. rozdziale.

żądanie o istn[ie]jących postanowieniach wydziału celnego dotyczących; o porządku zachowywanym przy przewozie *transito*, tudzież o karach za złamanie przepisów celnych postanowionych.

O ekspediowaniu bezzwłocznym.

§ 592. Ekspedycja następować powinna bez żadnej zwłoki i uciążliwości kupiectwa, z zachowaniem szczególnych poleceń, które w tym przedmiocie wydane będą.

O monecie przy opłacie cła.

§ 593. Cło może być pobierane stosownie do życzenia właściciela towarów; albo monetą srebrną, albo asygnatami państwa podług kursu dla Cesarstwa na każdy rok oznaczonego, albo na koniec w monecie polskiej brzęczącej.

O wydawaniu ceduł (listów konwojowych) i posyłaniu awizowych listów³.

§ 594. Dyrektor i kontroler udzielają ceduły (listy konwojowej) na przeprowadzenie towarów zagranicznych przeznaczonych do Rosji, do komór głównych celnych rosyjskich w Królestwie Polskim ustanowionych, mających pobierać od takowych towarów cło wchodowe i wewnętrzne, czyli Konsumpcyjne⁴. Przy tym przesyłają do rzeczonych komór uwiadomienia (awizowe listy) o przeszłym transporcie.

O paszportach.

§ 595. Paszporta udzielane przez władze miejscowe polskie przyjmują się dla przepuszczenia na komorach deklaracyjnych, rosyjskie na komorach celnych polskich.

O przekroczeniach w Królestwie Polskim popełnionych.

§ 596. W przypadku gdyby popełnione były przekroczenia na szkodę Skarbu Cesarstwa Rosyjskiego, indagacja w sprawie i ukaranie

³ List awizowy – tu: zawiadomienie o wysłaniu towaru.

⁴ Podwójne opłaty celne – „wchodowe” na granicy, a potem opłacane wewnątrz kraju cło konsumpcyjne (w komorach konsumowanych) – miały utrudniać przemysł towarów.

przestępców uskutecznią się na żądanie urzędników rosyjskich na zasadzie praw Królestwa Polskiego.

Jak postępować z towarami zaaresztowanymi.

§ 597. Zatrzymane wskutek tego towary, jeżeli się składają z rogatego bydła, koni, itp. mają być niezwłocznie sprzedane w najbliższym mieście przez licytację publiczną na rzecz Skarbu Rosyjskiego, i stosownie do prawideł w Królestwie Polskim używanych, inne zaś konserwują się pod pieczęciami i kluczami dyrektora i kontrolera komory deklaracyjnej rosyjskiej.

O DYREKTORZE.

O podległości Urzędników.

§ 598. Pod zwierzchnością dyrektora komory celnej na granicy zewnętrznej Królestwa Polskiego zostają wszyscy inni urzędnicy.

O wiadomościach dla dyrektora nieodbicie potrzebnych.

§ 599. Dyrektor powinien wiedzieć porządek swej służby we wszystkich jej szczegółach oraz tyczące się jej prawa i postanowienia, niemniej posiadać języki: rosyjski, polski i niemiecki, oraz dawać z siebie przykład dobrej konduity i regularności w pełnieniu obowiązków swoich.

O przytomności⁵ przy rewizjach.

§ 600. Tenże winien wraz z Kontrolerem być przytomnym przy rewizji wszelkich wyprawdzanych z Rosji towarów, przechodzących przez Komorę deklaracyjną na granicy zewnętrznej, a nie posiadających kwitów z opłaconego cła wychodowego.

[...]

⁵ Tj. obecności.

Dział 11.

O głównych komorach celnych rosyjskich w Królestwie Polskim.

O głównych Komorach celnych.

§ 618. W Królestwie Polskim ustanawiają się trzy główne komory celne; jedna pierwszej klasy w Warszawie, i dwie klasy drugiej w Lublinie i w Nowym Dworze.

O towarach spławianych Bugiem.

§ 619. Na komorę główną drugiej klasy w Nowym Dworze wkłada się szczególnie ekspedycja towarów wprowadzonych i wyprowadzonych, spławianych Bugiem.

O podległości głównych komór.

§ 620. Powyższe trzy komory zostają pod bezpośrednią zwierzchnością głównej Administracji Komór Celnych Rosyjskich w Warszawie.

O poborze cła.

§ 621. Te komory pobierają cło wewnętrzne, czyli konsumpcyjne i wchodowe od wszelkich towarów i produkcji, których wprowadzenie do Rosji jest dozwolone. Też mogą równie pobierać cło wychodowe od wszelkich towarów i płodów wyprowadzanych z Rosji do krajów zagranicznych, na które podana im będzie deklaracja.

O monecie na opłatę cła.

§ 622. Cło może być opłacone stosownie do życzenia właściciela towarów albo w monecie srebrnej, lub asygnatami banku państwa, podług kursu dla Cesarstwa na każdy rok oznaczonego, lub na koniec w monecie brzączącej polskiej.

O wydawaniu kwitów.

§ 623. Komory wydają kwity z pobranej opłaty cła konsumpcyjnego, wchodowego i wychodowego na dowód wprowadzenia

i wyprowadzenia towarów i płodów na wspomnionych komorach opłaconych.

O plombowaniu collis⁶.

§ 624. Powyżej wymienione komory wraz z polskimi, każda z swej strony, plombują *collis* towarów, za które cło opłacone zostało, a które przeznaczone są do Rosji, lub za zewnętrzną granicę Królestwa Polskiego, po przybyciu zaś takowych towarów na granicę, czyli na linię kontrolową, plomby odejmują się właściwie przez urzędników rosyjskich i polskich. Plomby komór rosyjskich zdjęte z towarów odsyłają się wraz z rejestrami do Administracji głównej w Warszawie, i służyć będą za dowód rzetelności podań.

O wydawaniu ceduł (listów konwojowych).

§ 625. Też komory udzielają ceduły (*listy konwojowe*) na towary, za które cło pobrane zostało do przeprowadzenia na granicę wewnętrzną, czyli na linię kontrolową. Podobne ceduły (*listy konwojowe*) wydawane będą na rzeczne towary i przez główne komory celne polskie.

O pełnieniu obowiązków.

§ 626. Komory w wykonywaniu obowiązków swoich stosują się do istn[ie]jących przepisów i poleceń względem administracji celnej.

O opłacie cła na komorach głównych.

§ 627. Towary sprowadzone, przeznaczone do Rosji, zaraz po przybyciu swoim na rzeczne komory powinny być zadeklarowane, i cło od nich opłacone, wyłączając przypadki w § 628, 629 i 630 oznaczone.

O pozwoleniu mienia składu na komorze w Warszawie.

§ 628. Gdy z mocy najwyższego ukazania miasto Warszawa jest ogłoszone miejscem składowym, oraz gdy wszystkim kupcom rosyjskim

⁶ *Collis* – (z wł. *collis*, fr. *colis*) – paczka, skrzynka, będąca przedmiotem transportu lub wysyłki.

mającym prawo składu w Rosji, dozwolono jest korzystać z takiego prawa i w Warszawie; wskutek więc tego, pozwala się im składać na komorze Warszawskiej towary zagraniczne, przeznaczone do Rosji, i trzymać je na składzie w przeciągu terminu dla wszystkich komór głównych celnych i pierwszej klasy, o którym wymieniono będzie niżej, na pakhauzach⁷ celnych, nie opłacając za nie cła. Tym końcem ma być przeznaczony oddzielny pakhauz zostający pod wspólnym dozorem urzędników rosyjskich i polskich.

O pozwoleniu prowadzenia towarów na skład do Rosji.

§ 629. Gdyby atoli kupcy rosyjscy, mający przywilej składu i mieszkający w mieście rosyjskim, w którym jest główna komora pierwszej klasy, prowadzili przez Królestwo Polskie towary zagraniczne do Rosji w kierunku przez Warszawę, takowi mogą je składać na pakhauzach komory składowej rosyjskiej w Warszawie będącej, jak się rzekło w artykule poprzedzającym, lub prowadzić takowe towary do komory głównej w miejscu ich zamieszkania będącej, składając je tam stosownie do przepisów w tej mierze wydanych.

O towarach prowadzonych przez komory w Lublinie i Nowym Dworze.

§ 630. Gdyby kupcy rosyjscy, o których namieniono w artykule poprzedzającym, wzięli kierunek z swoimi transportami przez inne główne komory rosyjskie drugiej klasy w Królestwie Polskim położone, jako to, na Lublin i Nowy Dwór; w takim razie zostawuje się do ich woli opłacać cło od tych towarów na rzeczonych komorach lub nie; lecz w ostatnim przypadku, po skutecznieniu szczegółowej rewizji ich towarów, dany będzie rachunek należności, które do skarbu opłacić mają i zostawując im do woli uskutecznienie tej opłaty na komorze głównej rosyjskiej w miejscu ich zamieszkania będącej.

⁷ Pakhauz (z niem.) – skład, magazyn.

O wolnym przepuszczaniu towarów, od których cło na Komorach głównych opłacone zostało.

§ 631. Towary, od których opłacone zostało cło na komorach głównych w Królestwie Polskim ustanowionych przeznaczone do Rosji lub za granicę, nie mogą być rewidowane ani przez komory kontrolujące, ani deklaracyjne, na granicy zewnętrznej Królestwa Polskiego, jeżeli ilość i znaki *collis* znalezione będą w takim stanie, jak jest w cedułach oznaczono, plomby zaś na towarach w całości nieuszkodzone tak, iżby towary wyjęte być mogły.

PRZEDRUK ZA: „Urządzenia krajowe”, w dołączeniu do „Orła Białego” 1820, nr 13 z 30 marca, s. 1–17.

8. Zmiany taryf celnych. 1823

Józef Zajączek (1752–1826)

„Gazeta Warszawska” 1823, nr 1 [fragmenty]

WIADOMOŚCI KRAJOWE.

W Imieniu Najjaśniejszego

ALEKSANDRA I

Cesarza Wszech Rosji, Króla Polskiego

&c. &. &c.

KSIĄŻĘ NAMIESTNIK KRÓLEWSKI

w Radzie Stanu.

Najjaśniejszy Pan Dekretami z d. 1/12 i 16/28 sierpnia r. b., które się tu załączają, zatwierdzając nowe taryfy opłat celnych, jakie od dnia 1 stycznia 1823 r. w Królestwie Polskim pobierane być mają, upoważnić Nas raczył do wydania szczegółowych urzędzeń, jakich zmiana w systemacie handlowym zasła¹ wymaga. –

W dopełnieniu przeto woli Najwyższej, postanowiliśmy i stanowimy:

[...]

¹ „Dnia 10 x11 1821 r. Rosja zerwała traktat handlowy z Prusami, a manifest cesarza z 24 11 1822 r. ogłosił autonomię celną Królestwa Polskiego i wprowadził na granicy Cesarstwa Rosyjskiego protekcyjną taryfę celną. Ukaz carski z 28 v111 1822 r. stworzył poważny wyłom w protekcji celnej na rzecz wymiany handlowej z Królestwem Polskim. Dnia 26 x 1822 r. rząd Królestwa ogłosił nową protekcyjną taryfę celną, obowiązującą od 1 1 1823 r. Wprowadzenie tej protekcyjnej taryfy celnej jest wyrazem zwycięstwa koncepcji ministra Ksawerego Druckiego-Lubeckiego nad poglądami w tej mierze zarówno ministra spraw wewnętrznych Tadeusza A. Mostowskiego, jak i poprzednika Lubeckiego na stanowisku ministra skarbu”. Cyt. za: Andrzej Jeziński, *Handel zagraniczny Królestwa Polskiego 1815–1914*, Warszawa 1967, s. 18.

§ 13. Do poboru i kontroli dochodów celnych, i do ekspedycji towarów *transito* przez kraj przechodzących, ustanowione komory dzielić się będą na a) Komory Graniczne 1-go i 2-go rzędu, b) Komory Konsumowe², c) Komory Składowe, d) Urzędy Handel Kontrolujące.

§ 14. Komór granicznych 1-go rzędu będzie:

Na granicy od Rosji 4: w Aleksocie, w Tykocinie, w Terespolu i w Łuszkowie.

Na granicy od Austrii 4: w Tomaszowie, w Zawichoście, w Igołomii i w Krasieńcu.

Na granicy od Prus 7: w Wieruszowie, w Kaliszu, w Pyzdrach, w Słupcy, w Nieszawie, w Mławie i w Kucharskini.

§ 15. Komór granicznych 2-go rzędu będzie na teraz, na granicy od Rosji 6: w Włodawie, w Krzemieńcu, w Ciechanowcu, w Złotorzy, w Osowcu i w Łosośnie.

Na granicy od Prus 2: w Wierzbołowie i w Herbach.

§ 16. Komory konsumowe będą w miastach stołecznych województw: w Warszawie, w Kielcach, w Radomiu, w Lublinie, w Siedlcach, w Płocku, w Suwałkach i Kaliszu.

§ 17. Komora konsumowa w Warszawie będzie zarazem komorą składową.

2. Podwójne opłaty celne – „wchodowe” na granicy, a potem opłacane wewnątrz kraju cło konsumpcyjne (w komorach konsumowych) – miały utrudniać przemysł towarów oraz promować eksport. „Sama technika cienia – pisze Jeziński – została tak zorganizowana, że utrudniała import i podnosiła koszty transportu. Opłata celna podzielona została na część opłacaną na komorze granicznej, tzw. «odprawa wchodowa», i część w komorach znajdujących się w miastach wojewódzkich, tzw. «odprawa konsumowa». Dowiezienie towarów w tym celu do miast wojewódzkich podnosiło, rzecz prosta, koszty transportu. W wypadku nieuiszczenia opłaty celnej (konsumowej) w ciągu dwóch tygodni towary przyjmował skład centralny w Warszawie. Przy takiej okazji dochodziły koszty składowania i różne opłaty manipulacyjne”. Andrzej Jeziński, *Handel zagraniczny Królestwa Polskiego 1815–1914*, s. 19.

§ 18. Na traktach handlowych, które Komisja Rządowa Przychodów i Skarbu przepisze i ogłosi, zachowaną będzie dotychczasowa kontrola handlu. – Liczbę urzędów kontrolujących Komisja Rządowa Przychodów i Skarbu ustanowi.

§ 19. Wszystkie komory i przykomorki dotąd istniejące, a artykułami 14, 15 i 16 nieobjęte, z dniem 1-wszym stycznia 1823 r. ustają; ich miejsce zajmie straż graniczna, rozłożyć się mająca na całej przestrzeni granicy; jej będzie obowiązkiem przestrzegać, aby nikt bądź z towarem, bądź osobiście, tak z kraju za granicę, jako i nawzajem z zagranicy do kraju, nie inaczej, jak przez punkt, gdzie znajduje się ulokowana komora, przebywał granicę.

§ 20. Komory 1-go rzędu na granicy od Rosji położone będą ekspediować z Rosji do Polski i nawzajem, wszelkie produkta surowe i wyroby jednego z dwóch krajów opatrzone w świadectwa pochodzenia, według IV części taryfy i załączającej się tu instrukcji. – Ekspediować zaś będą za opłatą cła w części I i III taryfy oznaczonego, wszelkie przedmioty obce, taryfą do wprowadzenia lub wyprowadzenia dozwolone.

§ 21. Komory 2-go rzędu na granicy od Rosji ustanowione ekspediować będą tylko surowe produkta i bydło wykazem lit: A. i D. w IV-tej części taryfy objęte.

§ 22. Komory graniczne od strony Austrii położone, będą mogły ekspediować z Austrii do Polski wszelkie towary, wyjąwszy kolonialne.

§ 23. Komory graniczne 1-go rzędu od strony pruskiej ustanowione będą mogły ekspediować następujące towary i produkta, mianowicie:

Komora graniczna w Wieruszowie wszelkie towary pocztą przychodzące, wyjąwszy fluida³ i towary kolonialne.

Komora graniczna Kalisz wszelkie towary, wyjąwszy fluida i towary kolonialne.

Komora graniczna Pyzdry same tylko fluida i towary kolonialne. Komora graniczna Słupce, wszelkie towary, wyjąwszy fluida i towary kolonialne.

Komora graniczna Nieszawa wszelkie towary, wyjąwszy łokciowe.

Komora graniczna Mława same tylko towary łokciowe.

Komora graniczna Kucharskini wszelkie towary, wyjąwszy krótkie i łokciowe.

§ 24. Komory graniczne 2-go rzędu od ściany pruskiej położone trudnić się będą tylko ekspediowaniem towarów i produktów z Królestwa do Prus wywożonych, niemniej przepuszczaniem podróżujących w legalne paszporta opatrzonych.

§ 25. Komory graniczne 1-go rzędu trudnić się będą ekspedycjami tranzytowymi, przy zachowaniu przepisów, jakie Komisja Rządowa Przychodów i Skarbu wyda, również odbywać są mocne wszelkie ekspedycje wychodowe taryfą dozwolone.

§ 26. Ponieważ opłaty celne, jakim dozwolony do wprowadzania towar podlegać ma, dzielą się na dwie części, to jest, na cło wchodowe i konsumowe, jedynie w tym zamiarze, aby każdego z nich pobór oddzielnie ustanowiony posłużył do tym ściślejszej kontroli, przeto mieć chcemy: aby komory graniczne po odbytej ściślejszej rewizji towarów na wprowadzenie do kraju przeznaczonych, i taryfą dozwolonych, pobierały same tylko cło wchodowe, zaś ostateczna ekspedycja towarów, tak aby do wolnego użycia

³ Tj. płyny, ciecze.

właścicielowi oddane być mogły, odbędzie się na komorze konsumowej, która właściwe cło konsumowe po odbytej rewizji pobierze.
[...]

Działo się w Warszawie, na posiedzeniu Rady Administracyjnej
d. 26 Listopada 1822 r.

(podpisano) Zajączek

Minister Prezydujący w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu

(podpisano) X. X. Lubecki

Radca Sekretarz Stanu, Jenerał Brygady

(podpisano) Kossecki.

Zgodno z oryginałem:

Radca Sekretarz Stanu, Jenerał Brygady

(podpisano) Kossecki

Za zgodność:

Kruszyński.

PRZEDRUK ZA: „Gazeta Warszawska” 1823, nr 1.

9. Zmiany w prawie celnym. 1826

„Monitor Warszawski” 1826, nr 109

Obwieszczenia rządowe

Komisja województwa mazowieckiego.

Stosownie do reskryptu Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu z d. 1 b.m. i r. nro 41 608, Komisja województwa mazowieckiego podaje do wiadomości publicznej, iż Komisja Rządowa Przychodów i Skarbu, pragnąc ażeby bilans królestwa dawał rządowi pewne ile być może wiadomości w rodzaju, ilości i wartości przedmiotów do kraju wchodzących i z niego wyprowadzanych, niemniej przez kraj *transito* przewożonych, a przekonawszy się, iż raporta i wykazy, jakie dotąd za podstawę do zebrania ogólnego bilansu służyły, nie dość ważnemu celowi swemu odpowiadają, postanowiła następujące wydać rozporządzenie, które z dniem 1 października r. b. w wykonanie wejść ma.

A.) Uzupełnienie dotychczasowych deklaracji celnych:

1. Według szczególnych pozycji taryfy celnej, do oclewania niektórych artykułów służy obecnie za zasadę waga – do innych miara lub liczba. Jakkolwiek dotychczasowy podział, i nadal, pod względem wyrachowania należitości celnej, zachowany być powinien, jednakże, obok niego, potrzebna jest rządowi wiadomość o ilości towarów według prawideł powszechnie w handlu używanych. – I tak na przykład:

Wszelkie wyrobki bawełniane, wełniane, jedwabne, lniane i konopne do poboru cła są wazone, i od wagi należytość uiszczają; w handlu zaś zwykle sprzedają się na miarę.

Wyrobki metalowe, naczynia z gliny, jak fajans i porcelana, także na wagę oclewane bywają; w handlu zaś, większa część onych na sztuki, tuziny lub kopy zwykła się sprzedawać.

Papier opłaca cło od wagi, a sprzedawać się zwykł na arkusze, libry, ryzy i bele. Skóry surowe w ekspedycji celnej są ważone, a sprzedaż onych ma miejsce na sztuki, błamy i bunty.

Od dnia więc wyżej wymienionego, w deklaracjach do ekspedycji celnej podawanych, obok miary, wagi lub ilości, według zasad taryfy celnej wyrażonej i ścisłemu sprawdzaniu urzędów celnych ulegającej, ma być, dla informacji, domieszczona waga, miara, lub ilość używana przy obiegu właściwego przedmiotu w handlu.– Skutki zobowiązujących przepisów dla ekspediującego, wynikające z niezretelnego zadeklarowania towarów według zasad taryfy, nie będą dosięgać go, za mylne podanie wiadomości teraz wymagany[ch], lecz natomiast wkłada się na oficjalistów celnych szczegółową rewizją i ekspedycją dopełniający obowiązek przestrzegania, aby wiadomości te ile być może dokładnie zamieszczane były.– I tak na przykład:

Przychodzi do ekspedycji wyrobku bawełnianego funtów 30: waga ta zadeklarowana ścisłemu sprawdzeniu ulega, a znalezienie mniej lub więcej towaru ściąga na deklarującego odpowiedzialność według przepisów.–

Wiadomość niniejszym urządzeniem wymagana jest ta, aby obok wagi była podana ilość łokci wyrobu, który w handlu na miarę, a nie na wagę sprzedawany bywa. Jeżeli więc deklarujący poda, iż w powyższych 30 funtach jest 150 łok., na tym bez dalszej kwestii poprzestać należy, albowiem miara ta według doświadczenia i natury przedmiotu zbliżona jest do prawdy; przeciwnie zaś, gdyby podał łokci 30, oficjaliści celni, oceniając na oko sztuki przedmiotem rewizji będące, winni są liczbę łokci sprostować i poprawić.–

Wszakże deklarujący, unikając straty czasu, tym pewniej dokładną udzieli wiadomość, ile że takowa żadnych dla niego skutków za sobą pociągnąć nie może.

2. Nie dość jest rządowi wiedzieć o jakości i ilości przedmiotów weszłych na spożycie, wyszłych, lub do przejścia przez kraj przeznaczonych; potrzebna mu jest równie wiadomość o zbliżonej wartości onych, takiej zwłaszcza, za jaką właściciel towar posiada.

Od dnia więc wyżej oznaczonego właściciele lub prowadzący towary podawać będą w deklaracjach wartość dowolną artykułów przedmiotem ekspedycji celnej będących, a to bezwzględnie, czyli od takowych cło jakowe jest do pobrania, lub nie, według taryfy.

Ponieważ zdarzyć się może, iż prowadzący towar nie zawsze wiadomym będzie wartości przedmiotów onemu powierzonych, przeto na taki przypadek urząd celny, dopełniający szczegółową ekspedycją transportu, a zatem odbywający dokładną rewizją towarów, mający zręczność przekonania się naocznie o rodzaju i gatunku obiektu, oceniać takowy, według znanych powszechnie cen, winien będzie.

Ocenienie z urzędu będzie także wymagany w każdym przypadku, jeżeli prowadzący towar poda wartość onego widocznie nierzetelną; w takim razie oficjaliści celni, na zasadzie własnego i naocznego przekonania się, uznają przez siebie zamieszczą wartość.

3. Za ogólną regułą stanowi się, iż urzęda celne w takich tylko deklaracjach żądać mogą domieszczenia wartości, lub same one zapisywać, które obejmować będą przedmioty należące do kontroli towarów, przez każdą *respective*⁴ komorę, według poniższych przepisów, utrzymywać się powinny.

4. Dla osiągnięcia obu wyżej zamieszczonych celów druki dotychczasowych deklaracji celnych powiększone zostały właściwymi rubrykami, jako o tym przepisany wzór przekonywa. – Tytuł każdej rubryki jasno wskazuje, co w niej zapisać należy.

Podług tego wzoru wygotowane będą deklaracje tak do ekspedycji zwyczajnych jako też do prowadzonych za biletami remisowymi⁵, w których to ostatnich dopisywać należy pod tytułem

⁴ *Respective* (z łac.) – tu: odpowiednią.

⁵ Prawo remisowe był to stary przywilej dla ważniejszych importerów, polegający na tym, że towary należące do kupców uprzywilejowanych nie były kontrolowane na granicach, lecz w tzw. komorach „remisowych”, gdzie deklarowano towary zbywane

„Deklaracja” słowa „za biletem remisowym z dnia N. miesiąca N. numeru N. Jmć Panu N. wydanym”.

Przepisane, urządzeniem w roku bieżącym wydanym, deklaracje przy przeprowadzaniu bydła rosyjskiego przez Polskę do innych krajów bez żadnej zmiany nadal zachowują się, i w takowych, w miejscu próżnym między wierszem 15 i 16, obok ilości i rodzaju bydła wartość onego zapisywaną być ma.

B.) Kontrola towarów.

5. W miejscu dotychczasowych wykazów sumarycznych, których podawanie na przyszłość, i to od dnia 1 października r. b. znosi się wszystkie komory graniczne i komory konsumowe, w szczególności zaś ich naczelnicy, lub gdzie tych nie ma, pisarze, obowiązani będą utrzymywać podług wskazanego wzoru kontrolę ekspediovanych towarów, do których z właściwych deklaracji zaraz po odbytej ekspedycji zaciągać powinni przez szczegóły ekspediovane obiektu. 6. Kontrole te w ogólności dzielić się będą: na

- a) Kontrolę wchodową.
- b) Kontrolę wychodową.
- c) Kontrolę tranzytową.

Każda zaś z tych kontrol utrzymywaną być ma, podług położenia komory i służących jej atrybucji w osobnych ksiązkach co do każdej ściany granicznej, to jest Rosji, Austrii, Prus, i wolnego Okręgu Krakowskiego, jak to wskażą bliżej następujące szczegółowe przepisy, które zarazem i sam sposób prowadzenia tychże kontrol obejmują.

PRZEDRUK ZA: „Monitor Warszawski” 1826, nr 109.

w kraju i przewożone tranzytem. Od 1823 roku poważnie ograniczono liczbę korzystających z niego kupców. Zob. Andrzej Jezierski, *Handel zagraniczny Królestwa Polskiego 1815–1914*, Warszawa 1967, s. 22.

10. Dochody graniczne. 1831
„Tygodnik Petersburski” 1831, nr 33

[fragment]

Od 1823 do 1831 wszystkie dochody celne wyniosły ogółem 474,256,108 r. 8 i 1/2 kop.– Przewaga handlu była na stronę Rosji i wyniosła 259,248,148 r.

Złota i srebra (za odtrąceniem wywozu) przywieziono na 108,608,410 r.

PRZEDRUK ZA: „Tygodnik Petersburski” 1831, nr 33 z 5 maja, s. 236.

11. Rosyjska „doktryna graniczna”. 1834

Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)

Pamiętnik. Dziennik pobytu za granicą 1833–1834 [fragmenty]

Odwiedziłem i druga ziomkę moją panią Włodzimierzową Potocką, z domu Sanguszkową¹, osobę rzadkich prawdziwie cnót, rozsądku i roztropności. Powróciła niedawno z Podola, ileż pytań ode mnie. Ile odpowiedzi ważnych, ciekawych od osoby, która tak trafnie wszystko widzieć i sądzić może. Skreślę tu pokrótce treść stanu dzisiejszego Polaków i okrutnego planu Moskali względem wytępienia prawdziwie całej istności narodu naszego.

Gubernator Wołyński, człowiek szczerzy i światły, rzekła mi, tak mi się otwarcie tłumaczył. Nie powinnaś się pani dziwić, że każdy patriota ruski powodzenie, trwałość i wielkość kraju swego ma zawsze na pierwszym względzie. Mocarstwo nasze niezmierne zewsząd mające niedostępne granice, z jednej tylko strony może być napadnięte, to jest od Polski. Słusznym jest między nami mniemaniem, stwierdzonym przez tyle dawnych i nowych wypadków, że póki by Polska istniała, Rosja nigdy spokojną ani pewną siebie być nie może. Polacy zapomnieć nie mogą dawnego swego znaczenia, niepodległości; wychowanie wasze całkiem do tego dąży. Nie mówią dzieciom, jak o dawnej sławie Polaków i krzywdach od Moskali, o powinności odwetu i poświęcaniu wszystkiego, by dawną niepodległość odzyskać. Pokolenia wasze wierne są tej nauce. Nie ma zdarzenia, żebyście się na otrzymanie dobra tego nie porywali; jesteście zdolni do wszystkiego, bitni; w ostatnich nawet zapasach niezgody i zazdrości między wodzami, wyuzdana młodzieży waszej próżność, zuchwałe zarozumienie, te jedne sprawiły, żeście nie dopięli celu waszego. Mamyż czekać, aż się u was Napoleon jaki

¹ Tekla z Sanguszków Potocka (1786–1869).

urodzi i poprowadzi was nad Dniepr i Dźwinę. Nie, aż nadto przekonani jesteśmy, iż zniszczyć trzeba wasz naród, wykorzenić wiarę, mowę waszą, i to dziś czynimy. Znosimy wasze kościoły, zakazujemy języka, za to wychowanie dajemy moskiewskie. Już przyszłe pokolenie zapomni o Polsce i moskiewskim stanie się. Nie dziw się, Pani, przydał, gdybyś się urodziła Moskiewką, tak byś myślała.

PRZEDRUK ZA: Julian Ursyn Niemcewicz, *Pamiętnik. Dziennik pobytu za granicą*, t. 11: 1833–1834, Poznań 1877, s. 415–416.

12. Wydawanie dezertarów i zbiegów. 1844

„Kurier Warszawski” 1844, nr 199

Porozumienie rosyjsko-pruskie [fragmenty]

Z BOŻEJ ŁASKI

MY MIKOŁAJ PIERWSZY

Cesarz i Samowładca Wszech Rosji Król Polski, etc.

Objawiamy niniejszym, że gdy w skutku wzajemnego porozumienia między Nami i N. Królem Pruskim, obustronni Pełnomocnicy Nasi zawarli i podpisali w Berlinie 8 (20) maja 1844 roku, Konwencją względem wzajemnego wydawania dezertów i zbiegów, która to Konwencja co do słowa brzmi następnie:

[...]

Art. 1. Niniejsza Konwencja¹ mająca być wykonaną w 4-ry tygodnie po wymianie ratyfikacji, ściągać się ma: a) do wszystkich tych, co zbiegną ze służby czynnej któregokolwiek z obustronnych wojsk oraz i do rzeczy wojskowych, jakie by unieśli z sobą, mianowicie: koni i ich rekwizytów, broni, ubioru; podobnież i do tych, którzy otrzymawszy uwolnienie pod tym jedynie warunkiem, iż na pierwsze powołanie stawiają się do służby czynnej, już z tego względu należą do rezerwy; b) do wszystkich tych, którzy według praw mocarstwa, które opuścili z zamiarem lub bez zamiaru wrócenia, są obowiązani chociażby do późniejszej służby wojskowej; c) do tych, którzy popełniwszy zbrodnie w jednym z 2-ch mocarstw, zbiegli do drugiego, w celu uchronienia się od poszukiwań sprawiedliwości i zasłużonej kary. Jeżeli osoby wzmiankowane w poprzedzającym artykule, pod literą a, schwytanymi będą w mundurze, jeżeli przy nich znalezione zostaną inne rzeczy należące do ryszpunku

¹ Była to złagodzona (na wniosek Prus) wersja konwencji kartelowej o wydawaniu zbiegłych żołnierzy, obowiązującej w latach 1816–1842. W roku 1843, gdy trwały negocjacje, żadna umowa nie obowiązywała.

wojskowego, czyli w ogólności, jeżeli nie ulega wątpieniu, że są zbiegami z służby wojskowej drugiego mocarstwa, wówczas będą natychmiast i bez poprzedniego dopomnienia się mocarstwa tego przytrzymani i odprowadzeni z znalezionymi przy nich rzeczami wojskowymi do granicy rozdzielającej oba państwa, dla wydania ich władzom właściwym, do odbioru ich przeznaczonym. Co do osób, których zbiegostwo nie jest jawnym, ale staje się wiaropodobnym, w skutku ich własnych oświadczeń albo szczególnych okoliczności, władze wojskowe lub cywil., powziąwszy wiadomość o miejscu ich pobytu, przedsięwzmą natychmiast potrzebne środki ku zapobieżeniu ich ucieczce. Rozkazą następnie spisać z nich wywód słowny i zakomunikują go władzom wojskowym prowincjonal[nym] 2-go mocarstwa, które wówczas wyrzekną, czyli obwiniony zbiegł istotnie lub nie; po czym, gdy się okaże zbiegłym, wydanym im będzie jak wyżej wzmiankowano; Osoby wymienione w artykule pod lit. *b.* nie będą przytrzymane i wydane, tylko na wyraźne żądanie, które w każdym szczególnym przypadku uczynią właściwe państwa, do którego też osoby należą. Art. 3. Wydanie ludzi, o których mowa pod literami *a b* artykułu 1-go nie nastąpi wszelako, jeżeli ci przed udaniem się w kraj, z którego na ostatku zbiegli albo w nim służbę przyjęli, byli poddani mocarstwa, do którego się schronili w chwili zbiegostwa, i jeżeli stosunki, w których się z tego względu znajdują, nie były zniesione podług form prawami tegoż mocarstwa przepisanych. Ale w takim nawet przypadku, tak konie jako i rzeczy wojskowe, jakie by ci w czasie zbiegostwa unieśli z sobą, oddanymi będą. Podobnież jeżeli zbieg, należący do 2-ch klas powyższych, stał się winnym jakowego wykroczenia w kraju, do którego schronił się, wydanie jego będzie odmówionym, tak długo, dopóki nie wycierpi kary wskazanej prawami tegoż państwa.

[...]

Art. 10. Stacje pograniczne dotąd przeznaczone do wydawania i przyjmowania ciągłego zbiegów i innych osób, nadal też same zachowują przeznaczenie, dopokąd właściwe władze nie ułożą

między sobą zmian w tym przedmiocie. Urzędnicy, obowiązani odbierać w takowych miejscach wydane sobie osoby, mianowani będą przez władze wojsk. lub cywil., odpowiednie władzom 2-go kraju, a to stosownie jak wspomnieni urzędnicy należeć będą do wojsk[owego] lub cywil[nego] stanu. [...]

PRZEDRUK ZA: „Kurier Warszawski” 1844, nr 199 z 28 lipca.

Graniczne uciążliwości



13. Skutki blokady kontynentalnej. 1811

Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)

Pamiętniki 1811–1820 [fragment]

Rok 1811

Palenia towarów angielskich ciągną się jeszcze po całej (prócz Anglii) Europie. Więcej na tym tracą sprzymierzeńcy Napoleona niż Anglia. Od nowego zajęcia części Niemiec, ulegania i pochlebstwa dla Moskwy z strony Francji powiększyły się, ile można. Napoleon, pozwalając Moskwie trapić wszelkimi sposobami biedne nasze Księstwo,¹ zyskuje od nich w nadgodę takie postępowanie, jakiego tylko żąda.

Dziś okropny los zadany jest handlowi naszemu przez nowe Moskwy urządzenia. Skasowała ona wszystkie komory od Księstwa, tak że nic do niej towarów naszych przechodzić nie może, otworzyła je tylko od strony austriackiej i pruskiej; widoczny w tym króla pruskiego podstęp, który przez to rękodzieła nasze wielkopolskie zniszczyć, i do siebie przeprowadzić usiłuje. Bocznymi chyba, i tajemnymi krokami, cios tak ciężki zmniejszyć się może, otwarcie nikt się za nami ujmie, nikt go nie sprostuje.

PRZEDRUK ZA: *Pamiętniki Juliana Ursyna Niemcewicza 1811–1820*, t. 1 (1811–1813), Poznań 1871, s. 247.

¹ Księstwo Warszawskie, utworzone na mocy traktatu w Tylży (1807).

14. Nad granicą Wolnego Miasta Krakowa. 1825

Kazimierz Girtler (1804–1887)

Opowiadania. Pamiętniki z lat 1803–1857 [fragmenty]

Cóż bo to była za łatwość, nawet z strony paszportowej; kto ino był w Krakowie w Księdze Ludności zapisany¹, udawał się do wójta swej gminy, brał kartkę, którą okazywał w policji, i natychmiast otrzymywał paszport. Nie było potrzeba protekcji, iżby go najpóźniejszy człowiek w jednej nie miał godzinie. W policji osobnego paszportowego biura nie było, ale tylko oddzielny urzędnik, ten wszystkiemu podołał, bo podejrzliwości, sprawdzań, szperań nie było. Kosztowała ta sztuka 10 gr, a jak się poszło Gąsiorowskiemu 2 zł, to w pięć minut paszport był gotów. Dawano paszporty roczne do częstego przejazdu, dawano na czas krócej oznaczony. Taki paszport dawało się do wizy konsulowi tego z trzech protegujących Kraków monarchy², do którego krajów podróż była zamierzona. Bezwarunkowo udzielano takową wizę, nie było wyłączeń, formalności kością w gardle stawających, jakie to później, a zwłaszcza po 1831 r. nastąpiły dla jadących w Królestwo Polskie; nie wymagano wtedy osobistego tłumaczenia się, po co, na co, dlaczego kto jedzie, dość było posłać kancelaryjną opłatę, w konsulacie pobieraną, a na poczekaniu paszport był gotowy. Od mego ojca, ode mnie nie żądano tej taksy, po stosunkach kuzynostwa, zażyłości.

Na komorze na Baranie³ podpisano wjazd lub wyjazd z kraju i na tym był koniec. Był do ekspedycji towarów i zadeklarowanych

¹ Kazimierz Girtler urodził się w Krakowie jako syn rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego Sebastiana Girtlera; tamże ukończył prawo, a potem z woli ojca zajął się gospodarowaniem w dzierzawionych majątkach.

² Wolne Miasto Kraków utworzono na kongresie wiedeńskim w 1815 roku pod protektorem trzech państw zaborczych. Do 1833 cieszyło się niewielką autonomią, od 1836 pod austriacką okupacją, zakończoną całkowitą aneksją w 1846.

³ Baran, miejscowość graniczna Wolnego Miasta Krakowa, gdzie mieściła się komora celna, położona 10 km od centrum Krakowa.

przedmiotów kontroler, do rewizji dwóch strażników. Była straż kozacka do strzeżenia granicy, pod komendą oficera; ta straż do rewizji zupełnie nie należała, ale tylko przemycaczy chywała, a sama najlepiej przemyciała. Kozak przywiózł na miejsce jaki bądź potrzebny towar, a szwarcownika łąpał, czasem chłopci zasadzali się na kozaków i nocą na koniach wiozących worki z towarem chwyтали. Kozacy nie bez wiedzy oficera robili podobne wycieczki, każdy miał swój udział, a dywidenda nieźle musiała wypadać, kiedy kozak, postawszy przez rok na komorze, miał 100, 200 i więcej rubli srebrem w sakwie. Toteż to rzemiosło prawdziwie kozackie, zgodne ze sprytem tych dzieci stepu. Oficerowie panoszyli się, a tak cicho, że na nim nic znać nie było, że porasta, i w tym rozum delikatny.

[...]

Józef Zapalski, z którym od dawna bliżej żyłem, często u mnie w Łyszkowicach⁴ bywał, on lubił książki czytać, a lubo tylko romanse, to przecież zawsze coś świeżego z sobą przywiózł i po polowaniu, po przejażdżce bawiliśmy się w czytanie. Łatwość przebywania granicy podawała sposobność widywania się częstego, byle chęć była po temu, siadłszy na koń, skoczyło się przez granicę tak dobrze za paszportem, jak i bez niego. Nieraz z Węgrzynowic⁵ śmignął Zapalski do mnie przez Głęboką, Pietrzejowice, Biórków⁶, spotkał kozaka, to dziesiątka obstała za paszport, w kieszenie też nie zaglądano, o książki nie pytano, prawdziwie „zbożny czas” – Boże lato na świecie mieliśmy.

PRZEDRUK ZA: Kazimierz Girtler, *Opowiadania. Pamiętniki z lat 1803–1857*, przedmowa i wybór tekstu Zbigniew Jabłoński, opracowanie tekstu i przypisy Zbigniew Jabłoński i Jan Staszek, Kraków 1971, t. 1: 1803–1831, s. 340–341, 349–350.

⁴ Łyszkowice – wieś w Małopolsce, położona wówczas na terenie Królestwa Kongresowego, ok. 3 km od granicy Wolnego Miasta Krakowa. Girtler dzierżawił ją w latach 1825–1831.

⁵ Węgrzynowice – wieś w Małopolsce w obrębie Wolnego Miasta Krakowa.

⁶ Głęboka, Pietrzejowice, Biórków – wsie przygraniczne; Biórków leżał już w Królestwie Kongresowym, pozostałe dwie na terenie Wolnego Miasta Krakowa.

15. Na kwarantannie w Strzałkowie. 1831

Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)

Dziennik pobytu za granicą 1831–1832 [fragmenty]

Pędząc z pospiechem¹, o dziewiątej wieczór stanąłem w Słupcach, ostatnim granicznym miasteczku, biednego dzisiejszego Królestwa Polskiego.

Granica ta jest o ćwierć mili we wsi Strzałkowie, gdzie wprzód była komora². Obrócono ją dzisiaj na dom kwarantanny³. Wszystko tam nosi cechę półsennego pospiechu. Komora ta podzielona na dwie części, w przodku są ci, co już kończą kwarantannę. W jednym z pawilonów ci, co już są w połowie onej, w drugim, co ostatni przybyli. Nie dojeżdżając, przed pierwszym szlabanem stały dwie bryki z worami bawełny przybliżające się do nas. Tu je zastanowiono, pozrucano paki jedne po drugiej i przerzucono je na naszą stronę, gdzie inne bryki i inne konie zabrały je.

O godzinie piątej w towarzystwie życzliwego i przyjaznego p. Łaszczyńskiego przybyłem do domu oczyszczenia. Kapitan

1 Niemcewicz 12 lipca 1831 roku opuścił Warszawę, udając się z misją dyplomatyczną powstańczego rządu do Londynu.

2 Przed powstaniem w Strzałkowie mieściła się poza komorą celną pierwsza stacja pocztowa Księstwa Poznańskiego w Królestwie Pruskim. Wiódł tędy trakt pocztowy z Warszawy do Poznania przez Łowicz, Kutno, Konin, Słupcę.

3 Dziewiątego maja 1831 roku Komisja wojewódzka w Kaliszu informowała Rząd Narodowy: „rząd pruski unikając, aby się choroba cholera morbus do kraju jego nie wcisnęła, granicę swoją z dniem 2 maja r. b. zamknął jak najściślej... Mają być tylko ustawione dwa punkta od strony województwa kaliskiego, tj. w Podzamczu naprzeciwko komory Wieruszów i w Strzałkowie naprzeciwko Słupcy, gdzie mają być zaprowadzone quarantanny, przez które za wysiedzeniem przepisanego czasu wchodzić do Prus będzie można; lecz tylko piechotą, pod żadnym bowiem pozorem ani konie, ani też wszelkie inne rzeczy wpuszczane nie będą. Tak dalece, że pocztą nadsyłane paki i grubsze listy, pieniądze i tym podobne rzeczy nie są wpuszczane, a nawet mieszkańcom, którzy po lewym brzegu Proсны posiadają swe grunta i pastwiska, przechodzić nie pozwalają” (cyt. za: Janusz Staszewski, *Kaliszko-poznańskie pogranicze 1831 r.*, „Ziemia Kaliska” 1930, nr 8–9, s. 251).

Salubin, który ćwierć mili chodził po mnie aż do szlabanu pierwszego, przyjął mnie w świątynce swojej za małym szlabankiem. Obok niego stał mały piecyk z fajerką u spodu podsypaną trocinami, na wierzchu miednica z octem. Kapitan wziął kleszczykami paszport mój, położył go nad dymem ofiarnym, jął go potem czytać i sprawdzać zgrzybiałe rysy twarzy mojej. Kazał potem przynieść papiery i pieniądze, pierwsze obkadził, drugie wysypawszy w miskę z octem, wyplukał. Obrządki te już się prawie kończyły, gdy z boku za wałem postrzegłem po drodze wciąż cwałującą ku nam figurkę w czarnym krótkim ceratowym płaszczku. Mefistofeles Goethego, ów sławny diabełek, tak zupełnie musiał wyglądać. Był to doktor miejscowy, mogący mieć lat 23, lecz już od lat trzech doktoryzowany. Poprowadził mnie nareszcie kapitan w obręb obozu kwarantanny. Był on cały otoczony wałem i rowem, nadto przecięty poprzecznymi wałami i fosami. Umieścił mnie w domu najodleglejszym przy lewej bramie zbudowanym dla tych, którzy w rzeczy samej zachorowali na cholere. Był to z gliny i słomy ulepiony dom, po każdej stronie mający izbę ośm kroków długą i szeroką z mniejszym w tyle pokojem dla służącego. Lubo odosobniony, obszerniej mieszkałem jak ci, co po kilku w jednej tłoczą się izbie.

Należy tu powiedzieć, jakim sposobem: gdy kwarantanna już była zapelnioną, ja do niej dostać się nie mogłem, sprawiła to uprzejmość obywatelska nieznanego mi nawet ziomka p. Łaszczyńskiego, mieszkającego niedaleko Słupca. Ten dowiedziawszy się o moim przybyciu, zaraz u naczelnika komory tutejszej otrzymał mi wyborną stancję, a nazajutrz, gdy dano znać, że dopiero za sześć dni będę mógł być wpuszczonym, sam znajomy zwierzchnościom tamecznym, pojechał z rana do Strzałkowa i póty Niemców męczył, aż mi wyjednał pozwolenie przyjechania natychmiast na kwarantannę. Odprawdzili *primates*⁴ Słupców aż do granicy, pożegnałem ich pełen najszczerzej za ich grzeczność wdzięczności. W Słupcy dowiedziałem się z gazet o śmierci w. Kniazia

⁴ *Primates* (łac.) – naczelni; tu: zwierzchnicy.

w Witebsku d. 27 czerwca po dziesięciodniowej chorobie⁵. Gdzie indziej dłużej o nim.

D. 14 lipca. Wybrałem się jak młody trzpiot bez pościeli, bez żadnych porządków⁶, mniemając że prędko dostawszy się za granicę, wszystkiego dostanę. – Dziś widzę się w pustej izbie. – Ileż zachodów, zanim zniesiono łóżeczko wąskie, dwa stołki, malarzki stolik, miskę, szklankę, karafkę, imbryczek aż z opodal sprowadzać musiano. Nie zważałem niewygód, pókim był młody, lecz w późnej starości niedostatek ich żywo dokucza. Szczęściem że dobry p. Łaszczyński pożyczył mi pościeli, co było prawdziwym dobrodziejstwem. Domek mój był w czystym polu, bez najmniejszego drzewa ni cieniu, położony na półku grochem zasianym. Pozwolono mi atoli chodzić naprzeciw do tych, którzy jednego dnia ze mną przybyli. [...] W ogóle było nas 88 osób, a jeszcze 28 czeka. W Słupcy opodal na polu stoją dwie koszary dla Moskali, uszłych z pojmania naszego, których Prusacy podtuczywszy, ubierają, uzbrajają i na powrót do szeregów moskiewskich odsyłają. Mają oni wyjść wkrótce, a na ich miejsce Poznańcy i inni tu sobie schronienia szukający stanąć mają.

15 lipca. W takiej ciżbie, z takimi ostrożnościami nieprzybliżenia się, z tak małą posługą, niczego za pieniądze nawet nasze doprosić się nie można. Obiad pierwszego dnia mi przyniesiono o czwartej. Wzięto suknie i pościel moją do kadzenia.

[...]

17 lipca. Deszcz i zimno nadzwyczajne w tej porze roku. Taż sama niewygoda, zdzierstwo i niemożność dostania za pieniądze najmniejszej rzeczy, aż o trzy mile sprowadzą. Dostałem kompana do mieszkania mego, niejakięgo Tranickiego Moskala, syna popa, dość uczonego

⁵ Wielki książę Konstanty Pawłowicz Romanow (1779–1831), namiestnik cesarza Rosji w Królestwie Polskim; po wybuchu powstania wyjechał z rosyjskim korpusem do Rosji.

⁶ Porządki – tu w znaczeniu sprzętów, naczyń itp.

instytutora⁷ Pawełka, syna naturalnego w. ks. Konstantego⁸. Zabity Moskal co do nienawiści ku nam. Ileż anegdot nie dowiedziałem się od niego o domowym życiu w. księcia. Wszystkie malują okrutny, dziwaczny, niepojęty charakter kniazia tego. Obok tych okropnych własności miał on jednak zalety; dobry mąż, pan dla domowników najlepszy, któren służył u niego, nie zapomniał go nigdy.

18 i 19 lipca. [...]

Trzech Niemców rzemieślników będących z nami na kwarantannie, że się upili, hałasowali, wysłano za polską granicę. – Dziś kilka osób skończyło kwarantannę i wyjechało, między tymi jest Mycielski⁹, pani Krasicka itd. Niezrozumiane, nielogiczne zaszło rozporządzenie względem mnie i p. Tranickiego, przeniesiono nas w inny dom, nasz bowiem na kwarantannę dla chorych, na szpital jest przeznaczonym. Tu mieliśmy wolność odwiedzania tych, którzy razem z nami przybyli i używałem wolności tej przez pięć dni; nie wiem dlaczego odjęto mi ten przywilej i wsadzono razem z tymi, którzy dziś dopiero przybyli. Osobliwsza logika! niebezpieczno jest widzieć tych, którzy przez pięć dni nie dali żadnego znaku słabości, a nie masz niebezpieczeństwa umieścić z tymi, którzy dopiero przybyli i o których stanie zdrowia nic nie wiemy. Czczym będzie dziennik zamkniętych, opasanych wałami. Przybył Wincenty Wodziński, pani Gomycka z Krusiłowa, ładna, mało mówiąca, Iwan Jakowicz doktor, Moskal, ale świątły i doręczny człowiek. Nie ma

⁷ Tj. nauczyciela.

⁸ Naturalnym synem księcia Konstantego ze związku z Francuzką Josephine Friedrichs von Weissow (z d. Mercier) był Paweł Konstantynowicz Aleksandrow (1808–1857). Nazwisko otrzymał po ojcu chrzestnym Aleksandrze I. Obrął karierę wojskową i uczestniczył w tłumieniu powstania listopadowego.

⁹ Teodor Mycielski (1804–1874) – właściciel Chocieszewic, uczestnik powstania listopadowego, później działacz narodowy w Wielkopolsce. Przez granicę do Prus przejechał po Niemcewiczu, a ponieważ Chocieszewice leżały w pobliżu Śmiełowa, gdzie w sierpniu przebywał Mickiewicz, zapewne przywiezione przezeń najświeższe wiadomości rozeszły się wówczas po sąsiadach i dotarły do poety, planującego nielegalnie przekroczyć Prosnę. Zob. Jarosław Maciejewski, *Mickiewicza wielkopolskie drogi. Rekonstrukcje i refleksje*, Poznań 1972, s. 165–166.

on tej dumy, tego szalonego patriotyzmu, który ślepy m czyni na rozsądek i słuszność.

Wstajemy rano, chodzimy po maleńkim podwórzu, patrząc raz ku stronie, gdzie za parkanem siedzą koledzy nasi, drugi raz gdzie poczta i każdy odgłos trąbki zapowiada przybycie innego nowego jeńca. Raz ich ze dwadzieścia kobiet i mężczyzn przyjechało, chroniąc się przed okropną kozaków napaścią. Niestety! Są już na lewym brzegu Wisły, zabierając i przejmując poczty, napadając domy. Rozbili pod Kołem powstańców, czyli straż naszą bezpieczeństwa, lecz tak samo straż zachęcona przez dawnego wojskowego Czarneckiego zebrała się, uderzyła natychmiast na kozaków i odbiła kilku obywateli już na stryczkach wiedzionych. Pozbawieni listów, dzienników, wszelkich z Warszawą komunikacji w srogiej niespokojności włączemy długie godziny. Niemcy złe nam tylko podają wiadomości. Z gazet dowiedzieliśmy się, że w Petersburgu cholera okropnie grasuje, po 500 osób na dzień umiera; jest to zemsta niebios za tyle klęsk ludzkości zadanych.

[...]

1 sierpnia. Przez półczwarta¹⁰ ostatnie dni miesiąca lipca mieliśmy ciągle deszcze, czasem ulewy z zimnymi połączone wiatrami. Co za czas dla biednych wojsk naszych, co za męka dla nas nic o swoich nie wiedzieć. Już od ośmiu dni jesteśmy w zupełnej niewiadomości, co się tam z naszymi dzieje. Bieg poczt przerwany, z pogranicznych Słupców wszyscy z komory i rządowi oddalili się do Kalisza dla bezpieczeństwa, poczta stamtąd nie przychodzi i ja obiecanych papierów nie odbieram. Siedzieć więc w małej ciupce, dla deszczu wyjść nie móc, wszystko to czyni życie prawdziwie utrapionym. Boże litościwy, pociesz nas!

2 sierpnia. Ku wieczorowi rozeszła się wiadomość że ci, co na zajutrz wyjść mieli z kwarantanny, już dziś wyruszyć mogli. Nie

¹⁰ Tj. trzy i pół.

pojmwaliśmy, co pośpiechu tego mogło być przyczyną, czy nacisk na granicę tych, co naokoło tylko o dziesięć mil się znajdują, czyli od kozaków już się chronią, czy co innego – wszystko to bowiem tajemnicą. Listy 26 lipca z Warszawy dają najlepsze nadzieje.

Wyjechałem i ja nazajutrz po długich ceremoniach na poczcie. Drogi wszędzie zalane wodami, urodzaje¹¹ ucierpiały na tym, żyto porosło. Żniwa w samej sile, kraj otwarty. We Wrześni doszły mnie oczekiwane papiery. W Środzie, jednym z najdawniejszych miasteczek w Polsce, już mówiono o wszczętej tam cholery, Winiarz Laskowski zaprosił mnie do siebie i przez patriotyzm utraktował starym winem. Dla kordonu od cholery krążąc wszędzie, na noc niezmiernymi piaskami zajechałem do Rogalina. Tam przeniesiony z Aten kościół Minerwy, pałac wspaniały, wszystko porządne. Co tam za dęby! Jaka gościnność!

PRZEDRUK ZA: Julian Ursyn Niemcewicz, *Pamiętniki Juliana Ursyna Niemcewicza. Dziennik pobytu za granicą*, t. I: 1831–1832, Poznań 1876, s. 7–14.

¹¹ Tj. plony.

16. Za Tomaszowem przed szlabanem. 1832

Jan Aśnikowski (1797 lub 1798 lub 1800–1849)

Karczma na granicy austriackiej, czyli Podróż z Warszawy. Komedioopera w 2 aktach [fragment]

AKT PIERWSZY

(Teatr wystawia wolną okolicę, po lewej stronie karczma, w głębi szlaban¹)

SCENA 1

PLAUDERTASZE²

(sam)

Dziś byłem dzionek dla mnie nie bardzo dogodna,
Gdyby tak zawsze było... chodziłbym spać głodna.
Was deiwel?...³ co to znaczy?... już jest długa pora
Jak żadna Polska kupca nie był na komora?...
Immer die kuryeren mit seine sztafeten!⁴...
Oder⁵ wielkie Panowie, jeżdżą swym karetem!...

1 Akcja sztuki napisanej przez aktora Jana Aśnikowskiego, grającego wówczas w Lublinie, dzieje się za Tomaszowem, na granicy austriackiej. W przewodniku z 1821 roku czytamy: „Tomaszów – małe miasteczko; punkt pograniczny i Komora Królestwa Polskiego. Wielka fabryka farfurów i porcelany oraz dobra dosyć oberża; ma także wielki handel wiśniaku, maliniaku i miodu” (zob. [Józef W. Krasiński], *Przewodnik dla podróżujących w Polsce i Rzeczpospolitą Krakowską*, Warszawa 1821, s. 88). – Karczma znajdowała się na terenie pomiędzy granicą Królestwa a austriacką komorą celną. Główny bohater, Hipolit – wraz ze swym sługą Tulipanem – spieszy do Sokala w zaborze austriackim, do chorego stryja, który ma ogłosić testament oraz zaprezentować mu wybraną dlań narzeczoną.

2 Plaudertasze (niem., właśc. *Plaudertasche*) – gaduła, gadulski. Bohater noszący to imię jest austriackim urzędnikiem celnym, słabo mówiącym po polsku, ale i po niemiecku z błędami; na urzędy do Galicji często posyłano przedstawicieli innych nacji wchodzących w skład monarchii Habsburgów, jak np. Czechów, Słowaków itd.

3 Was deiwel (niem.) – ki diabeł?

4 Zawsze tylko kurierzy ze swoimi sztafetami (niepoprawny niem. ze spolszczeniami pisowni „kuryeren” i „sztafeten”)

5 Oder (niem.) – albo.

Donner und wetter⁶... o źle!, Ja nie lubiem Pany
 Bo oni strażnikowi nie dadzą kubany⁷...
 Ja kochałem die Juden... żydków cała banda,
 Oni często przemycuj różna kontrabanda.
 Ho!, wtenczas od strażnika aż do Einemera⁸,
 Cała nasza Komora in die tasze⁹ zbiera!...
 Aj, aj, świat się popsulem immer schlechte ceite¹⁰,
 Ten co się gestern¹¹ śmiałem, musi płakać heite¹²,
 Ach gott!¹³ dawniej pijałem mioda, wina kupa
 Jadłem Zając... Spritzkuchen¹⁴ (z płaczem) A dziś Waserzupa!¹⁵

ŚPIEWKA (na notę¹⁶ *pyk, pyk, pyk*)

Zmienił się gance¹⁷ natura,
 Przewrócił się gance welt¹⁸
 Dawniej u lada figura
 Był w kieszeni... geld, geld, geld¹⁹.

Dzisiaj fanfarony nasze
 Z wierzchu alles szeyn und gut²⁰
 Włoży rękę in die tasze
 Cóż tam znajdzie?... fiut, fiut, fiut²¹.

6 Donner und wetter (z niem. *Donnerwetter*) – do pioruna, psiakrew!

7 Kuban – ówczesne określenie łapówki.

8 Tj. naczelnika.

9 In die tasze (z niem. *in die Tasche*) – w kieszeń.

10 Immer schlechte ceite (z niem. *Immer schlechte Zeit*) – zawsze zły czas.

11 Gestern (niem.) – wczoraj.

12 Właśc. heute (niem.) – dzisiaj.

13 Gott (niem.) Boże.

14 Spritzkuchen (niem.) – pączki.

15 Właśc. *Wassersuppe* (niem.) – wodzianka, zupa z wody gorącej, masła i bułek.

16 Tj. nutę.

17 Ganze (niem.) – cały, cała.

18 Welt (niem.) – świat.

19 Geld (niem.) – pieniądze.

20 Alles szeyn und gut (z niem. *alles schön und gut*) – wszystko pięknie i dobrze.

21 Fiut, fiu – wyraz oznaczający, że coś prędko uciekło, zginęło.

Dawniej niejeden gagatek
Miał dobra, chociaż był fryc,
Dziś jak zapłaci podatek,
Cóż zostanie?... nic, nic, nic.

Słońce już zachodziłem... otóż i wieczora.
Gut nacht meine²² obrywki²³ przekłeta komora.

SCENA II

PLAUDERTASZE, HIPOLIT i TULIPAN

TULIPAN

(za sceną)

Tpru! hola! stańże, nie śpij woźnico przekłety
Wytrzeszcz ślepie, nie widzisz, że szlaban zamknięty?

PLAUDERTASZE

Oho! was ist das? werda?²⁴ *(patrzy za kulisy)*
Immer die Panowie.

TULIPAN

(za sceną)

Otworzyć!

PLAUDERTASZE

(zły)

Nein, nic z tego.

HIPOLIT i TULIPAN

(wchodzą)

²² Gut nacht meine ... (niem.) – dobranoc moje...

²³ Tu: dochody poboczne.

²⁴ Was ist das? werda? (niem.) – Co to jest? Stój, kto idzie?

TULIPAN

Ten mciompan nam powie
Dlaczego nie otwiera tych swoich rogatek!

PLAUDERTASZE

W nocy nie przepuściłem.

TULIPAN

Oto mi gagatek!

HIPOLIT

Mam pilny interes.

PLAUDERTASZE

A mnie co do tego!

TULIPAN

Jedziemy w konkury.

PLAUDERTASZE.²

Nie ma nic pilnego.

HIPOLIT

Otwórz... rewiduj, puszczaj, jadę w ważnej sprawie.

TULIPAN

Otwieraj... bo musimy nocować dziś w Rawie²⁵.

HIPOLIT

Bądź tak dobry.

²⁵ Rawa leżała już za austriacką granicą.

TULIPAN

Zmiłuj się.

HIPOLIT

Jutro pod Sokalem

Koniecznie stanąć muszę.

PLAUDERTASZE

Ja nic nie słuchałem

TULIPAN

(na stronie)

Bodajżeś całkiem ogłuchł!

HIPOLIT

(do Tulipana)

Ja mu kark nakręcę

TULIPAN

*(cicho)*A fe!... to wiolencya²⁶... fe!... przy sobie ręce.

HIPOLIT

Długoż ja czekać będę?...

PLAUDERTASZE

Nie ma Einemera.

TULIPAN

*(z cicha)*Rozumiem... pakuj mu pan w łapę cwancygiera²⁷.

Wnet mu się słuch przywróci, i będzie grzeczniejszy...

²⁶ Tj. gwałt.

²⁷ Cwancygier – moneta austriacka o nominalie dwudziestu grajcarów.

HIPOLIT

(dobywa)

A więc jest na to sposób?...

TULIPAN

Sposób najpewniejszy!

Znamy się już od dawna z tymi Ichmościami

Któryż to w świecie celnik wzgardzi kubanami?

HIPOLIT

(do Plaudertasze)

Proszę przyjąć...

PLAUDERTASZE

(bierze z grzecznościami)

Was ist das?...

TULIPAN

Was ist das? nic mein herr²⁸ ...

Jest to coś okrągłego... niby to... cwancygier.

PLAUDERTASZE

Gleich, gleich²⁹, moi panowie... teraz zrozumiałem.Idę po Einemera... trochę zaczekałem. *(odchodzi)*

SCENA III

HIPOLIT i TULIPAN

HIPOLIT

Czy słyszane to rzeczy by za wszystko płacić?

²⁸ Mein herr (niem.) – mój panie.

²⁹ Gleich, gleich (niem.) – zaraz, zaraz.

TULIPAN

Z czegoż by ci panowie mogli się bogacić?...
Drań łyka kiedy mogą...

HIPOLIT

To chyba w tym kraju!

TULIPAN

Aksydensa³⁰ we wszystkich krajach są w zwyczaju.

ŚPIEWKA

Ten co służy Kościołowi,
To z kościoła pewno żyje;
Dziesięciny proboszczowi,
Organiście za Requie.

Tak też panowie celnicy
Każdy osobno pobiera:
Miedź zabierają strażnicy,
A srebro do Einemera.

Byłem na pruskiej granicy
Tam komory zwolennicy
Od katolików i żydków
Żądają talarów, dydków;

U nas zaś inna maniera
Strażnik gdy szlaban otwiera,
Kubań mu jest rzecz obrzydłą...
Ale klucz... chce smarowidła.

³⁰ Aksydens – dochód postronny, często nieprawy.

Lecz czyż tylko na komorze
Akcydens rulować może,
Každy stan go ma... a przecie
Chce, by to było w sekrecie,

Ale sekret nic nie nada
Na akcydens czyha zdrada
Czynność nie prosta, lecz krzywa
Wyjdzie na wierzch jak oliwa.

PRZEDRUK ZA: *Karczma na granicy austriackiej, czyli Podróż z Warszawy*, komedio-opera we dwóch aktach, oryginalnie napisana wierszem przez J. Aśnikowskiego, w Lublinie nakładem autora, 1832, s. 1–7.

17. Przeciw paszportom i granicom. 1833

Adam Mickiewicz (1798–1855)

O dążeniu ludów Europy [fragment]

Kiedy po rewolucji lipcowej¹ wybuchły w różnych stronach zamieszania, lud wszędzie rzucił się naprzód na domy celne, na urzędy pograniczne, na biura paszportów. Nie pochodziła ta napaść, jak myślą niektórzy, z zemsty za zdzierstwa celników, bo celnicy najczęściej naprzykrzają się kupcom i podróżującym, którzy niewiele w rewolucjach działają; pochodziła z przeczucia większej i rozleglejszej reformy. Lud czuł instynktem, iż te cła i granice są wbrew, przeciwne dążeniu teraźniejszemu. W istocie, może być co haniebniejszego nad ów stary przesąd, iż linia pociągniona palcem królów skroś kraju jednego, często wśród miasta, ma rozdzielać mieszkańców, krewnych nawet, na krajowców i cudzoziemców, na naturalnych nieprzyjaciół! Przyszło do tego, że każdy Europejczyk przynoszący się z miejsca na miejsce nie tylko traci wszelkie prawa polityczne i cywilne, ale z góry jakby podejrzany o złodziejstwo, musi opatrywać się w rysopisy i świadectwa. Zwyczaj odurzył wielu ludzi, skądinąd uczciwych, wielu pojąć nie może, jak w Ameryce, w Anglii nawet bez podobnych ścieśnień obejść się można.

PRZEDRUK ZA: Adam Mickiewicz, *O dążeniu ludów Europy*, „Pielgrzym Polski” z 24 kwietnia 1833, przedruk za: *Dzieła*, t. VI, Wydanie rocznicowe 1798–1998, Warszawa 2000, s. 249–250.

¹ Francuska rewolucja trwała od 27 do 30 lipca 1830 roku i wyniosła na tron Ludwika Filipa I Orleańskiego, zmuszając do abdykacji Karola X, który ograniczał wolność ludu na rzecz arystokracji. Ruch we Francji był impulsem do rewolucji belgijskiej i powstania listopadowego.

18. Komora na Podgórzu. 1843

Ludwik Pietrusiński (1803–1865)

Podróż z Krakowa do Wiednia [fragmenty]

Pożegnaliśmy się na moście dzielącym krainę krakowską¹ od Galicji austriackiej. Most drewniany, łyżwowy, następcą kamiennego, którego [!] Wisła r. 1813 olbrzymimi zgruchotała falami. Dziś Wisła tak niepokązna.

Na drugim końcu mostu Podgórze. Czarne dwugłowe orły austriackie, podpisywanie paszportów i rewizja rzeczy na komorze.

Mundur wojska austriackiego biały; kolor rządowy żółto-czarny; język administracyjny niemiecki. Obwieszczenia poprzyklepiane w językach niemieckim i polskim. Z gazet znalazłem „Wiedeńską” (niemiecką) i „Lwowską” (polską)². Edykta, cytacje i dekreta sądowe, jak za dawnych czasów, po łacinie. Zresztą, aż do rzeki Ostrowicy na Szlązku, wszyscy mówią po polsku.

Podgórze słusznie nosi to nazwisko. Ciągnie się nad samą Wisłą, pod szeregiem Krzemionek, które są przednią strażą Karpat.

Któż nie zna Twardowskiego i jego Krzemionek?³

Sto kroków; i weszliśmy na nie.

Jakże piękny widok przedstawił się oczom!

¹ Tj. Wolne Miasto Kraków.

² „Wiener Zeitung” – austriacki dziennik istniejący od początku XVIII wieku. Został założony w 1703 roku, jako „Wienerisches Diarium”. „Wiener Zeitung” jest więc jedną z najstarszych dziś istniejących gazet na świecie. Od roku 1780 „WD” został nazwany „Wiener Zeitung” („Gazeta Wiedeńska”), a ta w 1812 została oficjalną gazetą rządową. „Gazeta Lwowska” – dziennik wydawany w latach 1810–1939, w czasach zaborów jako organ władz austriackich.

³ Wg legendy mieściła się tam pracownia alchemiczna Twardowskiego. W 1825 roku Jan Nepomucen Kamiński napisał dla teatru lwowskiego sztukę *Twardowski na Krzemionkach. Krotoczwila czarodziejska we 3-ach aktach z powieści gminnej*.

U nóg naszych pstre domki Podgórze, przez które jak biała wstęga, ciągnie się gościniec cesarski na wschód do Wieliczki i Lwowa; na zachód do Wiednia.

Za nim przez całą długość obrazu jasno błyszczący łuk, ku nam wypukły. Jest to Wisła, płynąca od góry ś. Bronisławy. Oto kąpie stopy Zwierzyńca⁴ i Zamku; oto dzieli się pod Zamkiem na starą i nową Wisłę; tu obejmuje swymi ramiony izraelski Kazimierz⁵ ze Skalką⁶, a tam daleko za miastem, po połączeniu obu ramion, użyźnia ogrodowe okolice Mogiły, zdobne kopcem Wandy.

Najpiękniejszym punktem tego krajobrazu jest bezspornie sam Zamek, jedyne wzgórze⁷ na całe miasto i kilkomiłowe okolice.

[...]

Wiek XIX zastał Podgórze w posiadaniu Austriaków. Po kampanii z roku 1809 przyłączono je z połową Wieliczki do Księstwa Warszawskiego. Przez traktat wiedeński z r. 1815 Podgórze znowu wróciło do Galicji austriackiej i należy do obwodu bocheńskiego. Było wolnym miastem handlowym, jak Brody. Ostatnimi laty przeniosła się komora austriacka do samego mostu.

PRZEDRUK ZA: Ludwik Pietrusiński, *Podróż z Krakowa do Wiednia*, w teoz: *Podróże, przejazdk i przechadzki po Europie*, t. I, Warszawa 1843, s. 1–4.

⁴ Klasztor przed przedmieściem Smoleńsko [przyp. autora].

⁵ Przedmieście Krakowa na wyspie [przyp. autora].

⁶ Klasztor na tymże przedmieściu, sławny męczeństwem ś. Stanisława, biskupa krakowskiego [przyp. autora].

⁷ Tj. Wawel.

19. Kłopoty z wizą. 1845
Ludwik Pietrusiński (1803–1865)

Przelot z Krakowa na szczyt Łomnicki
w Tatrach [fragmenty]

Wprawdzie nie o 2-giej do dnia; ale o 6-tej z rana zatrąbił pocztylion mój na moście wiodącym do Podgórza. „Halt! halt!”¹ odezwał się głoś na drugim końcu mostu i rozpoczęła się tam zaraz anatomia tłumoka i kuferka mojego. Nadaremnie ścisnąłem strażników za ręce, aby mi szybką jazdą dozwolili wynagrodzić, com stracił był na czasie. Musieli poznać, żem zakochany, i że z niecierpliwości o mało ze skóry nie wyskoczę; bo dla zdrowia i ochłody zbyt nie bijącego łona, dla oblania go *à la Prissnitz*² wodą lodową, wycedził jeden przez zęby, że jeszcze jest za rano do podpisywania paszportów, a drugi, wstrzymując się gwałtem od ziewania, raczył mi oświadczyć, że gdy paszport mój przez Konsula właściwego nie jest jeszcze wizowany, więc wypada, abym się na powrót do Krakowa pofatygował.

„Jak to nie wizowany?” zapytałem... i zagryzłszy wargi zawołałem: „Janie!” głosem podobnym do tego, którym Juliusz Cezar krzyknął był niegdyś: *Et tu, Brute, contra me*?³

Pokazało się rzeczywiście, że poczciwy Jan, zamiast u dwóch konsulów, dał wizować paszport tylko u jednego; bo mu się zdało, że Tatry leżą za granicą pruską.

[...]

Jeszcze nie było wpół do 8-mej, a już po raz drugi pocztylion wytrąbił wjazd mój do cesarstwa austriackiego. „Przecież mię drugi raz rewidować nie będą!” – pomyślałem. Omyliłem się i przez

¹ *Halt!* (niem.) – stój!

² Nawiązanie do metod hydroterapii propagowanych przez Vincenza Priessnitza (1799–1851). W polszczyźnie od jego nazwiska pochodzi słowo przysznic.

³ *Et tu, Brute, contra me?* (łac.) – I ty, Brutusie, przeciwko mnie?

kwadrans czekania na *entrée*⁴ do Galicji przypatrywałem się z mostu Wiśle, która tu chociaż nierównie węższa, wspanialej się przedstawia niż pod Warszawą, bo brzegi ma śliczne, drzewiaste, alejowe, i nie tworzy wysp piaszczystych w samym środku.

Jedno pociągnięcie pióra Napoleona w Schönbrunnie sprawiło było⁵, iż Podgórze i pół Wieliczki przez lat 5⁶ należały do Krakowa, do Księstwa Warszawskiego. Był jeszcze wówczas murowany most na Wiśle. Batalia pod Lipskiem⁷ strąciła Napoleona z tronu. Upadło z nią niemało ludów i tronów. Jeszcze na 2 miesiące przed nią, most krakowski⁸ poleciał sobie ku Gdańsku. Z powodzi kongresu wiedeńskiego wypłynął neutralny Kraków z 20-to milowym swym okręgiem, zabłysły naprzeciw niego komory i przykomórki na lewym brzegu Wisły: w Broszkowicach, Spytkowicach, Pasiece, Tyńcu, Rybakach⁹ i na Podgórzu. Powoli, powoli straż graniczna (*Gränzwache*) utworzyła jedną, straż dochodów skarbowych (*Gefällenwache*) utworzyła drugą zaporę. Komory z Borku i Prokocimia¹⁰ przeniosły się do samego Podgórza, nad sam most; a sądy składane z urzędników prawniczych i skarbowych¹¹ zaczęły sędzić defraudacje i defraudantów¹².

PRZEDRUK ZA: Ludwik Pietrusiński, *Podróże, przejazdki i przechadzki po Europie*, t. IV: *Wspomnienia z Wenecyi, kolei żelaznej lipnicko-wiedeńskiej, Wiednia, Karpat Wadowickich, Frankfurtu nad Menem i przelotu z Krakowa do Tatr spiskich*, t. 11, Warszawa 1845, s. 97–101.

4 *Entrée* (fr.) – wejście.

5 Traktat pokoju z 14 października 1809 [przyp. autora].

6 Do kongresu wiedeńskiego i traktatu z 3 maja 1815 [przyp. autora].

7 19 października 1813 [przyp. autora].

8 W sierpniu 1813 [przyp. autora]. – Było to podczas wielkiej powodzi.

9 Naprzeciw samej góry Zamkowej [przyp. autora].

10 Wsi o milę i pół mili za Podgórzem, w Galicji [przyp. autora].

11 *Gefällen – Gerichte*. [przyp. autora].

12 Tak ówczesnie określano przemyt i przemytników.

20. Komora w Michałowicach. 1847–1848

Kazimierz Girtler (1804–1887)

Opowiadania. Pamiętniki z lat 1803–1857 [fragmenty]

Ile razy wyjeżdżałem do Polski¹, zamykałem sobie język na kłódkę, aby się z czym nie wyrwać. O czym głośno mówiono w Krakowie, tu zaś należało być niemy.

Na komorze w Michałowicach² był naczelnikiem Zaleski, stary napoleoński wojskowy, kawaler Legii Honorowej, a był to człek uczciwy, pilnujący swych przepisów, ale również – jak wszyscy z owej epoki – lubiący coś bijącego w oczy, dla sławy. Więc co z Francji, to dobre. Polak prawy, choć wiernie służył monarsze, nic mu to nie przeszkadzało, iż żył nadzieją, że jeszcze doczeka Polski, bez której jego zdaniem pokój w Europie utrzymać się nie mógł, i lada wojna mogła spowodować jej wskrzeszenie. Jakoby odmłodził, jakby się narodził, tak się cieszył nowinami z Francji. A tak mu zawsze były drobne, niedostateczne; mówiący mu je byli czegoś dla niego skąpi, że nigdy sytym nie był. Jemu potrzeba było koniecznie wiedzieć, że będzie mógł położyć głowę w swojej ojczyźnie, i to takiej, za jaką krew w pocziwych przelewał nadziejach. Skoro znał kogo za dobrego człowieka, to zwykle – niuchnąwszy tabaki – brał w kąt na słówko lub pod pozorem przechadzki wychodził za komorę szosą, a tam przejeżdżającego zatrzymywał. I tego, gdy wysiadł, zagadywał, brał w obroty – idąc, ciągle rozpytywał. Tak ze mną bywało. Co tydzień prawie przejeżdżałem, a skoro

1 Mieszkańcy innych zaborów (pruskiego, austriackiego i rosyjskich „ziem zabranych”) Polską nazywali utworzone po kongresie wiedeńskim Królestwo Kongresowe, które po powstaniu listopadowym utraciło konstytucję i ograniczoną samodzielność na rzecz Rosji, jednak do końca zwano je potocznie Kongresówką lub Królestwem Polskim.

2 Michałowice, 11 km od centrum Krakowa, wówczas na terenie Królestwa Polskiego. Na granicy Michałowic (Komora) i Bibic znajdowała się komora celna i posterunki graniczne oddzielające zabór rosyjski od austriackiego. Funkcjonowała ona od połowy lat 30., wcześniej znajdowała się w pobliskich Wilczkowicach.

tylko rewizją odbyto, stary szedł naprzód, brał mnie pod rękę i macerował do ostatniej kropli. Jego sąd o zdarzeniach bardzo bywał trafny, umiarkowany, a wnioski zawsze do jednego zmierzały celu: „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Było też tam jeszcze paru urzędników do składu należących, uczciwych ludzi. Zresztą nie trzeba było szastać ufnością, czas był taki, że mówiono: „Mury uszy mają”.

Jako zupełne przeciwieństwo rysu Zaleskiego można tu postawić jego antagonistę Markowa. Ten Markow z urzędu był intendentem komory, to jest dozorcą, aby wszystko szło według przepisów, aby żadne nadużycia miejsca nie miały. Nie mógł wprost rozporządzać naczelnikiem, ale mógł różne wyrządzać mu psikusy, co się też trafiało, tak że ten temu odwetowywał. Markow, mały, krępy, fertyczny, wyelegantowany – miał podobno drugi urząd, którego nominacją przez wzgląd na siebie samego musiał ukrywać tak przeźornie, jak bystro poglądał na drugich. Widząc ten pan, że Zaleski tak lubi czepiać się mnie, skoro przejeżdżam, musiał sobie uroić w głowie, że ja przewożę nowinki, a może i pisma miewam z sobą, aby ich udzielać. Nareszcie Bóg to raczy wiedzieć, co on o mnie sobie wymarzył, dość że skoro tylko przed komorą stanąłem – choć go ani widno było – wnet skądś się zjawił, chodził po kancelarii, z ukosa spoglądał, parę razy nawet – choć już moją bryczkę i z tłumokiem rewidowano – kazał powtórnie przetrząść, co mu wolno było z urzędu; a zawsze było to plunąć w oczy Zaleskiemu.

Raz dął wiatr silny; kazał dywanik, którym siedzenie było nakryte, położyć na bruku i nań wykładać moje rzeczy: osobno poduszkę, kołdrę, a wszystko macać, miąć, trząść, czy zaś nie ma czego wewnątrz. Małą toaletkę kazał mi sobie otworzyć i drobiazgi opatrzył, w sukniach podszewki i kieszenie zrewidować, a nawet furmana obmacać. A że miałem we wazonie dużym jakąś plantę³, i tą oglądał, a ja mówię do mego Łukasza: „Wyciąg z ziemi, bo tam może co być”. Spojrzył zyza, ale się nie odezwał, koło mnie tylko

³ Tj. roślinę.

szukać nie kazał i nie byłby też nic znalazł – jako i nigdy – bo byłbym chyba szalonym wdawać się w jakiegokolwiek – a dopieroż polityczne – defraudacje⁴.

Był on dozorcą od tego, iżby komora nie robiła malwersacji, za łapówkę towarów nie przepuszczała, i pilnował nieźle, bo sam za to kradł za wszystkich, golec, niedługim czasem okrył się, zbyt kował, grał, jak każdy podobny jemu, *male parta*⁵. Jeżeli są w ludziach instynkta pociągające, tu był między nami oboma – odpychający. Czuł ten gałgan, że ja nim gardzę, bo za cóż i kto mógł mieć dla niego szacunek. Toteż lękałem się, aby lada chwila nie nabawił mnie niewinnie kłopotu, bo cóż nie zrobi taki zły duch, jak on był. Łamałem się całą siłą, aby być dla niego grzecznym i on się silił wzajemnie. Miał on też nad komorą niejako policyjną kontrolę. Mógł sobie być zacnym Rosjaninem, ale czymże na zaufanie zasługiwał, podłąc się złodziejstwem na rozległą stopę, to kał, smród, to plugastwo, resztę o nim potem dopowiem. Byłem więc aż nazbyt przezornym, aby się nie wygadywać z tym, co wiedziałem, bo nawet służący po domach szpiegowali panów. [...]

Z powodu nieprzewidzianych wydarzeń politycznych, a jednak mogących nastąpić, ułożyłem się z Janowskimi, iż na przypadek utrudnionej – a co gorsza, jak już przepowiadano – zupełnie przeciętej między nami komunikacji, listownie pocztą znosić się będziemy co do moich interesów kalińskich, które Edward jakby swe własne podjął się kierować; a należało się spodziewać, że co do Kaliny⁶ wkrótce zajdzie jakowaś decyzja Komisji Skarbu. [...].

Zaspokoiwszy się z tej strony, odebrałem list z Jaksic przez ową Jaguskę, dziewczkę, co to przez granicę chodziła, iż wznaczonym dniu będzie w Michałowicach na komorze Edward i chce się ze mną widzieć, na co spodziewa się, że mu pozwoli, bo już wielkie

4 Tj. przemyt.

5 *Male parta male dilabuntur* (przysł. łac.) – źle nabyte nie bywa dobrze pożyte.

6 Kazimierz i Eleonora Girtlerowie starali się o dzierżawę leżącej w Królestwie Polskim Kaliny Małej pod Miechowem (około 35 km od Krakowa), w której potem gospodarowali w latach 1849–1884.

zaprowadzono ostrożności. Nadzieje nas zawiodły, bo ja stawiałem się na dniu i godzinie oznaczanej. Zbliżyć się jednak do komory nie mogłem, bo na samej granicy, która na staję poniżej przechodzi, pikietka kozacka ostrzegęła, aby się nie przybliżać, chyba iż kto ma paszport. A któż go mieć mógł, kiedy go nikomu nie dawano? Trwało takie postępowanie od połowy marca do lipca. Szosa trawą zarastała i zaledwie że kilku Żydów, handlarzy zboża, wyrobili sobie w Warszawie pozwolenie do przejeżdżania komory za handlem i ci też robili dobre interesa. Doniósł mi potem Edward, że skoro powiedział przed Markowem, iż chce się ze mną widzieć, ani mu się zbliżyć do roгатki nie dał, bo on wtedy odebrał rozkaz utrzymania granicy w zupełnej niedostępności, iżby nikt bez jego wiedzy przesuwać się nie zdołał; dano mu oddział kozaków w pomoc i tymi strażę po granicy obsadzał, sam pilnując wykonywania swych poleceń.

Biedny naczelnik Zaleski wnet wyleciał z posady, wysadzony przez niego; dano mu przecieź spokojny urząd inny. Tak też wypadł rewizor roгатkowy, Zieliński, poczciwy człowiek, który, urzędując w mieście Łodzi, zmarł tam niedawno (1862 r.). Cała zresztą zgraja, co Markow w górę splunął – łapali, co na ziemię – zlizali. Tak było z bardzo małym wyjątkiem, czemu się też nie dziwić. I samego Markowa należy mieć za niewinnego, gdyż jakie odbierał rozkazy od rządu, takie ślepo wypełniał, wymagając posłuszeństwa od podwładnych. Otrzymawszy takowe od Edwarda zawiadomienie, na długo zrezygnowałem z projektu wyjeżdżania do komory na Michałowice, za to rozpoczęliśmy sobie pocztą korespondencję z moją siostrą, gdyż Edward wolałby Żyda zabić, jak list pisać. A cóż to za obfitość była przedmiotów do pisania, taka ciżba wiadomości, coraz to niespodzianych nowości, że gazeciarze nierychło takiej doczekają dla siebie gratki.

PRZEDRUK ZA: Kazimierz Girtler, *Opowiadania. Pamiętniki z lat 1803–1857*, przedmowa i wybór tekstu Zbigniew Jabłoński, opracowanie tekstu i przypisy Zbigniew Jabłoński i Jan Staszal, Kraków 1971, t. II: 1832–1857, s. 258–259.

21. Bezduszni pogranicznicy z Michałowic. 1850

Maria z Morów Kietlińska (1843–1927)

Wspomnienia [fragmenty]

Widziałam wiele dzieci spłakanych, trzymających na ręku swoje psy i koty, uratowane z pożogi¹. Dowiedziałam się, że nikt w domu naszym oka nie zmrudył. W okropnym upale, mimo wczesnego ranka, wzięto się do polewania prędko schnących dachów gontowych i do wynoszenia cenniejszych rzeczy do piwnicy. Gorzał już kościół Dominikanów, ul. Stolarska i południowa połącz Małego Rynku. Nagle usłyszałam podniesiony głos mojego kochanego i łagodnego zawsze ojca: „A łotry! A łajdaki! Niech ich Bóg skarże za to!” Złorzeczeniom tym wtórowały i inne głosy. Powodem rozgoryczenia była wiadomość, że pociąg z kilkoma oddziałami sławnej straży pożarnej, który wysłała Warszawa, został zatrzymany przez Austriaków w granicy Szczakowa i zawrócić musiał z powrotem!!... Niecny i podły ten postępek władzy oburzył całą ludność do najwyższego stopnia. Na plantach zakotłowało się, powiększył się lament, ludziska padali na kolana wzywając na Austriaków pomsty Bożej...

W nieszczęsnym tym roku było dużo młodzieży z Kongresówki w zakładach naukowych w Krakowie, więc gdy rozeszła się wieść o strasznym pożarze, wiele osób, zaniepokojonych losem swych dzieci lub krewnych, zjechało się na granicznych komorach, w nadziei, że wobec żywiołowej katastrofy Moskale nie będą robili trudności w przebyciu granicy bez paszportów. Jakże się biedni pomylili! Na Michałowicach² siedział satrapa bez serca, głuchy na prośby i błagania płaczących matek, które patrzeć musiały na pożogę z góry Michałowickiej. Między tymi była także

¹ Mowa o wielkim pożarze Krakowa, który wybuchł 18 lipca 1850 roku i trwał kilka dni, pochłaniając ok. 10% zabudowy miasta.

² Michałowice – wieś w pow. miechowskim, komora graniczna między Galicją a Królestwem Polskim. Zob. też tekst nr 20.

siostra ojca mojego, Józefa Kucieńska, z Miechowskiego, mająca syna i staruszkę – matkę męża w Krakowie. Zrozpaczone kobiety na klęczkach błagały o pozwolenie przejazdu, lecz nadaremnie. Wtedy ciotka Kucieńska powzięła szczęśliwy zamiar. Za wsią Michałowice posiadała mały folwark zwany Sołtystwem; tam niby dla odpoczynku zaprosiła wszystkie panie, a doczekawszy się nocy, zorganizowała pieszą wyprawę w kilku mniejszych grupach, pod przewodnictwem przemysłowców, ludzi pewnych, o których wówczas nie było trudno. Przed północą wyruszone ku Krakowowi bocznymi ścieżkami, kryjąc się chwilami po zaroślach i wąwozach, i udało się wszystkim, mimo czujności moskiewskich obieszczyków³, dostać do Węgrzec⁴, punktu zbornego na terenie austriackim. Tu w jasności strasznej łuny szły szosą, mimo znużenia przyspieszając kroku, pędzone wewnętrznym niepokojem i żalem. Pamiętam, jak wczesnym rankiem przysła do nas ciotka Kucieńska, w podartych trzewikach i wystrzępionej sukni, rozczochrana i brudna od częstego kładzenia się na ziemi i przysiadania pod krzakami przy pojawieniu się straży granicznej. Matka jej męża, sędziwa pani Dinot de Vignenil mieszkająca przy Małym Rynku, vis-à-vis palącej się połaci tegoż, wraz z wnukiem gdzieś się zapodziała, więc znowu lament i płacz. Szczęście, że odnaleziono zgubę u kogoś znajomego, w bezpiecznym schronieniu, a p. Dinot, oprócz popękanych z żaru szyb, znalazła za powrotem mieszkanie w porządku, co zawdzięczała opiece właściciela domu prof. Kantego Kowalikowskiego⁵.

PRZEDRUK ZA: Maria Kietlińska, *Wspomnienia*, opracowała Irena Homola-Skąpska, Kraków 1986, s. 69–71.

³ Obieszczyk (z ros.) – konny strażnik patrolujący odcinek granicy.

⁴ Węgrzce – wieś w pow. krakowskim, ponad 4 km na południe od Michałowic i 8 km od centrum Krakowa.

⁵ Jan Kanty Kowalikowski (1833–1893) – profesor seminarium.

22. Komora na Baranie. 1851

Kazimierz Girtler (1804–1887)

Opowiadania. Pamiętniki z lat 1803–1857 [fragmenty]

Julian był parę dni u nas, pierwszy raz w Kalinie; przez komorę Baran¹ jako znajomego go puszczono.

Zwierzchnikiem komory celnej na Baranie był pan Konstanty Stamirowski, prawy i zacny urzędnik. Trochę skrupulat, ale że mu serca nie brakowało, więc obowiązki godził z ludzkością i uprzejmością, a żonę miał piękną osobę, niezmiernie towarzyską, wesołą i zabawy lubiącą. Skorośmy z nimi zrobili znajomość u Tańskich w Dojazdowie, to ile razy chcieliśmy się przedostać do Krakowa lub do Krzesławic² – o ile tylko dało się to zrobić bez obrazy prawa – miewaliśmy po temu wszelkie ułatwienie. Jakoś też tej jesieni nastąpiła zmiana i komory celne, co dotąd do zarządu polskiego należały, poszły pod zarząd ogólny celny całego cesarstwa rosyjskiego³. Wszystko się zmieniło – i ustawy, i ludzie.

Rządzący komorą jakiś Dymsza, Litwin z rodu, bez ogłady, jedynie na urządzie wymoderowany, odebrał zwierzchnictwo, a Stamirowski poszedł pod niego. Ciągłe powstały między nimi zajścia i starcia nie urzędowe, ale prywatne. Były to starcia cywilizacji z gburostwem. Ów Dymsza ożenił się potem z siostrą swej gospodyni, która służyła w kawiarni w Krakowie, stąd niemiłe spotkania z tą panią dla obywatelstwa jadącego przez komorę i różne sceny. W miejsce strażników polskich odtąd stanęła po granicy straż wojskowa graniczna rosyjska. Zrazu było ciasno, ani się przesunąć bez

1 Baran koło Kocmyrzowa, około 15 km od centrum Krakowa.

2 Krzesławice – dawna wieś nad rzeką Dłubnią, wchodzi w obręb Krakowa.

3 Rosyjską straż graniczną w miejsce polskiej wprowadzono ukazem cara Mikołaja I z 5/17 listopada 1850 roku. W ten sposób zniesiono jeden z ostatnich elementów autonomii Królestwa Polskiego, włączając je do rosyjskiego obszaru celnego.

turbacji, a teraz przestrono⁴, jak to zwykle bywa. Za terazniejszego zarządu ostro form przestrzegają, ale z resztą idzie rozmaicie.

[...]

Chcąc było zyskać paszport z Krakowa do Polski (bo z Polski za granicę nikomu go nie dawano), to potrzeba było udowodnić zamiar podróży. I tak ja składałem za każdy raz świadectwo naczelnika powiatu, że tu mam dwunastoletnią dziewczę dobr rządowych, dalej, że tu spokojnie się zachowuję i jedynie właściwym zajmuję powołaniem. Dopieroż w Krakowie dawał do paszportu kartę komisarz dystryktu, jak dla mnie mogińskiego, bo tam byłem w księgach ludności zapisanym. Z tym świadectwem udać się dopiero należało osobiście lub przez dobrze znaną i położoną osobę, od niego szedł paszport do Gubernium, a te go posyłało do Wiednia, do ambasady rosyjskiej po wizę, która to wiza na dwa tylko przejazdy służyła, chociaż paszport był roczny i to do częstego przejazdu wydany. Skoro paszport wrócił z Wiednia, Gubernium odsyłało go komisarzowi dystryktu właściwego, a ten doręczał go interesantowi nie inaczej jak za urzędowym pokwitowaniem i podpisaniem odbioru.

Na tym nie koniec, bo chcąc za tym paszportem wyjechać, należało jeszcze iść do generała mieszkającego na Stradomiu, który go podpisał, kazał dać pieczęć i trzeba było zaraz wyjeżdżać, bo ta wiza generała komenderującego ograniczała czas wyjazdu do 24 godzin. Zostałeś, żądasz nowej jego wizy, tłumacz się wprzód, czemuś nie wyjechał, czyś zachorował, czy ci koń okulał! Wyjechałeś szczęśliwie, toś jeszcze przemyślał, czy komora cię puści, bo i ta miewała arbitralne polecenia i umocnienia. Za takim tylko jeneralskim pozwoleniem wyjeżdżało się za rogatki, wjeżdżając zaś, odbierano paszport na rogatce. Otóż taki miluchny taniec paszportowy corocznie odbywałem. Podpierali mię w zabiegach o to p. Piotr Michalczewski, czasem Tański lub Julek Kirchmayer, a i tak cała ta ceremonia co najkrócej trwała dwa miesiące!

⁴ Tj. przestronnie.

Dziwić że się więc, że brat do brata przekradał się przez granicę, lub dziwić się, żeśmy się wizytą żandarmów zafrasowali. My sami doznawaliśmy wielkiej dogodności na Baranie, tam znani byliśmy wszystkim, wiedzieli też, że w Krakowie znają nas wszyscy i że tam nikt nas o paszport nie zapyta. Więc zwykle jadąc przez Baran, zostawialiśmy tam paszport, który nie wizowano, a my jechaliśmy niby tylko do Krzesławic. Stamtąd dawano nam koni, wyprawiając je też na dzień umówiony przed nas na Baran i znowu do Krakowa; a na rogatce wjeżdżając, gdy widziano znane konie krzesławskie, to nas o paszport nie pytano lub skoro zapytano, odpowiadało się, że z Krzesławic. Na komorze wracając odbieraliśmy paszport niepodpisywany, więc jakby nieużywany, a zatem dwie wizy dane w Wiedniu, przy takiej oszczędności, mogły dla formy wystarczyć nam na cały rok. Ale nie każdemu tak się udawało. Tak to trudno uniknąć wykrętów, gdy prostą drogą iść nie można. Duszony za garło musi szukać oddechu. Gdybyż te ostrożności tyczyły ludzi podejrzanych, ludzi, co każdej gotowi służyć rewolucji lub którzy by jakimis̄ czynami dowiedli umysłu niespokojnego – toćby owe obostrzenia wyrozumieć się dały, ale dręczyć wszystkich, wskazywać na szykany, to było okrucieństwem.

PRZEDRUK ZA: Kazimierz Girtler, *Opowiadania. Pamiętniki z lat 1803–1857*, przedmowa i wybór tekstu Zbigniew Jabłoński, opracowanie tekstu i przypisy Zbigniew Jabłoński i Jan Staszek, Kraków 1971, t. 11: 1832–1857, s. 315, 322.

23. Złośliwy urzędnik na stacji w Maczkach. 1856

Bibianna Moraczewska (1811–1887)

Dziennik [fragment]

W Częstochowie stanęliśmy późno wieczorem i nazajutrz oddaliśmy się całe nabożeństwu.

Wyjechałyśmy z Częstochowy drugiego dnia o północy i nad ranem stanęliśmy na ostatniej stacji przy granicy krakowskiej Maczki¹. Tutaj urzędnik moskiewski, który wizował paszporta, tym tylko zaraz wizował, którzy mu łapówkę dawali. To się działo tak bezwstydnie, iż trzymał po prostu dłoń otwartą. Myśmy mu nic nie dały i pewnie więcej tak zrobiło, dość że kilkadziesiąt osób umyślnie jakby za karę nie wyekspediował. Kolej austriacka odeszła i czekałyśmy na następującą godzin 8.

PRZEDRUK ZA: *Dziennik Bibianny Moraczewskiej*, wydany z oryginału przez wnuczkę dr. Dobrzyńską-Rybicką, Poznań 1911, s. 49.

¹ Maczki (od 1975 roku w obrębie Sosnowca) – osada kolejowa w pobliżu styku granic trzech mocarstw – Austrii, Prus i Rosji. W 1848 roku powstała tam ostatnia stacja kolei warszawsko-wiedeńskiej (po rosyjskiej stronie). W tymże roku ukończono budynek stacji, nazywanej „Granica”, wg projektu Enrico Marconiego.

24. Rodzinne spotkanie nad Zbruczem. 1860

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)

Od kolebki przez życie [fragmenty]

W miesiącu grudniu, wyborną sannaą wybraliśmy się we troje: panna Zofia¹, Władysław² i ja.

Husiatyn leży nad Zbruczem, stanowiącym granicę pomiędzy Austrią a Rosją. Za czasów polskich miasto rozlegało się na obu brzegach; po rozgraniczeniu miasto właściwe na brzegu prawym dostało się Austrii, przedmieście Rosji, i „nikt bez straty życia (wypadkowo) lub swobody (na pewne) nie mógł (bez paszportu) przestąpić zakazanej wody”. Przechodzenie ułatwiał most, stanowiący grunt neutralny, obsadzony na jednym końcu strażnicą austriacką, na drugim moskiewską. Jeżeli komu o widzenie się tylko chodziło, nie było to rzeczą niemożliwą przy rogatce moskiewskiej: austriaccy strażnicy, bez robienia szczególnych trudności, pozwalali poddanym państwa Habsburgów wstępu na grunt neutralny. Można było przy rogatce widzieć się, porozmawiać, dłonie sobie uściśnąć, lecz na otwartym powietrzu, pod okiem strażników. Wyjeżdżając z Czortkowa³, byliśmy przekonani, że się na tym widzenie nasze ograniczy.

Równocześnie z nami do lewobrzeżnego Husiatyna przyjechał Szczęsny w towarzystwie siostry naszej Leonidy⁴, dwóch ciotecznych siostrzenic: Kurzańskiej i Zwolińskiej i Rajmunda Rudnickiego, synowca p. Adama⁵.

Jak dla nas, tak dla nich Zbrucz stanowił „wodę zakazaną”. Przekraczać jej nie mogliśmy dla spędzenia kilku godzin w kółku

1 Zofia Wróblewska, naręczona Miłkowskiego.

2 Władysław Wróblewski, brat Zofii.

3 Miłkowski przebywał nielegalnie w galicyjskim Czortkowie w domu rodzinnym naręczonej, posługując się paszportem na inne nazwisko.

4 Szczęsny i Leonida – rodzeństwo Miłkowskiego, mieszkające w granicach cesarstwa rosyjskiego.

5 Było to przedślubne spotkanie rodzin obojga naręczonych, gdyż nie istniała inna możliwość zgromadzenia wszystkich na zaręczynach i ślubie.

rodzinnym, chyba iżbyśmy się zaryzykowali na przekroczenie kordonu po lodzie. Zapraszał nas do tego Zbrucz ścięty; nie było jednak potrzeby narażania się, albowiem znalazła się rada na obejście zakazu. Szczęsny wyzyskał liberalny nastrój, jaki w owym czasie w Rosji panował⁶, i pod pozorem interesów rodzinnych wyjednał u komendanta straży pogranicznej pozwolenie na przejście rogatki rodziny Wróblewskich i pobyt jej parogodzinny w izbie strażniczej. Skorzystaliśmy z tego pozwolenia należycie. Strażnicy, dostawszy ode mnie po rublu sr., nie tylko ustąpili nam izby swojej zupełnie, ale czuwali nad nami i na nasze oddali się usługi w dniu pierwszym do wieczora i nazajutrz również do wieczora. Na noc przechodziliśmy, nas troje, do Husiatyna austriackiego. Dwa dni spędziłem ze Szczęsnym, z siostrą i z kuzynkami. Ze Szczęsnym i z Leonidą widziałem się tam po raz ostatni w życiu. [...]

Dwa dni w gronie rodzinnym spędzone upłynęły mi rozkosznie. Sołdaci, do których moja narzeczona przemawiała: „panie Moskał”, służyli nam szczerze i gorliwie, zamawiali dla nas obiady, które z oberży przynosili, do stołu posługiwali, po tytoń i po inne sprawy chodzili. Sute napiwki usposabiały ich dla nas jak najlepiej. Komendant i nikt ze starszyny nie zaglądał. Dużo później naczelnik husiatyńskiej straży granicznej dowiedział się, jakiego w rękę miał ptaszka⁷ i z garści go wypuścił. Srodze go to rozgniewało.

– Tu ... przy tym stole siedział! – wykrzykiwał, bijąc o stół kułakiem – i jam go nie przyaresztował. Żal mu się, biedakowi, zrobiło tego orderu, może awansu, jaki by dostał, gdyby mnie był w kajdanach do Kamieńca odstawił.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 11, s. 316–317, 319.

⁶ W pierwszych latach panowania Aleksandra II.

⁷ Miłkowski po upadku rewolucji węgierskiej wyemigrował via Turcja do Anglii, a od 1851 roku działał jako emisariusz w Galicji i agent Komitetu Centralnego Demokracji Europejskiej na Bałkanach, posługując się fałszywymi dokumentami.

25. Ślub emisariusza na granicy. 1861

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)

Od kolebki przez życie [fragmenty]

W rzeczy samej w rozwoju wypadków zapanował był zastój¹, rodzaj ciszy przed burzą, który by mnie wypchnął był z Mołdawii do Paryża dla powzięcia o stanie interesów politycznych języka, gdyby nie przykuwający do traktu z Michalen do Czortkowa interes osobisty. Niebawem też na trakcie tym znalazłem się, w Czortkowie wysiadłem i sprawę proszenia ojca o rękę córki załatwiłem. Odbłyło się to prosto i gładko, bez swatów i pośredników. Ojciec dał przyzwolenie, pozostawało jeno wyznaczyć termin obrządku ślubnego. Uczynienie formalności tej zadość w Galicji było niemożliwym z powodu, że prawdziwego mego nazwiska i imienia do metryki ślubnej podawać nie mogłem. Ślub przeto wziąć należało na Mołdawii, gdzie policja nie wglądała w sprawy kościoła katolickiego, w którym do metryki ślubnej wpisać się mogłem wedle własnej metryki urodzenia i chrztu w parafii rybnickiej. [...]

Michaleny², miasteczko położone na granicy oddzielającej Bukowinę od Mołdawii, o mil cztery od Czerniejowiec³, o pół mili od Seretu⁴, wybrałem na rezydencję i na moją główną kwaterę. Stamtąd łatwo mi było komunikować się z Galicją i z Podolem

¹ Po zakończeniu wojny krymskiej (1856), która rozbudziła nadzieje Polaków.

² Miłkowski, jak pisze Małgorzata Willaume, „wybrał całkiem nieprzypadkowo miasteczko przygraniczne Michaleny (Mihaileni), które było położone niedaleko granicy austriacko-mołdawskiej, skąd blisko było do Czerniowiec, co dawało mu dobry kontakt zarówno z Galicją, jak i Podolem. Wreszcie w niedalekim majątku księcia Moruzzi pracowało wówczas wielu Polaków. Miejsce zatem do przerzutu Polaków do Turcji, a także wymiany korespondencji między zaborami a Turcją, Francją i Anglią było wybrane świetnie” (Małgorzata J. Willaume, *Zygmunt Miłkowski (1824–1915) w powstaniu styczniowym*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska” 2012, Sectio F, Vol. LXVII, z. 2, s. 50).

³ Chodzi o nadgraniczne Czerniowce nad rzeką Prut w Galicji, a nie Czerniejowce na Podolu. Mila rosyjska liczyła 7 467,6 m.

⁴ Seret – rzeka na Ukrainie i w Rumunii, lewy dopływ Dunaju.

rosyjskim, a tym łatwiej, że obie komory, tak mołdawska, jako też austriacka, obsadzone były przez urzędników sprzyjających sprawie, której służyłem, przez nią zaś sprzyjających mnie. Po stronie austriackiej Grabski, dyrektor komory, człek wiekowy i poważny, obok niego Hilarski, zajmujący o stopień niższe od niego stanowisko, wreszcie Jeleki, Węgier, przez którego ręce przechodziły wszystkie rozporządzenia rządowe, oddawali mi wszelkie możliwe usługi; po stronie mołdawskiej pozostawałem w stosunkach przyjaznych z Grekiem, nazwiskiem Frankopulo, który, dzierżawiąc od rządu cła na komorach, miał pod rozkazami swoimi straż pograniczną wzdłuż całej granicy bukowińskiej. Dzięki jemu wszyscy, co się z Austrii kryjomo przeprawiali i w ręce strażnikom wpadali, jak skoro moje wymawiali nazwisko lub się też tylko za Polaków podawali, przyprowadzani byli do mnie i w moje oddawani ręce. Przy tym do Michalen, będących własnością byłego hospodara Sturdy, przylegały rozległe dobra księcia Moruzzi, który trzymał sporą liczbę oficjalistów Polaków, ludzi zacnych i wykształconych, gotowych mi nieść pomoc w robotach.

Miasteczko, przez które, póki kolej żelazna nie zwróciła komunikacji na Suczawę i Foltyczany, szedł żywy ruch handlowy, posiadało dwa okazańsze hotele, trzymane jeden przez Żyda, drugi przez Niemca. Przyjechawszy w styczniu r. 1861, zamieszkałem w hotelu żydowskim. [...]

Ojciec⁵, jak zaznaczyłem wyżej, chciał ślub odłożyć. Alem postawił kwestię kategorycznie: napisałem, że do Czortkowa na egzekucję przyjadę. Takie kwestii postawienie sprawę rozstrzygnęło: ojciec wiedział, jaką, na osobę moją czyhającą, policja austriacka otacza mnie opieką. Przyjazd przeto do Michalen naznaczony został na dzień 24 czerwca z programem następującym: przyjechać mieli z zaopatrzoną w paszport emigracyjny panną Zofią ojciec i brat, i zatrzymać się w domu zajezdnym na stronie austriackiej. Paszporty posiadali: moja narzeczona, dwie służące, Maryśka

⁵ Tj. przyszyły teść, Leon Wróblewski.

i Zośka, które ona ze sobą z Czortkowa zabrała, i kucharz, wzięty w tym celu, ażeby sporządził należyty dla gości weselnych obiad. Ojcu i Władysławowi, jako obcopoddanym, starostwo czortkowskie paszportów odmówiło. Wróblewscy, mimo że od lat dwudziestu, wysprzedawszy się z majątków (Rakowiec i Dąbrówka), jakie na Wołyniu posiadali, do Galicji się na mieszkanie przenieśli, nie posiadali obywatelstwa austriackiego. Na tej podstawie w r. 1849 Gołuchowski⁶ wypędził z kraju najstarszego p. Leona syna, Kazimierza, który się do Ameryki zapędził i w Bahia na żółtą febrę umarł. Na tej podstawie mógł namiestnik wypędzić rodzinę całą za lada pozorem. Dlatego to pogróżka moja co do przyjazdu do Czortkowa po pannę Zofię poskutkowała, i ojciec sam ją przywiózł. Ale ponieważ paszportu nie posiadał, ułożył więc sobie, że w austerii po stronie austriackiej pozostanie, a Władysław granicę przekradnie, ażeby przy ślubie siostry być świadkiem i ojca zastąpić. Z tego powodu podróż tak obrachowaną została, ażeby przyjazd na granicę późnym nastąpił wieczorem. Wkradzenie się Władysława do Michalen odbyć się miało w nocy; nazajutrz zaś wczesnym rankiem przejść miała granicę panna Zofia i niezwłocznie jechać na ślub do Botuszan. W Michalenach, jak w Husiatynie, istnieje grunt neutralny, który stanowi zbudowany na rozdzielającej dwa państwa rzeczulce most, zaopatrzony w dwie na dwóch końcach bramy: rumuńską i austriacką, zamykające się o zachodzie słońca. Rzeczulkę wprawdzie, bez rozmachu nawet, przeskoczyć można, niemniej przeto jest ona „wodą zakazaną”, która szczególnie surowo zakazaną była dla takich jak ja, co w odniesieniu do cnotliwej Austrii zbrodnicze żywili zamiary. Bez straty na pewne swobody przestępować wody zakazanej nie miałem prawa, chyba sposobem przekradanym, ale nie przez bramy i nie przez most w dzień biały, nie dopieroż w nocy. Inaczej jednak na prawo to zapatrywali się Grabski, Hilarski i Jełeki po stronie austriackiej, Frankopulo i major od straży granicznej (nazwisko zapomniałem) po rumuńskiej. O zachodzie słońca dnia

⁶ Agenor Gołuchowski (1812–1875) – od 1849 roku namiestnik Galicji.

24 czerwca bramy kazali oni pozamykać i... klucze od bram mnie wręczyli. Ja, zbrodniarz, stałem się panem jednego z punktów komunikacyjnych pomiędzy niecnotliwą, bo przytułek mi udzielającą Rumunią, a cnotliwą, ścigającą mnie Austrią. Mógłbym, gdybym był siłą zbrojną rozporządzał, wielkim traktem baterij kilka dział do strzelania do wojsk austriackich przez noc tę wprowadzić. Że jednak siłą zbrojną nie rozporządzałem, obliczyłem czas wedle otrzymanej z Czerniejowiec depeszy i około dziewiątej wieczorem sam jeden wkroczyłem na terytorium austriackie. Noc była prześliczna, letnia, cicha. Księżyc w pełni lał blade na ziemię światło. Słowiki po św. Wicie już nie śpiewają, więc nie śpiewały zapewne, ale odzywać się musiały z pól okolicznych przepiórki i koniki polne, z łąk i z wybrzeży rzeczułki derkacze i żaby. Lubię te hymny przyrody. Rad się w nie wsłuchuję przy każdej zdarzonej okazji. Co mnie jednak obchodziły one teraz! Wsłuchiwałem się, lecz nie w hymny, ale w ciszę głuchą, w której z daleka dojsć był powinien do słuchu mego turkot pojazdu, wiozącego moją ukochaną, niosącą mi osobą swoją to szczęście we dwoje, które w wędrowce od kolebki do grobu stanowi pełnię życia człowieka. Któż takiego szczęścia nie pragnie... Od pragnienia tego nie wyzwoliłem się, mimo że mi się wyzwolić chciał. Opanowało mnie ono, i wieczora tego ogłuchłem na wabienie przepiórek, skrzeczenie żab i wszystkie odgłosy, idące z ziemi i z nieba; zdaje się, iżbym był nie dosłyszał piorunu, gdyby mi nad uchem strzelił: słuch cały wyteżyłem na mający się odezwać turkot. Wraz ze mną nasłuchiwał Jeleki, który na drogę wyszedł i rozmową mnie zabawiał. Zaciągnął mnie on do siebie i butelkę wina postawił, ale wino mi nie smakowało, a rozmowa nie szła. Spieszno mi było do drogi z Czerniejowiec prowadzącej. Czekałem z godzinę może; przysłuchiwały się mi turkoty, wreszcie krzyknąłem

– Jada!

– Teraz jada – rzekł Jeleki, który przedtem kilkakrotnie złudzenia słuchu mego rozpraszał.

– Jada – powtórzyłem.

Przyjechali. Zatrzymałem wołaniem „stój!” powóz – dwa raczej powozy, za koczem bowiem szła bryka; wysiedli Władysław, panna Zofia, w końcu ojciec. Powitaliśmy się. Po powitaniu poszliśmy we czworo przodem; za nami toczyły się powoli powozy; szliśmy i szli, rozmawiając, najprzód drogą, dalej przez bramę jedną naścieżaj otwartą, minęliśmy most i bramę drugą i szliśmy dalej, aż odezwałem się:

– Tu w lewo. Tam mój domek...

– A pojazdy? – zapytał ojciec.

– Jest i na pojazdy miejsce.

– W domu zajezdnym?

– Nie... u mnie...

– Jak to?!... – zawołał zdziwiony. Ze zdumieniem dowiedział się o przekroczeniu ułożonego w Czortkowie programu i wkroczeniu bez paszportu na grunt rumuński. Nie domyślił się tego, pomimo że przed bramą rumuńską spotkał nas Frankopulo i pannie Zofii duży ofiarował bukiet. [...]

U Niemca, który się furmanką trudnił, zamówiłem powóz i konie pod warunkiem, że nas w jednym dniu do Botuszan zawiezie i z Botuszan przywiezie. Jazda tam wynosiła mil cztery i z powrotem cztery, trzeba więc było wybrać się rano. W Botuszanach uprzedzeni byli ksiądz i świadkowie. Powstawaliśmy równo z dnia świtaniem i po herbacie ruszyliśmy we czwórkę. Furman dotrzymywał umowy – jechał ostro. Mniej więcej o dziesiątej wysiedliśmy u Szmita, który nas pokarmił; moja narzeczona, przy pomocy tej jego córki, co mi przezeń na małżonkę była stręczona, do ślubu się ubrała i w godzinę później wiaręśmy sobie i miłość wzajemnie zaprzysięgli. Formalności legalnej stało się w zupełności zadość, z nadatkiem nawet, bo przy huku wystrzałów z moździerza, wtórujących hymnowi *Veni creator*. Ksiądz Jaroszkiewicz w sposób ten uczcił ślub żołnierza. Po udzieleniu błogosławieństwa towarzystwo całe, składające się z asystentów i świadków, z których jednym był Cezar, konsul holenderski, na probostwo zaprosił, winem i ciastami częstował. Cezar wniósł zdrowie młodej pary

i w krótkim przemówieniu nie zapomniał o Polsce: życząc nam wszystkiego dobrego, życzył dla niej wolności i niepodległości. Tak tedy 25 czerwca r. 1861 panna Zofia Wróblewska, która moją poufnie od roku blisko była, stała się moją głośno, w oczach ludzi, w obliczu świata całego. Z Botuszan późnym powróciliśmy wieczorem. [...] Ojciec i Władysław zabawili u nas dwa dni. Po ich odjeździe rozpoczęło się dla nas życie we dwoje.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. II, s. 301, 320–321, 334–338.

Inne światy za miedzą



26. Za kurlandzką granicą. 1818

Franciszek Paszkiewicz

Dziesięciodniowa podróż do Rygi [fragment]

Mając zamiar odwiedzić Rygę, puściłem się w tę podróż w połowie stycznia. Czas nadto krótki, ażebym mógł opisać wiele rzeczy interesujących: co się jednak nastęczyło mej uwadze, udzielić ośmielałem się.

Wyjechałem ze środka powiatu wiłkomirskiego na Traszkunę, miejscem wciąż leśnym, aż do tego miasteczka, gdzie szkoły murowane pod rządem xx. Bernardynów znajdują się i 400 uczniów liczą. Dalej szła droga na Subocz, Obolniki, wsie kościelne; w ostatniej ksiądz pleban, o chwałę bożą gorliwy, murowaniem kościoła trudni się.

Zbliżałem się z niecierpliwością do granicy kurlandzkiej⁷, znużony noclegami w obrzydłych karczmach żydowskich, i widokiem tego narodu, trzymającego u nas handel w rękę, a klasę rolniczą w ucisku: odetchnąłem prawdziwie, przeprawiwszy się po lodzie przez Niemenek⁸ oddzielający w tym punkcie Litwę od Kurlandii. Widok na drugiej stronie Schönberga, miasteczka murowanego i dworu dziedzictwa Korfów⁹ pięknie obmurowanego, zadziwił mię na samym wstępie nie pomału. Postrzegłem, że się w innym kraju znajduję; w kraju, gdzie dobrotliwe niedawno panowanie książąt

⁷ Granica powstała w 1561 roku po przyłączeniu Inflant do Rzeczypospolitej i otrzymaniu jako lenna Kurlandii przez ostatniego mistrza zakonu inflanckiego. Istniała do pierwszego rozbioru (1772), a po trzecim rozbiorze (1795) dzieliła gubernię kurlandzką od wileńskiej i kowieńskiej.

⁸ Niemenek – rzeka graniczna, rozdzielająca od czasów średniowiecza Litwę od ziem inflanckiej gałęzi zakonu krzyżackiego.

⁹ Korffowie – spolonizowany ród wywodzący się z niemieckiego rycerstwa. Zob. Gustaw Manteuffel, *O starodawnej szlachcie krzyżacko-rycerskiej na kresach inflanckich*, Lwów 1910, s. 31–32.

kurlandzkich i mądre prawa na innym stopniu bytu i cywilizacji to księstwo postawiły¹⁰.

Pierwsza zaraz oberża w miasteczku murowana, równie jak i te, co są na drogach w całym księstwie mają inną czystość, posługę i wygodę: widok włóczącego się żydostwa nie razi oczu podróżnego: prawa nawet kurlandzkie wzbraniają im mieszkać w karczmach. Ujrzałem chłopów Łotyszów, którzy mi się zdali różnymi być od litewskich. Nie mają dzikiej postawy: odzienie ich z paklaku¹¹, a często i z sukna, porządniejsze; każdy nosi pończochy i skórzane chodaki, kamzelka, chustka na szyi, czapka i cały ubiór na krój niemiecki sporządzone. Niektórym przypatrywałem się w oberży: mieli z sobą chleb czysty, gdyż w całym kraju innego oni chleba nie jedzą, i przy tym mięsem się posilali. W twarzy ich, wroście, obejściu się byt lepszy rozszerzony postrzegać się daje, i uczuciem wewnętrznym różnią się od naszych chłopów. Koń u każdego Łotysza w sankach mierzyn¹² i spasy, zaprząg ten sam, co i w Litwie.

PRZEDRUK ZA: Franciszek Paszkiewicz, *Dziesięciodniowa podróż do Rygi*, „Tygodnik Wileński” 1818, t. 1, nr 5, s. 446–448.

¹⁰ Różnice cywilizacyjne wynikały z wielowiekowej niemieckiej obecności i dominacji na Łotwie.

¹¹ Paklak (pakłak) – grube sukno, tkanina z pakul na worki.

¹² Mierzyn – koń miernego wzrostu.

27. Niemiecko–francuskie pogranicze. 1832

Ignacy Domeyko (1802–1889)

Moje podróże [fragment]

Po drodze z Alzacji wiele żebractwa, tak jak u nas, a miejscami, gdzie nas poznali biedni ludzie, mianowicie dzieci, biegli za dyliżansem i wołali: „*Vivent les Polonais! Vive la liberté! A bas les Russes!*”¹ – i nadstawiali ręce. U nas żebracy na Boga zaklinają, tu na wolność! Niemają to jeszcze ostatek wolności, gdy wolno prosić o dobrowolną jałmużną, prosić publicznie bez unizienia się. Tę wolność nie wszędzie mają biedni ludzie, w krajach nawet bardzo wolnych i bogatych; kraj ten jest żyzny, piękny, bogaty; nie masz wielkich majątków, włościanie są wolni i właścicielami ziemi. Własność rozdzielona, rozdrobniona; ludność jest niezmiernie liczna, większa niż gdzie indziej, tak że ziemia nie ma czym jej wyżywić.

Ale rzecz, która bardziej zwróciła na siebie moją uwagę w Strasburgu i w krótkiej podróży przez Alzację, to charakter czysto niemiecki tutejszego ludu, charakter w języku, stroju, obejściu, a nawet w wierze, całkowicie zachowany, pomimo tak długiego oderwania się od Niemiec i należenia do Francji. Język (*plattdeutsch*²) pozostał, jak był przed wiekami, choć po drugiej stronie Renu we środku Niemiec odmienił się po wielu prowincjach; frak niemiecki, kamizelki długie, z dużymi guzikami, trzyrożny kapelusz, ubiór kobiecy jak naszych Żydówek, wszystko jak na obrazach Dürera, Holbeina i szkoły flamandzkiej³. Lud wiejski nie rozumie francuszczyzny, tylko wyższa klasa i urzędnicy jej uczą się, a nawet średnia

¹ *Vivent ...* (fr.) – Niech żyją Polacy! Niech żyje wolność! Precz z Rosjanami!

² *Plattdeutsch* albo *Niederdeutsch* – język dolnoniemiecki, gwara północnych Niemiec (język literacki ogólnoniemiecki nosi nazwę *Hochdeutsch*).

³ Szkoła flamandzka, słynna szkoła malarstwa historyczno-religijnego w Niderlandach, celująca w dokładnym odtwarzaniu szczegółów; założył ją Peter Paul Rubens (1577–1640), jeden z najwybitniejszych malarzy baroku.

i rzemieślnicza klasa po domach przekłada język niemiecki i źle mówi [lub] nie mówi po francusku. Wyznania nawet religijne, katolicyzm i reforma, zostały, jeśli się nie mylę, jak były przed oderwaniem się od Niemiec. Katolicy bardzo gorliwi, wierni Kościołowi swemu, protestanci uparci przy swoim.

Tylko na drugiej stronie Wogezów, ledwo przestąpisz linię rozdziału wód na tym niskim łańcuchu gór, obaczysz żywość, lekkość, wesołość, dowcip, strój, układ, obejście się francuskie.

Jakże to wytłumaczyć? Alzacja zawsze była wierną Francji nawet za czasów koalicji dworów niemieckich przeciw Rzeczypospolitej. Narodowość francuska jest wszakże nieznośną dla Niemców! Rząd wprawdzie tu lepszy teraz niż po wielu niemieckich księstwach zarenskich; ale też od pół wieku było tu wiele rozmaitych, dobrych i złych, i niegodziwych rządów i rządców, a cierpliwość alzacka przemogła wszystko – i któż wie, czego się kiedyś doczeka.

Zdaje się, że w rozpołożeniu geograficznym narodowości i rozmaitych charakterów narodowych, z których każdy ma sobie dane od Boga jakieś posłannictwo, cel i przeznaczenie, rzeki i ich naturalny bieg łączą ludzi, zbliżają jednych do drugich, wiążą; rzeki nie są naturalnymi granicami narodowości. Przeciwnie, łańcuchy gór wysokich czy niskich, linie rozdziału wód były i są granicami między rozmaitymi szczepami ludzkości; a na rozległych płaszczyznach miejsca, gdzie się poczynają źródła wielu rzek płynących w rozmaite strony, są jakoby k o p c e na granicach, gdzie się od wieków ścierają i bojują z sobą narody różnych wyznań, celów i dążeń. Jednym z owych kopców jest wyniosłość, na której biorą swoje źródła Dniepr, Dźwina i rzeki płynące na wschód, do Wołgi. Łatwiej jest milion miast zburzyć niż rozrzucić ten kopiec, na którym się już tyle krwi przelało.

PRZEDRUK ZA: Ignacy Domeyko, *Moje podróże: pamiętniki wygnańca*, przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami Elżbieta Helena Nieciowa, t. 1, Wrocław 1962, s. 107–108.⁴

⁴ Przedruk tekstu za zgodą Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

28. Przy granicach Szwajcarii. 1837

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798–1845)

Pamiętniki [fragmenty]

Uważałam w ogólności, że gościńce w Szwajcarii są wąskie, jakby domowe i gospodarskie; zdaje się, jakbyś jeździł wśród wiosek, wewnątrz jakiej prywatnej posiadłości, gdzie tylko przyjaciołom lub dobrym znajomym wjeżdżać wolno. W innych krajach przeciwnie, gościńce zdają się być przeznaczone tylko dla obcych, prowadzą cię jakby do salonu, pokazują ci z wierzchu kraj. Dojeżdżając do Vevay¹, już ta domowość szwajcarska niknie i przypomina się Francja. Winnice vevayskie dostarczają całej Szwajcarii białego wina, ale za to też widzisz około drogi mury z obu stron, przestajesz być domownikiem Szwajcarii, jesteś obcym, zdaje się, że cię już za drzwi wypchnięto. [...]

14 września, w Genewie. – Przyjechaliśmy tu jeziorem Lemana, na statku *le Léman*. Wstępowaliśmy do Lozanny, widzieliśmy z daleka Nyon, i ów Coppet, miejsce wygnania pani Staël, gdzie swoją *Korynnę* pisała. Uderza na jeziorze wesołość brzegów szwajcarskich, a ponurość sabaudzkich; na pierwszych ustawiczny ruch, ciżba, na drugich cisza. Nie natura to robi, ale ludzie, różnica rządu; jedni rybacy w Sabaudii na tym zyskują, bo przy mniej uczęszczanych brzegach ryb mają więcej.

PRZEDRUK ZA: Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, *Pisma pośmiertne. Pamiętniki*, t. 111, Berlin 1849, s. 60–61.

¹ Tj. Vevey w kantonie Vaud.

29. Galicyjski Złoczów z perspektywy Podola. 1848

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)

Od kolebki przez życie [fragment]

Nazajutrz obejrzałem przede wszystkim miasto, w którym uwagę moją zwrócił na siebie nie tyle zamek niegdyś Sobieskich, przerebiony na koszary, co akcent cywilizacyjny, który mi się w oczy rzucił. Domy piętrowe, ulice i place brukowane, ogród spacerowy. Dziś, kiedym się napatrzył miastom na Zachodzie, Złoczów¹ wydałby mi się inaczej; wówczas atoli przybywałem wprost z krainy², w której osady miejskie dwa razy od Złoczowa większe i nie wiem ile razy pod względem handlowym ważniejsze, Bałta na przykład, bruku na lekarstwo nie posiadały, budynków zaś wspaniałość rozumiały pod postacią stajen, przysposobionych tak, ażeby się znalazło miejsce i na konie, i na ludzi. Przypomniałem sobie Braclaw, Hajsyn, Olhopol, Lipowiec, Winnicę, Humań³ i inne, i inne miasta nasze: wszystkie one gasły wobec Złoczowa.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 1, s. 261–262.

1 Miasto w okręgu lwowskim, od pierwszego rozbioru (1772) w Galicji, pod panowaniem austriackim.

2 Miłkowski przekradł się w 1848 roku do Galicji w związku z wydarzeniami Wiosny Ludów. Zob. tekst nr 53.

3 Miasta na Podolu od czasu drugiego rozbioru (1793) pozostające pod panowaniem rosyjskim.

30. Różnica między Koroną a Litwą. 1858

Władysław Syrokomla (1823–1862)

Podróż swojaka po swojszczyźnie [fragmenty]

Pożegnanie Kowna i Niemna – Różnica między Koroną a Litwą.

Kowno! Nasze stare, historyczne, handlowe, piękne, jak raj ziemski, co do swojego położenia, Kowno! Chciałbym cię wystudiować, opiewać, wyrysować, zabrać do mojego pugilaresu jako pamiątkę; ogłosić światu, zapoznać z tobą cudzoziemców i swoich, boś godne liczyć się do najbardziej zajmujących miast w Europie.

Dla połączenia Niemna z Wilią, dla swego handlu, dla tego, że tędy przechodzi szosa, łącząca Rosję z dalszą Europą, cudzoziemcy znają Kowno lepiej niż własni odleglejszych stron rodacy, do których doszła tylko sława kowieńskiego miodu i Kowieńskiej doliny.

Od czasów mitycznego Palemona¹ aż do czasów Napoleona, który z wiekami stanie się mitem – ileż to razy Kowno, niszczone, palone, wyludniane, szybko wracało do dobrego bytu, dzięki swojemu położeniu i opiece panujących, którzy się na ważności tego miasta poznać umieli!

Niemen i Wilia, dwie żywotne arterie Litwy, centrowały tutaj, jak w sercu, wszystkie produkcje żyznej ziemi Palemona.

Pływającym mostem² przebywszy mój piękny, mój bratni, mój rzewnie ukochany Niemen, jestem już na ziemi Polski kongresowej, w miasteczku Aleksocie.

¹ Palemon – legendarny litewski bohater, władca litewskiej nadmorskiej krainy, przybyły tam na czele licznej drużyny Rzymian i przez dawnych kronikarzy podawany jako pierwszy założyciel państwa litewskiego.

² Tj. łyżwowym.

Pędzla Claude Lorraina³ potrzeba na oddanie czarodziejskiego widoku, jaki tu nas otacza. Jesteśmy na górze: Kowno u stóp naszych błyszczący przy porannym świetle majowym wieżami swoich dziesięciu świątyń; szeroki, błękitny, uroczystą mgłą otoczony Niemen, cały to w srebrnych, to w złocistych iskrach, mży się, kipi, wesoło niesie wiciny, baty pruskie, płyty drzewne i pomniejsze łodzie; wesoły, swobodny flis wyśpiewuje piosnkę żeglarską, w której przebijają tęskna, rodzinna, litewska nuta. A z tej strony Niemna piętrzą się wysokie, strome góry, porośnięte lasem liściastym; spomiędzy parowów wyglądają ładne, murowane domki Aleksoty.

Od pierwszego rzutu oka daje się widzieć różnica administracji Królestwa a Cesarstwa: polskie nazwy urzędów, polskie napisy, większa czystość domów, insza fizjonomia ludu, który napotykamy, insza rasa koni, insza konstrukcja wozów, słowem wszystko zdaje się świadczyć, że Niemen stanowi tutaj nie sztuczną, ale naturalną granicę. A przecież jesteśmy jeszcze w Litwie i długo będziemy jechali krajem odwiecznie litewskim, gdzie lud, pomimo wpływów polonizmu i niemczyzny, dobrze jeszcze strzeże swojej dawnej mowy i narodowości.

Zaopatrzwszy się w tzw. dystrybucji w dosyć złe, a stosunkowo drogie cygara, puszcza się w drogę, rzucając ostatnie, pożegnalne spojrzenie na Kowno i czarodziejskie jego okolice.

Żegnaj, Niemnie, domowa rzeko moja! Nawet nie mogę na twych falach posłać pożegnania znanym stronom i znajomym do brym ludziom, bo płyniesz w strony obce, do obcych ludzi, do kraju tzw. cywilizacji, zostawiając za sobą skromną, cichą, patriarchalną Litwę⁴. Kierunek naszych dróg jest zupełnie przeciwny, dążymy wszakże w jedną stronę: do ziemi niemieckiej, do krainy przemysłu i talarów, mętnej jak drożdże filozofii i klarownego piwa bawarskiego. Dążymy do pięknej Germanii, aby jej wypłacić haracz z naszego chleba i z naszej admiracji.

³ Claude Lorrain (1600–1682) – barokowy malarz francuski, pejzażysta.

⁴ Niemen kończył swój bieg w Królewcu, na terytorium Królestwa Pruskiego.

Niemnie, cichy powierniku niegdyś moich dumań samotnych na cichych błoniach pod Załuczem!⁵ Oto po tylu latach spotykamy się z sobą w Kownie, w przedsiени cywilizowanego świata! Gdzie nasz cichy światek tameczny? Czy my, dzieci odludnej puszczy, spodziewaliśmy się ulec przed tą potęgą cywilizacji i dać się unieść jej wirum?

A jednak tak się stało. Niemen kołysze na swych falach szybkie, szumne, dymem buchające parowe statki; ja – myśli moje już nie falom Niemna, już nie skrzydłom wietrzyku, ale powierzam drutowi elektrycznemu, co powiązał wszystkie stolice Europy i niesie myśl ludzką z szybkością właściwą myśli.

Tu, na polskiej stronie Niemna, wszystko odmienne niż u nas. Droga żwirowana, bita, starannie utrzymywana, zamiast naszych błot i piasków; słupy telegraficzne po jednej stronie drogi, jak olbrzymi płot, ustawione zamiast brzózek i wierzb, co u nas gościnnie pocztowy oceniają. Niczym prawie nieurozmaicona równina zastępuje tutaj nasze wzgórki, gaiki i lasy. Wieśniak, którego spotykasz, urodziwy, barczysty, w czarnym, bitym z wełny kapeluszu, nie wlecze się na chudej szkapie, zaprzężonej w hołoble⁶, ale dziarsko wali parą lub trójką dziarskich koni, wozem dyszlowym, kutym i niezmiernie długim. U nas karczma zowie się karczmą, tutaj – oberżą lub hotelem; u nas Żyd karczmarz wysysa krew ludu, tutaj – Niemiec.

Lud tutejszy, jak niemal w całym Augustowskim, mówi wyłącznie po litewsku; po polsku mało rozumie i nieochoczo mówi tym językiem; gotów nawet udawać nieumiejętność, chociażby go posiadał. Dzięki więcej rozwiniętej swobodzie, bardziej niż nasz ocenia dobrodziejstwa moralności i oświaty. Towarzystwo wstrzeмиęźliwości, gorliwie przez duchowieństwo po miastach i wsiach szczepione, zmniejszyło pijaństwo tak dalece, że niektórzy właściciele gorzelni dobrowolnie je pozamykali. Przykład Niemców, którzy

⁵ Od 1844 roku Syrokomla spędził kilka lat na dzierżawie w Załuczu, gdzie wraz z żoną zamieszkał po ślubie.

⁶ Hołobla – dyszle podwójne poboczne, w które konia wprzęgają do pojedynczego wózka.

hurmem tu się cisną, nauczył włościan porządniejszej gospodarki. Niejeden ojciec oddaje syna do szkoły lub gimnazjum; niejeden syn, zaszczytnie ukończywszy nauki, wraca do pług i brony, a chlubny z tradycyjnej swych praojców siermięgi, śpiewa na roli pieśń litewską, po litewsku się modli i poślubia prostą dziewczuchę swojego siola.

Te budujące szczegóły o ludu polsko-litewskim w gub. Augustowskiej zbierałem w drodze bardzo powoli, bo lud tutejszy jest nieskłonny do wynurzenia się przed obcym, zwłaszcza gdy ten nie posiada języka litewskiego.

Wieśniak, którego nająłem z Kowna do pierwszej stacji, Wejwer, lubom się później przekonał, że doskonale rozumiał i mówił po polsku, zbył moje zapytania zwyczajnym u nich: *Ne suprantu* (Nie rozumiem) i upornie milczał przez całą drogę. On się zgodził za woźnicę, nie za opowiadacza, ale sprawiedliwość każe wyznać, że się ze swojego woźniczego obowiązku sumiennie uiszczał. Po wybornej drodze bitej szybko leciały jego poczciwe mierzyny, warczał kuty, długi, drabiasty wóz kmiotka. Do miejsciny Godlewa, o g podobno wiorst od Kowna leżącej, nie jechaliśmy spełna trzech kwadransów – wyborna jazda po wczorajszej żydowskiej z Wilna do Kowna.

W Godlewie, gdzie jest ładny kościół murowany, kilka domków schludnych w rodzaju miasteczka i murowana oberża, pan Maciej (bo zdołałem dowiedzieć się o jego imieniu) mruknął, że potrzeba dać chwilę koniom do wytchnienia.

– Poczekaj! – myślę w duszy – poczekaj, uparty Litwinie! Zmuszę cię do gawędy, kupię ci gorzałki.

Nie powiódł się zamiar: pan Maciej należał do Towarzystwa wstrzeźliwości, dał słowo proboszczowi, że gorzałki pijać nie będzie, a lud tutejszy, twardy w słowie, nie czyni sobie restrykcji.

Mazurscy poczciarze, lubo należący do Towarzystwa wstrzeźliwości, chętnie wychylali „kwatyrkę”...

PRZEDRUK ZA: Władysław Syrokomla [Ludwik Kondratowicz], *Podróż swojaka po swojszczyźnie*, z rękopisu ogłosił Władysław Korotyński, Warszawa 1914, s. 20– 27.

W Europie i dalej



31. Przez kraje niemieckie w czasach napoleońskich. 1804

Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)

Pamiętniki 1804–1807 [fragmenty]

Zwłoka w otrzymaniu już dawno do Poczdamu posłanego paszportu kolegi mego zatrzymuje nas w Berlinie nad chęci i potrzebę. [...]

Dnia 21-go kwietnia paszport mego Wawrzonka jeszcze nie przyszedł, lubo już od 10-ciu dni w Poczdamie leży; tyle to potrzeba czasu, żeby powiedzieć: tak lub nie. Ci, od których to zawisło, mniej zważają, że my czas i pieniądze trwonimy, albo raczej nie uważają, bo zapomnieli. Rzadko kiedy rządzący rachuje niecierpliwość i straty czekających od nich wyroków. Jeżeli dobrze mieć kompana podróży, przykro z przyczyny jego choć niewinnie widzieć hamowane i czas swój, i kroki, a tak pobyt choćby najmilszy, kiedy poniewolny, przykrym się staje. [...]

Dnia 24-go Wawrzonek mój odebrał na koniec swój paszport. Gdyby zwłoka taka była dla kupca jadącego na jarmark, trzy niedziele opóźnienia bankructwa jego mogłyby być przyczyną. [...]

Przez cztery mile kraj nieżyzny, piaski nieurodzajne; przymuszono je być użytecznymi, zasiawszy szyszkami. Wsie rzadkie, anim się spostrzegł, żem już w innym kraju, pod obcym panowaniem. W rozsądnej Saksonii ani komór, ani cła, ani garnizonów żadnych. [...]

Około jedenastej godziny przybyliśmy do Drezna. Inkwizycje u bramy grzeczne, celnicy dyskretni, a przecież w kraju więcej przemysłu, handlu i bogactw, niż w państwach austriackich z całym ich grubiaństwem i męczeniem. [...]

Nazajutrz rano przeprawiliśmy się przez rzekę Sałę. Niestety! tu nasz Chrobry na znak podbić i zwycięstw swoich żelazne zabił słupy¹. O godzinie dziesiątej przybyliśmy do Lipska w czasie

¹ O słupach Chrobrego na Sali wspomina kronika Kadłubka. Niemcewicz nawiązał do nich wcześniej w tragedii *Władysław pod Warną* (1788).

kończącego się jarmarku². U bram wiele zatrzymywań i zapytywań, ale trzęsienia żadnego. Przez ulice ciężko się przebrać dla przechodzących kar³ furmańskich z towarami, dla natkanych wszędzie sklepów wszystkimi rękodzielniami i produktami. Kupcy z całej północy Europy, z Włoch nawet tu zjeżdżają. [...]

Przejeżdżaliśmy tylko około Hanau, miasta w pięknym położeniu, należącego do elektora heskiego. Niezmierne wiszniowe drzewa i lipy cienią najpiękniejszą drogę. O czwartej po południu stanęliśmy w Frankfurcie. Miasto wielkie, ludne i handlowne, lubo wiele przez ostatnią wojnę⁴ ucierpiało. Kiedy byłem u rezydenta Gallów, przyszedł unteroficer⁵ od garnizonu i podał mu notę z imionami tych wszystkich, którzy dnia tego przybyli do miasta. [...]

Dnia 7-go maja około 5-tej z południa najętymi końmi wyjechaliśmy z Frankfurtu do Moguncji. Droga wyborna i kraj nadzwyczajnie ludny i żyzny, wokoło natkany miasteczkami i wsiami. Niedaleko za Frankfurtem zaczyna się państwo księcia de Nassau-Usingen⁶ i ciągnie się aż do prawej strony Renu, to jest na mil cztery szerokości; do niego należy Hochheim w miejscu, gdzie się rodzi jedno z najlepszych win reńskich.

Stanęliśmy o godzinie 9-tej wieczór pod bramami Moguncji, które już zastaliśmy zamknięte. Oficer, po mowie znać że Gaskończyk rodem⁷, wcale grzeczny, chciał posłać do komendanta po klucz, ale unikając podejrzenia, które by wzniecić można, wjeżdżając w niezwyčajnej godzinie i po nocy, woleliśmy wrócić się na drugą stronę. Tam dwom nam zastawiono wieczerzę na dwunastu,

² Jarmarki znane od 1165 roku, które w wieku XX przekształciły się w słynne Targi Lipskie.

³ Kara – wóz o dwóch niskich, mocnych kołach, mający skrzynię wierzchnią do wożenia rozdrobnionych ładunków.

⁴ Mowa o wojnach toczonych przez koalicję europejską w latach 1792–1797 i 1798–1801 z rewolucyjną, a potem napoleońską Francją, w których wyniku Nadrenia przypadła Francji.

⁵ Tj. podoficer.

⁶ Fryderyka Augusta (1738–1816).

⁷ Dialekt gaskoński – odmiana języka prowansalskiego, spokrewnionego z katalońskim, używana do początków XIX wieku.

lubośmy nie prosili jak o kawałek pieczystego i sałatę. Zwyczajny karczmarzów fortel.

Nazajutrz o 5-tej wjechaliśmy w bramy graniczne straszliwego imperium⁸, z wzruszeniem, które pamięć tyłu nadzwyczajnych spraw tego ludu, okrucieństw, cnót i zwycięstw w umyśle moim sprawiła. Starsi przełożeni cła nie byli jeszcze przytomni⁹; samę tylko zastaliśmy gawieź, nie dawne ani nawet dzisiejsze, ale Robespiera czasy¹⁰ przypominającą. Jak kruki na pastwę, tak oni rzucili się na nasze małe kufierki, tłumoczki i szkatułkę, i pozabierali: szal, który wiozłem dla żony mojej¹¹, drugi, który od pani Krasieńskiej¹² wiozłem dla księżnej Aleksandrowej Sapieżyny¹³, pudełeczko ze sznurkiem masy koralowej, łańcuszek połączony, parę kółczyków mozaikowych, nóż ogrodowy, dany mi od St. Potockiego, w złoto oprawny (tego mi najbardziej żal), wiele kamyczków, drobiazgów, etc. etc.

Obrany tym sposobem, udałem się do dyrektora ceł p. Lamare i inspektora ceł p. Gaull; tych dwóch, osobliwie zaś podinspektora pana ... znalazłem grzecznych i łatwych. Za przełożeniem moim kazali mi wydać moje rzeczy, lecz znowu dwaj pierwsi łotrowie tyle przekładaniami swoimi zrobili, iż je kazali zatrzymać. Grzeczności tylko viceinspektora winienem, iż niektóre z drobnych kamyczków mi powrócono. Na koniec po długim chodzeniu, poceniu się i zmordowaniu aż do bólu w krzyżach, trzeba było porwanego łupu odstąpić.

Znużenie fizyczne i rozum nie kazały się długo trapić tą przykrością i stratą, w sytuacji mojej dość znaczną. Wróciłem do oberży

⁸ Tj. rewolucyjnej Francji, która zajęła Moguncję w 1798 roku.

⁹ Tj. obecni.

¹⁰ Tj. lata 1791–1794, kiedy Robespierre jako działacz klubu jakobinów i Komitetu Ocalenia Publicznego wprowadzał radykalne reformy i rewolucyjny terror, którego sam w 1794 roku padł ofiarą.

¹¹ Niemcewicz przebywał w latach 1797–1802 w Ameryce i w 1800 roku poślubił tam Susan Livingston Kean (córkę pierwszego wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych). Po dwuletnim pobycie w Polsce (1802–1804) wracał do niej – przez Niemcy, Francję i Atlantyk.

¹² Anna z Ossolińskich Kazimierzowa Krasieńska (1759–1843).

¹³ Anna Jadwiga z hrabiów Zamoyskich księżna Aleksandrowa Sapieżyna (1772–1859). W tym czasie przebywała z mężem w Paryżu.

la Ville de Paris. Zaledwom wsiadł, przesłano znowu, żeby iść do prefekta z pokazaniem paszportu. Jean Bon de St. André, znany nie bardzo dobrze w pierwszych latach rewolucji¹⁴, odesłał nas do swego sekretarza. Ten opisawszy twarz, oczy, nosy, włosy, wzrost etc., za godzinę kazał przysłać po paszporty. W ciągu dnia żandar-mowie trzy razy przychodzili przypatrywać się naszym paszportom, czyli to przez prózną ciekawość, czyli na koniec z nałogu, który lud ten w czasie rewolucji nabył wystawianiem najwyższej władzy od rana do wieczora.

Obiad już w stylu francuskim, toż samo konwersacja, i to dość śmiała jak w dzisiejszych okolicznościach – mówiono z przekąsami o nowym cesarzu¹⁵.

Po obiedzie w chęci czytania gazet poszedłem na *kafeehaus*¹⁶. Garnizons-oficerowie, to jest ludzie mało co do czynienia mający, bez miejsc takich obejść się nie mogą. Jakoż dwa bilardy i wiele sto-lików otoczonych nimi zastałem. Ludzie przystojni, mundury cią-gnące się do łytek¹⁷, warkocze na kształt marchwi zamiast kokardy, u góry mosiężnym guzikiem spięte. Gazety wszystkie w duchu najwyższej władzy pisane, gospodyni za szrankami¹⁸ na wysokim miejscu siedząca, otoczona butelkami różnych likworów, w poca-łowaniach i ściskaniach odbiera hołd zalotności francuskiej.

Lubo deszcz lał przez dzień cały, wyszedłem z *parapluie*¹⁹ dla oglądania miasta. To znać, że było i ludne, i piękne; dziś przez okropną wojnę, najbardziej zaś przez oblężenie Prusaków²⁰ gru-

14 Jean-Bon Saint-André (1749–1813) – pastor, uczestnik rewolucji francuskiej, polityk. Wspólnicjator Trybunału Rewolucyjnego, narzędzia terroru jakobińskiego.

15 Siódmego marca 1804 roku Senat zwrócił się do Napoleona, dożywotniego konsula, z prośbą, aby koronował się na cesarza. Proklamacja Senatu ogłaszająca Napoleona cesarzem Francuzów została opublikowana 4 maja 1804 roku.

16 *Kaffeehaus* (niem.) – kawiarnia.

17 Tj. łydek.

18 Szrank, szranki – ogrodzenie.

19 *Parapluie* (fr.) – parasol.

20 Chodzi o najazd wojsk francuskich w 1792 roku i oblężenie Moguncji przez armię Fry-deryka 11 w 1793.

zami okryte. Katedra i inne świątynie, budowle gotyckie, nad którymi tyle uleciało wieków, przedziurawione, zwalone, zapadłe, sterczą smutnie. Gmachy najmożniejszych obywateli bez okien, bez dachów, potrzaskane na poły, porośłe krzewami i zielskiem, podobno wiecznymi zostaną ruiny. Pałac elektora mogunckiego obrócony na szpital, wszędzie nieukontentowanie i smutek. Taki lub podobny wystawiać będzie obraz każda podbita kraina, bo przywodzi na myśl nieszczęścia, gwałty i niesprawiedliwości, bo naród podbity, którego gwałtem przerodzić nie można, będąc niepodległym i udzielnym, nie lubi stać się prowincją, bo językiem, zwyczajami i skłonnościami różniący się od nowych panów, za obcych uznawany, niechętnie na nich patrzeć będzie. Czemuż rytmotwórcy i piszący dzieje ludzkie do podbić przywiązali sławę, jak gdyby niesprawiedliwość mogła być chwalebna. [...]

Przez dwa dni i pół czekając na dyligencją²¹, siedzieć musieliśmy w smutnej Moguncji. Mieliśmy wizytę jednego celnika Polaka. Nie był on w bramie, gdzie mnie rewidowano; służył w legiach, dwakroć ranny, rodem z Krakowskiego. Poczciwość ludu naszego i jego przymioty obtarł cokolwiek o pokost francuski, gada pół z mazowiecka po polsku, a połowę po francusku.

Posługacz w oberży dobry, usłużny i gadatliwy, nie mógł się pojąć z zadziwienia, że ja nie widziałem nigdy gilotyny. Gospodarz przez cały czas rewolucji był w Paryżu i to bardzo czynnym; dziś wszyscy o czasach tych mówią z wzdrygnięciem.

Dnia 10-go maja korab nasz czyli dyligencja ruszyła z miejsca. Kraj wokoło Moguncji jest otwarty, żyzny i piękny, góry zaczynają się koło Kreutznach, miejsca, gdzie po dwakroć cesarscy i Francuzi wypierali się nawzajem; jakoż zamek księcia Nassau za miastem i miasto samo noszą dotąd tego pamiątkę. Dotychczas w nowo podbitych prowincjach podatki zostawiono jak dawniej, ale nowe i dość znaczne są już zapowiedziane, osobliwie na wino. O godzinie

²¹ Z fr. *diligence* – dyliżans.

4-tej z rana wsiedliśmy razem z panem Barisson, rodem z Lyonu, a powracającym z Petersburga.

W Kreutznach jest druga linia celników, a stamtąd o dwie mile dalej znowu trzecia. Wszystkie te ostrożności więcej rządowi przynoszą wydatków jak korzyści; kupcy i inni spekulanci prowadzą kontrabandę, jak sami byliśmy tego świadkami, cudzoziemcy tylko i podróżni są męczeni. [...]

Oberstein sławny jest agatami, tu je znajdują, tu je w umyślnym do tego młynie szlufują²². Choć są bardzo tanie i byłyby wyborną w Ameryce spekulacją, przekory na komorach nie pozwoliły mi ich kupić. [...]

Wjechawszy tylko w granice francuskie, po kościołach, po drogach, wszędzie są połamane męki Pańskie i rozmaite pobożne wizerunki, wszędzie leżą główki Pana Jezusa i innych świętych i aniołków.

PRZEDRUK ZA: Julian Ursyn Niemcewicz, *Pamiętniki 1804–1807. Dziennik drugiej podróży do Ameryki*, Lwów 1873, s. 24–48.

²² Tj. szlifują.

32. Z Francji do Ameryki. 1804

Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)

Pamiętniki 1804–1807 [fragmenty]

Byłem u posła amerykańskiego¹, nie zastałem go; pojechał do Londynu w negocjacjach podobno od tutejszego dworu. Zięć jego i zastępca, młody Robert, nie ma głowy, jak sobie począc; przez lenistwo czy przez niedecyzję był przyczyną, że na próżno chodził do kancelarii spraw zagranicznych i do prefektury. W tej wielkiej sali zastałem tłok niezmierny pospółstwa, ludzi, którzy się dopraszali o paszporty do różnych w kraju prowincji; przedtem nie znano wcale tych zawał. [...]

W St. Nazaire² w tym samym miejscu, gdzieśmy z dziurawym okrętem Stevensonsona przez tydzień męczyli się z pompami, znowu nowe zawały, znowu nowa komora³. Aż trzy ich w przeciągu mil szczęściu więcej zawał handlowi i wydatków rządowi, niż obojgu przynoszą korzyści. Oficjalista nie chciał pozwolić, by rzeczy nasze wyłożono z łodzi na okręt bez zezwolenia dyrektora komor w St. Nazaire. Kapitan więc i ja qua-tłumacz⁴ udaliśmy się do niego. Był to starzec mający 70 lat, z dwoma dużymi muszkami na powiekach, a to dla zatrzymania latania oczu; dwa małe pieski u nóg szczekaniem i przewracaniem się przerywały ustawnie ważne szanownego męża prace. Za pomocą okularów w godzinę czasu wygotował nam na koniec pozwolenie wylądowania naszych bagażów, które to w tym samym miejscu już czwarty raz rewidowane

1 John Armstrong Jr. (1758–1843) – krewny amerykańskiej żony Niemcewicza; był ambasadorem w Paryżu w latach 1804–1810. Zob. też tekst nr 31, przyp. 11.

2 Miasto portowe nad Atlantykiem w Bretanii. Tam udał się Niemcewicz z Paryża, by wsiąść na statek do Ameryki.

3 Z powodu dziurawego statku podróżni musieli przesiąść się na inny i przejść ponownie wszystkie kontrole.

4 Qua-tłumacz (łac.) – jako tłumacz.

i opłacone. Resztę dnia i noc całą (za danym prócz tego jeszcze kubanem⁵ celnikom) strawione były na przeładowaniu naszych rzeczy z łodzi, która je przywiozła, na okręt. Pospiech ten gwałtowny był nieodbity, wiatr pomyślny mógł ustać, embargo⁶ mogło nastąpić. Tak więc żywo pracowano, iż nazajutrz to jest 28-go sierpnia 1804 r., wzięwszy rotmana (*pilote*), wyszliśmy pod żagiel. [...]

Dni 15-ty, 16-ty i 17-ty były ciągiem niezmiernej burzy, wiatr tęgi wzdymał okropne bałwany wód i miotał okrętem na wszystkie strony; nie zmniejszał nawałnicy ulew obfitego deszczu. [...] Była to burza ekwinokcjalna⁷, która rzadko kiedy czuć się daje w sam dzień, kiedy słońce przechodzi tropik⁸, a najczęściej kilku dniami wprzód, czasem nawet później.

Po wytrzymaniu jej mieliśmy blisko przez 5 dni czasy pogodne i wiatry pomyślne. Wtenczas cała postać rzeczy odmienia się i człek kosztuje, co w żegludze najprzyjemniejszym być może. Sześćdziesiąt mil polskich płynie się w 24 godzinach, bez trzęsienia się i kłócenia z pocztylionami i celnikami u bram. [...]

Naprzeciw Norfolk jest miasteczko Portsmouth⁹. Okolice nieurodzajne, ale położenie do handlu najsposobniejsze. Na komorze obeszli się ze mną najgrzeczniej; narody tylko niemające kwitnącego handlu zakładają pomyślność onego na drobnych i głupich trzęsieniach i surowościach. Przeładowałem moje bagaże na inny statek.

PRZEDRUK ZA: Julian Ursyn Niemcewicz, *Pamiętniki 1804–1807. Dziennik drugiej podróży do Ameryki*, Lwów 1873, s. 51–52, 105–106, 110, 111, 123.

5 Kuban – łapówka.

6 Podatek nakładany na okręty.

7 *Aequinoctium* (łac.) – zrównanie dnia z nocą.

8 Tropik – zwrotnik.

9 Miasta w USA, w stanie Wirginia, po obu stronach Elisabeth River. Niemcewicz dopłynął tam na mniejszym statku, na który przesiadł się na morzu ze swojego okrętu Monicello (ten z powodu wiatru o 100 mil zboczył z trasy).

33. Przez granicę mongolską i chińską. 1820

Jegor Fiodorowicz Timkowskij (1790–1875)¹

Podróż do Chin przez Mongolię [fragmenty]

Rozdział 11

Wyjazd nowej misji z Rosji. Podróż do Urgi².

Stosownie do poprzedniczo uczynionych umów, przygotowała się nareszcie Cesarsko-Rosyjska duchowna misja dnia 31 sierpnia (12 września) do podróży do Pekinu.

O dziewiątej godzinie z rana wyszły z Troickosawskiej warownii³ nasze bagaże. Potem ruszyli się razem ze mną członkowie misji w powozach dyrektora ceł i radcy pogranicznej kancelarii, z domu poselstwa pod zasłoną należących do niej kozaków, zgromadzonych urzędników i mieszkańców. Za ich przybyciem do Kiachty, weszli członkowie misji i kozacy do kościoła, gdzie zasyłali modły do Pana zastępów, dla ubłagania pomyślnego skutku podróży; z kościoła poszli wszyscy do domu pewnego kupca. Bagaże z bydłem do rządu należącym wysłane zostały przez granicę pod strażą dwudziestu kozaków, którzy za pozwoleniem Sarguczeja⁴ tylko na dwa dni do

1 Jegor (Georgij) Fiodorowicz Timkowskij (1790–1875) – urzędnik ministerstwa spraw zagranicznych Rosji. Był nadzorcą misji duchownej, która udawała się do Pekinu, by zmienić poprzednią, przebywającą tam od 1808 roku.

2 Urga – siedziba mongolskich przywódców religijnych o zmiennej lokalizacji, w 1778 roku osiadła na miejscu dzisiejszej stolicy Mongolii, 37 mil (ponad ok. 270 km) w linii prostej na wschód od Kiachty; w pocz. wieku XIX siedziba pogranicznego Dyrektoriatu Chińskich spraw na szlaku herbacianym z Pekinu do Kiachty. W 1924 roku zmieniono nazwę miasta na Ułan Bator.

3 Mniej znana nazwa Kiachty. Kiachta – miasto rosyjskie przy granicy z Mongolią, założone w 1727 roku, ważny ośrodek na szlaku handlowym do Chin.

4 Godność urzędnika, który wysłany przez pekiński urząd spraw zewnętrznych, w Majmaczu ma swoje siedlisko. Jemu powierzony jest dozór nad granicznymi i handlowymi interesami; ma także przy sobie Boszka [wachmistrza – mż]. Co trzy lata bywają takowi urzędnicy przez innych luzowani [przyp. autora].

odprowadzenia misji przeznaczeni byli i w pierwszej stacji siedm werst (milę⁵ od Kiachty) stanęli. Przy nich znajdował się naczelnik Troickosawskiego wydziału pan J. F. Ostrowski z dziesiątej klasy⁶. Gdy już bagaże wyprawiono, dało kupiectwo miasta Kiachty, naj-samprzód kozakom formującym straż przy misji, których część niezwłocznie przez granicę przeszła, a potem wszystkim członkom misji ucztę. Do tego obiadu zaproszony był także Sarguczej, jako też nasi przewodnicy mongolscy i pograniczni urzędnicy. Po biesia-dzie poszedł naczelnik misji ze wszystkimi członkami, i ja z ubocz-nym tłumaczem do kościoła, abyśmy ostatnie Najwyższemu modły w świątyni ojczyznej złożyli. Stamtąd poszliśmy, prowadzeni przez duchowieństwo miasta Kiachty, z niesionym przed nami krzyżem, przy odgłosie dzwonów aż nad samą granicę. Mimo deszczu, był jednak wielki napływ widzów, tak naszych gorliwych rodaków, jako też ciekawych Chińczyków Majmaczu⁷. Na rosyjskiej granicy po-żegnaliśmy się z mieszkańcami Kiachty. Potem wstąpiwszy jeszcze nieco do domu Sarguczeja, gdzie przewodnicy Chińscy czekali, przeszła misja o godzinie 6-tej wieczór na ziemię Cesarstwa Chiń-skiego. Dyrektor ceł miasta Kiachty, jako też radca pogranicznej kancelarii z niektórymi członkami giełdy kupieckiej, blisko pół mili odprowadzili misję aż do namiotów, które Chińczycy z własnej chęci postawili. Tam przyjął nas Sarguczej herbatą; pożegnaliśmy się z naszymi rodakami, i w rzęsisty deszcz w dalszą puściliśmy się drogę. Najprzód jechał oddział konnicy mongolskiej, złożony z 20 ludzi uzbrojonych w łuki i strzały. Przy nich znajdowali się oficerowie: Sakirochczy, Meiren i Dzalan, także Dzangi mający na czapce białą nieprzeźroczystą gałkę⁸, który stopień z naszym kornetem po-równany być może; potem Kunduj, wachmistrz mongolski, który

⁵ Wiorsta rosyjska liczyła 1066,8 m, mila 7467,6 m.

⁶ W systemie urzędniczym carskiej Rosji istniał podział na 14 klas (rang) i wg nich prze-biegał proces awansów – począwszy od najniższej – czternastej.

⁷ Majmacz, właśc. Majmaczen – chińskie miasto handlowe odległe o cztery wiorsty od Kiachty, po drugiej stronie granicy. Obecnie miejscowość Altanbulag w Mongolii.

⁸ Znak przynależności do chińskiej VI klasy, odpowiadającej XI rosyjskiej.

na czapce mosiężną miał gałkę. Za tym oddziałem jechali w chińskiej kolasce, to jest w krytym wózku⁹ albo budzie na dwóch kołach, po bokach niewielkie mającej okna, Biczszy¹⁰ i Boszko. Takową wiozło dwóch postyilionów na koniu jadących, za pomocą umocowanego przez poprzek osi drążka, który do siodeł był przyczepiony. Potem jechali w dwóch linejkach (dorożkach) członkowie misji pocztowymi końmi z Kiachty; obok nich my i uboczny tłumacz na koniach w asystencji dziesięciu kozaków, należących do naszej załony. Tussulachczy¹¹ Idam nie odstępował Rosjan.

Gdyśmy w tym porządku pół mili zrobili, zajęliśmy do jurtów¹² dla nas przygotowanych. Jedną zajęli członkowie misji, drugą uczniowie; trzecią wziętem dla siebie; w ostatniej umieścili się nasi kozacy. Tuśmy zastali nasze bagaże i bydło, które się na pastwiskach pasło, wyjąwszy wielbłądy, bo te były wygodzone, to jest, że się im przez 12 dni i nocy ani jeść ani pić nie dawało; także i koniom wierzchowym i zaprzęgowym zwykle przez całą dobę nie daje się obroku, a to aby więcej sił nabrały, stosownie do doświadczeń sybirskich i mongolskich gospodarzy.

Gdy się członkowie misji w swoich jurtach rozgościli, odesłano linejki na powrót do Troickosawskiej warowni. Z nimi musieli także Dzangin i Kunduj, którzy nas tylko od granicy odprowadzili, do Kiachty powrócić. Gdy do mnie przyszli, uwiadomijając mnie o swoim powrocie i życząc nam szczęśliwej podróży, każdemu podług zwyczaju ofiarowałem po czarnej skórze. Tylko starszym czyli naczelnikom zrobiłem tę ofiarę.

O godzinie 9-tej była wieczerza u naczelnika misji, do której wszyscy podróżni i przewodnicy nasi zaproszeni byli.

⁹ W tym wózku, który im był przez jednego urzędnika z Urgi przez grzeczność pożyczony, jechali tylko z Urgi do Kiachty i znowu nazad z Kiachty do Urgi; potem zaś konno [przyp. autora].

¹⁰ Nadzorca pisarzy, urzędnik najniższej rangi.

¹¹ Urzędnik chiński w randze niższej od 11 klasy.

¹² Jurt, namiot ze skór niewyprawnych, nazywa się po mongolsku Ger; a kilka jurtów razem stojących, jak gdyby słoboda lub stacja, nazywają Mongołowie Urto. Uluss albo Oloss znaczy w ich języku lud, naród; Ordo – cesarski dwór albo pałac [przyp. autora].

Miejsce naszej stacji nazywało się Gilan nor (białe jezioro). Wielka, w trawę obfita płaszczyna, rozciąga się od Kiachty na 10 werst ku południowi; a ku zachodowi rozwleka się w długą przestrzeń aż do naszych poczt strażniczych w Kairanie¹³. Ku wschodowi od stacji znajdują się dwa jeziora, dokąd Sarguczej Kiachty latem na przechadzkę lub na polowanie wyjeżdża.

Po wschodzie słońca widzieliśmy liczne stada pasących się owiec, wołów i wielbłądów. W wielu miejscach na płaszczynach kurzyło się z jurtów, a po wszystkich stronach rozlegał się ryk bydła i tętent biegających koni. Był to pierwszy widok życia koczowniczego, które dla wielu z nas zupełnie będąc nowym, miły obraz dawniejszych czasów szczęśliwszych przedstawiało, przywołując na pamięć swobodne zatrudnienia wieku patriarchalnego. Niektórzy z Mongołów, stanowiących chińską pograniczną straż, przybyli do nas z oświadczeniem, iż się z nami na wielbłądy chcą mieniać. Doznając od chińskich kupców w Kiachcie wielkich przeszkód w bezpośredniej sprzedaży lub kupnie każdej rzeczy, chcieli korzystać z tej sposobności, i wejść z nami w wolny handel. Lecz żem się za moim przyjazdem do Urgi świeże do pracy już wprawione wielbłądy zastać spodziewał, przeto ich przełożenia bezskutecznymi zostały.

Wcześniej zaczęliśmy się do podróży gotować; lecz wiele straciliśmy czasu na łapanie naszych koni, które jeszcze zupełnie były dzikie, a jeszcze więcej potrzebowaliśmy do obładowania naszych wielbłądów, niebędących jeszcze równie oswojonymi. Przy łapaniu koni ze stada rządowego uciekł jeden koń za granicę i to z taką szybkością, że ani kozacy, ani Mongołowie, znajdujący się koło stad tamtejszych, dognać go nie mogli.

[...]

¹³ Kairan, własc. Kiran – jezioro i miejscowość o tej samej nazwie, 30 km na wschód od Kiachty, obecnie kurort, wykorzystujący zdrowotne właściwości błota z jeziora.

Rozdział VI

Podróż przez koczowiska kacharyjskich¹⁴ wojsk do warowni Chalganu¹⁵, leżącej poza wielkim chińskim murem.

[...]

Na szczycie tej góry ukazała nam się w niebieskim obłoku wieża na granicy, dzieląca Chiny od Mongolii. Jakież radośne uczucia wzbudził w nas ten pierwszy Chin widok!

[...]

Zimno przez wiatr daleko bardziej jeszcze dojmującym zrobiło się, nareście do tego już przyszło, że piechotą nawet idąc, ledwie się ogrzać można było. Przy tyle przykrym zimnie musieliśmy jednak jeszcze 20 werst aż do naznaczonej iść stacji.

Cztery werst dalej od świątyni zwróciliśmy się na lewo, i przez wąski wybój szliśmy więcej jak cztery wersty pod górę. Wielbłądy, konie zaprzężne i wierzchowe nieustannie padały, idąc raz po śliskich uścieniach¹⁶, drugi raz w głębokim śniegu nurzając się, weń zapadały. Gdyśmy pomienioną przeszli drogę, zesliśmy w jar, gdzie stoi piket¹⁷ mongolskiej straży z kilku jurt złożony. Wpadał w oczy nadzwyczajny ruch, z powodu bliskości tak handlowego miasta. Nieustannie spotykaliśmy karawany i powozy z Chalganu idące; lub też dopędzali nas, jadący to na koniach, to na wielbłądach.

Szliśmy jeszcze dwie werst wybojem¹⁸ między górami, nareście stanęliśmy na granicy dzielącej Mongolią od Chin. Na górach jest wał z kamieni usypany¹⁹. W pewnej odległości stoją od sie-

14 Jak pisze w innym miejscu (s. 302) Tymkowski: „Kacharowie stanowią jeden z oddziałów mandżurskiej armii, która w 1644 Chinom się poddała. Wielu z nich ma dozór nad owczarniami i innym gospodarstwem Bogdochana, za co znaczną pobierają płacę”.

15 Chalgan – Kałgan (obecnie Zhangjiakou) – ośrodek handlowy przy bramie mongolskiej Wielkiego Muru. W XVIII–XIX wieku ważny punkt wymiany handlowej z Rosją.

16 Uścień (własc. oścień) – ostre spiczaste narzędzie; tu: ostre lodowe wyboje.

17 Tj. pikietta.

18 Tj. przełęczą.

19 Tj. Wielki Mur, czyli tworzony przez wieki system obronny fortów, wież i murów, osłaniający Chiny przed najazdami ludów z północy.

bie wieże z cegieł zbudowane; wysokość wynosi około dziewięciu sążni²⁰. Z tej strony Chiny okazują się w najstraszniejszej postaci. W południowo-wschodniej i zachodniej stronie cały widok samą tylko najeżoną górą przedstawia, których czarnym śniegiem okryte szczyty niebieskie podpierają sklepienie. Od granicy aż do pierwszej chińskiej wioski szliśmy około 5 werst, znacznie przez wąską i śliską drogę ciągle pod górę. Po wierzchu wzgórze ciągnie się na prawo wyżej nadmieniony wał; po lewej stronie głęboka jest przepaść, grożąca nieostrożnemu podróżnemu co chwila pochłonięciem. Z drugiej strony ku wschodowi wznoszą się wysokie góry, których sterczące skały ponury i dziki przedstawiają widok. Otóż taki jest zjazd z wysokości stepów mongolskich w głęboko położone Chiny²¹.

Na koniec odbywszy tego dnia około 40 werst, stanęliśmy w pierwszej chińskiej wiosce. Obładowane nasze wielbłądy dopiero o godzinie 3-ciej z południa przybyły. Dwie karyjolki²² i 6 powozów, w których się członkowie misji znajdowali, dopiero o godzinie 5-tej stanęły. Inne zaś dla nadzwyczajnego utrudzenia koni były pod dozorem trzech kozaków, aż do dnia następującego przy mongolskiej pikiecie zostawione.

Z uczuciem najwyższej radości weszliśmy w pomieszkania Chińczyków, nie widząc od Urgi zacząwszy w przestrzeni blisko 1000 werst najmniejszego śladu uporządkowanego domowego gospodarstwa.

Wieś złożona z 20 domów leży na spadzistości gór wysokich. W wschodniej stronie wśród głębokiego jaru znajdują się także osady,

²⁰ Sążeń rosyjski – 2,129 m.

²¹ Ritter w swojej geografii powiada (t. 1. s. 445, 1817), że zjeżdżając z gór, przybywa się [na] równiny Chin; wyraz ten nie jest dokładny. Chiny podług wszelkiej słuszności, górzystym trzeba nazywać krajem. Wyraz tegoż samego pisarza: zamieszkałsze Chiny, daleko jest zasadniejszy w porównaniu Mongolii zupełnie z mieszkańców ogołoconej [przyp. autora]. – Mowa o pierwszym tomie wielotomowego dzieła Carla Rittera *Die Erdkunde im Verhältnis zur Natur und Geschichte des Menschen*, Berlin 1817–1818.

²² Karyjolka – lekki dwukołowy, jednokonny powozik.

wszystkie jednak nadzwyczajnie ścieśnione. Tu i ówdzie widzieć można uprawne pola.

Kacharowie przygotowali dla misji na końcu wsi jedną gospodę, po lewej stronie drogi stąd do Chalganu i dalej leżącą. Izby wszystkie i piekarnie są z gliny na pół z słomą zmieszaną budowane. Biczesy w tymże domu obrał sobie pomieszkanie. Ledwieśmy tu mogli ogrzać sobie nieco członki przez wilgoć i zimno zdrętwiałe. Od samej albowiem Kiachty ciągle pod gołym byliśmy niebem.

Siedząc przy żarzących się węglach, zapomnieliśmy o wycierpianych trudach i dolegliwościach w czasie podróży przez Mongolią. Chińscy właścianie kupami koło gospody gromadzili się dla widzenia Rosjan.

PRZEDRUK ZA: *Podróż do Chin przez Mongolią w latach 1820 i 1821 przez Jerzego Tymkowskiego odbyta z rosyjskiego zaś na polski język przez T. W. Kochańskiego, członka Towarzystwa Jeograficznego w Paryżu przełożona*, t. 1, Lwów 1828, s. 29–32, 322–323, 329–331. – Jest to przekład z rosyjskiego wydania: Тимковский Е. Ф., *Путешествие в Кумаї через Монголию в 1820 и 1821 годах*, в 3-х тт., СПб., 1824.

Książkę tę czytał Niemcewicz podczas pobytu na emigracji w Paryżu, w 1834 roku: „11 czerwca. [...] Czytałem podróż do Chin, lądem przez W. Tartarię²³ przez Tymkowskiego w r. 1821. Wszędzie Moskale wściabiać się muszą. W Chinach mają swoje faktorie, seminarium, szkołę, ropów. Część Tartarii jest na kilkadziesiąt mil nieużyta stepą, z przyczyny, że wody w niej nie ma” (Julian Ursyn Niemcewicz, *Pamiętnik. Dziennik pobytu za granicą*, t. 11: 1833–1834, Poznań 1877, s. 390).

²³ Tak do początku XX wieku nazywano tereny Azji centralnej w nawiązaniu do wielkiego średniowiecznego imperium Czyngis Chana.

34. Jak przedostać się do walczącej Grecji? 1826

Henryk Bogdański (1804–1887)

Dziennik podróży z lat 1826–1827 [fragment]

Już niedaleko było do głównego targu. Niecierpliwość nasza brała górę – coraz więcej poznaliśmy Greków, ale wszyscy uchylali się od interesu naszego¹; a przy teraźniejszych politycznych okolicznościach i baczności austriackiego rządu niewiele z naszego wielkiego targu robili nam nadziei. Czas upływał, Grecy się bili – a my siedzieli daremnie – smutno nam było. Do tego nowy list od Szczęsnego Boczkowskiego², wyrzucający nam opieszałość, tknął nas mocno – nie znał położenia naszego, nie dziwił się. Ale w nim znowu list od matki mojej, a w nim 20 złr. m.k.³, odnowił gwałtowne uczucia, które mną już do końca miotać nie przestawały – biedna matka nie wiedziała, gdzie jestem, i na pamięć szukała mię w Wiedniu – nowa ponurość, nowe udręczenia towarzyszyły mi nieodstępnie. Lecz podobny list otrzymał wkrótce od matki i Franciszek Zabłocki, także przez Wiedeń – wyczerpałem całą moją wymowę, aby go rozerwać, tyle go tknęło przywiązanie matki. Pocieszałem go, sam potrzebując pocieszenia; a równe położenie i jednaka siła uczucia, które nawzajem wynurzaliśmy sobie, znośniejszym czyniły wspólny smutek. Aż listy od przyjaciół z Wiednia

1 Bogdański i jego przyjaciel Franciszek Zabłocki, pochodzący z okolic Przemysła, a studiujący razem w Wiedniu postanowili – podobnie jak wielu innych romantycznych ochotników z Europy – przyłączyć się do powstania greckiego. Na początku lipca 1826 roku wyruszyli z Wiednia do Budapesztu, a stamtąd próbowali już nielegalnie zorganizować dalszą podróż.

2 Szczęsny Boczkowski (1804–1855) – po ukończeniu studiów był lekarzem w Bochni, a następnie w Wieliczce.

3 Złr. m.k. – złoty reński monety kurentnej kruszcowej; złr. zwany był także florenem lub guldenem. W Austrii od 1811 roku istniały dwa rodzaje pieniędzy: moneta kurentna srebrna (skrót: m.k.) oraz waluta wiedeńska (skrót: w.w.), będąca pieniądzem papierowym. Złoty reński dzielił się na 60 krajcarów (skrót: kr.). Moneta kurentna kruszcowa miała w tych latach wartość ponad 3 razy większą od waluty wiedeńskiej papierowej.

i ze Lwowa, chcących dzielić nasze trudy i pytających o drogę do Grecji i o sposoby dostania się tamże, przygłuszyły na chwilę gwałtowne wzruszenia i nowym stały się bodźcem do działania.

W dniu 13 sierpnia przedstawił nas Werowali Grekowi Michałowi Triantafilos, który niedawno wrócił do matki z Morei⁴ i objął na powrót handel skórami. Podobnych trudności do naszych doznawał przy opuszczaniu granic austriackich, dlatego z zaufaniem powierzyliśmy mu nasz zamiar; lecz gdy przy pierwszym zaraz poznaniu, nie znając nawet dobrze jeszcze Werowalego, zanadto wolno z nami mówił i odkrywał rzeczy, które tylko najzaufańszym i wciągniętym w tajemnicę odsłaniają się przyjaciółom, wzniecił w nas przeciw sobie podejrzenie i nabawił nas obawą podstępu, zwłaszcza że podobnych przykładów ze strony kupców greckich pod rządem austriackim można było niemało naliczyć. Odeszliśmy z pochwałąmi dla rządu z niemałym jego zdziwieniem. Dopiero po kilkakrotnym widzeniu się z nim, uspokojeni przez Afxaniadesa, poznaliśmy w nim tylko za żywe usposobienie i szczerze przystąpiliśmy do układów.

Także i Triantafilos niewiele robił nam nadziei z oczekiwanego targu; ale radził udać się na Wołoszczyznę⁵, dokąd nie z taką trudnością jak do Belgradu, za którym był więcej Afxaniades, połączona będzie przeprawa, bo tam nie ma Dunaju, tylko sucha granica; a w Bukareszcie jako poddani tureccy, za których łatwo udać się możemy, z łatwością zapłaciwszy wojewodzie, tj. dyrektorowi policji, piasra⁶, co znaczy mniej jak 30 kr. w.w., lub dwa piastry, dostaniemy paszporty, z którymi śmiało, niezatrzymani nigdzie albo przez Konstantynopol, albo przez Węgry i Triest⁷, przeprawić

4 Morea – używana od XIII do XIX wieku nazwa Peloponezu.

5 Wołoszczyzna – kraina historyczna, obecnie w płd. Rumunii. Obejmuje Nizinę Wołoską między Karpatami Południowymi a Wyżyną Północno-Bułgarską. W skład jej wchodziła Mołdawia obejmująca Wyżynę Mołdawską między Karpatami Wschodnimi a Dniestrem i deltą Dunaju.

6 Piastr – drobna moneta różnych krajów Bliskiego Wschodu. Piastr – srebrna i złota moneta turecka, dzieliła się na 40 para.

7 Triest – główne miasto nad Zatoką Triesteńską, w latach 1382–1919 pod władzą Austrii, z wyjątkiem lat 1797–1814, kiedy okupowali je Francuzi.

się możemy do Morei. – Jużeśmy postanowili pójść za jego poradą, ponieważ zaś przebycie pustyń węgierskich i gór siedmiogrodzkich jest niebezpieczne, zabieraliśmy się do kupienia pistoletów i lasek ze szpadami albo sztyletów, które by nam także za paszporty na granicy do Turcji w ostateczności służyć mogły. Ale i ten pomysł wkrótce zniweczyła wiadomość, że na Wołoszczyźnie straszna wybuchła zaraza, z którą walczyć nie mieliśmy ochoty.

Ku końcowi sierpnia już i targ się rozpoczął, a my jeszcze żadnego nie mieliśmy sposobu opuszczenia granic Austrii. Lekarz Terdzi, Grek, zalecony nam od Triantafila jako przyjaciel urzędników policji, nadzwyczajną swoją powolnością nie powiększył nadziei naszej. Dotychczasowe pomieszkание nasze, przed naszym zajęciem go jeszcze przez kupców na czas targu najęte, musieliśmy odmienić i na dwa tygodnie za 10 złr. w.w. nająć inne. Zwykle kupcy wybierający się na ów targ do Pesztu⁸ zamawiają sobie u znajomych lub przez znajomych naprzód pomieszkание i przysyłają na nie zadatki; bo zwykle tak bywało, że dla bardzo wielkiego zjazdu ci, którzy się tym sposobem nie zabezpieczyli, nie mogli znaleźć pokoju – a miejscowym, niemieszkającym stale w jednym domu lub nienajmującym pomieszkания na kilka przynajmniej miesięcy, podwyższano czynsze.

Podczas targu, który trwał zwykle przez miesiąc i dłużej, rzuciliśmy się między różnych obcych kupców – ale nadaremnie. I miejscowi Grecy dopomóc nam nawet w tym nie chcieli; tylko nas przestrzegali i radzili ostrożność, by w zdradzieckie nie wpaść ręce. Także Triantafilos, najgorliwszy popieracz zamysłów naszych, wzbraniał się przemówić za nami u przybyłych kupców; ale nam nową natrącił radę udania się osobiście wprost do policji.

Przygotowani na wszystko, usłuchaliśmy rady Triantafila – szliśmy jakby przeciw ogniowi działowemu na plac boju, gdzieśmy zwycięstwo lub śmierć znaleźć mieli. Policja w Peszcie jest połączona z Magistratem; i pomimo przysłania kilku do niej

⁸ Peszt (węg. Pest) – lewobrzeżna część Budapesztu, do 1872 roku odrębne miasto.

urzędników z Wiednia nie jest tak groźną i surową w przesadzaniu, a nawet dokonywaniu rozporządzeń, jak tam, gdzie jest samoistną władzą. Poszliśmy więc w imię Boże: niemłodemu urzędnikowi z surowym spojrzeniem przedstawiliśmy się za akademików chcących zwiedzać Węgry w czasie szkolnych ferii, które się właśnie zaczynały. Zapytani badawczym okiem, dokąd iść chcemy, udaliśmy, że wuj nasz, pułkownik w Karlstadt⁹, wezwał nas dla zwiedzania z nami miasta Fiume¹⁰ i okolic morskich – niewiele nam wierzył – a gdy na żądanie jego okazaliśmy mu zaświadczenia akademickie, Franciszek lwowski, a ja wiedeńskie, i przedstawiali, że akademicy podczas ferii zwykle podróżują po innych prowincjach, rzucił się jakby piorunem rażony i surowo zapytał o paszporta z Wiednia i o przyczynę tajnego pobytu naszego w Peszcie, gdy po wyszłym niedawno rozporządzeniu meldowania się nazwisk naszych jeszcze nie zna. Przytomny wybieg uwolnił nas od dalszego śledztwa: opowiedzieliśmy, że do podróży Dunajem z Wiednia do Presburga¹¹ potrzebna jest tylko przepustka policji wiedeńskiej i żeśmy te mieli, lecz że nam je okrętarz dla swojego wylegitymowania się odebrał – że stamtąd, ciekawością zdjęci, przybyliśmy wczoraj dopiero do Pesztu i że teraz dla równej ciekawości brzegi morza zwiedzić chcemy. Takie tłumaczenie byłoby nas w policji lwowskiej lub wiedeńskiej zaprowadziło do kozy; ale już tylokrotne opowiadania nam o większej łagodności policji peszteńskiej od tamtych spowodowały nas do podjęcia tej próby; bo inaczej nie byłibyśmy się na ten krok odważyli. Urzędnik uśmiechnął się tylko i ruszywszy ramionami odesłał nas do Vice-Gespana¹², jako mniej odpowiedzialnego. Odeszliśmy zadowoleni, że się tylko na odmówieniu paszportów skończyło – i zdaliśmy sprawę Triantafilowi ze szczególnie odbytego odwrotu.

⁹ Karlstadt – niemiecka nazwa chorwackiego miasta Karlovac położonego 52 km od Zagrzebia, z silną twierdzą dla osłony kraju od najazdów tureckich.

¹⁰ Fiume – włoska nazwa Rijeki, chorwackiego miasta i portu nad Zatoką Rijecką.

¹¹ Pressburg, Preszburg – Bratysława.

¹² Vice-Gespan – zastępca żupana, urzędnik komitatu węgierskiego.

Nie mogliśmy się już odważyć do pokazania się w komita-
cie Vice-Gespanowi zaświadczeń naszych; a nikt z akademików
węgierskich swoich powierzyć nam nie chciał. – Wszystko nas
zawodziło – targ, jedyne przed miesiącem oczekiwanie nasze, zaj-
mował nas tylko ruchem swoim i ubiorem różnych narodów berłu
tureckiemu podległych; nadzieja w nim położona rozdziła czasem
małą iskierkę, ale zawady prędko ją zadmuchnęły. Już mijały dwa
miesiące naszego pobytu w Peszcie – a gdyśmy się dotąd już obok
Fabuiego¹³, Francuza, ocierać się z Turkami albo z Kanarisem¹⁴
palić okręty egipskie spodziewali, wlekliśmy nudne życie obok
zimnych dusz i serc kamiennych Greków, których znaczna liczba
jest w Peszcie, już tam zamieszkałych i urodzonych, ale mało prze-
jętych sprawą ojczyzny swojej. Tylko Triantafilos zagrzewał nas
swoim ogniem, lecz i on był kupcem; i w nim zysk z handlu wal-
czył z miłością ojczyzny.

Wszystkie już dla nas wyczerpnął rady i wszystkie zabiegi były
daremne. Wpadł na koniec na pomysł niebezpieczny, ale jedyne,
któren nam mógł dopomóc: zalecił kłamać zaświadczenia kupców,
nam jako kupczykom za pomocą tych zaświadczeń postarać się
o paszporty i z nimi przez Triest udać się do Morei. Bez wahania
chwyciliśmy się tego ostatecznego środka – odmieniliśmy nasze
nazwiska, zmyśleli nazwiska kupców uwalniających nas od służby
i spisaliśmy zaświadczenia. Franciszek nazwał się Franz Zapolzky,
rodem z Koszyc¹⁵, i służył u kupca Plegel w Tyrnawie; ja zaś na-
zwałem się Henrykiem Bagnig, rodem także z Koszyc, i służyłem
u kupca Golitz w Koszycach. Triantafilos przyniósł dwie pieczętki
kupieckie z cyframi odpowiednimi podpisanym kupcom i odcisnął
je dla większej wiary na zaświadczeniach. Zaświadczenia więc były;
ale któż z nimi pójdzie do urzędu? – my się nie mogli odważyć i nikt

¹³ Charles Nicolas Fabvier (1782–1855) – oficer, później generał francuski. Jako ochotnik walczył w Grecji przeciw Turkom od roku 1823. W 1827 roku kierował obroną Aten.

¹⁴ Konstantinos Kanaris, Canaris (1790–1877) – admirał grecki, spalił flotę turecką pod Chios w 1822 roku.

¹⁵ Koszyce – miasto we wschodniej Słowacji, 273 km od Budapesztu.

ze znajomych Greków nie chciał się tego podjąć. Znalazł się przecież skończony młody a ubogi prawnik, który czasami odwiedzał Triantafila; zachęcony ilością 17 złr. w.w., oświadczył swoją gotowość usłużenia nam i poszedł z zaświadczeniami do komitetu, do znajomego sobie urzędnika; wytłumaczył niemożność naszą stawienia się osobiście i prosił na te zaświadczenia o paszporty do Triestu. Na nasze nieszczęście urzędnik ten komitatowy znał dobrze Koszyce i Tyrnawę; a gdy nazwiska zmyślonych kupców nie były mu znajome, oburzył się na zuchwałość młodego prawnika, a tylko znajomość z nim wstrzymała go od dalszego prześladowania fałszu. – I tak ostatecznie nasze oczekiwanie spełzło na niczym; a my, jak rozbitki rzuceni na morze, czekaliśmy cierpliwie pochłonięcia w bałwanach.

Ale zwykle nie z mozołą szukany ratunek, lecz niespodziewany w samą przychodzi porę. W dniu 28 sierpnia, gdyśmy w sklepie Triantafila siedzieli zasmuceni i obawiali się złych skutków z udanych zaświadczeń, których nie mieliśmy nawet przy sobie – wpadł do sklepu zadyszany prawnik i, dobywszy paszporta, powitał nas kupczykami po przybranych nazwiskach. Niezwykle ucieszeni, jużemy się widzieli u celu naszego, choć paszporta tylko do Triestu były wydane; bo zdawało nam się, że najłatwiej udać się stamtąd, dokąd kto zapragnie. Tę radość, to szczęście czuły tylko serca nasze, którym jedynie silne z przybyszem dłoni uściśnienie i zwilgotniałe a wymowne odpowiadały oczy i zdradzały to uczucie – usta milczały – a pióro oddać go nie zdoła. Wszystkie nasze przykrości zostały wynagrodzone.

Prawniki, niezrażony surowością komitatowego urzędnika, wezwał w pomoc odwagę i podstęp, powtórzywszy kilkakrotnie udanie się swoje do komitetu, gdy postrzegł, że w miejscu niechętne go urzędnika inny siedział, wszedł do niego, a wcisnąwszy mu 5 złr. w.w., wyłudził zręcznie od niego żądane paszporty do Fiume i Triestu; z którymi ten urzędnik udał się zaraz do Vice-Gespana i uzyskał jego podpis z urzędową pieczęcią. Te 5 złr. w.w. zwróciliśmy mu chętnie. Dopieiliśmy celu po tak długim i niecierpliwym

czekaniu – już nam się zdawało, że droga do Grecji stoi nam otworem – zawsze tylko pochód do Triestu wydawał nam się trudny; lecz teraz poprowadzą nas paszporty i znikną przeszkody. Już myślą lądowaliśmy do wyspy archipelagu, walczyliśmy za wolność Morei i tonęliśmy w szczęściu marzeń. Triantafilowi z wdzięcznością zostawiliśmy na pamiątkę francuską książkę Volneya *Ruiny Palmiry*¹⁶, przyniesioną z Wiednia, napisawszy na niej prawdziwe nazwiska nasze. Tej radości udzieliliśmy naszemu Szczęsnemu do Wiednia; a odjazd nasz wstrzymywało tylko oczekiwanie odpowiedzi.

PRZEDRUK ZA: Henryk Bogdański, *Dziennik podróży z lat 1826–1827*, przygotowali do druku, wstępem i przypisami opatrzyli Józef Długosz i Józef Adam Kosiński, Kraków 1980, s. 78–82.

¹⁶ Constantin François Volney (1757–1820) – erudyta, uczony francuski, członek Akademii Francuskiej, autor dzieła *Les ruines ou Méditations sur les révolutions des empires* (1791).

35. Na ziemi francuskiej. 1831

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798–1845)

Pamiętniki [fragmenty]

10 sierpnia. – Przejechawszy Heilbron, Carlsruhe, Baden-Baden, wczora o godzinie 4 po południu stanęliśmy na ziemi francuskiej, w Strasburgu, w hotelu *la Fleur*. Dobrze mi i lekko, jak gdybym do drugiej przybyła ojczyzny. Bardzom kontenta dotąd z Francji, lubo jeszcze Strasburg nie jest zupełnie Francją. Dobrze nam się droga z Baden udała, bo stanęliśmy prędko i niekosztownie¹. Jechaliśmy dyliżansem. [...]

Droga z Baden prócz równiny nic nie ma ciekawego; na parę mil z daleka między drzewami zobaczyłam jakby wielką topolę, pokazuję mężowi, a on mi mówi, że to Münster²; ciągle odtąd pokazywała się ta wieża, widok jej przyjemne zrobił mi wrażenie; bo jednak coś ciągnie do tej Francji. Trzy były stacje pocztowe, jazda zatem prędką, stanęliśmy nareszcie w Kehl, ostatnim miasteczku Badeńskim, niegdyś fortecy znakomitej. Wkrótce potem ujrzałam Ren. Toczył się wspaniale po równinie i przypominał mi Wisłę, lubo tu nie tak szeroki, jak naszych pól opiekunka. Wnet zajechaliśmy przed most i tam ujrzałam raz pierwszy kolory francuskie; ich podobieństwo z naszymi dziwnie miłe sprawiły mi złudzenie. Most na łyżwach jednak odmienny jak nasz warszawski i dłuższy, bo Renu łoże jeszcze więcej rozłożone jak Wisły, płynie bystro i kolor ma zielonkawaty; tu już zobaczyłam żołnierzy francuskich, a ich postawa śmiała, niewymuszona, zupełnie mi przypomniały nasze wojsko. Skorośmy wjechali na ziemię francuską, mimowolnie z radością ścisnęliśmy się z mężem za ręce, a jam wezwała jeszcze Boga pomocy i błogosławieństwa. Wnet zatrzymały się powozy

¹ Hoffmanowa opuściła Warszawę po upadku powstania listopadowego, by dołączyć do męża na emigracji, który wyjechał po nią do Wrocławia. Zob. tekst nr 65.

² Gotycka katedra w Ulm (niem. Ulmer Münster).

przed komorą, każdy wysiadł o swoje rzeczy troskliwy, tyle ich było, a nasz kufer tak duży, że uszedł szczęśliwie i otwieranym nawet nie był. Przejechaliśmy potem drugi most zwodzony i bram kilka, bo Strasburg forteca. W rogatek żądali tylko pokazania paszportów, a że my mamy francuski, oddano natychmiast, nie pytając nawet, w której gospodzie staniemy. [...]

Mąż³ jak zwykle cały kłopot z rzeczami wziął na siebie, a ja sobie poszłam do hotelu *à la Fleur*, gdzie nam dano wygodny pokoik. Wnet nadszedł i mąż z pakietami, ogarnęliśmy się trochę i zeszliśmy na dół na obiad; przedziwny był i zupełnie w polskim guście: zupa z jarzynami i bułką, sztuka mięsa z musztardą, kotlety baranie z bobem, kaczka z groszkiem zielonym, szczaw z jajami, szczupak, rybki smażone, kuropatwy i kurczęta z sałatą, kompot z wisień, ciastka dwojaki, morele, renklody, poziomki, migdałki, wszystko czysto i smaczno. Przyjemnie mi było rozumieć co mówią, a że nie było kobiety prócz mnie, grzecznością francuską wszystko ode mnie zaczynano. Łóżka wygodne, szerokie, materaców trzy, poduszek dwie i wybornie je ścielą, beciki dają maleńkie na nogi (zabytek niemieczyzny), ale te oczywiście teraz niepotrzebne. Odpocząwszy po obiedzie i ubrawszy się, poszliśmy obejrzeć miasto; jest dosyć duże, ale brudne, mniej piękne, bo ulice krzywe, nieforemne, wąskie; domostwa niektóre bardzo brzydkie, lubo są i pałace, i piękne gmachy. Czystości niemieckiej już ani śladu. Brudno, śmieci dużo, ale za to ruch jak nie widziałam nigdzie; sklepów pełno, jakoś swobodnie, wesoło.

PRZEDRUK ZA: Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, *Pisma pośmiertne. Pamiątniki*, t. 11, Berlin 1849, s. 12–15.

³ Karol Boromeusz Hoffman (1798–1875) – pisarz polityczny, prawnik i wydawca.

36. Pierwsze wrażenie z Francji. 1832

Ignacy Domeyko (1802–1889)

Moje podróże [fragment]

12 lipca 1832. Na granicy straż celna i wojskowa niemiecka po ludzku z nami¹ się obeszła; grzecznie, a nawet z niejakimś przymleniem się. Celnik Szwab, co od podróżnych zapłatę odbiera, zrazu surowo domagał się od nas kilka grajcarów; ale skoro poznał, żeśmy Polacy, zdjął kapelusz, uklonił się i odszedł.

Darmo przez most przejechaliśmy. Żołnierz na warcie francuskiej jednym spojrzeniem bratersko nas powitał; drudzy wykrzyknęli: „*Vivent les Polonais!*”². Duanierzy³ nie rewidują nas. Wjechaliśmy do Francji, jak gdyby po jakiej wielkiej wygranej, jak gdyby do swego kraju.

Zadrzałem z radości na widok francuskich żołnierzy; nie widziałem ich od 1812 roku, kiedy to cały korpus króla westfalskiego⁴, Poniatowski i Dąbrowski ze swoimi legionami przeciągnęli przez Szczuczyn⁵, gdzie byłem małym studentem⁶ natenczas w szkołach. Dziwne przypomnienie! momentalne jak błyskawica przeleciało przez duszę.

Po tylu latach napatrzenia się na rosyjskich, dobrze wymusztrowanych, wyprężonych żołnierzy i na pruskich, mało co różniących się od poprzednich, przyjemne wrażenie zrobił na mnie

¹ Domeyko, internowany w Prusach, po upadku powstania udał się na emigrację. W Dreźnie spotkał Mickiewicza i w dalszą drogę do Francji wyruszyli razem.

² *Vivent... (fr.)* – „Niech żyją Polacy!” – popowstaniowych emigrantów ludność niemiecka i francuska przyjmowała z entuzjazmem.

³ Urzędnicy komory celnej.

⁴ Hieronima Bonaparte (1784–1860), najmłodszego brata Napoleona I, panującego w Westfalii, królestwie między Elbą a Renem, utworzonym na mocy pokoju w Tylicy (1807).

⁵ Szczuczyn – miasto na Białorusi w pow. lidzkim.

⁶ Tj. uczniem.

żołnierz francuski. Lekka, żywa, niewymuszona postawa, wygodny, nieciasny mundur, coś szlachetnego, dowcipnego w obejściu się, twarz wesoła, a przynajmniej nie smutna, nie ponura, nie zimna; – jednym słowem żołnierz-człowiek to, nie machina, znać, że każdy bez przymusu bić się może i wie za co. Owóż pierwsze wrażenie, jakiego doznałem za pierwszym stąpieniem na ziemi francuskiej.

PRZEDRUK ZA: Ignacy Domeyko, *Moje podróże: pamiętniki wygnańca*, przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami Elżbieta Helena Nieciowa, t. I, Wrocław 1962, s. 103.⁷

⁷ Przedruk tekstu za zgodą Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

37. W tureckim biurze paszportowym. 1854

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)

Od kolebki przez życie [fragment]

Na statku urzędnik policyjny pozabierał nam paszporty, po które powinniśmy się byli zgłosić do biura paszportowego w Warnie¹. Ja miałem „teskiere”² tureckie, wydane mi na mocy protekcji amerykańskiej. Zastępowało mi ono amerykański paszport. Tak samo wszyscy zaopatrywani byli w dokumenty podróżne, mające walor w oczach władz tureckich na prowincji.

Stanęliśmy w hanie³: korespondent „Times’a”, Kuczyński⁴, Rumuni i ja. Rumuni bezsilni i bezwładni położyli się; jeden i drugi dostali gorączki katarowej; trzeba ich było doglądać i leczyć oraz teskiere ich wydobywać i w konaku⁵ o podwodę do Szumli kołać. Starania te zwaliły się na mnie ciężarem, który wcale lekkim nie był, wymagał bowiem deptania po ulicach błotnistych Warny i umawiania się z Turkami. Zabawny spotkał mnie w biurze paszportowym wypadek. Urzędnik, co mi teskiere moje wydawał, zapytał mnie o nazwisko i gdym mu takowe powiedział, wy dostał spod poduszki, o którą był oparty, plik teskierów, jął się szukać, wyszukał, zawizował, podpieczętował i mnie wręczył. Miałem tę ostrożność, że nazwisko moje na stronie odwrotnej zapisał. Urzędnik dał mi teskiere jakieś cudze. Więcem mu oddałem, mówiąc: „To nie moje”.

¹ Miłkowski w styczniu 1854 roku, w okresie wojny krymskiej, przyплыł z Konstantynopola do Warny – w drodze do Szumli, gdzie miał organizować oddział polski przy rumuńskim korpusie wołoskim.

² Tj. paszport.

³ Han (tur.) – gospoda, zajazd.

⁴ Hipolit Kuczyński (Iskinder-Bey, Skander Bey, 1818–1858) – wojskowy, uciekinier z armii rosyjskiej, w 1848 roku walczył na Węgrzech, a po upadku powstania uszedł do Turcji. Był jednym ze świadków choroby i śmierci Adama Mickiewicza w Konstantynopolu.

⁵ Konak (tur.) – karczma, zajazd.

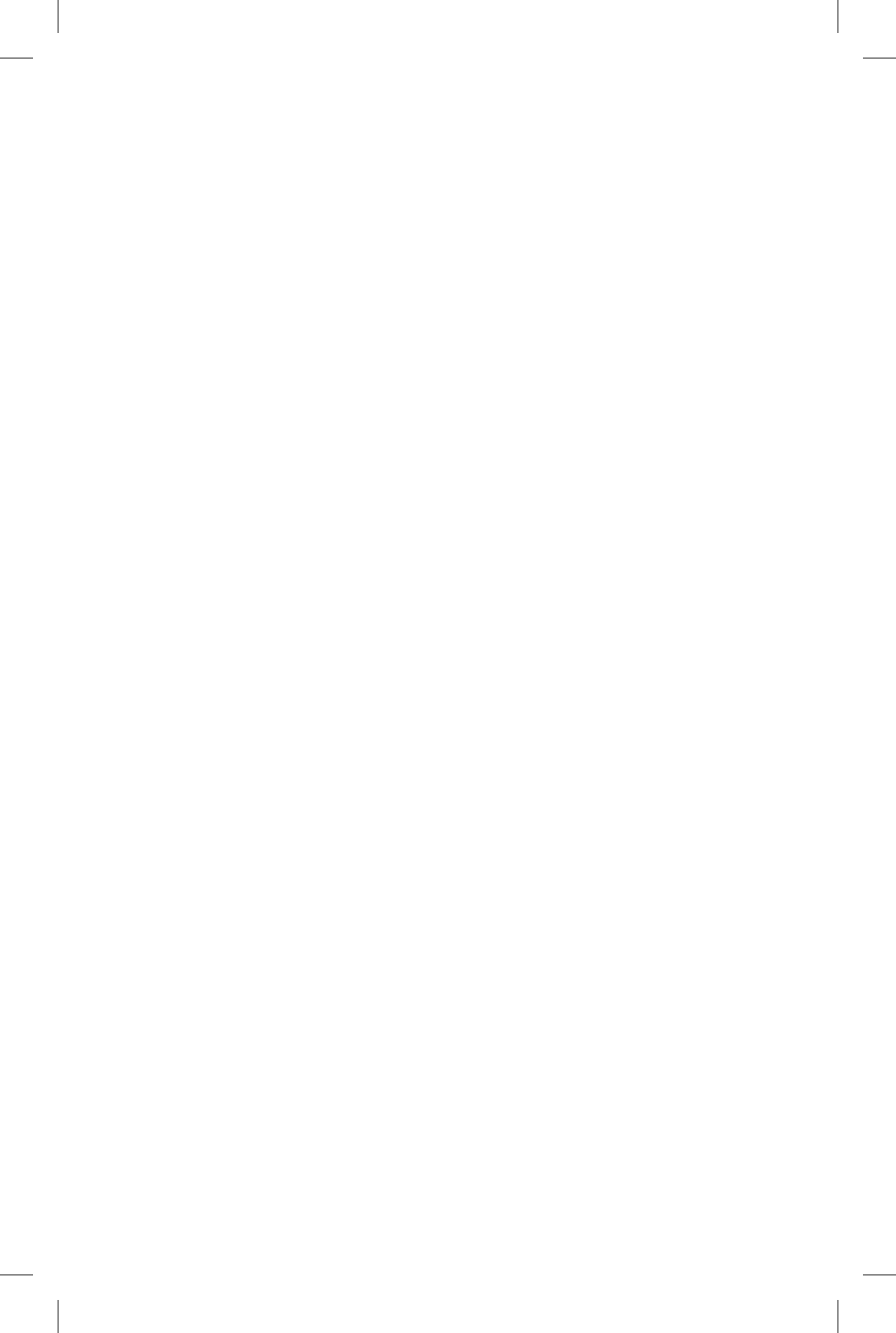
– Nie twoje? – odparł i znów się szukać jął, wyszukał, zawizował, podpieczętował i wręczył mi teskiere... znów nie moje.

– Nie moje – rzekłem.

– Nie twoje? – odrzekł spokojnie. Poszukiwanie ponowił po raz trzeci i po raz trzeci błąd popełnił. Skończyło się na tym, że teskiere moje wynalazł sam, szukając ze strony odwrotnej. Jak się zdaje, urzędnik paszportowy czytać nie umiał; umiał jeno wizę napisać i pieczęć przyłożyć. W Turcji się osobliwości tego rodzaju zdarzały często.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Bruckner, Kraków 1936, t. 11, s. 96.

Różne oblicza przemytu



38. Przemysł mały i duży, anegdota. 1828

„Motyl” 1828, nr 7

Przy powrocie z Brukseli panna B. powierzyła nieostrożnie swoim towarzyszom podróży, że wiozła z sobą z Belgii piękny prezent dla siostry, to jest kwef koronkowy starannie uwinięty i zasznurowany. Dylizans staje przed komorą i gdy celnicy rewidują powóz, pewien jegomość, którego tusza dosyć niewygodnym czyniła sąsiadem, wchodzi misternie do komory i powraca niebawem w towarzystwie przełożonego rewizora, który wzywa naszą damę, aby chciała zezwolić na maleńkie poszukanie, lecz dyskretny komornik przydaje, że jego żona ten akt odbędzie. Kwef znaleziony zabrany, lecz pozbawiona do pojazdu siada, wyrzekając głośno na grubego, niecnego, delatora. – No, Pani, zawołał, gdy się nieco od komory oddalono, dosyć było swaru za gałganek. Mam ja na sobie takich za sześćdziesiąt tysięcy franków i będę miał honor ofiarować Pani na pierwszej stacji jeden, który zaręczam ją, pod żadnym względem utraconemu nie ustąpi.

PRZEDRUK ZA: „Motyl”, Kwartał 1, nr 7 (21 kwietnia 1828), s. 27–28.

39. Los towarów z porzuconej kontrabandy. 1832

„Dziennik Powszechny” 1832, nr 240

Ogłoszenia urzędowe

Komora Wchodowa¹ i Rzędu Tomaszów.²

Komisja Województwa Lubelskiego w dniu 12 czerwca r. b. Nro 2 579 665 896 w sprawie przeciwko niewiadomemu defraudantowi³ przez podrewizora dochodów tabaczknych i Rogalewicza, strażnika celnego, o defraudacją niżej wyszczególnionych obiektów obwinionemu, wydała następujący wyrok: Zważywszy, że właściciele defraudowanego towaru wiadomi nie są, ani też pomimo wydanych obwieszczeń wyśledzonymi nie zostali, z tych powodów Komisja Województwa Lubelskiego towary, jako to: cukier, karton, muszlin⁴, arak, za złp 819 gr 27 przez licytacją sprzedane, na konfiskat przeznaczona, zaś wpis złp. 10, koszta stempla prenotowanego⁵ złp. 4 gr 25, użyć się mającego złp. 2 gr 10, kopiałia⁶ złp. 1, porto prenotowane złp. 4 groszy 21, koszta obwieszczeń i inne wszelkie z kwoty za sprzedany towar pochodzącej zastąpionymi być mają. Zaczem Komora Wchodowa i Rzędu Tomaszów wzywa niniejszym ostatecznie właścicieli wyż wzmiankowanego, na konfiskat przeznaczonego obiektu, aby się w ciągu 4 tygodni od daty niniejszego

¹ Istniały wówczas podwójne opłaty celne – pierwsze w komorach „wchodowych” na granicy, pobierające cło za import, a kolejne opłacane wewnątrz kraju jako cło konsumpcyjne (w komorach konsumowych) – miało to utrudniać przemyt towarów.

² Komory i rządu znajdowały się w największych miastach i głównych przejściach granicznych. Podlegały im komory i rządu, a ponadto miały one większe uprawnienia w zakresie pobierania ceł różnego rodzaju. Komora w Tomaszowie znajdowała się przy granicy z Galicją, na trakcie pocztowym do Lwowa. Zob. Też tekst nr 16.

³ Tak w języku urzędowym nazywano przemyt. Tu mowa o towarze zapewne porzuconym przez uciekającego przed strażą graniczną przemytnika.

⁴ Tj. muslin.

⁵ Prenotowany – na koszt osób, które dopiero wskaże postępowanie sądowe.

⁶ Kopiałia (z niem. Kopialien) – należność za przepisanie, odpisowe.

obwieszczenia do urzędu Komory stawili i uciążliwość⁷ tego wyroku udowodnili, w razie bowiem przeciwnym, po upływie bezskutecznie tego terminu, wyrok na wstępie niniejszego obwieszczenia z daty i numeru cytowany, za prawomocny uznanym zostanie.

w Tomaszowie dnia 13 lipca 1832 r.

Bronikowski,- Krotki,- Czapalski.

Komora Celna Konsumowa w Województwie Krakowskim.

Podaje do publicznej wiadomości, iż na d. 11 sierpnia r.b. Nro 41 661 Komisja Województwa Krakowskiego wydała wyrok administracyjny w sprawie na doniesienie straży Kozaczej, a mianowicie: Jerofiowa Puraków, Michała Brytykow, Joana Kieryow i Sumona Szyrowkow przeciwko zbiegłym o defraudacją płótna ordynaryjnego funtów 246, kartonu białego funtów 23, drelichu farbowanego funtów 10 364 i innych obiektów uformowanej, mocą którego towary przedmiotem sprawy będące na konfiskatę skazała. Skutkiem czego Komora Konsumowa wzywa właściciela niewiadomego z nazwiska, aby się z dowodami usprawiedliwiającymi własność i prawe pochodzenie *questionis*⁸ towarów przed upływem 4-ro tygodniowym zgłosił, w przeciwnym bowiem razie wyrok powyższy stanie się prawomocnym.

Kielce d. 24 sierpnia 1832 r.

Miernicki.- Zalewski.

PRZEDRUK ZA: „Dziennik Powszechny” 5 września 1832, nr 240, s.1078.

⁷ Tj. niesłuszność.

⁸ *Questionis* – (łac.) zakwestionowanych.

40. Spiskowcy i przemysł książek. Cytadela 1839

Karol Bogdaszewski (1816 – po 1857)¹

Zeznania w Warszawskiej Komisji Śledczej, Warszawa

24 VII/5 VIII – 18/30 VIII 1839² [fragmenty]

66. Z kim wyjechałeś z Krakowa, w którym punkcie przebyłeś granicę, jakie książki i pisma w duchu demokratycznym przywiozłeś z sobą do kraju?

W d. 21 I 1838 r. wyjechałem z Krakowa z drem Julianem Sawiczewskim³ za paszportem własnym przez Senat krakowski udzielonym, przebyliśmy granicę Baran, a zajęchawszy do p. Boduszyńskiej do wsi Goszyc⁴, Sawiczewski tu pozostał, a ja udzieloną od Boduszyńskiej furmanką udałem się do matki mojej do wsi Sielca⁵. Podówczas przywiozłem z sobą książki:

-
- 1 Karol Bogdaszewski, ur. w 1816 roku w Stopnicy w Krakowskiem w rodzinie szlacheckiej. Syn Józefa i Felicjany z Malskich. Uczył się początkowo w Kielcach, od roku 1828 w Liceum Św. Anny w Krakowie; studiował filozofię i prawo na UJ. Członek SLP, przybrał pseud. Czesław; 18 X 1837 roku przyjęty do PKNP przez A. Michniewskiego. Od stycznia 1838 roku w Kielcach; pracuje jako dependent u mecenasa F. Biegańskiego, swego powinowatego. Organizator tajnego związku w Kielcach. Aresztowany latem 1838 roku, skazany na 20 lat ciężkich robót na Syberii, utratę praw stanu i konfiskatę majątku, a następnie osiedlenie na Syberii. W roku 1841 na osiedleniu w m. Tarze uczył języków obcych. W latach 1856–1857 przebywał na zesłaniu w Permie.
 - 2 Są to zeznania w śledztwie przeciwko tzw. „Świętokrzyżcom”, z warszawskiego odłamu Stowarzyszenia Ludu Polskiego, założonego w Krakowie w 1835 roku.
 - 3 Julian Sawiczewski (1795–1854) – lekarz, prof. uniwersytetu w Krakowie, galicyjski działacz spiskowy.
 - 4 Goszyce – wieś w północno-wschodniej części województwa małopolskiego, w pow. krakowskim, w gminie Kocmyrzów-Luborzyca, kilkanaście kilometrów od Krakowa, wówczas na terenie zaboru rosyjskiego. W 1820 właścicielem wsi został Wojciech Jerzy Boduszyński (1768–1832), lekarz, profesor Uniwersytetu w Krakowie. Z powodu udziału jego syna Feliksa w powstaniu listopadowym, częściowo skonfiskowano ziemię tego majątku. Maria Boduszyńska – wdowa po Wojciechu, teściowa Juliana Sawiczewskiego.
 - 5 Sielec – wieś w Kieleckiem, ponad 80 km od Goszyc.

1. „Nowa Polska”⁶ z r. 1837 i 1838 przeszło 40 numerów.
2. „Joanna Grudzińska” w 2 tomach⁷.
3. „Statystyka” przez Słowaczyńskiego⁸.

Żadnych więcej pism ani książek nie przywożłem. A powyższe, przebywając komorę, miałem ukryte około siebie pod sukniemi, gdyż uważałem je za stosowne do rozszerzania demokratycznych zasad.

67. Gdzie ukrywałeś te książki i pisma i kto o nich wiedział?

Przybywszy do Sielca, książki powyższe, wyjąwszy je spod sukien, udałem się do spichrza i tam pod pszenicę takowe schowałem wraz z 4 egzemplarzami „Słów wieszczych”⁹ i „Pielgrzymstwa”¹⁰, które od siostry mej Emilii¹¹ odebrałem. Widziała ona książki, które z sobą przywożłem, lecz nie czytała ich, bo jej nie pozwoliłem i bynajmniej nie pokazywałem.

Wkrótce, bo w początku lutego 1838 r., przybył do mnie z Krakowa Karol Podlewski jako związkowy do Warszawy jadący; wioził z sobą demokratyczne książki, jako to:

1. „Nowa Polska” z r. 1837–38, znaczną ilość egzemplarzy,
2. „Apostazja”¹².
3. Manifest Gromady Humań i Grudziąż¹³.

⁶ „Nowa Polska” – emigracyjny tygodnik redagowany przez Józefata Bolesława Ostrowskiego (i in.), wydawany w Paryżu od 1833 do 1837 i od 5 kwietnia 1839 do 1846 roku. Ukazało się 5 tomów pisma.

⁷ Jan Czyński, *Cesarzewicz Konstancy i Joanna Grudzińska, czyli Jakubini polscy*, Paryż 1833–1834.

⁸ Chodzi o wydaną anonimowo pracę Andrzeja (Jędrzeja) Słowaczyńskiego *Statistique de Royaume de Pologne comprenant: la statistique physique et descriptive..., la statistique productive et commerciale..., la statistique morale et administrative...*, Paris 1837.

⁹ *Słowa wieszce księdza Lamenego*, w przekładzie Aleksandra Jełowickiego, Paryż 1834.

¹⁰ Adam Mickiewicz, *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego*, Paryż 1832.

¹¹ Emilia Bogdaszewska, ur. ok. 1821, siostra Karola. Pomagała bratu w korespondowaniu ze spiskowcami i przemycie zakazanych wydawnictw. Aresztowana, złożyła obciążające zeznania. Oddana pod dozór policji.

¹² Druk niezidentyfikowany.

¹³ *Manifest Ludu Polskiego Gromady Grudziąż*, 30 x 1835, Portsea-Portsmouth 1835 lub *Lud Polski Gromady Grudziąż i Humań. Do Emigracji Polskiej*, Portsmouth 1837, lub któreś

4. O Ameryce demokratycznej przez Tocquevilla¹⁴ w 2 tomach i inne książki, których tytułów przypomnieć sobie nie mogę, chociaż widziałem je podówczas w jego kuferku.

[...]

68. Nierzetelnie zeznajesz i ciągle tve usiłowania zmierzają do ukrycia związku i współwinnych, skąd okazuje się, iż nie przestajesz trwać w chęci rozszerzania demokratycznych zasad, gdyby uwolnienie twoje nastąpiło. I nie posiadasz ani skłonności do okazania za tve występki żalu, ani ufności w miłosierdziu rządu, który twej poprawy więcej niż kary pragnie. Dowodem tego wszystkiego oprócz wielokrotnych fałszywych zeznań jest odpowiedź dopiero co przez ciebie napisana. Albowiem władzy dokładnie wiadomo, że Podlewski nie przywiózł z sobą do Sielca demokratycznych książek, lecz że dopiero z Sielca do Krakowa tajemnie jeździł i książki tudzież pisma przywiózł, że następnie obadwa wysłaliście siostrę twoją Emilię Bogdaszewską, z listem i pieniędzmi do Krakowa, skąd ona rzeczywiście odpowiedź i kilka książek przywiozła i tobie oczekującemu w Goszycach oddała, że książki i list ten jako podejrzone ukryte miała w rękawach szlafroka, że nareszcie i ty sam w miesiącu kwietniu 1838 r. byłeś tajemnie w Krakowie w okolicznościach związku tyjących i przywiozłeś tu do kraju znów pisma i książki. Zaczem Komisja upomina cię, żebyś porzuciwszy niecne i zgubę twoją gotujące kłamstwo, wyznał szczerą prawdę, a przede wszystkim w okolicznościach obecnie przytoczonych.

Ja utrzymuję, że nie dopuściłem się kłamstwa, albowiem:

1. Co do Podlewskiego. Gdym przybył z Kielc do Sielca, zastałem w domu matki mojej Podlewskiego i owe książki. Myślałem więc, że je wprost z Krakowa przywiózł, a o tym, że po nie z Sielca do Krakowa jeździł, wcale nie wiedziałem ani od niego, ani od siostry

z pism Gromad Grudziąż i Humań, polemizujących z projektem „Wielkiego Manifestu TDP”, ogłaszanych w 1836 roku w „Rocznikach Emigracji Polskiej” i „Nowej Polsce”.

¹⁴ Alexis Charles Henri Clérel de Tocqueville, *De la démocratie en Amérique*, Paris 1835.

mojej Emilii, ani od kogokolwiek. Dopiero tu w Cytadeli, siedząc z Podlewskim w jednej stacji, dowiedziałem się o tym od niego.

2. Co do siostry mojej Emilii Bogdaszewskiej. Przyznaję, że ja wspólnie z Podlewskim posyłałiśmy ją pod nazwiskiem Nęckiej¹⁵ do Krakowa z listem do Gorzkowskiego, który ja pisałem [...].

Siostra wraz ze mną i z Podlewskim wyjechała z domu. Podlewskiego odwiedziłiśmy do Cenera¹⁶ w Grabach¹⁷, gdzie pozostał, a my udaliśmy się do Goszyc, gdzie ja pozostałem, a siostra moja udała się przez komorę Baran do Krakowa. Bawiła tam dni 2, a ja przez ten czas jeździłem do Książniczek do pp. Podgórskich i Rutkowskiego¹⁸, mego szkolnego kolegi. Stamtąd pojechałem wraz z Rutkowskim do przyległej wsi Kończycze do pp. Żarskich dla przepędzenia czasu. Tam zabawiwszy krótko wróciłem przez Książniczki do Goszyc i czekałem na siostrę moją, która następnego dnia nad wieczorem wróciwszy, oddała mi list od Gorzkowskiego [...]. Oddała także kuferek z bielizną, który od siostry Ludwiki odebrała, i książkę w 2 tomach francuską pod tytułem „Heloiza”¹⁹, którą miała ukrytą w rękawach szlafroka; tę książkę przywiozła od Gorzkowskiego.

¹⁵ Karolina Nęcka, koleżanka Bogdaszewskiej.

¹⁶ Cener Julian Walenty, ur. w 1816 roku w Krakowie, syn Jana i Magdaleny. Ojciec był lekarzem. Uczył się w Krakowie w Liceum Św. Barbary i Św. Anny. Od lipca 1836 roku leśniczy w majątku hr. S. Wodzickiego w Miechowskiem. Związany z K. Bogdaszewskim, ułatwiał mu przewożenie zakazanych wydawnictw, uczestniczył w rozmowach demokratycznych. Aresztowany złożył szczegółowe zeznania. Wysłany do Krakowa z zakazem przyjazdu do Królestwa Polskiego.

¹⁷ Graby – wieś (obecnie w pow. radomszczańskim), ok. 90 km od Krakowa.

¹⁸ O Podgórskich i Żarskich brak dodatkowych informacji. Maksymilian Rutkowski w momencie aresztowań zbiegł za granicę, jednakże w roku 1842 wydany został przez władze austriackie Rosji. Jak wynika z indeksu Komisji Śledczej, wcielony został do armii w charakterze szeregowca (AGAD, Stała Komisja Śledcza, vol. 1, k. 978). – Książniczki, Kończycze – wsie podkrakowskie, położone w Królestwie Polskim, w zaborze rosyjskim, poza granicą wM Krakowa.

¹⁹ Chodzi o jeden z dwóch najbardziej wpływowych oświeceniowych tekstów literackich, dzieło Jeana-Jacques'a Rousseau *Julia, czyli Nowa Heloiza*, napisane w latach 1756–1758 i cieszące się niezmienną popularnością w kołach młodzieży demokratycznej ze względu na zawarte w nim przeciwstawienie podziałom społecznym prawdy uczucia, a także pochwałę idyllicznej społeczności wiejskiej.

3. Co do mnie. Przyznaję, że tajemnie w miesiącu kwietniu 1838 r. byłem w Krakowie w celu widzenia się z siostrą i odwiedzenia mego wuja Wincentego Milińskiego. [...]

Karol Bogdaszewski
Radca kol. M. Engelhardt
Prowadzący dzieło por. Leüchte.

PRZEDRUK ZA: *Stowarzyszenie Ludu Polskiego w Królestwie Polskim: Gustaw Ehrenberg i „Świętokrzyżcy”*, red. tomu Władimir A. Dżakow, Stefan Kieniewicz, Wiktoria Śliwowska, Wrocław 1978, s. 376–378.²⁰

²⁰ Przedruk tekstu za zgodą Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

41. Zagraniczne innowacje. 1841
„Rozmaitości” („Gazeta Lwowska”) 1841

Z „Journal des Débats”

Przemytnicy są nadzwyczaj przebiegli w wynajdywaniu środków celem oszukania urzędników pogranicznych. Wydrążone odziemki¹ drzew, próżne we środku wiązki drzew i węgle kamienne albo podwójne w wozach dna są już zużywane, nawet z psami przemyca nie już się nie wie, a wszystkie drogi poboczne są strażnikami osadzone. Teraz przemytnicy wpadli na myśl używania powietrza do swojego zamiaru. „Journal des Débats”² opowiada w tej mierze następujący wypadek. Pewien handlarz podróżujący donosi nam, że w samotnym pustkowiu na francusko-szwajcarskiej granicy widział unoszący się w powietrzu ogromny balon, w którym przemytnicy zagraniczne towary, a mianowicie igły i szpilki do Francji przekradają. Balon ten odbył już szczęśliwie dwie podróże, przez co właściciel jego znacznie na tym zarobił. Skoro wiatr jest pomyślny, ładuje przemytnik towar na czółenka balonu, puszcza go w górę, kieruje nim mocnym, ale cienkim sznurkiem na przeznaczone miejsce; dzieje się to po większej części śród ciemnej nocy. Wynalazek ten, dający się doprowadzić jeszcze do większej doskonałości, utrudnia bardzo służbę przy cle.

PRZEDRUK ZA: „Rozmaitości”, pismo dodatkowe do „Gazety Lwowskiej” 1841, nr 27, s. 220.

¹ Tj. pniaki.

² Gazeta francuska, ukazująca się w latach 1789–1944.

42. Po zakupach w Odessie. 1843

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)

Od kolebki przez życie [fragment]

Ciotka ogromne robiła zakupna, dnie całe po magazynach się uwi-
jała i sprowadzała do hotelu pakunki artykułów, należących do
toalety damskiej, nie zważając zgoła na to, że z Odessy wywozić
wszystko to trzeba było przez komorę celną¹. Kobieta oprzeć się
nie mogła ponęce sprawunków i grzeczności kupców. Kupowała
a kupowała. Wreszcie wybiła godzina wyjazdu – *quart d'heure de
Rabelais*². Komora w myśli jej stanęła. Co tu począć? Z kłopotu
tego Bolesław matkę wyprowadził, uorganizowawszy kontrabandę
przy mojej i młodego Deribasa, syna czy wnuka dawniejszego gu-
bernatora Odessy, pomocy. Poobwialiśmy się szalami, chustkami
i sztukami materii pod odzieżą, ponapychaliśmy sobie perkalików
i muszlinków³ za podszewki surdutów i płaszczów, przedmioty
pomniejsze porozbieraliśmy po kieszeniach; panie i panna słu-
żąca uczyniły toż samo; ciotka tuzinów kilka wąskich a długich
flaszek wody kolońskiej kazała sobie wszyć rzędami kilku w spód-
nicę; na nas sześciorgu było na tysięcy kilka rubli kontrabandy,
za którą, gdybyśmy pojmani zostali, komora kilkanaście, a może
kilkadziesiąt tysięcy kary zapłacić by sobie kazała. Aleśmy się nie
zdradzili. Rewizja w walizach i tłumokach nic podejrzanego nie
znalazła. Dojechaliśmy szczęśliwie do Sewerynowki⁴ na noc i tam
dopiero spotkał ciotkę wypadek smutny. Spódnicę z wodą koloń-
ską, którą, z powodu że jej zawadzała, zsunęła z siebie w powozie,
panna służąca do izby wniosła i pod ścianą położyła; lokaj na nią

¹ Odessa od 1817 do 1858 roku miała status wolnego portu, dlatego była tam granica celna.

² *Quart d'heure de Rabelais* (fr.) – kwadrans Rabelais'go – żartobliwe powiedzenie ozna-
czające chwilę, kiedy trzeba zapłacić za nadmierną konsumpcję.

³ Tj. muślinu.

⁴ Sewerynowka w pobliżu Winnicy, na szlaku handlowym Kijów–Odessa.

walizę postawił i flakony wszystkie rozgniół. Na szczęście Sewerynówka znajdowała się poza pasem granicznym⁵. Pomimo przeto, że woń, która karczmę całą zapełniła, podejrzenie wzbudzić i objeszczyków⁶ naprowadzić mogła, skończyło się na zmyciu podłogi wodą kolońską. Ciotkę, która była bardzo porywczą, od wybuchu rozpaczy i gniewu powstrzymała obecność Deribasa. Deribas i ja nocowaliśmy w Sewerynówce i nazajutrz pocztą byliśmy z powrotem w Odessie⁷.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Bruckner, Kraków 1936, t. 1, s. 197–198.

⁵ Pas graniczny był obszarem poza linią granicy, na którym strażnicy, zazwyczaj konni, mogli zatrzymywać i kontrolować podróżnych. Wielkość pasa zależała od lokalnych przepisów.

⁶ Z ros. – konny patrol.

⁷ W tym okresie Zygmunt Miłkowski studiował w Odessie.

43. Przemysł przez Wisłę pod Sandomierzem. 1847–1890

Jan Słomka (1842–1932)

Pamiętniki włościanina [fragment]

Kilka rodzin w Dzikowie¹ ciągnęło dawniej zarobek z przemysłnictwa. Jak tylko od małego dziecka zapamiętałem, odbywało się przemysłnictwo do Królestwa Polskiego przez Wisłę na wielką skalę. Prawie trzy razy w tygodniu szło w nocy do dwudziestu chłopów z towarami, każdy niósł taki wór towarów, jaki tylko mógł udźwignąć. Były to towary bławatne, różne płótna, chustki, koronki, taśmienki, nadto noże „cyganki”² itp.

Pomiędzy przemysłnikami był zawsze przewodnik, który szedł znacznie przodem i niósł wór słomą napakowany, ażeby miał lekko uciekać, jeżeli się spotkał z Moskałem objeżdźczykiem³, pilnującym granicy. Gdy się to przytrafiło, to uciekał z workiem, jak długo mógł, wreszcie worek rzucał i gdzieś się chronił, a tymczasem i przemysłnicy, idący w tyle, kryli się tak, że Moskałe najczęściej nic towaru nie wyłapali.

Za taką wyprawę każdy przemysłnik zarabiał 5 złr.⁴, przewodnik 10 złr., a wtenczas ten pieniądz dużo znaczył.

Przemysłnictwo rzeczonych towarów trwało mniej więcej aż do ostatniego powstania⁵, a potem zaczęło się na większą skalę przemycanie okowity i innych trunków. Prawie każdej nocy dowoziło się do Wisły furą wódkę, rum, śliwownicę w baryłkach, zawierających po 8 do 9 garncy, a stąd były przemycane za Wisłę, w ziemie

1 Dzików – ok. 4 km od Tarnobrzega, w zaborze austriackim, nad granicą z Królestwem Polskim, przebiegającą na tym odcinku wzdłuż Wisły.

2 „Cyganki” – tani kozik pastuszy o okrągłym trzonku.

3 Tj. konnym patrolem.

4 Złoty reński, tj. gulden – waluta cesarstwa austriackiego.

5 Mowa o powstaniu styczniowym.

po lodzie, a w lecie na dużym korycie. Przemysłnik zarabiał od baryłki 5 zlr., a często przenosili te trunki w pęcherzach bydlęcych.

Właścicielami tych „szwarcunków” byli sami Żydzi, przeważnie z Tarnobrzega. Kiedy handel szedł najlepiej, było nawet tak, że propinator tarnobrzesci postawił karczmę w przysiołku dzikowskim Podłężu, nad samą Wisłą, obsadził tam karczmarza Berka, który za dnia dostawiał furą okowitę do tej karczmy, a w nocy wysyłał za Wisłę. Nie pamiętam, żeby przy tym objeżdżczyki kogo zabili, ponieważ po większej części byli przekupieni, a po wtóre – jak słyszałem – strzelali tylko na postrach. Jeżeli nie byli przekupieni, to zadowalali się przy pościgu tym, że chłopci baryłki cisnęli, a sami uciekli, bo wtedy Moskale wódkę wytoczyli, a nalali do baryłek wody, aby wódką śmierdziały i takie oddawali do powiatu do Sandomierza, jako złapaną kontrabandę. Kiedy zaś stanęła karczma Berkowa i objeżdżczyki dowiedzieli się, że mają wódkę tak blisko, sami przedostawali się przez Wisłę nocami, pili tu wódkę, jak wodę, i z sobą jeszcze brali. Chłopi zza Wisły tak samo do tej karczmy przychodzili i nieraz, jak śledzie, naokoło niej leżeli. Tak to ta karczma wszystkich ściągała jak magnes, choć leżała zupełnie na ustroniu. Najwięcej okowity przemycano w pierwszych kilkunastu latach, dopokąd u nas była tania, a za Wisłą droga – potem przemysłnictwo powoli się zmniejszało, aż wreszcie przed dwudziestoma mniej więcej laty ustało zupełnie. Także z karczmy Berkowej nie ma dziś śladu, bo w końcu uderzył piorun w jабrzędź⁶, rosnącą zaraz przy ścianie karczmy, przy czym zawałił się komin – Berek uciekł, a karczmę rozebrali.

PRZEDRUK ZA: Jan Słomka, wójt w Dzikowie, *Pamiętniki włościanina od pańszczyzny do dni dzisiejszych*, z przedmową dr Franciszka Bujaka, do druku przygotował Jan Słomka Młodszy, Kraków 1912, s. 79–81.

⁶ Jabrzędź, jarzáb – topola nadwiślańska.

44. Z książkami przez komorę warszawską. 1856

Bibianna Moraczewska (1811–1887)

Dziennik [fragment]

29 lipca 1856.

Dawno, bo już blisko dwa miesiące, jak się wybrałam w podróż do Warszawy i Krakowa¹.

Znajome moje lękały się o mnie, jak się teraz wydaje, żebym jakich przykrości ze strony moskiewskiej nie miała.

2 czerwca ruszyłam do Kalisza, aby się tu zjechać z Teklą Dobrzyńską. Na granicy rewidowali mi kuferki wcale nie natarczywie, tak jak na każdej granicy.

Z nowym carem² zmieniony niby system dawnej surowości. W Kaliszu stanęłam o 3 po południu, rozłożywszy się w Hotel de Pologne, tak jak umówiliśmy się z Teklą. Tymczasem godziny płyną, a Tekli nie masz. Ja niespokojną jestem, co zająć mogło. Będąc po raz pierwszy w Kaliszu, nie mając żadnej osoby znajomej, czułam się zupełnie jak na pustyni, nie wiedząc ani gdzie, ani jak powziąć języka o Tekli. W tym kłopotcie wołam faktora z oberży i każę sobie wyliczać wszystkie szlachcianki, mieszkające ze wsi w Kaliszu. – Długo słuchałam, nie mając żadnej styczności z wymienionymi, aż kiedy nazwał Suchorską matkę i córkę, choć tych pań nie znałam osobiście, ale wiedziałam, że dwie siostry Anieli Niemojowskiej są za Suchorskimi, przypuściłam więc, że mogą wiedzieć o mojej egzystencji. Napisałam więc kartkę, że czekam Dobrzyńskiej i Niemojowskiej i że czuję się bardzo samą w Kaliszu. Niedługo przyszła do mnie panna Suchorska i tak było mi już znośniej czekać. Rzeczywiście nadjechały około 9-tej wieczorem.

¹ Moraczewska mieszkała w Poznaniu.

² Po śmierci Mikołaja I i wstąpieniu na tron Aleksandra II (1855) zelżał chwilowo ucisk polityczny (zniesiono stan wojenny i ogłoszono częściowe amnestie dla emigrantów i zesłańców politycznych).

Drugiego dnia zwiedzałyśmy kościoły kaliskie, z których Reformatorów i Kanoników znalazłam bardzo ładne.

Również ładne spacerowałyśmy w parku okalającym miasto i mnóstwo ślicznych kobiet, wcale elegancko ustrojonych. Drugiego dnia, to jest 4 czerwca, pożegnawszy Niemojowską, wyruszyłyśmy z Teklą kurierką do Warszawy.

Kurierka jest to po prostu omnibus, do którego się wchodzi z tyłu, siedzi bokiem. Towarzystwo jakieś umieściło się z nami, ale po drodze wysiadano, tak że do Koła jeden tylko towarzysz podróży z nami dojechał.

Spotkałyśmy tutaj Eugeniego Brezę³, który korzystał z amnestii, udając się do Warszawy.

W Warszawie stanęłyśmy 5-go o 10 rano koleją z Łowicza⁴. Tu znowu za przybyciem zabierano się do rewizji naszych kufrów, ale złotówka wciśnięta w rękę uchroniła nas od kłopotu, iż nam rzeczy pogniotą, bo zaledwie opony z kufrów zdjęto.

Na wstępie do Warszawy przebyłyśmy bezpotrzebne strachy. Urzędnik, czytający nasze paszporty, spojrzął na mnie i wymówił: „A! Bibianna Moraczewska!” Najpewniej zrobił to bez myśli, a ja sądziłam, że to dowód mała noty⁵.

Tekla wiozła kilkanaście książek z sobą, urządziła do nich worki, które powiesiła na sobie, a na wierzch zarzuciła pelerynę sukienną na tych workach opuszczającą się, a że do tego miała ogromny kapelusz na głowie, jakich w Warszawie nie używają, bardzo dziwacznie wyglądała i żandarm z jej całej postaci oka nie spuścił.

Ona tego nie widziała, lecz ja przestraszona patrzałam na to, a moja niespokojność powiększyła się, kiedym spostrzegła, jak

³ Eugeniusz Breza (1802–1856) – literat.

⁴ Był to początek linii kolei warszawsko-wiedeńskiej, który dotarł do Łowicza w 1845 roku, komunikację Warszawy z Kaliszem zapewniła osobna linia warszawsko-kaliska dopiero w 1903 roku. Poznań długo nie miał dobrych połączeń z polskimi miastami w innych zaborach.

⁵ Z łac. – zlej opinii.

drugiego przywołał i obadwaj Teklę okiem śledzili. Kiedyśmy wsiały do dorożki, opowiedziałam jej mój przestach i nim wjechałyśmy do miasta, zamieniłyśmy kapelusze i płaszcze. Trzeba jeszcze, że jakieś żandarmisko jechało konno do miasta czas niejaki, obok naszej dorożki. Sądziłyśmy, że to nam przydany, aby nas rewidować i aresztować. Tymczasem żandarm pogalopował i więcej nas się nie pytał.

PRZEDRUK ZA: *Dziennik Bibianny Moraczewskiej*, wydany z oryginału przez wnuczkę dr. Dobrzyńską-Rybicką, Poznań 1911, s. 37–38.

45. Komediodowa wizja przemytu. 1858

Józef Korzeniowski (1797–1863)

Podróżomania [fragmenty]

*(Słychać świst lokomotywy, pochudli posługacze wnosić zaczynają kufry i tłomoki. Przez drzwi z lewej strony wchodzi podróżni z workami w rękach, od których rewizor odbiera paszporta. A na ostatku wchodzi majorowa, niezmiernie gruba, dźwigając dwa worki, za nią Klara, także opakowana, z workiem, Nepcio w wielkim paltocie, opakowany i z workiem.)*¹

SCENA III

Rewizor, Majorowa, Klara. Nepcio. Dwóch strażników, Podróżni, Posługacze.

REWIZOR (*oddając paszporta pierwszemu strażnikowi*). Odnieś to do pana naczelnika. (*Pierwszy strażnik wychodzi. – Posługacze niosąc kufry wołają:*) Za pozwoleniem, proszę się nie cisnąć.

INNI POSŁUGACZE. Niech panowie się nie cisną, bo nie ma miejsca.

DRUGI STRAŻNIK (*na stronie*). Ależ ta pani gruba! i córeczka także! i synek nieźle wygląda! (*Do majorowej*.) A gdzie pani kufer?

MAJOROWA (*ciężko wzdycha i obciera pot z czoła*). Zaraz pokażę. Jest już dwa. Ot jeden, a ten, ten wielki, to drugi. A jeszcze jest dwa. (*Cicho i wsuwając mu w rękę*.) Tylko mi proszę nie gniesć rzeczy, bo tak dobrze upakowane, a zakazanego nie mam, jak dzieci moje Kocham.

¹ Ponieważ komedia powstała w roku 1858, akcja sceny rozgrywa się na granicznej stacji kolei warszawsko-wiedeńskiej w Maczkach (więcej zob. tekst nr 68, przyp. 1), dokąd z zakupów we Wrocławiu dotarła (z przesiadką w Szczakowej) majorowa z dziećmi (Klarą i Nepciem). W roku 1859 na nowej stacji Sosnowiec Główny połączono linie kolejowe do Austrii i Prus i tam przeniósł się ruch graniczny do Wrocławia.

DRUGI STRAŻNIK. Dobrze, dobrze, zrobimy jak trzeba.

MAJOROWA. Oto, oto jeszcze niosą moje. Niech postawią razem.

PIERWSZY STRAŻNIK (*wróciwszy – do posługaczy*). Tu postawcie przy tych.

PIERWSZA PODRÓŻNA (*do rewizora*). Proszę pana, to mój kuferek, a oto klucze. Tam nie ma nic.

REWIZOR. Obaczmy, niech pani otworzy. (*Podróżna otwiera, rewizor przerzuca*.) Zamknij pani.

PIERWSZA PODRÓŻNA. Dziękuję panu.

DRUGA PODRÓŻNA. Panie rewizorze, oto moje klucze. A, a, gdzie mój kufer? ot! ot! jest. Niech pan mój pierwszej obaczy.

PIERWSZY PODRÓŻNY (*głośno i z grubiaństwem*). Za pozwoleniem, mój bliżej stoi.

DRUGI PODRÓŻNY (*jeszcze głośniej i z gniewem*). Ale przepraszam pana, dlaczego pan rewizor ma przeskakiwać, kiedy mój ma pod ręką?

PIERWSZY PODRÓŻNY. Cóż pan tu tak głos podnosisz?

DRUGI PODRÓŻNY. A pan czego hałasujesz?

REWIZOR (*głośniej*). Proszę się uspokoić i nie cisnąć. Wszystko się zrobi z kolei, niech każdy otworzy kufer i odstąpi na bok. (*Wszyscy otwierają*.)

DRUGA PODRÓŻNA. I worki także otworzyć? tam nie ma nic, panie rewizorze.

REWIZOR. I worki proszę pootwierać i złożyć tu porządkiem. (*Do strażników*.) Przepatrzeć! (*Rewizor i dwaj strażnicy przepatrują kufery i worki; tymczasem podróżni cisną się, odpychają jeden drugiego i dąsają się na siebie. – Rewizor po chwili, ukazując na kufry majorowej*.) A to czyje kufry?

PIERWSZY STRAŻNIK. To tej pani. (*Ukazuje na majorową.*)

REWIZOR. Niechże pani z łaski swojej otworzy.

MAJOROWA (*szuka kluczy*). Gdzie moje klucze? miałam je w tym woreczku. Nie ma! A to ładna rzecz! czy zgubiłam, czy co? (*Słychać dzwonek.*)

REWIZOR. Niech się pani śpieszy, bo wkrótce pociąg odejdzie.

MAJOROWA Cóż ja zrobię? gdzieś... nie ma – Klarciu! nie masz ty kluczyków?

KLARA. Nie mam. Mama je wzięła.

MAJOROWA. Może ty masz, Nepciu?

NEPCIO. Aha! masz! i tak mnie mama różnymi rzeczami opakowała, jeszcze bym klucze dźwigał. (*Majorowa daje mu znaki. Strażnicy śmieją się.*)

REWIZOR. Niech pani z wolna szuka, to się znajdą. (*Do podróżnych.*) Panowie ci, którzy odbyli rewizję², niech ekspediują rzeczy i biorą bilety, bo się spóźnią. (*Ogólne zamieszanie, zamykanie kufrów, przenoszenie, ciśnienie się do okienka, gdzie sprzedaż biletów.*)

MAJOROWA. Widzisz, Nepciu! jaki ty! a prosiłam cię, żebyś udawał, że klucze zgubiłam.

NEPCIO. Daj mi tam mama spokój, ja ledwie oddycham.

KLARA. Smarkacz! naraził nas na śmiech i ambaras i jeszcze się dąsa.

NEPCIO. Ty! Klara! (*Wszyscy oglądają się i śmieją się.*)

MAJOROWA. Cóż bo znowu! Klarciu! dajże mu pokój! biedny chłopiec!

REWIZOR. Więc nie ma kluczów?

² Tu: przegląd rzeczy.

MAJOROWA (*szuka*). Nie mogę znaleźć.

REWIZOR. To wątpię, żebyś pani mogła tym pociągiem jechać.

MAJOROWA. A cóż ja tu będę robić!

REWIZOR (*ruszając ramionami*). Alboż ja wiem? Będziesz pani szukać kluczyków. (*Dzwonią drugi raz – wchodzi Naczelnik z paszportami w ręku.*)

SCENA IV

Ciż i Naczelnik.

NACZELNIK (*oddając rewizorowi paszporta, oprócz paszportu majorowej*). Rozdaj pan!

REWIZOR. Panowie, paszporta! (*Podróżni odbierają swoje paszporta. – Posługacze wynoszą kufry i pakunki przez drzwi wielkie z prawej strony kurtyny. – Wszyscy biorą swoje worki.*)

MAJOROWA. A mój paszport! mój paszport, panie rewizorze!

REWIZOR. Ja jego nie mam.

MAJOROWA. A gdzież on? Jakże można zatrzymywać mi paszport? Wszystkie rzeczy już wynoszą, a moich nie. Czemu moich nie biorą.

REWIZOR. Nierewidowane.

MAJOROWA. Ale kiedyż kluczyki mi się zarzuciły.

REWIZOR. A cóż ja na to poradzę? Niech się pani uda do pana naczelnika.

MAJOROWA (*niespokojnie kręci się*). A któryż tu jest pan naczelnik?

REWIZOR. Ten, co tam z tym łysym panem rozmawia.

MAJOROWA (*zbliża się*). Panie naczelniku! jak to być może? wszyscy już jadą, a mnie nie oddali paszportu i rzeczy moich nie ekspediuja.

NACZELNIK. A któż pani jesteś?

MAJOROWA. Majorowa Małdrzycka, obywatelka spod Rawy, wracam z kuracji i nic z sobą nie wiozę, jak męża i dzieci moje Kocham.

NACZELNIK. A, to pani jesteś pani majorowa Małdrzycka; właśnie mam paszport pani w rękę.

MAJOROWA. To proszę go oddać!

NACZELNIK. Za pozwoleniem. Panie rewizorze! Czy kufry tej pani już przejrane?

REWIZOR. Ta pani nie daje kluczyków.

MAJOROWA. Ależ kiedy mi się gdzieś zarzuciły, czy zgubiłam.

NACZELNIK. To pani tym pociągiem nie pojedziesz.

MAJOROWA. A toż znowu co? Słuszną obywatelkę, która wraca z zagranicy, panowie zatrzymujecie?

NACZELNIK. Nie nasza wina. (*Dzwonią po raz trzeci.*)

MAJOROWA. Ale już dzwonią, panie naczelniku!

NACZELNIK. Słyszę.

KONDUKTOR (*we drzwiach*). Panowie, proszę siadać. (*Wszyscy wychodzą, słychać świst lokomotywy, potem turkot odjeżdżającego pociągu.*)

MAJOROWA. Ależ już pojechali, panie naczelniku!

NACZELNIK. Wiem pani, wiem.

MAJOROWA (*siada na kufierku*). O ja nieszczęśliwa, cóż teraz będzie?

NEPCIO. Mama! czy już można się rozebrać, bo mnie gorąco?

KLARA. Cicho bądź, smarkaczu!

NEPCIO. Ty! Klara! nie sprzeciwiaj się.

MAJOROWA. Ale, moja Klarcu! dajże mu pokój.

NACZELNIK. Cóż, nie znalazłaś pani kluczków?

MAJOROWA. Skądże je wezmę, kiedym musiała zgubić.

NACZELNIK. Ha! to bardzo mi przykro, że mię pani stawisz w takiej konieczności, że będę musiał kazać odbić zamki. (*Do strażnika.*)
Małecki! pójdz po ślusarza.

KLARA (*do matki*). Niechże już mama odda, bo może być gorzej.

MAJOROWA. Zaraz, zaraz – a, a, znalazłam; zasunęły się w woreczku – oto są.

NACZELNIK. Proszę pootwierać kufry i worki.

MAJOROWA (*obciera pot z czoła, do córki*). Klarciu pootwieraj. (*Siada zafrasowana, Klara otwiera.*)

NACZELNIK. Panie rewizorze, przejrzyj pan ściśle wszystkie rzeczy, i jeśli się co znajdzie, odnieść do kancelarii do otaksowania. A panie niech będą łaskawe pofatygują się do tego pokoju i raczą się rozebrać.

MAJOROWA. Jak to? mamy się rozbierać? to panowie tak obchodzicie się z damami?

NACZELNIK. Szanujemy damy, które szanują siebie same i zachowują przepisy krajowe. Paniom nie uchybiamy także, ale musimy wiedzieć, co panie macie na sobie, bo wasza otyłość jest nienaturalna. Przy tym mamy doniesienie, że panie wieziecie kontrabandę.

MAJOROWA. A to pięknie! mam się rozbierać przy strażnikach? Ja na to nigdy nie pozwolę! Czy to słychane rzeczy? A gdzie obyczajność? Cóż to pan sobie myślisz, że ja jestem jaka nie bądź urzędniczka, czy co? Ja jestem słuszna obywatelka, mój panie, kobieta z edukacją i która była za granicą.

NACZELNIK. Pozwoli pani sobie powiedzieć, że słuszne obywatelki kontrabandy nie przewożą, lub jeżeli co wiozą, to deklarują

i opłacają, ale nie okładają się towarami i kluczów nie gubią. Co się zaś tyczy obyczajności, o to panie możecie być spokojne. W tym oto pokoju są tylko kobiety, które panie rozbiorą i ubiorą na powrót.

MAJOROWA (*proszącym tonem*). Ale kiedyż ja nic nie mam, panie naczelniku dobrodzieju, jak męża mego Kocham!

NACZELNIK. Jeżeli pani nic nie masz, to ja panią najuniższej przeproszę za przykrość, jaką jej z obowiązku mego zrobić muszę, a denuncjant będzie ukarany. Służę paniom. (*Ukazuje im drzwi pokoju rewizji.*)

MAJOROWA (*na stronie*). O ja nieszczęśliwa! mam tylko kilkanaście rubli w kieszeni.

KLARA. Niechże już mama idzie. Co to już pomoże gadać i załamywać ręce. Trzeba było jechać do Paryża, a nie siedzieć w tym przeklętym Wrocławiu – a teraz stało się.

MAJOROWA. Chodźmyż! a Npecio? a moje dziecko?

NACZELNIK. Tego kawalera rozbiorą gdzie indziej. (*Majorowa i Klara wychodzą.*) Małecki! zaprowadź tego młodzieńca do kancelarii i opatrz go tam dobrze. (*Wchodzi do kancelarii.*)

PIERWSZY STRAŻNIK (*do Npecia*). No, chodź-no, paniczku, ze mną i zrzuc z siebie ten brzuszec.

NEPCIO. Oho! mnie jeszcze i lepiej. Te szale, co mnie mama nimi okręciła, takie gorące, że aż pot się ze mnie leje. (*Wychodzi za strażnikiem; tymczasem rewizor i drugi strażnik odłożyli wszystkie kontrabandy z kufków majorowej.*)

SCENA V

Rewizor i Strażnik.

REWIZOR (*powstając od kufków, wyciąga się i prostuje*). Zdaje się, że już wszystko.

DRUGI STRAŻNIK. Już wszystko, panie rewizorze, reszta rzeczy stare i noszone.

REWIZOR. Alboż i tego mało? nieborak mąż będzie kontent, jak mu imość wróci bez sprawunków i bez grosza.

DRUGI STRAŻNIK. A jeszcze, proszę pana rewizora, będzie musiała zapłacić z paręset rubli kary.

REWIZOR. Któż jej winien? Trzeba było deklarować. Taryfa niewielka, byłaby zapłaciła z paręset złotych, nie więcej.

DRUGI STRAŻNIK. Kiedy to, proszę pana rewizora, kobiety już tak Pan Bóg stworzył, że im zawsze milsze to, co zakazane, niż to, co wolno.

REWIZOR. Daj-no temu pokój, a bierz to wszystko i nieś do kancelarii.

DRUGI STRAŻNIK (*do posługacza*). No! żwawo Jakóbie, bierzmy i nieśmy. (*Zabierają wszystkie sprawunki i wynoszą.*)

REWIZOR. Co ona sobie myślała, że nie chciała od razu oddać kluczków? Dużo już tu widziałem nierozsądnych kobiet, ale takiej zapamiętałej jeszcze mi się spotkać nie zdarzyło. Głupi mężczyśko! puszczać taką szaloną babę za granicę. No, prawda! wiem ja i sam, jak to z kobietą trudno, ale już ci takim mazgajem nie byłbym nigdy. (*Wychodzi majorowa i Klara, obie cienkie i zasmucone. Po chwili z kancelarii wyskakuje Nercio w kurteczce.*)

SCENA VI

Rewizor, Majorowa, Klara, Nercio, potem Mortko

NEPCIO. Mama! patrzaj jak mi teraz lekko. Wszystko to, coś mi napakowała, zabrali. Ale i ty, mama, teraz taka cienka! ha! ha! ha! i Klara także jak kijek wygląda! ha! ha! ha!

KLARA. Cicho bądź!

NEPCIO. Aha! cicho! otóż nie będę cicho, kiedy mi teraz lekko i dobrze, trarara, trarara.

REWIZOR. Oto są klucze pani, można już resztę rzeczy poskładać i pozamykać. (*Wychodzi.*)

MAJOROWA (*zagląda do kufrów, biegnąc od jednego do drugiego i załamując ręce*). A to nieszczęście, i stąd wzięli, i stąd także, i tu nie ma nic! Co tu składać, co tu zamykać? wszystkie mi sprawunki zabrali! O ja nieszczęśliwa! moje sprawunki! moja wyprawa! gdzie oni to podzieli? Żeby choć nie przepadło. (*Idzie ku drzwiom kancelarii, z których wychodzi Mortko.*) A to ty, Mortku! dobrze że tu jesteś! wyobraź sobie! przewrócili mi wszystko do góry nogami, zabrali mi moje sprawunki i gdzieś ponieśli.

MORTKO. Ce! Ce! Ce! aj waj!

MAJOROWA. Co oni z tym zrobią? powiedz mi!

MORTKO. Alboż ja wim, co oni z tego zrobią?

MAJOROWA. Byłoby się wszystko udało, żeby nie jakiś łajdak, który mię zadenuncjował. Rozbierali nas do koszuli.

MORTKO. Proszę wielmożnej pani, czy to takich huncwotów mało, co oni tam po sklepach we Wrocławiu chodzą i przypatrują się, jak nasze panie kupują różny towary, a potem dają tu znać przez te druty, co oni o sto mil gadają.

MAJOROWA. Takiego zmartwienia nie spodziewałam się.

MORTKO. Oj waj! to wielkie jest zmartwienie. Co to jegomość na to powi?

MAJOROWA. Eh! o to mniejsza, żeby mi tylko oddali moje sprawunki. (*Ogląda się niespokojnie.*) A tu jak na złość nikt nie wychodzi. Pójdź-no tam, Mortku, dowiedz się!

MORTKO. Ot pan naczelnik idzie, to on zapewne wielmożnej pani powi.

SCENA VII

Ciż i Naczelnik (z papierem w ręku).

NACZELNIK. Oto jest spis towarów i rzeczy, któreś pani utaiła, i które zostały otaksowane. Według przepisów należy od pani kary 187 rs. kop. 43 i 1/2.

MAJOROWA. Sto osiemdziesiąt siedem rubli. Jezus Maria! panie naczelniku! bój-że się pan Boga! czy można mnie tak krzywdzić?

NACZELNIK (*ruszając ramionami*). Samaś pani sobie winna. Należało deklarować. Byłoby bez porównania mniej.

MAJOROWA. Ależ ja takiej sumy nie mam.

NACZELNIK. To pani dobrodziejka tu zaczekasz, dopóki jej nie naśleś z domu. Mamy tu oberżę dość wygodną.

KLARA. A to ładna rzecz.

NEPCIO (*skacze*). Trarara! kupię sobie cygar od konduktorów.

MAJOROWA (załamuje ręce). A mój Boże! mój Boże! co ja nieszczęśliwa zrobię?

MORTKO. Niech wielmożna pani będzie spokojne, a ja tę summę dostane i zapłać, a wielmożna pani odda mnie w domu z maleńkie procenty, o które umówimy się.

MAJOROWA. Dziękuję ci, mój Mortku! już nie turbuj się o procent (*na stronie*); ha! oddycham; przynajmniej będę mogła pokazać w sąsiedztwie moje sprawunki. (*Do naczelnika.*) Panie naczelniku, on za mnie zapłaci, a pan rozkaż mi wydać moje rzeczy, ażebym je upakowała.

NACZELNIK. Jakie rzeczy? Wszak tu je pani oddano.

MAJOROWA (*przełknięta*). Ale te sprawunki, moje sprawunki panie naczelniku, któreście panowie zabrali.

NACZELNIK. Sprawunki? to kontrabanda, pani dobrodziejko. Te ulegają konfiskacie.

MAJOROWA (z krzykiem). Kon... kon-fiskacie! oh! oh! słabo mi. (Mdleje – zasłona zapada.)

PRZEDRUK ZA: Józef Korzeniowski, *Podróżomania*, w tegoż: *Dzieła*, wydanie zupełne, pod kierunkiem redakcji „Kłosów”, t. XI, Warszawa 1873, s. 73–80.

46. Zbawienna ostrożność. 1860

Bibianna Moraczewska (1811–1887)

Dziennik [fragment]

W moim przeznaczeniu leży, aby być wolną od wszelkich kłopotów z policją, prawda, że ostrożna jestem¹.

Kiedy Jankowski² wyjeżdżał na Prusy³, przypomniało mi się, jak już pożegnawszy się, odszedł, że i ja z tych tysięcy książek, co zawsze leżą u mnie na składzie, mogłabym tą samą drogą coś upchnąć. Kiedy usiadłam, aby napisać do niego karteczkę, powiedziałam sobie, lepiej mu to ustnie powiedzieć, niż żeby miał pismo moje w kieszeni. Napisałam też kilka słów prosząc go do siebie. Po powrocie, kiedy się zabierał, aby wyjechać z Poznania, przygotowałam list do Narcyzy⁴, i pisałam wszystko jak z zwyczajną okazją. Tymczasem nadjeżdża Sokołowski⁵ z Paryża, obliczyłam, że pierwiej będzie w Warszawie niż Jankowski, który na kilka dni ma wstąpić do Krakowa, i zmieniłam oddawcę.

Jankowskiego chwytają na granicy Austriacy, zamykają go na zamku, skąd niedawno wydali Moskałom i siedzi w cytadeli

1 Moraczewska, podobnie jak jej brat Jędrzej (1802–1855) zaangażowana była w działalność społeczną i niepodległościową. Utrzymywała kontakty z emigracją i z „entuzjastkami” warszawskimi. Przekazywała też za kordon korespondencję i książki.

2 Narcyz Jankowski (1827–1910) – pochodzący z Kijowszczyzny spiskowiec, działacz niepodległościowy, zesłaniec. 30 lipca 1860 roku aresztowany przez policję austriacką na granicznej stacji kolejowej Szczakowa. Wydany Rosjanom i oddany pod sąd wojenny w Cytadeli został skazany na zesłanie, skąd wrócił po 20 latach.

3 Jechał przez granicę prusko-austriacką do Krakowa.

4 Narcyzy Źmichowskiej.

5 Być może Marian Sokołowski (1839–1911), późniejszy historyk sztuki, studiujący w Paryżu w latach 1860–1863.

w Warszawie. Cóżbym ja się była naniepokoiła, gdyby list do Narcyzy policja była zabrała.

O dzięki ci, wielki Boże! za tę opatrność nade mną.

PRZEDRUK ZA: *Dziennik Bibianny Moraczewskiej*, wydany z oryginału przez wnuczkę dr. Dobrzyńską-Rybicką, Poznań 1911, s. 78.

47. Uprzejmy naczelnik komory w Michałowicach. 1860

Maria z Morów Kietlińska (1843–1927)

Wspomnienia [fragment]

Naprawę zegarów uniemożliwiały szykany moskiewskie, czynione na komorze Michałowice przy przewożeniu czegokolwiek z powrotem z Krakowa.

Kiedy już mowa o szykanach granicznych, którymi lat dziesiątki gnębiono obywatelstwo okoliczne, zmuszone zaopatrywać się w przedmioty potrzeb codziennych w Krakowie, jako o mil kilka oddalonemu [!] mieście, muszę wspomnieć o kilku chociaż zdarzeniach podczas wypraw przez Michałowice. Otóż panie posyły sobie duże, płócienne sakwy, które wypełnione kontrabandą przywiązywały sobie do pasa, pod spódnicami szerokimi i fałdzistymi, jakie naówczas noszono. Przejazd w takich warunkach przyjemnym nie był, gdyż strach ma wielkie oczy, a już Moskale iście argusowe ślepia, świdrując okiem badawczym każdego pasażera. W r. 1860 jakiś niezły człowiek i gładki w obejściu, nazwiskiem Petrow, był naczelnikiem komory; dla dam był uprzejmy i wyrozumiały. Ciotka Józefa sprawiała w tym czasie wyprawę dla starszej córki Marii. Kupiwszy dużą sztukę jedwabnej tafty na kołdry i poszwy, wyżej wymienionym sposobem umieściła kontrabandę. Było nas cztery w powozie, także dobrze obciążonych. Przepis surowy nakazywał, aby do przejrzania paszportów przychodziła do biura osoba główna, w tym więc razie ciotka. Po odbytej skrupulatnej rewizji waliz i przejrzaniu dokumentów, pan naczelnik z kurtuzją podał ciotce rękę, kiedy przy wsiadaniu do powozu z szumem wysunęła się sztuka materii spod sukni ciotki, spadając po stopniach powozu p. Petrowowi pod nogi. Naczelnik, ubrany w długi wojskowy płaszcz z peleryną, zasłonił sobą kaskadę purpurową i począł pakować do powozu niesforną kontrabandę, która coraz bardziej się rozwijała... Wrzuciwszy resztę do powozu ze słowami: „Bon

voyage mesdames”¹, zatrzasnął drzwiczki. Obok stojącemu strażnikowi, świadkowi sceny, wrzasnął nad uchem „Słysz! niczego nie widzieć!”² i kazał ruszyć stangretowi.

Pani z Girtlerów Janowska³ przewoziła z Krakowa zegar pod płaszczem na plecach; kiedy już paszport jej był podpisany, zegar zaczął wybijać głośno godzinę. Zdumieli się na razie urzędnicy w kancelarii, lecz pani Janowska, nie tracąc kontenansu, rzekła: „Ach, to już 6-ta godzina!” – i ukłoniwszy się szybko wyszła z kancelarii. Rozśmieszeni celnicy tym komicznym zdarzeniem, nie czynili jej żadnej przeszkody. Nie zawsze jednak tak dobrze udawała się przeprawa przez granicę. Trafiały się osobiste rewizje, których podejmowała się wstrętna Żydówka, „Czarna Hanka” z Krakowa, dostarczająca sama wszelkich zapotrzebowań całej granicznej załodze; znienawidzona w mieście naszym jako szpieg i denuncjatorka.

Było to zwyczajem u Moskali zmieniać naczelników, zwłaszcza jeśli który, jak Petrow, wyrozumiałym na potrzeby okolicznej szlachty się okazywał. Wysyłano takiego w głąb Rosji i zastępowano najczęściej jakimś satrapą. Trzeba jednak im wszystkim oddać sprawiedliwość, że łapówek nie brali.

PRZEDRUK ZA: Maria z Morów Kietlińska, *Wspomnienia*, opracowała Irena Homola-Skąpska, Kraków 1986, s. 146–147.

1 *Bon voyage mesdames* (fr.) – szczęśliwej podróży, moje panie.

2 Słysz! niczego nie widzieć! (ros.) – słuchaj, niczego nie widziałeś!

3 Józefa z Girtlerów Janowska (1777–1858) – córka Sebastiana Girtlera, prof. i rektora UJ, i Franciszki z Fuchsów; żona Edwarda Janowskiego (ok. 1806–1868), dzierżawcy dóbr w Miechowskim.

48. Z Mołdawii do Warszawy i z powrotem.

Przerzut emisariusza. 1862

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)

Od kolebki przez życie [fragmenty]

Berenstein wręczył mi na podróż¹ w papierach rosyjskich pieniądze, nie pamiętam w jakiej ilości. [...] Odłożyłem je osobno w pularesie, który mi dotychczas jeszcze służy, zostawiłem żonie pieniądze, będące własnością moją osobistą, z których jakąś ilość wziąłem w monecie austriackiej do przejazdu przez Galicję, i puściłem się do Warszawy na Lwów i Kraków.

Do Lwowa skazówek nie potrzebowałem. Przez Wyleżyńskiego dałem znać do Czortkowa, zamawiając sobie towarzystwo Władysława² do stolicy Galicji. Do Krakowa dał mi Berenstein adres Alfreda Szczepańskiego³, który zaopatrzyć mnie miał w paszport, zapewniający bezpieczeństwo w granicach panowania rosyjskiego. W ciemny październikowy, a może listopadowy (w pierwszych tego miesiąca dniach) wieczór, w towarzystwie listonosza przekradłem granicę bukowińską⁴. W pobliżu czekał na mnie wózek żydowski. Wczesnym rankiem zajęchałem do Czerniejowiec⁵, do Polaka, należącego do zмовы organizacyjnej, i ten wyprawił mnie do rządcy dużej, nad Dniestrem położonej wsi (czy nie do Sińkowa?), będącej własnością najmłodszego z braci

¹ Berenstein, posłaniec Komitetu Centralnego Narodowego z Warszawy, który przywiózł Miłkowskiemu wezwanie na rozmowy w Warszawie dotyczące powstania. Szerzej, zob. Małgorzata J. Willaume, *Zygmunt Miłkowski (1824–1915) w powstaniu styczniowym*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska” 2012, Sectio F, Vol. LXVII, z. 2.

² Władysław Wróblewski, szwagier Miłkowskiego, mieszkający w Czortkowie. Zob. też tekst nr 24, przyp. 2.

³ Alfred Szczepański (1840–1909), literat, publicysta, działacz społeczny.

⁴ Miłkowski mieszkał z żoną w Michalenach (Mołdawia) nad granicą austriacką. Zob. tekst nr 25, przyp. 2.

⁵ Zob. tekst nr 25, przyp. 3.

Gołuchowskich, zdaje się Mieczysława (imienia jego nie jestem pewny). Od wsi tej zaczynała się poczta obywatelska, instytucja niemająca żadnej z pocztami rządowymi styczności, powoływana do życia, ile razy sprawa polska nastawia się, jak się wówczas nastawiła. Z Sińkowa, przenocowawszy, pojechałem pocztą obywatelską do Torska, gdzie zastałem Wyleżyńskiego, który mi siodło kozackie w prezencie dał, i stąd przez Siemiginowskiego, właściciela tej wsi, wyprawiony zostałem dalej, do Rzepiniec. Z Torskiego wyjeżdżałem dobrze po południu wózkiem węgierskim, parą tęgich zaprzężonym koni. [...]

Nazajutrz z Władysławem wzięliśmy w Buczaczu dylizans i bez przeszkody wylądowaliśmy we Lwowie. [...]

Po paru dniach pobytu we Lwowie przeniosłem się do Krakowa. W Krakowie, ponieważ przyjechałem o dnia świtaniu, wprost z dworca, złożyłwszy walizkę moją nie pamiętam gdzie (może w kamienicy, w której apartament zajmował Dymidowicz), udałem się wedle udzielonego mi przez Berensteina adresu do Alfreda Szczepańskiego. W kamienicy, w której mieszkał, z łatwością dopytałem się o pokój, otwieram drzwi, wchodzę i w jednym łóżku widzę dwóch młodych ludzi, smacznym zdjętych snem. [...]

Szczepański, ceniony dziś wysoko w wysokiej trójjolingalizmu sferze mąż stanu, obudził się. Wówczas był on gorliwym Ławy krakowskiej⁶ członkiem i jako taki załatwiał sprawy odnoszące się do Komitetu Centralnego. Oczekiwał, będąc uprzedzonym, na przybycie moje, z łóżka wstał, przy mnie się umył i przyodział, wyszliśmy razem. Na ulicy powiedział mi, że paszport dla mnie gotów i że czeka na mnie z Warszawy przysłany Gaszyński. Weszliśmy pod Barany, do Dymidowicza. Dymidowicz tylko co był wstał. Zatrzymał na kawę Szczepańskiego i mnie, po kawie Szczepański poszedł po Gaszyńskiego. Tego samego dnia nad wieczorem pojechaliśmy we dwóch, Gaszyński i ja, fiakrem do Michałowic, wsi

⁶ Ława Główna Krakowska, tajny organ kierowniczy obozu „czerwonych” w Galicji Zachodniej, założona w połowie 1862.

leżącej na granicy po stronie Królestwa, w której znajdowała się komora rosyjska o staję⁷, może trochę więcej, odległa od komory austriackiej. U Dymidowicza, u którego cały spędziłem dzień, o wszystkim była mowa, tylko nie o paszporcie. Gotów, więc gotów, więcej mnie on nie obchodził w przekonaniu, że odpowiada wymogom bezpieczeństwa wobec władz. Na drodze wręczył mi go Gaszyński, mówiąc, że się nazywam Orłowski, imię zapomniałem, i jestem któregoś z Potockich lokajem. Przedstawiłem ów paszport na komorze austriackiej; zawizował mi go urzędnik, siedzący przy stole, tak że Gaszyński swój, ja swój podawaliśmy mu przez ramię i on je nam przez ramię oddawał, ani spojrzawszy na nas dla sprawdzenia rysopisów. Zauważyłem, że austriacka, michałowicka komora najmniejszego na zewnątrz do michaleńskiej⁸ nie miała podobieństwa: ani bramy przy niej, ani szlabanu nawet. Szlaban, państwowymi omalowany barwami, duży, porządnym, w łańcuchy zaopatrzony, ukazał się nam przy komorze rosyjskiej. Wsiadamy, podchodzimy – zamknięty.

– Otwórz – przemawia Gaszyński do stojącego na warcie sądata.

– Nie wolno – odpowiada sądat.

Nadjechaliśmy w chwilę po zachodzie słońca, a uczyniliśmy to umyślnie, albowiem o tej dnia porze, jak twierdził Gaszyński, urzędnicy, całodzienną rewizją bagaży i wizowaniem paszportów znużeni i znudzeni, spieszą się i przejezdnych bez szykan ekspediują. Aleśmy się o minut parę najwyżej spóźnili.

– Otwórz! – powtórzył Gaszyński.

– *Nikaks nie lzia*⁹.

Dawał sądatowi rubla, dwa, trzy, ażeby urzędników o przejezdnych zawiadomił, ten atoli skorumpować się nie dał – sprzeciwiała się temu niemożliwość absolutna. Nie było co. Przebycie granicy odłożyć należało do dnia następnego. Pomiędzy komorami

⁷ Staja – staropolska miara długości, ok. 1 km.

⁸ Tj. do tej w Michalenach, na granicy austriacko-mołdawskiej.

⁹ *Nikaks nie lzia* (ros.) – absolutnie nie wolno.

austriacką a rosyjską, przy trakcie, opodał nieco, stała niepozornie wyglądająca karczma. Do karczmy tej zajechaliśmy w zamiarze przenocowania. Wysiedliśmy, fiakraśmy odesłali i weszliśmy z walizkami do izby, będącej zarazem sypialnią, jadalnią i szynkiem. W izbie tej obszernej w jednym z kątów znajdowało się zagłębienie kwadratowe, wydzielone dla *honoratiores*¹⁰. Stał w nim stolik, za stolikiem ławka, dokoła krzeselka drewniane. Żyd karczmarz, człek nasępiiony, świecę zapaloną na stoliku postawił i w milczeniu odszedł. Pod stolikiem ulokowaliśmy tłumoki nasze i pozajmowali na krzesłach miejsca. Nie przypominam sobie rozmowy, jaka się w pierwszej chwili między nami zawiązała. W ciągu rozmowy zająłem przez ciekawość do mającego mi w Królestwie, pozostającym w stanie obłączenia¹¹, służyć paszportu, przeczytałem rysopis i ku wielkiemu zdziwieniu memu wyczytałem, że mam czarne oczy i jestem wzrostu słusznego. Przy tym i wiek nie odpowiadał pozorowi, jaki zewnątrzność moja wydawała. Dałem ten paszport od odczytania Gaszyńskiemu.

– A! – stęknął.

– Dobrze się stało, żeśmy się spóźnili – zauważyłem.

– Zapewne – odrzekł.

– Ale cóż zrobimy teraz?

– Trzeba do Krakowa po inny wracać.

– Fiakraśmy odesłali, a tu koni nie dostaniemy – rzekł tonem zafrasowania.

Dla zaspokojenia go odrzekłem:

– Poczekamy do jutra.

Upłynęło pół godziny może od chwili zainstalowania się naszego w karczmie, do szynkowni weszło towarzystwo głów z dzieśiątek: jedni w odzieży włościańskiej, drudzy w mieszczańskiej, chłopcy młodzi, krzepy i na pół rozweseleni; zasiedli przy stole

¹⁰ *Honoratiores* (łac.) – dostojnicy, tu: lepsi goście.

¹¹ Po półtorarocznym okresie warszawskich patriotycznych demonstracji, zakończonych masakrą na pl. Zamkowym (8 kwietnia 1861), władze rosyjskie wprowadziły 14 października 1861 roku w Królestwie Polskim stan wojenny.

obok, na zewnątrz zagłębienia, kazali sobie napitku jakiegoś podać i zawiązali półgłosem rozmowę. Akcent mazowiecki przeszkadzał mi rozumieć, o czym mówili¹². Gaszyński rozumiał i szepnął do mnie:

– Kontrabandyści ze Słomnik.

Po chwili dodał:

– Gdybym się mógł porozumieć z Dębkiem, nie potrzebowałibyśmy do Krakowa wracać.

– Z jakim Dębkiem?

– Karczmarz w Michałowicach... członek organizacji.

To rzekłszy, od stolika wstał, wyszedł przed karcznię, powrócił, po izbie szynkowej parę razy się przeszedł i, odwoławszy jednego z towarzystwa, na stronie z nim pomówił.

– Idę... – rzekł, podszedłszy do mnie.

– Za pół godziny wrócę.

Pozostałem sam przy stoliku. W oczekiwaniu na powrót towarzysza mego, który z powrotem zwlekał, a nie mając nic innego do czynienia, przysłuchiwałem się rozmowom kontrabandyistów, rozmowom coraz to, w miarę wchłanianego napitku, głośniejszym i coraz to dla mnie zrozumialszym, w miarę jak ucho moje oswajało się z mazurowaniem. A były one ciekawe, toczyły się bowiem na tle przechwałek, tyjących się czynów szwarcowniczych. Przechwałki gęsto szpikowały lokucje: „psia krew”, „psia kość”, „psia noga” i dotykały przedmiotów coraz to drażliwszych, takich np., jak rozbijanie nosów, przetrącanie ziober, łamanie nóg lub rąk. Jeden, chłop młody i okazały, opowiadanie jakieś zakończył słowami: „dźgnąłem go na odsiebek kozikiem i wyrzucił się, psie pomiotło”.

„W dobrym wieczór spędzam towarzystwie...” – pomyślałem sobie.

¹² Miłkowski znał jedynie Pobereże (część Podola, między rz. Dniestrem i Bohem oraz Murachwą i Jahorlikiem, na południowej krawędzi dawnej Rzeczypospolitej, u granic Turcji i Mołdawii), gdzie się urodził i wychowywał, oraz Galicję, gdzie mieszkała rodzina jego żony. Tam mógł słyszeć mowę ludu ukraińskiego. Tu natomiast po raz pierwszy zetknął się z mazurowaniem i otwartym „e” zamiast pochyłego.

Z towarzystwa tego ten i ów wstawał i mnie okiem mierzył – z akcentem. Zrazum na to nie zważał; lecz gdy to się razy kilka powtórzyło, przyszło mi na myśl przysłowie: „strzeżonego Pan Bóg strzeże” – w głąb się za stolik usunąłem i postawiłem przed sobą krzeselko tak, ażeby mi w razie potrzeby do obrony posłużyć mogło. Zbytecznym jednak okazał się ten ostrożności środek. Około północy powrócił Gaszyński, przyprawdzając ze sobą dwóch dwudziestokilokrotnych chłopaków, jeden od drugiego trochę wyższy, obydwaj choć mały. Byli to pocztynioni. Przyszli celem przeprowadzenia nas przez granicę sposobem przekradanym.

Przekradałem się tyle razy, że ten sposób przyjąłem ze spokojem, nawet z uznaniem. Uznawałem prawowitość jego wobec nieprawowitości moskiewskiej.

Przewodnicy nasi czas jakiś zabawili w karczmie, żartowali z kontrabandzistów, z którymi się znali, a którzy im szczególnie okazywali respekt, wreszcie zabrali nasze walizki i przeprowadzili nas z ziemi naszej, dla mnie zakazanej, na ziemię naszą, również dla mnie zakazaną. Ironia sytuacji... Bezprawie uczyniło mnie wyrzutkiem z własnej, z rodzonej ojczyzny. Prawo przyrodzone upoważniało mnie do gwałcenia bezprawia. Powiodło mi się ono pomyślnie. W przechodzie przez granicę w pobliżu komory jedna tylko trafiła się niedogodność: trzeba było na brzuchu przez psią w płocie przeleźć dziurę. Przeleźliśmy – Gaszyński z pocztynionem niższym dokądś odszedł; mnie zaś pocztynion wyższy do stajni wprowadził i pod żłobem na sianie schował. W schowku tym pozostawałem niedługo. Gaszyński załatwił formalności w biurze pocztowym – spod żłoba wylazłem, na zaprzężony parą koni wózek obok Gaszyńskiego siadłem i po bitej drodze wyciągniętym z miejsca ruszyliśmy kłusem.

Pocztynioni, co nas przekradli, zajęli mnie żywo.

- Walne chłopaki... – odezwałem się do Gaszyńskiego.
- Ciekawym, ile też sobie zapłacić kazali.
- Nic.
- No?... – zdziwiło mnie to.

– Do organizacji przecie należą.

Jechaliśmy ostro. Okolicy w pomroku widzieć nie mogłem; zawinięty w futro drzemałem po nocy poprzedniej, bezsennie w wagonie spędzonej. Z drzemki wyprowadziło mnie nagle wózka pocztowego zatrzymanie się. Gaszyński z siedzenia zeskokczył i do okienicy stojącego przy drodze domku w szczególny zapukał sposób. W dziesięć najdalej minut później na drugim siedzieliśmy wózku i pędzili drogą pocztową do stacji następnej, przy której powtórzyło się pukanie szczególne. Przy stacji dalszej powtórzyło się znów.

– Co to znaczy? – zapytałem.

– To hasła umówione.

– Poczty więc?...

– Do organizacji należą.

„Czołem przed organizacją taką!” – powiedziałem sobie w duchu.

Pierwsze z nią zetknięcie się dobre, obiecujące wywarło na mnie wrażenie. Stała mi w oczach Polska cała w taki zorganizowana sposób. Gdyby zorganizowana była stale, nie z dziś na jutro, ale na zawsze, przed każdym powstaniem i po każdym powstaniu, jakżeby ona siebie szanować, jakby się ze sobą liczyć kazała!... Taka Polska mogłaby o przyszłość swoją być spokojną. Przyszłość zapewniała jej by organizacja, czuwająca nad nią nieustannie i powołująca naród do czynu nie kiedy się zdarzy, nie kiedy się miara cierpliwości przebierze, ale kiedy nadejdzie sposobna i odpowiednia pora. O! tak zorganizowana Polska...

Nie przypominam sobie, ile przez noc minęliśmy stacyj. Dzień już był dobry, kiedyśmy z ostatniej z traktu pocztowego na drogę prywatną zjechali i w godzinę może zajechali do dworu we wsi, której nazwy w pamięci mojej odszukać nie mogę. Właścicielem jej był Gaszyński, pułkownik b. wojsk polskich z r. 1831, ojciec przewodnika mego, a brat, zdaje się rodzony, poety, Konstantego Gaszyńskiego, pamiętnego ścisłą przyjaźnią, jaka go z Zygmuntem Krasieńskim wiązała.

Pułkownik, człek rośły, sędziwy, poważny, powitał mnie uprzejmie, z akcentem nienadającym powitaniu znaczenia monety zdawkowej. Obchodzenie się jego ze mną mówiło: „Wiem, coś za jeden, obyz ci się powiodło”. Akcent ów uwyraźnił się w rozmowach, w których powstanie występowało jako rzecz przewidywana, oczekiwana i konieczna. Mówił o nim ze spokojem, swobodnie, jak o rzeczy naturalnej, wobec rodziny, składającej się z mężczyzn, kobiet i dzieci. Niemniej więc to, jak świadectwo istnienia organizacji na poczcie sprawdzone, zafrapowało mnie. Wszak sytuacja, wiek i wojskowa praktyka wkluczały pułkownika w sferę konserwatywną, luboć polską, lecz do ryzyka niekoniecznie pochopną. Ten przeto starzec uszewronowany¹³, dziećmi i wnuczętami otoczony, mający w moralnym i materialnym względzie do stracenia dużo – ten starzec, uznający naturalną konieczność powstania, byłby mnie na drodze, którą szedłem, rozgrzeszył, gdyby sumienie moje własne tej drogi mi nie wskazywało. I on do organizacji należał. Drugie to, w innej aniżeli pierwsze sferze społecznej, świadectwo istnienia organizacji podnosiło w mniemaniu moim jej znaczenie i doniosłość.

Pułkownik wójtował w gminie, w charakterze wójta przeto dał mi do Warszawy paszport pod nazwiskiem hr. Komarnickiego (imię zapomniałem), mieszkającego w gminie, a dotkniętego półobłąkaniem umysłowym; udzielił mi oraz instrukcyj co do zachowania się w Warszawie wobec urzędnika, z którego rąk paszport na dworcu kolei żelaznej odbiorę. Urzędnik ów, były w pułku jego feldfebel¹⁴, posiadał zdolność poznawania fizjonomij i wyczytywania na nich wrażeń. Był on specjalistą od tego.

– Wizując paszport, patrzy nie na paszport, ale w oczy właściciela paszportu i zadaje zapytania – pouczał mnie pułkownik.

– Zapyta pana o mnie i o nogi moje...

Końmi i bryczką pułkownika ja z przewodnikiem moim, synem jego, dojechaliśmy do stacji kolei żelaznej najbliższej – w Radomsku.

¹³ Tj. udekorowany odznaczeniami. Z fr. *chevron* – odznaka zaszczytna.

¹⁴ Feldfebel – podoficerski stopień wojskowy, odpowiednik sierżanta.

Musiało to być niedaleko, wyruszyliśmy bowiem rano i stanęliśmy na miejscu przed południem. Na mający nas zabrać, przechodzący od granicy galicyjskiej pociąg czekać musieliśmy ze dwie godziny. Zatrzymaliśmy się w karczmie, naprzeciwko dworca kolejowego. Kazaliśmy dać sobie obiad. Do stołu usługiwała nam czysto po polsku mówiąca panienka, ku zdziwieniu memu Żydówka. Rodzice jej i rodzeństwo również czysto po polsku mówili i sposobem bycia rasy odmiennej nie zdradzali. Razem z nami obiadowało kilku szlachciców, między innymi lat trzydziestu paru młody człowiek, obywatel z okolicy, nazwiskiem Walewski, członek organizacji. Jego manieri, sposób bycia, powozik i dobre konie, którymi przyjechał, świadczyły, że należy do towarzystwa tzw. „lepszego tonu”. Świadczyło o tym same nazwisko. Wskazywało to, że do organizacji należą nie sami tylko tacy, co nic do stracenia nie mają. [...]

Pociąg nadszedł, wsiedliśmy i odrazuśmy się w ręce moskiewskie dostali. Oficer od żandarmerii paszporty siedzącym w wagonach pokazywać sobie kazał. Żandarmi nad pociągiem czuwali. Ustawicznie się na oczy nasuwali. Żandarmi tu, żandarmi tam, żandarmi, żandarmi – wszędzie żandarmi. Niby błyszczące robactwo na zanieczyszczonym gruncie, przewijali się na polskiej ziemi, która tam, gdzie ich nie było, na przesuwających się mimo okien wagonu polach, bielila się śniegiem, nieokrywającym w zupełności cienką warstwą zieleni posiewów jesiennych. Spod śniegu widzieć się dawały kępki żyta czy pszenicy na piaszczystym gruncie. Pejzaż urozmaicały lasy sosnowe, ukazujące się niekiedy. Niekiedy przed oczyma przesuwały się wsie. Od czasu do czasu pociąg się zatrzymywał przy stacjach, podróżni jedni wysiadali, drudzy wsiadali, przesiewani przez przetak oczów żandarmskich.

Żandarmi i żandarmi.

Wejrzenia ich oczów prześwidrowały mnie, jak każdego zresztą podróżnego, kilkakrotnie, zanimem się wieczorem przy świetle przed eksfeldfeblem armii polskiej znalazł. W ich oczach odebrano mi bilet; pod oczami szeregu ich przeszedłem od jednych drzwi do drugich, przy których oficer od żandarmerii kazał sobie wręczyć

paszport; za tymi drzwiami w obszernej izbie czy przedsieni, może podcieni, pod okiem dozorujących wszystkie wyjścia żandarmów doczekałem się wygłoszonego donośnie wywołania:

– Graf Komarnicki!

Na wywołanie to przystąpiłem do bariery drewnianej, za którą stał stolik, a przy stoliku siedział człowieczek o dużej głowie, w ogromnych srebrnych okularach. Stałem w świetle. Przed siedzącym przy stoliku leżał mój paszport. Okulary jego zwrócone były na mnie i spoza nich przez szkła przeglądały oczy w twarz moją wpatrzone.

– Jakże tam stary... pułkownik? – zapytał.

– Niczego... – odpowiedziałem.

– A nogi?

– Nieźle.

– Pan hrabia długo w Warszawie zabawi?

– Dni kilka.

– Łatwo do Warszawy przyjechać, trudno z niej wyjechać!

– Nie wyszukam sobie utrudnień.

– Chyba.

Mówiąc ze mną i oczów ze mnie nie spuszczać, szybko, zamaszycie pisał. Po wyrazie „chyba” paszport mi zawizowawszy podał i rzekł:

– Proszę.

Nimem się ze dworca wydostał, jeszcze raz z żandarmami się spotkałem.

Nareszcie – uh! – widok tych aniołów-stróżów, przydeптujących Polskę celem zdeptania w niej ducha, sprzed oczu mi znikł.

Przed dworcem wsiedliśmy do fiakra. Jechaliśmy przez jakieś ulice i przez plac. Na placu biwakowała piechota przy ogniskach, przy których świeciła się broń w kozłach. Wsiedliśmy przed hotelem – zdaje się – Rzymskim. Hotelu¹⁵ nie wybierałem – była to rzecz przewodnika mego.

¹⁵ Hotel Rzymski mieścił się przy Trębackiej 8. Po wojnie nieodbudowany.

W hotelu, jak skoro nas do numeru wprowadzono, zabrano nam paszporty i podano księgę do rozpisania się w niej własnoręcznie w kilku rubrykach, zaznaczonych zapytaniami: skąd? – dokąd? – po co? – na jak długo? itp. Po załatwieniu tej formalności kazałem ogień na kominie zapalić i herbatę podać. Gaszyński wyszedł; zostałem sam – usiadłem przy kominie, na którym dużym płomieniem gorzały drewna sosnowe.

„Jestem nareszcie w Warszawie – powiedziałem sobie – w Warszawie, w stolicy Polski”... Wyrazy te głowę mi napełniały jakimś szumem niby. Od najwcześniejszego dzieciństwa, od chwili kiedy najpierwsze brzaski myśli do mózgu mego zaglądać poczęły, Warszawa przyświecała mi na kształt gwiazdy pierwszej wielkości. Ślaniała się ona w oczach moich na horyzoncie polskim – hen – gdzie? – tam jeszcze, na najdalszej Polski rubieży, na Pobereżu. Zwracałem się wciąż ku niej, okiem za nią przez lat trzydzieści kilka wodząc, z okiem w nią, w wyobraźni mojej stojącą, wlepionym błdziłem po łądach i morzach: – dotarłem do niej na koniec.

Warszawa!

[...]

Z przejść w życiu moim nic mi tak doszczętnie z pamięci nie wypadło, jak wyjazd z Warszawy i przybycie nad Pilicę. Jechać musiałem koleją i z kolei gdzieś wysiąść i gdzieś się z Gaszyńskim rozstać. Nic z tego nie przypominam sobie. Przypuszczać należy, że umysł mój, powstaniem całkowicie zajęty, od myśli o nim nie odrywał się i na nic uwagi nie zwracał, tym bardziej że miałem polecone skreślenie dla Komitetu w ogólnych rysach planu powstania. Opamiętuję się dopiero u Kurowskiego¹⁶. Od pobytu u niego wspomnienia moje chwytają na nowo wątek zdarzeń. Kurowski mieszkał we wsi nad Pilicą. [...]

¹⁶ Apolinary Kurowski (1818–1878) – pułkownik powstania styczniowego, mianowany naczelnikiem województwa krakowskiego.

Od Kurowskiego jeździłem do Miechowa i do zapomnianej przeze mnie nazwy wsi, której właścicielem był wójt gminy Mejezeles, rodzony czy stryjeczny brat wślawionego w czasie ruchów warszawskich rabina¹⁷. [...]

Do Mejezelesa udałem się w interesie. Wójtował on w gminie pogranicznej, miał zatem prawo wydawać przepustki do Krakowa. Przepustka do Warszawy, udzielona mi przez pułkownika Gaszyńskiego, nie służyła do przejazdu przez granicę. Służyła jednak do uzyskania tej ostatniej. Mejezeles na wstępie oznajmił mi, że jest sam w domu, jego kobiety bowiem – ponieważ to była niedziela i godzina przedpołudniowa – wyjechały do kościoła. Gdym mu oświadczył, po co przyjeżdżam:

– Wiem – odrzekł – Czekałem na pana... Proszę.

Zaprowadził mnie do kancelarii, posadził przy stole, papierami założonym, sam miejsce zajął naprzeciw, papiery rozłożył i odezwał się:

– Do napisania rysopisu mam przed sobą oryginał i kopię...

To rzekłszy, podał mi papier z nagłówkami urzędowymi, z numerem i z pieczęcią, zapisany od góry do dołu. Przebiegłem go oczami. Był to poufny do wójtów gmin i burmistrzów rozkaz, polecający im imanie¹⁸, kucie w kajdany i odstawianie do władzy wyższej mogących się pojawić osobistości niebezpiecznych, zagrażających spokojowi publicznemu. Osobistości te wymienione były z imienia i nazwiska z dodatkiem rysopisów. Zapamiętałem trzy ze spisu tego znane mi nazwiska: Mierosławskiego, Wysockiego i moje. Mój rysopis skreślony był błędnie, zupełnie błędnie, tak że nie upoważniał wójtów i burmistrzów do imania mnie i zakuwania w kajdany. Dało to Mejezelesowi powód do żartobliwych przy pisaniu dla mnie paszportu uwag.

¹⁷ W ruchu warszawskim wślawił się Ber Meisels (1798–1878), rabin krakowski, potem warszawski. W 1861 roku, na znak solidarności z duchowieństwem katolickim (które zamknęło kościoły po zbezczeszczeniu ich przez kozaków pacyfikujących demonstracje), nakazał zamknięcie synagog warszawskich.

¹⁸ Tj. chwywanie.

– Nie mam prawa – mówił – ze względu na rysopis, podejrzewać pana, żeś Zygmunt Miłkowski. Mam przed sobą hrabiego Komarnickiego i jestem w porządku. [...] Okienka na blankiecie wypełnił, podpisał, pieczęć odcisnął i paszport mi podał. [...]

U Kurowskiego nakreśliłem w ogólnych zarysach dla Komitetu Centralnego plan powstania – program raczej – zastosowany od odłożonego na później wybuchu¹⁹. [...] Po napisaniu tego planu i wręczeniu go Kurowskiemu dla przesłania do Warszawy opuściłem gościnne jego progi. Opuściłem je odpowiednio do tytułu hrabiowskiego, figurującego w paszporcie przy nie moim nazwisku. Do nazwiska rościć sobie mogłem niejakię po kądzieli prawo, będąc wnukiem Komarnickiej. Tytuł nie należał się mi żadną miarą. Do tytułu jednak dostosował Kurowski szyk, w którym mnie wyprawił. Wyjechałem od niego kareta z herbami, zaprzężoną w lejc w cztery piękne, cugowe²⁰, siwe konie, powożone przez stangreta w liberii sutej, z peleryną niedźwiedzią, siedzącego wspaniale na koźle obok również uliberiowanego lokaja. Nie wiem, czyja to była kareta, czyje konie i czyja służba, w każdym razie nie Kurowskiego, u którego cienia lokaja nie widziałem, nie dopieroż takiego stangreta, takich koni i takiej karety. Nie pytałem o to. Pożegnałem się z gospodarzem, z gospodynią, do karety wsiałem i po kilku godzinach ostrej jazdy wysiadłem przed komorą w Michałowicach.

Gdy do komory wkraczał, żołnierz poskoczył i futro mi zdjął. W izbie, w której urząd zasiadał, okazywano mi grzeczność i uprzejmość jak największą. Jakiś jegomość do mnie podszedł i rozmowę ze mną po francusku zawiązał, nie szczędząc mi tytułu: *Monsieur le comte*²¹. Z akcentu poznałem w nim Francuza rodowitego. Na komorze michałowickiej pełnił on funkcję fizjonomisty, tę samą,

¹⁹ Przed samym wyjazdem z Warszawy Miłkowski dowiedział się, że powstanie ze stycznia przełożono na maj. Jak twierdzi Stefan Kieniewicz (*Powstanie styczniowe*, Warszawa 1983, s. 326) informację tę kierowano pod adresem ludzi, których chciano przekonać, że nie jest to przedsięwzięcie lekkomyślne.

²⁰ Konie cugowe – używane w cztero – lub sześciokonnym zaprzęgu.

²¹ *Monsieur le comte* (fr.) – panie hrabio.

co eksfeldfelbel z pułku Gaszyńskiego na dworcu warszawskim. Nic jednak podejrzanego w hrabstwie uiluminowanej fizjonomii mojej nie wyczytał i tę mi wyświadczył przysługę, że dzięki jego interwencji nie czekałem na komorze na bryczkę pocztową, mającą mnie do Krakowa odwieźć.

Jak skoro mi paszport zawizowano, karetę odesłałem, bryczka zaszła – na koźle siedział jeden z tych dwóch pocztylionów, co mnie przez granicę przekradali. Francuz mi się kłaniał, strażnicy mnie na bryczkę podsadzali, wsiałem, szlaban otworzono, wio!

Po załatwieniu się na komorze austriackiej, po ujechaniu połowy drogi, pocztylion odwrócił się, dłoń mi do uścisku podał i zapytał:

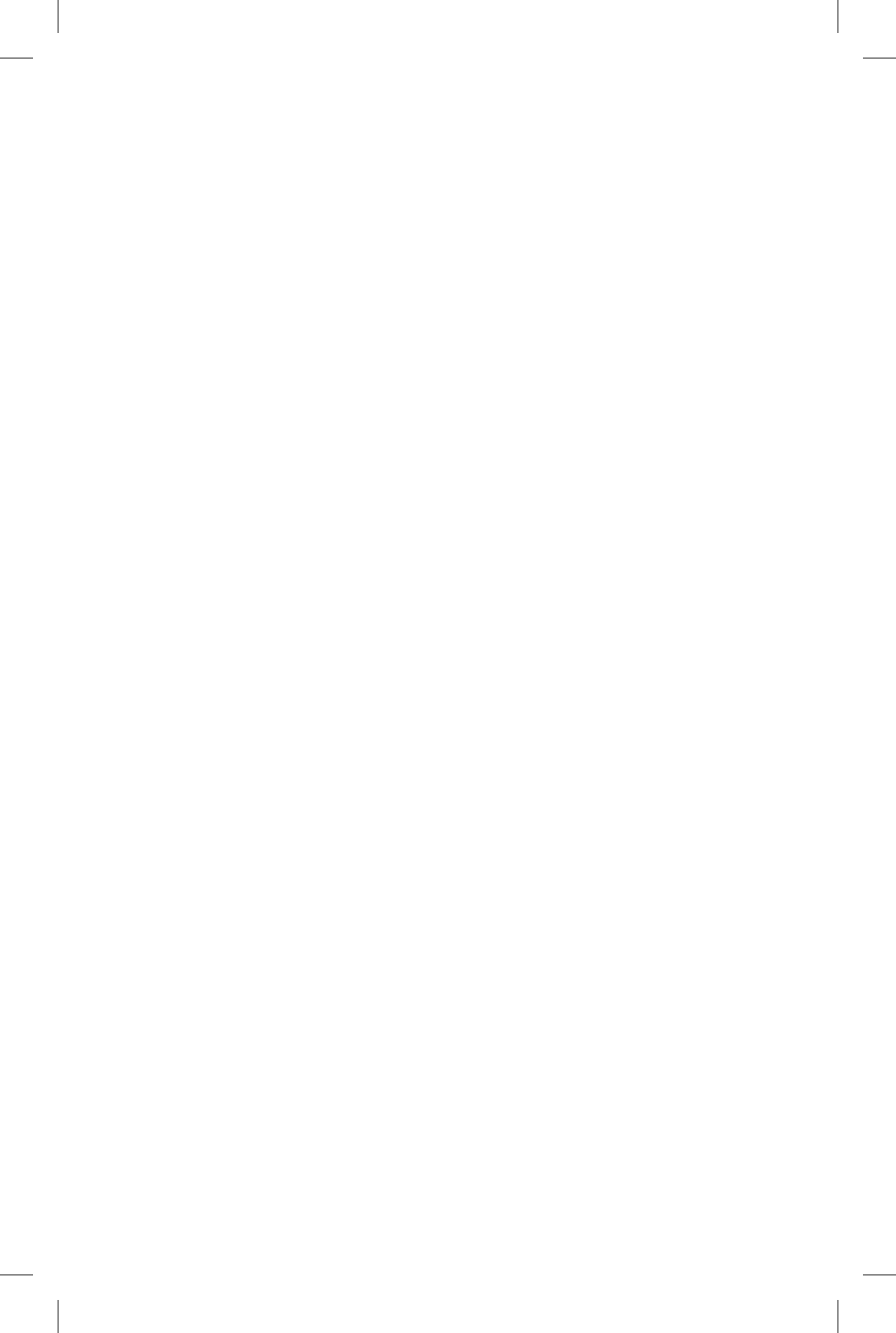
- A prędkoż tam, panie?
- Niezabawem – odrzekłem.
- A juchy!

Tyleśmy ze sobą słów wymienili. Dopowiedzieliśmy sobie resztę – wszystko – w serdecznym dłoni uściśnieniu.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 11, s. 387–400 i 412–417.



Przez zieloną granicę



49. Próba ucieczki przez morze. 1831

Ignacy Domeyko (1802–1889)

Moje podróże [fragment]

Jadę tedy z mymi dwoma sąsiadami Mikulskimi i jednym jeszcze oficerem Kościelskim¹ do Memla z postanowieniem zmykać jakim nie bądź sposobem i jaką nie bądź drogą². Dowiadujemy się, że z portu za trzy dni odpływa do Londynu mały statek angielski kupiecki. Nie czekając długo, popłynąłem do tego okrętu, aby go obaczyć i rozmówić się z kapitanem, a tu nowy ambaras; kapitan, jak dobry Anglik, nie umie żadnego języka prócz swego. Ja, choć wiele czytałem nawet Ossjana³ i Gibbona⁴ po angielsku, nigdy nie otworzył gęby w tym języku. Przemówiłem do kapitana, nie zrozumiał; zagadał coś do mnie, ani słowa nie zrozumiałem; pokazałem dukaty i na migi, że chcę uciekać, może i zrozumiał, ale nie był pewien, czego chcę; aż przychodzi mi do głowy przemówić na piśmie do niego. Wyjmuję z zanadru pugilares i układam frazes z pisownią, choć nie bardzo poprawną: czyta, dziwi się i odpisuje na tymże pugilaresie Anglik. W kwadrans porozumieliśmy się. Nazajutrz rano wypłynie z portu okręt, kapitan obowiązuje się czterech nieznanym mu bez paszportów zawieźć do Londynu za... (zdaje mi się 50 duk[atów]) z tym jednak zastrzeżeniem, że ponieważ przy samym wyjściu z portu policja portowa przychodzi

¹ Zapewne Ludwik Kościelski, major 1. pułku strzelców pieszych. W autografie w tym miejscu Kościelowskim, poniżej Kościelskim.

² W lipcu 1831 korpus gen. Chłapowskiego, w którym był Domeyko, został zmuszony przez Rosjan do przejścia do Prus i tam internowany. Domeyko planował ucieczkę w celu powrotu do powstania i kontynuacji walki. Zob. tekst nr 63.

³ Mowa o *Pieśniach Osjana*, zbiorze utworów przypisywanych Osjanowi, mniemanemu bardowi celtyckiemu z 111 wieku, wydanych w języku angielskim przez Macphersona w roku 1765.

⁴ Edward Gibbon (1737–1794) – historyk i polityk angielski, autor znanego dzieła *History of the Decline and Fall of the Rome Empire*.

robić najściślejszą rewizję okrętu, aby wy badać, czy jakiego zbiega na nim nie uprowadza kapitan, o milę czy dwie mile od brzegu po wyjściu z portu będzie na nas czekał na okręcie, aż póki nie dopłyniemy do niego etc., etc. Zgodziłem się na wszystko.

Zaraz za powrotem do miasta znaleźliśmy właściciela dobrej szalupy, który się podjął dostawić nas do okrętu, choćby i daleko od brzegów, jak to był nawwyczajony robić z przemycaniem zbiegów i kontrabandy.

Przed wschodem tedy słońca, o pół mili na wschód od portu byliśmy już na brzegu, gdzie na nas czekał barczysty szalupnik z dwoma synami; silnie nam biło serce, kiedyśmy patrzyli, jak nasz okręt rozpinał żagle w porcie; już rusza się, już płynie – wychodzi z portu; za nim zwija się łódka portowego kapitana, jak szpieg za dobrym człowiekiem i zawraca nazad; a okręt nasz, odpłynawszy jakoby o milę dalej na morze, kieruje się na wschód i lawiruje przed owym brzegiem, przy którym szalupa nasza już miała rozpięty żagiel i w niej siedzimy bezpiecznie. Mały wietrzyk przy pomocy wioseł odbił nas daleko od rozbijającej się o ląd fali; już jesteśmy wolni; kiedy w tymże momencie, nie dalej jak o sto metrów od ziemi, porywa nas wicher, rzuca do góry i na dół, pracują, jak mogą trzej wiosłarze, nas choroba morska ogarnia, osłabia; po dwakroć nawracamy bieg nasz ku okrętowi, okręt zdaje się kierować ku nam i znowu się oddalamy; fala pryska, rzuca wodę do szalupy; przemokli do nitki, po godzinnym ubijaniu się z coraz bardziej srożącą się burzą, tracimy sprzed oczu okręt, a przezorny wiosłarz ratuje nas i synów swoich, kierując szalupę do brzegu.

Wszyscyśmy się zarówno brali do wyrzucania wody z małego statku; wiatr wschodni pędził nas ku zachodowi, minęliśmy zatokę portową i daleko byliśmy od niej na pobrzeżu owego szlaku piaszczystego, który oddziela morze od Kurisch Haffu⁵, kiedy się fale uspokajać poczęły. Nad wieczór wiatr ustał i powoli wiosłując

⁵ Zalew Kuroński, rozległa płytka zatoka na południowym wschodzie Bałtyku, oddzielona od morza Mierzeją Kurońską.

przybyliśmy na miejsce, skąd nocą mogliśmy niespostrzeżeni od policji wrócić do miasta.

Tu długo popasywać nie było bezpiecznie; mogłaby policja uwięzić nas i wydać straży granicznej rosyjskiej. Nie było innej rady, jak wracać do swoich i podzielać z nimi los, jaki nas czeka.

PRZEDRUK ZA: Ignacy Domeyko, *Moje podróże: pamiętniki wygnańca*, przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami Elżbieta Helena Nieciowa, t. 1, Wrocław 1962, s. 88–90.⁶

⁶ Przedruk fragmentów tekstu za zgodą Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

50. Z Polski do Londynu. 1833
Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841)

Pamiętnik. Dziennik pobytu za granicą [fragment]

12 maja. Co dzień nieszczęśliwy jaki Polak zjawia się¹. Przybył siedemnastoletni Wężyk², syn Ignacego³, posła; okropne opowiada dzieje, żadnej w carze względem nas litości. Młodzieniec ten porwany z domu⁴, zasłany na hauptwach⁵, gdzie mu ostrzyżono głowę i do pułku wieść miano; w czasie obchodu jakiegoś uciekł, dostał się do Prus, do Gdańska, do Pucka, zapłynął do Kopenhagi, a stamtąd pod obcym paszportem i imieniem do Londynu.

PRZEDRUK ZA: Julian Ursyn Niemcewicz, *Pamiętnik. Dziennik pobytu za granicą*, t. 11: 1833–1834, Poznań 1877, s. 97–98.

-
- 1 Niemcewicz przebywał wówczas w Londynie, dokąd udał się z misją dyplomatyczną powstańczego rządu i pozostał po upadku powstania.
 - 2 Władysław Wężyk (1816–1848) – pisarz i podróżnik, od 1833 roku w Londynie, potem w Paryżu. Na przełomie lat 1836–1837 dzięki staraniom ojca wrócił do Polski.
 - 3 Ignacy Wężyk (1783–1875) – oficer napoleoński w korpusie gen. Romarino, poseł na sejm Królestwa Polskiego w 1830 roku.
 - 4 Historię tę w swojej *Kronice rodzinnej* (wstęp i oprac. Maria Dernałowicz, Warszawa 1987) Wężyk przedstawia nieco inaczej. Jego wyprawa nie była skutkiem popowstańcowych prześladowań (ojciec odwiódł czternastolatka od wstąpienia do wojska), lecz represji rodzicielskich wobec trudnego wychowawczo młodzieńca, który w lutym 1833 roku uciekł z domu i wsiadł w dylizans pocztowy jadący do Kalisza. Na tym urywają się jego wspomnienia. Dalej można się tylko domyslać, że został pojmany przez pruską policję, a wyrwawszy się jej, kontynuował ucieczkę już w charakterze zbiega.
 - 5 *Hauptwache* (niem.) – główny komisariat policji.

51. Przeskok w biały dzień – z Połagi do Prus. 1846

Rufin Piotrowski (1806–1872)

Pamiętniki z pobytu na Syberii [fragmenty]

Przewdziawszy się na czysto, to jest: wziąwszy na siebie nowe buty mniej wielkie, a zrobione jeszcze w Syberii¹, nowe błękitne kitajkowe² spodnie, także z Syberii i ruskim krojem zrobione i białą koszulę, poszedłem dalej na noc całą; rozumie się samo przez się, że kupionego surduta nie kładł na siebie, bo *nastajaszczemu ruskomu czelowieku*³ nie tylko surdut podobnym krojem robiony jest nie do twarzy, ale nadto byłoby mnie w nim bardzo niebezpiecznie.

Drugiego dnia od czasu mojego nowego przebrania się przybyłem około ósmej z rana do rogatek Połagi. Przy rogatekach stał żołnierz. Na widok prawdziwego Moskala, zamiast pytać mnie o paszport, zapytał: „A z której guberni *ziemlak*?”⁴. Już nie pamiętam, z jakiej byłem, ale po tym zapytaniu wszczęła się rozmowa: żołnierz kontent z *ziemlaka* rozmawiał z ochotą. Na moje zapytanie, czy nie wie, gdzie tu wiele świń, a następnie i szczeciny, odpowiedział: „A czort jego wie; ale idź do miasta, to tam się rozpytasz, tym bardziej, że dziś dzień targowy”. Więc poszedłem. Przybywszy na rynek, gdzie dosyć było ludu i wozów żmudzkich z kurami, jajami, serem, masłem itd., zacząłem się wałęsać po targu, przysłuchując się z uniesieniem mowie polskiej, dość powszechnie tam używanej. Ale żeby mieć jaki taki pozór wałęsania się, wchodziłem ze Żmudzinkami w targi, mówiąc nawiasem, bez chęci kupienia; tam targowałem ser, tu masło, gdzie indziej co innego, a nic nie kupiłem.

1 Rufin Piotrowski – powstaniec listopadowy i emigrant, schwytany jako emisariusz i zesłany w 1844 na Syberię, w lutym 1846 uciekł z miejsca zesłania i po wielomiesięcznej pieszej wędrówce przedostał się nad granicę pruską.

2 Tj. jedwabne albo z cienkiego glansowanego płótna bawełnianego.

3 *Nastajaszczemu ruskomu czelowieku* (ros.) – prawdziwemu Rosjaninowi.

4 *Ziemlak* (ros.) – ziomek, rodak.

Nareszcie zbliżyłem się do jednej Żmudzinki, siedzącej na swym wózku, wygadanej i sprzedającej sery:– Co za ten ser? – zapytałem po rosyjsku. – Tyle i tyle. – No, co tak drogo? Weź tyle! – A kiedy drogo to nie jedz – odpowie. – Równie biedny, jak i bogaty, chce jeść. – To się najedz pieczonej rzepy lub brahy. – Cóż się ty tak gniewasz? Oto idź sobie i kupuj gdzie indziej, nie u mnie. Odstąpiwszy od niej cokolwiek, kontent z gniewu Żmudzinki na Moskala, odwróciłem się w inną stronę, niby dla gawronienia, a moja Żmudzinka nuż się dąsać na Moskali: „Oj, dałabym ja wam dobrego sera, azbyście przełknąć go nie mogli, gdyby to było można; czarci was tu nanieśli itd. itd.”. Odmówiła całą litanię życzeń, a ja małym nie parsknął śmiechem; w końcu odszedłem, spojrzawszy tylko na nią. Chodząc po rynku i targu, myślałem: Otóż już jestem na samej granicy Rosji i Prus; idzie tylko o to, jak i którędy przejść granicę? Moskale i Prusacy zapewno pilnują granicy. Jeżeli w Prusach mnie schwytają, bez wątpienia wydadzą Moskałom, bo kartel wzajemnego wydawania zbiegów został odnowiony i obostrzony⁵; o tym wiedziałem jeszcze na Syberii. Za przejściem granicy pruskiej potrzeba się przewdziać do niepoznania, a przede wszystkim potrzeba ogolić brodę, a tu ani odzienia, ani brzytwy nie ma. Ale przede wszystkim, jak i którędy przejść granicę? w dzień czy w nocy? – Nie będąc miejscowym, a następnie nie znając przepraw, mógłbym najść sam na strażnika lub żołnierza. Czy nie lepiej w takim razie zająć do jakiego nadgranicznego szlachcica żmudzkiego i zwierzyć mu się ze wszystkim, aby mi dopomógł do przeprawy i jeżeli potrzeba, czas jakiś u siebie przechował, nim się przyjazna okoliczność nastęrczy? Ale jak znaleźć, jak trafić mnie, zupełnie tu obcemu i nieznanemu, na takiego szlachcica, który by z patriotyzmem łączył potrzebną w dzisiejszych szczególniejszych czasach, gdzie się każdy obawia własnego prawie cienia, odwagę do przeprowadzenia za granicę mnie, katorżnego, uciekającego z Syberii? Który by mi zawierzył i nie mniemał, że to łapka na niego od rządu zasadzona?

⁵ Z 8 (20) maja 1844 roku. Zob. tekst nr 12.

Jakie mu złożę rękojmie, że jestem ten, a nie inny? Ja, którego nikt tu nie zna i o którym nikt nawet nie słyszał? Zresztą gdybym i trafił na prawego i śmiałego Polaka, który by mnie nawet i przeprawił za granicę, a nuż jakimkolwiek sposobem ten jego postępek szlachetny zostanie odkryty i doniesiony rządowi: cóż się z nim, co z jego całą rodziną i majątkiem stanie? On musiałby pójść na całe życie na moje miejsce do katorgi, majątek by jego skonfiskowano, a cała jego rodzina osierocona i nieszczęśliwa. Czym bym mu i jego rodzinie wynagrodził jego szlachetność i nieszczęście? Nie! cudzym kosztem, cudzymi łzami, łzami i nieszczęściem mych ziomek własnego nie chcę ocalenia. Jeśli mam zginąć, zginę sam; nikt przy najmniej mej pamięci nie będzie złorzeczył! Przy tym któż może zaręczyć, iż zamiast na dobrego, trafię na złego lub tchórza Polaka, który albo dla przysłużenia się rządowi, albo z obawy skompromitowania się przed nim, zamiast pomocy, o którą prosiłem, wyda mnie wprost rosyjskim władzom? Nie! niech się dzieje wola Boga, sam przejdę granicę; z Syberii aż tutaj pod opieką Boga i bez żadnej obcej przybyłem pomocy; pod opieką Boga i bez żadnej obcej pomocy przejdę granicę i pójdę dalej.

Takie uczyniwszy postanowienie, zaszedłem do jednego sklepu, w którym kupiłem małe lustro składane i oprawne w blachę; do drugiego zaszedłem dla kupienia brzytwy. Żyd kupiec, patrząc na mnie, zapytał:

– A na co tobie brzytwa?

– No, co ci do tego, Żydzio, na co, dawaj jeśli masz, i to dobrą, a niedrogą.

– Czy ty nie konował?⁶

– A już ci, na cóżbym kupował brzytwę? Wszak widzisz, że się nie gołę; jaki ty nieprzezorny!

– Czy ty wieprze, czy konie pokładasz?⁷

– I wieprze i konie.

⁶ Tj. weterynarz.

⁷ Pokładać – tu – kastrować.

Kupiwszy brzytew prawdziwie angielską, ale zardzewiałą, za bardzo tanie pieniądze zapewno jako pochodzącą z kontrabandy, zapytałem Żyda:

– Słuchaj, kupiec, ty tutejszy, ty musisz wiedzieć, gdzie tu wiele świń i koni; nastęrcz mi miejsce.

– No, tutaj wszędzie pełno świń i koni w każdej wsi znajdziesz.

– Dobrze, bywaj zdrów – i wyszedłem.

Mydła kawałek jeszcze miałem z Syberii; zaopatrzyłem się tedy we wszystko, co było potrzebne do ogolenia brody. Poszedłem później do szlifierza Żyda dla wyostrzenia brzytwy; u tegoż Żyda obrabiano piękne bursztyny na munsztuki⁸ do fajek i na naszyjniki (*collier*).

Szło mi tylko teraz o wybór miejsca, którędy miałem przejść granicę, a postanowiłem ją przejść czy przeleźć w nocy. Kiepskie miasteczko Połąga (z przeproszeniem szanownych i kochanych Żmudzinów) leży na samej granicy tak, że jedno jego przedmieście już jest w Prusiech; granica pruska na Żmudzi idzie w klin ku morzu Bałtyckiemu. Połąga od morza jest oddaloną najwięcej na werstę⁹. Za miejsce przejścia granicy obrałem zatem przestrzeń pomiędzy Połągą a morzem. Ponieważ miałem tę granicę przejść w nocy, postanowiłem ją w dzień nieznacznie obejrzeć, co tym łatwiej mogłem uczynić bez zwrócenia na siebie niczyjej uwagi, że o tej porze dosyć się zjeżdża do Połągi na kąpiele morskie i wiele ludzi, szczególnie w dzień targowy, snuje się ponad samą granicą między Połągą a morzem. Idąc zatem z Połągi ku morzu dla zreko-gnoskowania¹⁰ granicy, przechodziłem mimo łożyska dość szeroko wydrążonego, zapewno wezbraniem wody na wiosnę i w jesieni, a wpadającej do morza. W tym korycie długim i szerokim, jakby koryto małej rzeki, była woda; tak dla zabicia czasu do wieczora, jak i dla oczyszczenia się z brudu i wymycia bielizny, korzystając

⁸ Munsztuk – tu: ustnik.

⁹ Tj. wiorstę, czyli 1066,8 m.

¹⁰ Tj. zlustrowania, rozpoznania.

z dnia gorącego, zacząłem się w tym korycie kąpać i myć¹¹ bieliznę, rozmyślając nad sposobami przejścia granicy. Po chwili przyszedł jeden żołnierz także dla wykąpania się i dla wymycia swej bielizny z niewielkim szaflikiem. Jak się masz? – jak się masz; wszczęła się rozmowa; z akcentu, jakim żołnierz mówił po rosyjsku, poznałem, że był Rusinem; więc go zapytałem: z której guberni? – Z pułtawskiej, odpowie. – I ja z pułtawskiej. – Tak my *ziemlaki*. – *Ziemlaki*. Żołnierz jeszcze się więcej rozochocił w rozmowie i zaczął, jako przed swoim rodakiem, więcej mówić otwarcie, narzekać na swój los i użalać na służbę; żołnierz rosyjski jest tak nieszczęśliwa istota, iż więcej dziwić by się należało, gdyby się nie uskarżał, niż że się użala. Czuli na nieszczęście drugich, bo sam nieszczęśliwy, cieszyłem go, jak mogłem, ale zarazem postanowiłem korzystać z jego szczerego przede mną wynurzenia się na korzyść mojego zamiaru przejścia granicy; potrzeba mi było wiedzieć, jak i gdzie najwięcej granica jest pilnowana? W ciągu zatem rozmowy rzekłem:

– Juź to że bieda, to bieda być żołnierzem, was zapewno tak tu, jak i wszędzie męczą mustrą i służbą?

– Juź to że męczą, to męczą, a do tego jeszcze pałki.

– To jeszcze przynajmniej dobrze, że Bóg dał noc, jak człowiek zaśnie, to i o biedzie zapomni.

– Da, gdyby to w nocy jeszcze spać dali.

– A cóż wy w nocy robicie?

– Co? musimy iść na warty i z kolei na czaty na granicę.

– Jak to, to wy jeszcze w nocy i granicy pilnować musicie?

– Da jakże.

– A kozacy, a strażnicy na co?

– Ta i oni pilnują, ale to nie starczy.

– To wierzę, że jesteście mocno nieszczęśliwi; męczą, biją i jeszcze spać nie dają, ani w dzień, ani w nocy nie macie pokoju.

– Da, cóż robić, widać tak podoba się Bogu.

– Ale po cóż tak mocno granicy pilnujecie?

¹¹ Tj.prać.

– Żeby nie było kontrabandy i żeby nikt z Rosji do Prus nie uciekał.

– Co to znaczy kontrabanda?

– Oto że towary zagraniczne w nocy przez granicę przekradają i wprowadzają do Rosji.

– Przyznam się, że wcale nie pojmuję, jak można w nocy upilnować, chyba, że bardzo gęsto stać musicie?

– Dosyć gęsto, na strzał od siebie, a czasami i gęściej; na werstę (to jest na 500 sążni, czyli na 1500 kroków) stoi nas zwykle czterech, dwóch kozaków lub kawalerzystów i jeszcze objezdzczyk¹².

– Jeżeli tak pilnujecie, to zapewno trudno kontrabandziście przejść w nocy.

– A jednakże czasami przechodzą.

– Rozumiem, to jest: jeżeli biedny żołnierz zmęczony dzienną mustrą uśnie czasami na warcie; bo też czort by mu wystał całą noc bez spania, to prawie niepodobna, tym bardziej, że tam w nocy nikt żołnierza nie pilnuje.

– Da zańiesz, nie pilnuje, nam zabroniono nawet usieść i musimy chodźć jeden do drugiego na przemian, aby łańcuch utrzymać i czuwać; a gdyby oficer albo runt¹³ zastał żołnierza śpiącego, tak by do śmierci pałkami go zabito; za to bardzo srogo karzą; przy tym boimy się kontrabandzistów, którzy bandami i zbrojni na nas napadają; jeżeli uśniesz albo się nie strzeżesz, to cię nie tylko wezmą i zwiążą (a jeżeli się bronisz, to cię i zabiją), ale nadto każą iść z sobą i nieść towary, które przekradają; a później zaprowadziwszy Bóg wie gdzie w lasy, jeżeli nie zabiją, to puszcza i idź wtenczas, gdzie chcesz; niedawno jednemu żołnierzowi się zdarzyło, że na niego kontrabandziści napadli, rozbroili, sznurkiem go przewiazali i włożywszy jeszcze na niego kilka pak ciężkich, kazali je nieść; później zaprowadziwszy gdzieś w lasy i dawszy mu pięćdziesiąt kijów i chleba na drogę, puścili; po sześciu czy po dziesięciu dniach

¹² Objezdzczyk (z ros.) – patrol objeżdżający dany teren.

¹³ Z fr. *rond* – strażnicy na nocnym obchodzie.

wrócił do nas, natychmiast wzięto go do aresztu, a później tak go jeszcze zbito pałkami, że półżywego do lazaretu zanieśli. A drugiemu przed nim jeszcze gorzej było; ten pilnował brzegu morza, bo kontrabandziści podpływają czasami w nocy na łodziach z towarami, napadłszy zatem na niego śpiącego kazali mu wyładowywać z łódki towary, po czym wzięwszy go na łódkę, chcieli w morzu utopić; co się ich nie naprosił, nie namodlił, nic nie pomogło; kilka razy z łódki rzucili go w morze na sznurku, później wpółmartwego wywiozłszy na brzeg, zostawili; nieszczęśliwy tak się przeląkł, że dostał gorączki i ledwie nie umarł po długiej chorobie; kiedy wyzdrowiał, już go nie bito, przebaczone mu. Ale na samo wspomnienie kontrabandzistów drży ze strachu; pewnie, że drugi raz już nie zaśnie (i tu się śmiać zaczął). Ot sukiny syny kontrabandziści, co z nami wyrabiają, śpij tu jak chcesz. Dla zachęcenia nas, *gosudar*¹⁴ przykazał, aby, jeżeli kto z nas złapie kontrabandzistę i towary, płacono nam 50 czy 100 rubli asygnacyjnych (tego już dobrze nie pamiętam), a dla naszego biednego brata 50 rubli to nie żart, toż my dlatego w nocy dobrze pilnujemy i nie życzymy nikomu, aby się w nasze ręce dostał.

– To przynajmniej dobrze, że *gosudar* taką nagrodę przeznaczył; nie żal i nie spać, i dobrze pilnować, przynajmniej jest za co żołdata trochę podchmielić i trosków zapomnieć.

– Da, to lepsze nad wszystko.

– Czy na całej granicy tak mocna warta?

– Na całej, i dlatego na samej granicy pobudowane są koszary w pewnej, niewielkiej od siebie odległości.

– Nad morzem jednak najmniej pilnować musicie, bo tu kontrabanda jest trudniejsza?

– Przeciwnie, tu ostrzej pilnujemy niż gdzieindziej, bo kontrabanda idzie i morzem, i ziemią.

– Ale zapewno w dzień nie ma po co granicy pilnować, bo złodziej dnia się boi?

¹⁴ *Gosudar* (ros.) – władca, tu: car.

– W dzień tylko połowa nas stoi na granicy, dlatego, że daleko widać, a przy tym nie zdarza się, aby w dzień przekradano kontrabandę.

– Ja nie pojmuję, jakim sposobem kontrabandziści odważają się przekraczać granicę, bo jeżeli nasi ich nie złapią, to ich złapią Prusacy, wszak i oni muszą swojej pilnować granicy?

– To bo to i bieda, że Prusacy granicy nie pilnują, a wszystko na naszego cara złożyli i my musimy i za siebie, i za nich pilnować.

– To nie po sąsiedzku, to niesprawiedliwie.

– Cóż robić?

Dowiedziawszy się o wszystkim, o czym potrzeba mi było wiedzieć, zacząłem rozmawiać z żołnierzem o innych rzeczach dla odwrócenia jego uwagi. On zaś wymywszy swą bieliznę i wykąpawszy się, pożegnał mnie wyrazy: *praszczajcie. Praszczaj*, to jest: bywajcie zdrowi, bywaj zdrów – i odszedł.

Z otrzymanych wiadomości wniosłem, że pierwotkowy plan potrzeba zmienić i zamiast w nocy, przejść należy granicę we dzień i nie między Połagą i morzem, ale gdzie dalej za Połagą. Niecierpliwość rosła do najwyższego stopnia, a białem się z myślami aż do z mordowania się, których ostateczny wynik był: dziś w dzień muszę przejść granicę, albo na niej zginąć. Ubrawszy się zatem, poszedłem drogą wiodącą z Połagi ku Kurszanom, która, jak miejscowym dobrze wiadomo, idzie z początku na pewną odległość od Połagi o kilkaset tylko kroków od samej granicy. Przyszedszy do pierwszej wsi niedaleko Połagi będącej, a leżącej na prawej stronie drogi, a zatem ku granicy, wszedłem do niej i pod oknem pierwszej izby krzyknąłem po rosyjsku: *nietu szczetiny?* to jest: czy nie ma szczeciny? Odpowiedziano z domu: nie ma; a tu żołnierz z kawalerii zmierzwszy mnie podejrzliwym pierwej i badawczym okiem (widać, że tam stała kawaleria, a żołnierz graniczny z rozkazu musi być podejrzliwym), rzekł później obojętnie, jakby nie wierząc własciwemu podejrzeniu: w tej wsi jest mało szczeciny, ale pewno się znajdzie, idź dalej w górę; to rzekłszy, poszedł ku Poładze. Poszedłem tedy dalej ulicą wiodącą między domami prostopadle ode

drogi do granicy, wszędzie krzyżąc pod oknem: *nietu szczeciny?* Odpowiadano mi: nie ma; ja idę dalej; aż nareszcie kilka kobiet razem stojących rzekły do mnie: teraz w całej wsi nie znajdziesz szczeciny, chyba we dworze, idź do dworu, który, jak uważałem, leżał już na samej granicy; więc poszedłem do dworu położonego na wzgórku i oddzielnego ode wsi niewielką przestrzenią. Wszedłszy na dziedziniec obszerny, w którym kilkunastu ludzi było zajętych jego czyszczeniem i wywożeniem gnoju czy czegoś podobnego, zapytałem ich: czy nie ma we dworze szczeciny?

– A nie wiemy, czy jest szczecina, idź do dworu, sam zapytaj, ale jeżeli chcesz jeść, tu znajdziesz ser, masło, wódkę i chleb, bo tu mieszka pachciarz¹⁵.

– Dobrze, pójdę, zapytam, a może co i podjem – i wszedłem do dworu. Zapach nabiału mocno czuć się dawał, służąca zaprowadziła mnie na pierwsze niewysokie piętro, a raczej na podniesienie tylko, na którym stało *rez-de-chaussée*¹⁶ do samej gospodyni. – Gospodyni młoda, Polka, na moje zapytanie: czy nie ma u niej szczeciny, odpowiedziała bardzo złą moskiewszczyzną (za co jej mocno jestem wdzięczny), że szczeciny nie ma, ale jeśliby chciał jeść, to może mi sprzedać.

– *Da sztoż dielat', nada pokormytsia*¹⁷, odpowiedziałem; wypiłem kieliszek wódki, wziąłem trochę masła i za wszystko zapłaciwszy, dobyłem z torby i z worka chleba, który zawsze z sobą miałem, zacząłem jeść w drugim zupełnie pustym i nieumeblowanym pokoju, położonym po drugiej połowie domu; drzwi pokoju, w którym jadłem, i drzwi do tej połowy, gdzie mieszkała gospodyni, były otwarte, mogłem tedy nie tylko wszystko słyszeć, co w nim mówiono, ale i widzieć, co się w nim działo.

– Prędej, prędej, Kasiu czy Marysiu (już nie pamiętam), nastaw samowar, bo niezadługo goście przyjadą, rzekła młoda gospośia po polsku do służącej.

¹⁵ Pachciarz – ten, który trzyma pacht, arenduje krowy dojne.

¹⁶ *Rez-de-chaussée* (fr.) – parter.

¹⁷ *Da sztoż dielat', nada pokormytsia* (ros.) – coś zrobić, trzeba się posilić.

– Już ja o tym pamiętałam i nastawiłam samowar.

– To bardzo dobrze, jaka ty pocziwa, a teraz zapnij mi i popraw sukienkę; czy moje włosy dobrze ułożone, czy mi tak do twarzy?

– Wszystko leży bardzo dobrze, a panienka tak ładnie wygląda, że jak przyjedzie jej narzeczony z panem Wysockim, to jeszcze się więcej w panience zakocha.

– Ty myślisz; nie wiem, czy ksiądz z nimi przyjedzie.

– Mniejsza o księdza, niech tylko kawaler przyjedzie; jak będzie mąż, będzie i ksiądz.

– Prawdę mówisz – i tu się śmiać zaczęły.

– Gdyby ten kacap (mówiąc o mnie) prędszej sobie stąd wyszedł, żeby go goście nie zastali, rzekła gosposia.

– Jak zje, to sobie pójdzie, cóżby on tu robił? – odrzeknie służąca. Przysłuchując się tej rozmowie, może nie bez pewnego przykrego uczucia, rozmyślałem o przykrym mym położeniu, jako też, czy nie byłoby bezpieczniej zwierzyć się tej Polce i jej bratu ze wszystkim i prosić ich, aby mnie przepawili przez granicę tuż pod ich bokiem będącą: ale i tą razą cofnąłem się przed następstwami podobnego udziału w moich zamiarach; tymczasem przez okno postrzegłem dość wielki budynek drewniany na wzniosłym miejscu i najdalej na dwieście kroków, jak mi się zdawało, od domu gdzie byłem, oddalony; ze struktury tego budynku i z bliskości granicy wniosłem, że to były koszary, na samej granicy już postawione. Gosposia już ubrana i wesoła wyszła do pokoju, gdzie byłem, pewnie dla wyproszenia mnie z niego, i stanąwszy w oknie patrzyła na pola i koszary. Dla przekonania się, czy to rzeczywiście koszary, wziąwszy na siebie worek, bo już jeść dawno skończyłem, zapytałem gosposi: a w tym dworku, wskazując na koszary, czy nie można dostać szczeciny? Albo to dworek, odpowie, to są koszary, tam żołnierze mieszkają, nie idź tam, bo cię wezmą i do aresztu wsadzą. A za co by mnie mieli sadzać do aresztu? Za co, będą myśleli, że ty chcesz przez granicę uciekać. Przez jaką granicę? Jak to, to ty nie wiesz, że to już granica? Gdzie granica, pokażcie mi proszę, ja jeszcze od

urodzenia granicy nie widziałem. Patrz, to jest nasz dom, ten rów co popod domem idzie, to już granica, to żyto, które widzisz pomiędzy pierwszym a drugim rowem, jeszcze do nas należy, brzoza ta za tym żytem stojąca jest już na samej granicy, widzisz i koszary na tej linii stoją; a za tą brzozą za trzecim rowem, to już cudza ziemia. Bardzo dziękuję za przestrogę, nie wiedząc o niczym, chciałem pójść do tego dworu za szczecinę. Poszedłbyś tam na swoje nieszczęście, nikomu nie wolno do granicy się zbliżać, nie idź tam, nie idź. A jaki naród mieszka za granicą? Prusacy. Bardzo dziękuję: bywajcie zdrowi. Idź z Bogiem; a nie chodź nad granicą, a po co bym ja nad nią chodził, bywajcie zdrowi i wyszedłem z pokoju. Ledwie się znalazłem na dziedzińcu, gdy w tejże chwili zajechała przed dom parokonna bryczka niekryta, na której siedział ksiądz i dwóch cywilnych; zapewno kawaler młodej gosposi i pan Wysocki. Spojrzawszy tylko na nich i ani im się nie ukłoniwszy, poszedłem dalej, przez dziedziniec na prostą małą drożyną wiodącą do Połagi, a idącą nad samą granicą, będącą po lewej mej ręce; odszedłszy za wrota może na sto kroków, w pole, na którym z rzadka gdzieniegdzie były pojedyncze drzewa, zwróciłem się na lewo ku granicy, i o dwadzieścia kroków najdalej od pierwszego granicznego rowu położyłem się na trawie pod drzewem niby dla odpoczynku, w rzeczy zaś samej dla zebrania ducha i upatrzenia chwili sposobnej do przeprawy granicy, to było może między 3 a 4 z południa w miesiącu lipcu; leżałem minut z dziesięć i jeszcze się wahałem; nareszcie niech się dzieje wola Boga rzekłem, żyć lub zginąć, *audaces fortuna iuvat*¹⁸; dobyłem zza cholewy duży nóż składany w kształcie sztyletu zrobiony, który miałem z Syberii, rozłożyłem go i porwawszy się na nogi, w prawej ręce trzymając sztylet, a w lewej mój worek, spiesznym krokiem i śmiało przybliżyłem się do szerokiego i głębokiego rowu, którego wał osłoniony był porośniętymi na nim krzewami; uczepiwszy się za nie, wlażłem na wał; ponieważ ten rów był

18 *Audaces fortuna iuvat* (łac.) – śmiałym szczęście sprzyja. Z *Eneidy* (x, 284): *audentes fortuna iuvat*.

na wzgórzu, a sama granica ciągnęła się doliną leżącą między tym wzgórzem i jemu przeciwnym już na stronie pruskiej, więc z wału, na którym już byłem, łatwo było objąć całą przestrzeń okiem: na lewo na trzysta lub najwięcej czterysta kroków na dość wyniosłym wzgórzu były koszary, przede mną na kilkaset lub mniej kroków jeden od drugiego, dwóch żołnierzy chodziło z bronią po granicy w przeciwnym od siebie kierunku: jeden z nich zatem szedł ku koszarom, a obaj byli do siebie obrócenii plecami, nie było więc ani chwili do stracenia; spełwszy zatem z wału i zgiąwszy się prawie we dwoje, biegiem popod żytem zasłaniającym mnie od koszar zacząłem się spuszczać w dolinę; gdy brakło żyta, wyprostowałem się jak struna i pędem zbliżywszy się do drugiego rowu, jednym skokiem go przesadziłem; byłem na samej linii granicy, po której żołnierze chodząc ścieżkę udeptali. Wtem krzyk z koszar: *łowij! strielaj!*¹⁹, ale nim się żołnierze zdążyli obejrzeć, już przesadziłem rów trzeci i skryłem się do tuż za rowem będącego lasku już na granicy pruskiej: teraz pomyślałem sobie, łapaj i strzelaj, jak ci się podoba, a tymczasem co tchu zmykając i ubiegłszy może z tysiąc kroków od granicy, skryłem się pod bardzo niski, ale rozłożysty i prawie po ziemi się rozścielający a liściasty dębczak. Zdaje mi się, że nigdy w życiu nie czułem się tak lekkim i tak szybko nie biegałem; jak drugi, ale więcej szczęśliwy Akteon, miałem jelenie nogi²⁰. Wdarcie się na wał pierwszego rowu, bieg chyłkiem, przesadzenie skokiem dwóch pozostałych rowów i skrycie się do lasu, co miało przestrzeń do dwiestu kroków: słowem cała ta przeprawa trwała może dwadzieścia sekund; ledwie mogłem wierzyć, że już na drugiej stronie: żołnierze chodzący po granicy nie mogli ani razu wystrzelić, czy zdziwieni tym wypadkiem, czy też tak chyżo im się przesunąłem, iż nie wiedzieli, co mają robić.

Tymczasem, gdy po tak gorącej kąpieli, trzymając ciągle sztylet w ręku, leżałem pod krzakiem przyczajony, jak zając przed sforą

¹⁹ *Łowij! Strielaj* (ros.) – łap, strzelaj.

²⁰ Akteon, postać z mitologii greckiej, myśliwy z Teb, którego Artemida zamieniła w jelenia, po czym został rozszarpany przez własne psy.

psów go ścigających, powstał na granicy, od chwili spostrzeżenia mnie z koszar wielki hałas, krzyk, szamotanie się, tętent koni i przekleństwa.

– Czemu ty sukin syn nie strzelał, czemuś dobrze nie patrzył?

– A diabli go widzieli – czort się mógł spodziewać, jeszcze przykładu nie było, żeby kto w dzień przed naszym nosem uciekał.

– Ot śmiały i zuchwały sukin syn *moszennik*²¹.

– To nie kontrabandzista, to pewno buntowszczyk.

– Nie, to muzyk.

– Czemu sukije syny Prusaki nie pilnują granicy.

Śród tych i tym podobnych grzeczności rosyjskich słychać było i policzkowanie, i pałki i jęk: *pamiłujtie*, to jest: zlitujcie się, jaki zwykle żołnierz rosyjski wydaje, kiedy go biją pałkami. Widać także, że wpadli i do pachciarza Wysockiego, z przyczyny zapewno, że to się stało blisko jego domu, mocne szczekanie psów licznych i wielki krzyk i hałas rozlicznych zmieszanych głosów mnie przekonywały o tym domyśle, a raczej pewności. Ale o czym tam dowiedzieć się mogli? Chyba że był kacap, napił się wódki, zjadł chleba i poszedł – szukać szczeciny. Żal mi tylko, jeżeli z tego powodu wcale nieproszeni goście popsuli humor państwu narzeczonym.

Ten hałas, krzyk i ruch trwał więcej godziny; ja, leżąc ciągle, trzymałem sztylet w ręku więcej dla siebie niż dla kogo innego. Znając Moskali, sądziłem że wyszlą pogoń nawet za granicę i że będą ten lasek przetrząsali; na wszystko zatem byłem jeszcze przygotowany i nie czułem się bezpiecznym. Gdyby las był większym, szedłbym nim wciąż dalej, ale ponieważ był małym, dobiegłszy do jego krawędzi, nie śmiałem w dzień wyjść na pole, obawiając się, aby Prusacy mnie nie schwytawszy, nie chcieli wydać Moskalom na mocy kartelu wzajemnego wydania sobie zbiegów; co nastąpić mogło tym łatwiej, że to jeszcze było na samej granicy. Z tych więc powodów musiałem leżeć i czekać. Niebo się nieco zachmurzyło i mały deszczyk zaczął padać, co w części ochłodził skwar dnia znojnego.

²¹ *Moszennik* (ros.) – złoczyńca.

Kiedy się już wszystko uciszyło i pogoni nie widziałem, chociaż jeszcze niepewny, co się ze mną stać może, ośmieliłem się jednak ruszać pod krzakiem, ale bardzo z wolna i cicho. Położywszy przy sobie i na podorędziu sztylet, dobyłem z torby brzytwę, mydło i lusterko i zacząłem się cywilizować. Zawiesiwszy lusterko na gałązce pod krzakiem zacząłem mydlić brodę, ale nie było wody; mógłbym nazbierać wody dla pomoczenia brody z rosy osiadłej na trawie, ale spod krzaku wyleźć nie śmiałem; a zatem ścierając dłonią wilgotne liście mojego krzaku i pluając w nią, częścią wody, a większą częścią śliny namydliłem jako tako brodę. Leżąc oparty tylko na lewym łokciu, zacząłem się golić. Trzeba było widzieć operacją – kto wie, co to się golić tępą brzytwą mając brodę źle namydloną, ten tylko może mieć o niej jakie takie wyobrażenie; krzywiąc się, zgrzytając, podczas gdy łyzy z oczu padały, w części ogolony, w większej daleko wyskubany i pokaleczony, jako tako poradziłem z brodą: to jest tylko z tą częścią, co była na przodzie, resztę zaś długich włosów zebrawszy w dłoń do kupy i położywszy je na grubej gałęzi krzaku, oderznąłem brzytwą i tak dokończyłem postrzyżyn europejskiego człowieka. Po czym podczasawszy faworyty podwiązałem je chustką, aby się ułożyły; włosy także uczesałem jak mogłem najlepiej. Z czapki sybirskiej okrągłej, niegdyś czerwonej, a dziś wypłowiałej i grubo podwatowanej, wypruwszy watę i podszewkę już zużytą, zszyłem ją u góry na bok, niby na kształt francuskiej *bonnet de police*²², a zatem z okrągłej stała się owalną i bardzo płytką, tak, że się ledwie na głowie trzymała: dodajmy do tego, że ta czapka miała obwódkę ciemną i dość szeroką futrzaną jakiegoś zwierza, którego nazwiska nie wiem, a łatwo pojąć, co to za dziwoląg i z kształtu i z materii była ta moja czapka. Ale ponieważ odtąd postanowiłem udawać Francuza, a Francuzowi wszystko uchodzi i naśladują go wszyscy w modzie, mniej się o to troszczyłem. W końcu przewidziałem koszulę. Tym sposobem doczekałem się późnego zmroku pod krzakiem, pod którym zapewno z pięć godzin leżałem.

²² *Bonnet de police* (fr.) – beret, czapka policyjna.

Kiedy już się dobrze zmierzchno, i kiedy sądziłem, że już ludzie z pola zeszedli, podziękowawszy szczerze Panu Bogu za jego pomoc i opiekę nade mną, wylałem spod krzaku, ale już zupełnie ucywilizowany człowiek, byłem zaś ubrany tak: biała koszula z kołnierzem, moja własna jeszcze z Kamieńca Podolskiego, a którą wzięłem z Syberii; kamizelka z granatowego grubego sukna, w której byłem przez całą podróż, spodnie kitajkowe błękitne z fałdami po rusku robione, szerokie, ale nogawice nie w buty, ale na buty napuszczone, szaraczkowy²³ sukieny krótki surdut, którym wymieniał za kozuch, ale już wystrzępiony i [z] podartymi łokciami; ten surdut zasłaniał fałdy szerokich mych spodni; szalik bawełniany szary z Syberii na szyi, a dla dokompletowania całego tego ubrania, na głowie już wiadoma czapka. O, jakże czułem się szczęśliwym i spokojnym, będąc już za granicą, ciężkie brzemie obawy, cierpień i smutku przez sześć miesięcy ciągle mnie tłoczące, zdawało się, że spadło z mych piersi; czułem się wesołym, rześkim i pełnym nadziei: ledwie sam sobie wierzyć mogłem, że już byłem w Prusach. Obejrawszy się naokoło dla zorientowania się i przeżegnawszy się, poszedłem na ukos ku wielkiej drodze idącej z Połagi do Memla (Kłapejdy żmudzkiej) przez łąki, zboża, orne pola, sianozęcia i bagna. Daleko od miejsca, gdzie odpoczywałem pod krzakiem, na koszonym sianie rzuciłem mój worek z resztą niepotrzebnych rzeczy, wzięwszy z sobą tylko moją błękitną torbę, nieodstępną towarzyszkę mej niedoli. Po dwugodzinnym moście pochodzie nocnym (noc była bardzo ciemna), wybiłem się po omacku na wielką drogę; chwała Bogu, po czym zwróciwszy się na lewo, szedłem ku Memłowi. W ćwierć godziny najdalej przybyłem do jakiegoś małego miasteczka, przy którego rogatkach stał żołnierz pruski. Idąc śmiało, jakbym był miejscowym, prosto w rogatkę, powiedziałem żołnierzowi: *Guten Abend*²⁴, a odebrawszy od niego podobne pozdrowienie i o nic go nie pytając, wszedłem do miasteczka. Czy to

²³ Tj. szary, tkany z osnowy białej a wątku czarnego lub przeciwnie.

²⁴ *Guten Abend* (niem.) – dobry wieczór.

było jakie święto, niedziela, lub jaka inna miejscowa uroczystość, bo choć już było po północy, w wielu miejscach, zapewno po karczmach, brzmiała wesoła muzyka, przy weselszych jeszcze okrzykach i tańcach. Wyszedłszy za miasto i oddalwszy się od niego na dość wielką odległość, położyłem się na spoczynek w sosnowym lesie. Jakże ten spoczynek był dla mnie błogim, a sen pokrzepiającym, nowa nadzieja we mnie wstąpiła, swobodniej oddychać zacząłem, nowego nabrałem życia, a raczej się odrodziłem; pod tym rosyjskim, okrutnym rządem, zdaje się, że krew w naszych żyłach, że uczucia w sercu, że życie duszy, że nawet powietrze, którym oddychamy, są w więzach i więzieniu.

PRZEDRUK ZA: Rufin Piotrowski, *Pamiętniki z pobytu na Syberii*, Poznań 1861, t. III, s. 214–229.

52. Zdrada przewodnika na austriackiej granicy. 1848

Franciszek Bagiński (1830–1909)

Wspomnienia starego Wołyniaka [fragment]

Przejechawszy wieś, zmierzchno się. Mieliśmy jeszcze z piętnaście wiorst do granicy¹. Ujechawszy z milę, zatrzymaliśmy się dla nadradzenia się, w którym miejscu mamy siadać na konie. Okazało się, iż żadnego lasku ani futuru² po drodze nie będzie aż do samej granicy, gdzie by w zakryciu było możebnym uzbroić się. Zdecydowano zawrócić z drogi w pole i ujechawszy z kilkaset kroków, siadać na konie. Po tej decyzji oba wózki, zwrócone w dość wielkiej odległości od drogi, zatrzymały się. W mgnieniu oka już byliśmy wszyscy na ziemi. Każden z nas, nie tracąc ani chwili, naznaczonego sobie konia wyprzęga. Stefan wydobywa i rozdaje siodła, trędzle³, broń, proch, kule i lotki. Jak w ulu pszczoły, tak koło wózków ośmiu ludzi zwija się, szepcząc ze sobą po cichu, konie siodlają, dubeltówki lotkami a pistolety kulami nabijają, szable przypasowują. Stefan pomaga pięknego mego Karosza osiodłać, ja zaś wydobywam broń dla niego i siebie, nabijając je. Po półgodzinnej takiej pracy i zamieszaniu wszyscy jesteśmy gotowi, uzbrojeni, wierzchowce okulbaczone. Przewodnikowi dano siwego konia, by w nocy łatwiej mieć go na oku. Podejrzanie Stefana rozeszło się między wszystkimi, śledzą go z niepokojem i niedowierzaniem. „Siadać na koni!” – wołają przytłumionym głosem. Jakby na komendę hufiec złożony z siedmiu zbrojnych ludzi ruszył polami, mając przed sobą przewodnika. Aleksander ciągle jest przy nim.

¹ Bagiński, wychowany w tradycji insurekcyjnej, wyruszył w maju 1848 do Galicji, by wstąpić do tworzonej tam na fali europejskich ruchów rewolucyjnych Gwardii Narodowej. Następnie, wraz z innymi polskim ochotnikami, podążył walczyć na Węgry.

² Futur – samotne gospodarstwo wiejskie na wschodnim pograniczu Polski i na Ukrainie.

³ Trędzla – uzda.

Kłusując tak z pół godziny, zatrzymaliśmy się. Przewodnik z Aleksandrem, jadąc przodem, ujrzeli wioskę, będącą jak się zdawało, prawie na samej granicy. Zaczęła się sprzeczka między nimi dwoma. Aleksander chce przejść granicę polami, co byłoby w jego przekonaniu bezpieczniej, przewodnik zaś utrzymuje i upiera się jechać przez wieś, z której jakoby przeprawa granicy jest łatwiejsza niż polem. Po dość długich sprzeczkach i przekonywaniach wzajemnych zdecydowano jechać przez wieś.

W krótkim czasie wyciągniętym kłusem wpadamy do wsi. Przeleciawszy onej z połowę, wjeżdżamy w bramę i dziedziniec wielkiego dworu. Wjechawszy, dochodzą do nas stąpania chodzących na straży sztyldwachów i brzęk ich broni. Prerażeni wstrzymujemy swe konie i okrążamy przewodnika, wylatując z nim nazad z dziedzińca. Kilka rąk porwało go, jedna za gardło, druga za łeb, inne za ramiona, duszą go i szarpią. „Łotrze, przekłety zdrajco, gdzieś nas zaprowadził – mówimy cichym, przerażonym głosem – pokaż, gdzie granica, inaczej cię udusim”. Przestraszony taką groźbą, duszony i szturchany niemiłosiernie, tłumaczy się zmyleniem ulicy, lecz [że] jest niewinnym. Wtem zachodzący księżyc zza chmury ukazał się. Ujrzeliśmy za wsią migające się słupy pograniczne. Biorąc we środek przewodnika, Aleksander z bratem trzymają go z obu stron za ramiona. Ja ze Stefańskim jesteśmy z sobą razem. Hufiec nie tracąc czasu, decyduje się z Boską pomocą przejść granicę w dyrekcji⁴ ujranych słupów. Puszczamy konie w galop i tak pędzimy przez wieś w kierunku maniaczejących się znaków granicznych. Tętent naszych rumaków, brzęk broni rozchodzi się po wsi. Minąwszy uliczki, wygony, chaty, wyskakujemy w pole. Wtem odzywają się poza nami sygnały wojskowych trąbek, zwoływających na alarm. We wsi zaczął się ruch, nawoływania, szum dochodzi do nas. Przeczujemy zbliżające się niebezpieczeństwo, pędzimy co koń wyskoczy dalej. Księżyc zachodzi, ściemnia się.

4 Tj. w kierunku.

Wtem wyrwał się okrzyk ogólny między nami: „Boże, co się to tu dzieje?”. Pomimo największego wysilenia jeźdźców w przymuszeniu wierzchowców do szybkiego biegu, one z wielkiego galopa zwalniają w mały kłus, dalej w stępa, czuję pod sobą ich forsowanie się, nareszcie padają jeden po drugim. Przerażeni tą nieprzewidzianą i niezrozumianą dla nas katastrofą zeskakujemy z koni i sami grzęźniemy. Niestety przekonujemy się, iż wpadliśmy w wielkie moczary. Każden z jeźdźców pomaga swemu koniowi do wydobycia się z nich. Ciemność kompletna zapanowała. Kręcąc się wokół koni, niebawem straciliśmy dyрекcję, z której to strony wpadliśmy, jeden od drugiego bezwiednie oddał się, tracąc z ócz swego kolegę, orientując się li tylko rozchodzącym się pluskiem błota. Znużeni daremną pracą chwilkę odpoczywamy. Trąbki bez przestanku alarmują, tętent koni zbliża się, brzęk kawaleryjskiej broni słychać. Nadjężdża jakaś jazda, zatrzymuje się.

Nasz hufiec, rozsypany w błocie, w milczeniu kuli się za swymi leżącymi końmi. Błysk pokazuje się, huk się rozchodzi, kilkanaście kul między nas padło, strzały padają coraz to gęściej. Po kilkunastu takich salwach strzelanie ustało, cisza zapanowała. Widocznie oddział jazdy musiał być dobrze obeznany z niebezpieczeństwem tych moczar[ów], nie chciał więc narażać się pędzeniem za uchodzącymi nocną porą, zadawałając się razić tylko strzałami.

Zostaliśmy szczęśliwie ocaleni od kul, żaden z nas nie był ubitym ani też rannym. Leżąc cicho, słyszymy kaźden z osobna ruszanie się, szamotanie jakby w konwulsjach. Jak się później okazało, biały koń przewodnika ciężko stęknął razy kilka i ucichł, był zabity trafem lub na cel brany odznaczającą się swą białością. Przez cały ten czas byłem sam, wpadłszy w błoto z drugimi, pomagałem swemu koniowi do wydobycia się z niego, lecz me usiłowania były daremne. Mój wierzchowiec dźwigał na sobie więcej zjuczone⁵ siodło, był roślejszym, tłuściejszym od drugich koni. Z tej to przyczyny powolniej posuwałem się. W ciemności nie tylko tracę z ócz

⁵ Tj. obładowane.

mych towarzyszy, lecz i Stefan mi znika. Boję się podnieść głosu, wzywając go do pomocy, by nie odkryć w ciemności swego ukrycia prześladowanej nieprzyjacielskiej jeździe. Słyszę tylko coraz oddalające się chlapanie błota, z desperacji porywam za nahaj przytroczony do siodła, zaczynam niemiłosiernie mego konia nim okładać. Biedne zwierzę, nieprzyzwyczajone do takiego bicia, z bólu wszystkie swe siły dobywa, daje susy jeden po drugim i wpada jeszcze głębiej, po sam brzuch w błoto. Zmęczony tymi wysiłkami, robi bokami ciężko sapiąc, przewraca się, odrzuca głowę na bok i jak martwy leży. Przejęty strachem, zdenerwowany, znużony, padam na mego leżącego wierzchowca, zalewając się rzewnymi łzami.

W tej rozpaczki przedstawiam cały ogrom niebezpieczeństwa, w jakim się znajduję i przyszłość najokropniejszą w razie schwymania Rosjanami. Nasuwają mi się na myśl dziecinne lata, bracia, siostry, znajomi, koledzy, z którymi nieraz zabawiałem się, poczciwy stary Wincenty, żegnający mnie na odjeźdźnym, nareszcie ojciec, matka kochająca. Gdy pomyślałem o matce, przypomniały mi się jej bogobojne, nieraz w dziecinnych mych latach powtarzane słowa: „Kto z Bogiem, Bóg z nim”. Padam na kolana, wznosząc swe modły, z całym zapalem religijnym błagam: „O Boże, Boże! Zlituj się nade mną, wybaw z tego nieszczęścia, nadeślij mi Stefana w pomoc”. Po skończonej tej krótkiej, ale szczerzej modlitwie duch inny we mnie wstąpił. Zaczynam mieć nadzieję, iż Bóg mnie nie opuści, Stefana mi nadeszle. Czekam nieco uspokojony. Po niejakiś czasie słyszę szelest przede mną, jakby w oczerecie⁶. Przypatruję się, ze strachu włosy na głowie mi powstają. Widzę, coś maniaczeje, coś wielkiego posuwa się. Zdejmuję co prędzej mą dubeltówkę z plecy, skrywam się za leżącego konia, lufy na nim opieram, kurki odprowadzam, celuję do tej nadchodzącej, jak mi się wydaje, postaci. Czekam jej przybliżenia się dla rozpoznania i dania celnego strzału. Szmer ustał, postać, jak mi się zdawało, zatrzymała się. Zaczynam ostygąć z przerażenia, myślą postanawiam sobie: „Żywcem wziąć się nie

⁶ Oczeret – trzcina.

dam. Bronić się będę do ostatnich sil moich”. Przekonywuję się, czy pistolety będące w olstrach⁷ przy siodle nie wypadły, macam w pasie zatknięte króćce, opatruję pistony⁸, czy nie pospadały z kominików⁹, czuję gindżała tureckiego (spadek familijny) przy mym boku. Energia mi wraca, nadzieja wstępuje, iż szczęśliwie wydostanę się z tego przykrego położenia. Spoglądając ciągle na postać stojącą, wzrok wyrażam, słuch nadstawiam, słyszę ciche świstnięcie raz, drugi i trzeci. Zrywam się na nogi, kurki od dubeltówki spuszczam, trzy razy takież świstem odpowiadam. Było to umówione hasło ze Stefanem w razie nieprzewidzianego rozłączenia się. Postać przybliży się, widocznie z pośpiechem, odzywając się dość słabym głosem: „Paniczu, gdzie jesteś?”. Poznaję głos, podbiegam i wpadam w objęcia mego przyjaciela.

Kochany paniczu, jak jestem szczęśliwym, że cię widzę, czy nie jesteś, broń Boże, rannym od tych tak gęstych strzałów? Truchlałem na samą myśl, że jesteś ujętym. Łajałem siebie za mą nieostrożność w zgubieniu cię, znając jednakowoż panicza rezygnację i ostrożność, byłem pewnym, iż będziesz się bronił. Nie słysząc żadnego pojedynczego strzału po tych salwach kawalerii, któren by mógł pochodzić od panicza broniącego się, ani też żadnych głosów, by kogo łapano, miałem nadzieję, iż jesteś żyw, swobodny i że go znajdę. Przybyć prędszej nie mogłem, wszyscyśmy w błocie błędzili. Po strzałach jazdy nieprzyjacielskiej dopiero poznaliśmy dyrekcję, którą straciliśmy, kręcąc się wokoło naszych koni. Jak się okazało, zamiast w poprzek szliśmy wzdłuż bagna. Zaczęliśmy orientować się i spotykać po kilku. W cichości brać się do wynoszenia koni z błota. Dość czasu to nam zajęło, mając jeszcze z parę do wyniesienia, będąc o panicza niespokojnym i nie wiedząc, co się z nim dzieje, nie mogłem dłużej w niepewności pozostawać. Udałem się

⁷ Olstro – futerał na pistolety.

⁸ Piston – rodzaj blaszanego kapturka zawierającego trochę masy wybuchowej, służył dawniej jako zapłon w strzelbach; kapiszon, spłonka.

⁹ Kominek – tu: urządzenie w tylnej części lufy dawnej strzelby służące do przeniesienia ognia ze spłonki do prochu w lufie.

go szukać, mówiąc kolegom, by na nas czekali. Znalazłszy, dałem im znać świstnięciem, aby przychodzili pomóc wynieść konia”.

Tak rozmawiając, kręcimy się około Karosza, próbując mu pomóc do wydobywania się z moczar[ów]. Biedny rumak, zбитy, znużony, leżąc, trochę odpoczął. Stefan bierze go pod przednie nogi i przód już jest wydobyty z błota, siłą się, aby choć trochę zad podnieść, porywam za ogon, ciągnę do góry z całych mych sił, koń, czując pomoc, z farsą¹⁰ podnosi się, podtrzymywany i podpędzany kilka kroków idzie, powtórnie grzęźnie. Ta sama praca na nowo zaczyna się. Znow kilka kroków uszliśmy, koń pada, po kilkakrotnym naszym wysileniu przekonywujemy się, iż we dwóch nie damy rady i siebie nadaremnie męczymy. Siadamy koło niego, znow leżącego, odpoczywając. Obracamy się ciągle na wsze strony, patrząc w oczeret, za którym nasi koledzy wyciągają nasze konie. Naraz słyszymy dość wielki szelest, pochodzący, jak się nam wydawało, z tegoż oczeretu, natężamy oba wzrok w tę stronę. Ujrzeliśmy coś białego migającego się nad oczeretem. Oddech zatrzymujemy, śledzimy kierunek tego małego punktu. Stefan domyśla się, przygotowuje się do działania, kładzie się na ziemi, ściskając mą dłoń, dając tym do zrozumienia, bym milczał. Wtem okazuje się postać spiesząca, o ile błoto jej pozwalało, mająca na głowie jakiś biały przedmiot. Stefan zostawia mnie, czołga się na brzuchu po błocie naprzeciw biegnącej postaci, kieruje się być na jej drodze. Domyślając się jego zamysłu, bojąc się zaalarmować strzałem, a chcąc na wszelki wypadek być mu pomocnym, wydobywam gindzał i czekam w pogotowiu chwilę. Wpatrując się, postać mi znika, białość pada na ziemię, słyszę szamotanie się, głuchy jęk rozchodzi się, biegnę z dobytym gindzałem w to miejsce, gdzie postać zniknęła i skąd jęk mnie doszedł, w pomoc Stefanowi. Nadbiegam, znajduję go leżącego na człowieku, jedną ręką trzymając za gardło, a drugą młóćąc, jakby cepem, po jego bokach, mówiącego: „Łotrze, po raz drugi chciałeś nas zdradzić, nie udało ci się”. Bierzymy go pod

¹⁰ Tj. lekko.

ramiona, zatuliwszy mu usta, by nie krzyczał, prowadzimy byłego naszego przewodnika do konia, dla pomagania nam w wydobyciu onego. Powtórnie trzask oczeretu rozchodzi się, ale daleko większy.

W tymże samym poprzednim kierunku ukazują się dwie postacie spiesznie przybliżające się. Poznaliśmy Aleksandra z bratem. Pędzili za uciekającym przewodnikiem, wymknąwszy im [się] podczas pracy koło koni. Rozjątrzeni jego ucieczką, powtórna chęcią zdrady, przybliżywszy się do nas, nic nie mówiąc, rzucili się na niego. Powaliwszy na ziemię, biją go najokropniej. Widząc tę zajadłość i bojąc się, aby w swej wściekłości bracia Olszewscy nie ubili przewodnika, stanęliśmy w jego obronie, prosząc, mitygując, biorąc ich za ręce, odciągając od leżącego i ciągle bitego człowieka. Przedstawiamy im, iż czas drogi uchodzi, co rychlej brać się trzeba do wydobywania konia, spieszyć do kolegów w pewnym miejscu oczekujących, uchodzić jak najprędzej przede dniem od granicy, by straż pograniczna rosyjska, znalazłszy po dniu stosowne miejsce do przebycia moczar[ów], na nas nie uderzyła. Tymi perswazjami, niedozwoleniem dalej się znęcać nad winnym, ale w obecnej chwili nieszczęśliwym człowiekiem, nareszcie bracia ostygli ze złości, odstępując od swej ofiary. Stefan mową i czynem zachęca ich do wydobywania konia, zdejmując siodło z niego, odpina popręgi i z przewodnikiem podkładają je pod przednie nogi. Bracia Olszewscy to widząc, naśladują go, zdejmują munsztuk i trędzle, podsuwają rzemienie pod brzuch. Tym sposobem tych czterech silnych ludzi wyrwało¹¹ konia z błota, niosąc go, brną w nim niemal po łydki, ciężko oddychają. Ciężar był ogromny. Co kilkanaście kroków zatrzymywali się. Za nimi postępuję, niosąc na plecach me siodło, broń swoją i mych kolegów. Co chwila stawiają konia na nogi, siadają, odpoczywają, parę razy świstnęli, dając znać czekającym kolegom o naszym posuwaniu się. Odpowiedziano nam podobnie świstem. Kierujemy się po głosie, idąc dalej naprzód. Po kilku przestankach trafiamy na miejsce mniej błotniste. Z wielkim

¹¹ W rkp.: wyrwali.

wysileniem nareszcie doszliśmy do naszych trzech kolegów trzymających biednego Karosza. Wydobyte wierzchowce postawiliśmy na ziemi suchszej. Poczujący grunt stały pod sobą, strzepnął się kilka razy, wyciągnął się, zarżał widząc drugie konie, obracając głowę na wszystkie strony, jakby szukając wzrokiem swego pana. Został w moment osiodłanym.

Wszyscy jadący, opatrzywszy raz jeszcze, czy wierzchowce są dobrze okulbaczone i porwane wynoszeniem niektóre rzemienie pozwiązywane, uzbroili się na nowo bronią złożoną na ziemi podczas wydobywania koni; siedliśmy na nie dla oddalenia się najrychlejszego od granicy i udania się w głąb kraju. Aleksander ze swym bratem wzięli między siebie przewodnika, zmuszając go stanąć na strzemienu Aleksandra jedną nogą, a drugą na strzemienu jego brata, ręce przywiązali do swych siodeł, zabezpieczając od nowej ucieczki, jeżeli mógł [o niej] myśleć po tak niefortunnych dla niego próbach.

Zaczęło dnieć; spojrzawszy poza siebie, ujrzeliśmy przez mgłę z kilkunastu kawalerzystów na przeciwnej stronie moczar[ów], którzy także zoczywszy zbiegów, dali na nowo ognia parę razy. Meta była za odległa, kule ledwo że dolatywały, nie mając żadnej siły. Wszyscyśmy parsknęli śmiechem, zdejmując czapki, wywijając nimi wołaliśmy: „Dobry dzień, dobry dzień panom wojakom, przepraszamy za przerwanie im snu, jakże się dziś spało, czy dobrze!?”. Rozgniewani naszą ucieczką i żartami dali powtórnie ognia, ale nieszkodliwego. Była to straż pograniczna rosyjska. Nie tracąc czasu, popędziliśmy cwałem w głąb kraju, do którego po tylu trudach udało [nam] się nareszcie dostać.

Nie spotkawszy jakims dziwnym trafem straży pogranicznej austriackiej, pędząc polami z pół godziny klusem, ujrzeliśmy jakiś niewielki futorek, a dalej za nim wieś była widną. Na przód hufca Aleksander z bratem, mając między sobą przewodnika, wjeżdżają do futuru, a za nimi reszta jeźdźców, odwiązują go od siodeł, zlążają z koni, drudzy koledzy toż samo czynią, prócz nas dwóch stojących na uboczu. Zaczyna się gwar, naradzanie się między nimi, jedni krzyczą: „Powieście łotra!”, drudzy: „Wybatożyć porządnie i puścić

na złamanie karku!” a tymczasem biją go, szarpią, prowadząc do najbliższego drzewa. Przewodnik przerażony błaga ich, by darowali mu życie. Tłumaczy się, iż jest niewinnym, widząc jednakowoż, że prośby jego na nic się nie zdały, mając śmierć przed oczyma, zbiera wszystkie swe siły, wyężdżając je, boryka się ze swymi napastnikami, wymyka się z ich rąk, pędem podbiega do mnie siedzącego na koniu, porywając za mą nogę, krzycząc z przerażenia wniebogłosy: „Paniczu, litościwy paniczu, na miłość Boga, ratuj mnie!”. Silnie ściskając, woła ciągle w rozpaczy: „Jesteś młodym, pewnie nikomu nic złego jeszcze nie wyrządziłeś, ratuj mnie biednego od śmierci, a Bóg ci za to pobłogosławi we wszystkich twych zamysłach!”.

Brat Aleksandra z Wiszniewskim wpadają na niego, chcąc odciągnąć od konia, a właściwie od nóg moich, łają, szarpią i biją go. Przewodnik wsunie [się] pod brzuch mego konia, z całej swej siły łapiąc się i trzymając na przemian mych nóg, prawie nieprzytomny błaga ciągle o ratunek, przeciwnicy zaś ciągną go do siebie. Czuję, iż z siodła mnie ściągają, trzymam się grzywy obiema rękoma, przedstawiam im me położenie, prosząc, by zaprzestali. Nic to nie pomaga. Przewodnik, ciągnięty i bity przez dwóch ludzi, trzyma się moich nóg coraz mocniej, to jak mu się zdaje swego wybawcy i opiekuna. Nareszcie, pomimo mego ściskania kolanami konia i trzymania się jego grzywy, ściągają mnie z niego. Padam wraz z przewodnikiem na ziemię.

Stefan, ujrzawszy mnie ściągniętego z mego wierzchowca, leżącego na ziemi razem z błagającym i trzymającym się przewodnikiem, napastników szarpiących nas obu, by rozdzielić, zeskakuje z konia krzycząc: „O, wy, gałgany!”. Wpada na nich rozjuszony jak dzikie zwierzę, porywa za łeb jednego, drugiego pięściami grzmoci, odzuca ich na stronę, oswobadza i podnosi swego towarzysza przydużonego, z poszarpanym odzieniem. Aleksander nadbiega w pomoc pobitym, okrwawionym napastnikom, podnoszący[m] się z ziemi. Porywają na nowo leżącego jeszcze tego nieszczęśliwego człowieka, bijąc go, zarazem odgrzając się nam obum pięściami, iż i nas tak samo powieszą, jeżeli będziemy przeszkadzać w ich działaniu.

Cofamy się oba do naszych wierzchowców, siadamy na nie, porywamy za pistolety, odwodząc kurki. Jesteśmy gotowi do swej obrony. Widzimy przewodnika ciągniętego do drzewa, szamotającego się i starającego się wyrwać z ich rąk, wzywającego ciągle o pomoc. Próbujemy raz jeszcze prosić, by nie odbierali życia człowiekowi. Przedstawiamy, iż Bóg ciężko ich skarze za tak wielką zbrodnię. Po tak szczęśliwym przejściu granicy cało i zdrowo, powinniśmy Bogu dziękować, a nie plamić siebie takim okropnym czynem. Te wszystkie nasze perswazje na nich nie oddziaływały i żadnego pomyślnego skutku nie biorą. Nie mogąc dłużej patrzeć na tę nieszczęśliwą ofiarę, błagającą ciągle bezprzytomnie o pomoc, zaczynam się brzydzić tymi ludźmi i takim wściekłym znęcaniem się. Oburzony do najwyższego stopnia mającą się odbyć w naszych oczach zbrodnią, przy tym będąc przez nich poszarpanym, potłuczonym tylko co ściągnięciem z konia, z prośby wpadam w zapal gniewu i groźby. W chwili zerwania pasa Aleksandrem z przewodnika, obwiązując nim jego szyję i włączając wraz z drugimi do drzewa, by go powiesić, krzyknąłem jak mogłem najgłośniej, aby być słyszonym przez nich wszystkich: „Stefanie, nie patrzajmy na to ohydne morderstwo, spieszmy co prędzej do widniejącej wioski, dajmy znać władzy tam będącej, aby tych łotrów zabrała jako zbroj-ców. Całe to nieszczęście niechaj spadnie na ich głowy!”.

Ścisnęliśmy ostrogami konie, cwałem puściliśmy się w stronę wioski. W pogoń za nami dochodzi głos, wołający: „Stójcie, stójcie!”. Obzieramy się, widzimy Aleksandra pędzącego co koń wyskoczy ku nam. Machając, woła: „Gdzie jedziecie! My tylko z tym łotrem żartowali, chcieliśmy go nastraszyć. Patrzajcie, stoi na ziemi, a nie wisi!”. Ta nagła nasza determinacja i groźne słowa wyrzeczone ostudziły złość wieszających i przyprowadziły ich do przytomności. Najpierw Aleksander zerwał pas z szyi przewodnika, mówiąc, by dano mu spokój, na stronie kolegom dając do zrozumienia, że mogą sobie wiele biedy napytać, jeżeli dwaj towarzysze uwiadomią tutejszą władzę o ich czynnościach. Siadł na konia, pomknął galopem, by dognać nas i zatrzymać. Dopędziwszy, nalegał, abyśmy

wrócili i razem z nimi w dalszą drogę jechali. Nie okazując swej radości z tak szczęśliwego zakończenia tej sprawy naszym odjazdem i groźbą, nic nie mówiąc, wróciliśmy z nim do futoru.

Aleksander, zebrawszy kolegów, razem z nimi zaczęli mnie przepraszać za przypadkowe nierozważne poturbowanie i słowa wyrzeczone bezmyślnie jako groźbę. Mówi: był to szal chwilowy spowodowany zemstą nad zdrajcą, który prawie odjął im zmysły, nie zastanawiając się na tym, co czynią i mówią. Teraz proszą, by to wszystko po koleżeńsku zapomnianym było; jednogłośnie krzyknęli: „A ty, łotrze, dziękuj Bogu i temu pocziwemu młodzieńcowi, żeś żyw. Gdyby nie on, dawno byś wisiał na drzewie w tym futorze!”.

Podaliśmy swe dłonie Aleksandrowi i reszcie kolegom na znak zgody, jednakowoż z warunkiem i z prośbą, która mamy nadzieję, będzie nimi przyjętą, [o] natychmiastowe puszczenie na swobodę przewodnika, niemogącego więcej nam szkodzić w obcym kraju. Struchlałego tego człowieka, ledwo trzymającego się na nogach, porywa Aleksander za ramiona, przyduszając go do ziemi: „Kłękaj, dziękuj Bogu i całuj nogi tego dobrego panicza, a swego wybawcy, i ruszaj sobie na cztery wiatry, na złamanie karku!”. Przewodnik, po tych strasznych przejściach przychodząc do zmysłów, czuje iż jest ocalonym, pada na kolana, żegnając się, całując me nogi. Zeskakując z konia, staram się go podnieść, mówiąc: „Co prędzej uchodź nieszczęśliwy, ale winny człowieku. Przez twój szkaradny postępek, któremu Bóg nie dozwolił, by się spełnił, mogliśmy wszyscy życiem przepłacić. Jeżeli kiedykolwiek przyjdzie ci znowu ta haniebna myśl kogoś zdradzać lub źle bliźniemu czynić, pomnij na dzisiejszą chwilę, w której tak blisko byłeś śmierci. Bóg jeden tylko cię wybawił od niej, abys poprawił się w przyszłości. Ruszaj z Bogiem, a pamiętaj o poprawie”.

PRZEDRUK ZA: Franciszek Bagieński, *Wspomnienia starego Wołyniaka*, wstęp Zbigniew Sudolski, oprac. Zbigniew Sudolski przy współpr. Grażyny Góralewskiej, Warszawa 1987, s. 38–47.

53. Z Wołynia do Galicji sposobem przekradanym. 1848

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)

Od kolebki przez życie [fragmenty]

Ku granicy ruszyłem z Niemirowa, od ciotki Jeleńkowskiej, przyjechawszy do niej wczesnym rankiem. O świcie prawie żegnałem rodziców. Ojciec wiedział o celu podróży mojej¹, którego nie wyjawiałem matce z obawy o wąż jej zdrowie. Matka jednak snadź przeczuwała, obłogosławiła mnie bowiem i czułem na czole moim łzy jej. Rodzeństwo młodsze w łózkach zostawiłem. Dotychczas w oczach mi stoi jasna siostry najmłodszej, Leonidki, główka, która, gdym ją w czoło całował, zbudziła się i senna z uśmiechem na szyję moją rączęta zarzuciła. Józef, Jan, Szczęsny, Justynian nie wiedzieli, co pożegnanie moje znaczy, inaczej bowiem dwaj starsi byliby mi towarzyszyć chcieli. Wiedziała siostra, Bronisława. [...]

Podróż moja odbywała się pomyślnie. Celem onej były Jakimowce, wieś w krzemienieckim, własność ojca jednego z kolegów moich odeskich, Zygmunta Małachowskiego. Podążyłem na Winnicę, Lityn, Stary Konstantynów i Jampol. Zygmunta w domu zastałem. [...]. Zabawiłem tam dni kilka, w ciągu których za pośrednictwem Zygmunta zetknąłem się z Soterem Witwickim, czy Witowskim, mieszkającym w Roztokach, wsi ogromnej, górzystej, położonej nieopodal od granicy. Soter ów miał stosunki z kontrabandzistami, znał się z nimi i podjął się ułatwić mi przeprawę za dni kilka. Jak się to odbywa, pojęcia nie miałem. Szukałem zrazu drogi innej przy pomocy ułanów pułku woznesieńskiego, który z Hajsyna wysłany został na granicę i rozlokowany wzdłuż takowej po wsiach, kwatery pułkowa w Radziwiłowie. W celu tym

¹ Miłkowski wybierał się nielegalnie do Galicji, dołączyć do ruchu rewolucyjnego, który ogarnął już monarchię austriacką. Po jego uśmierzeniu wyruszył dalej na Węgry, jak wielu innych ochotników z zaboru rosyjskiego.

do Radziwiłowa jeździłem i Bolesława Popowskiego odszukałem o milę stamtąd, w wiosce pogranicznej, na kwaterze u dzierżawcy nazwiskiem Jabłonowski czy Jabłoński, kawalera, człowieka młodego. Kwaterowało tam kilku innych jeszcze oficerów i rotmistrzów, o którym powyżej wspomniałem. Zostałem u Bolesława na noc. Z wieczora preferans był na stole. Grze asystował bez brania w niej udziału szlachcic jakiś, słuszny, barczysty, wąsaty, łysawy – jak się zdaje, właściciel majątku. Preferans ciągnął się jeno do kolacji, po kolacji szlachcic ów pokazał od niechcenia niby książkę i zaproponował głośne onej czytanie. Bolesław na mnie jako na dobrego czytelnika wskazał. Książka były to nieznanne mi jeszcze *Wieczory pielgrzyma* przez Stefana Witwickiego². Odczytałem parę rozdziałów początkowych, w których autor chłoszcze zawzięcie Francuzów. Szlachcic zapytał, jak się to nam podoba. Jednogłośnie chwaliłszy autora. Szlachcic głos zabrał i jął się Witwickiego krytykować za poglądy tak ogólne, jak szczegółowe. Krytyka jego wychodziła z punktu obywatelskiej pomiędzy narodami równości, mocno przez Witwickiego szarpanej, i zasilaną była argumentami i rozumowaniem, świadczącymi, że człowiek ten umiał i myślał dużo. Zafrapowało mnie to mocno. Rozmowa przeszła na materię inną. Rotmistrz zaprosił nas nazajutrz na musztrę, zapowiadając, że ćwiczyć będzie żołnierzy i konie w skakaniu przez barierę. Poszliśmy spać. W dniu następnym rano mieliśmy widowisko, które nas rozweseliło wielce. Szwadron uszykował się frontem rozwiniętym; przed szeregiem, w odległości kroków półtorastu położono na ziemi słomą obwiniełą barierę; rotmistrz zakomenderował: „po jednemu od prawego”; jeźdźce wysuwali się jeden za drugim; pięć koni skoczyło i z każdego jeździec spadł.

– Stój! – zagrzmiała komenda rotmistrza.

– Hm... to dobrze... – odezwał się szlachcic i wezwał nas na przechadzkę pomiędzy łąny zbożowe. Szliśmy powoli, gawędząc,

² *Wieczory pielgrzyma: rozmaitości moralne, literackie i polityczne*, t. I i II. Książka do roku 1848 miała w Paryżu dwa wydania, w latach 1837–1842 oraz 1844–1845.

aż w punkcie pewnym szlachcic się zatrzymał, rękę wyciągnął i, wskazując otoczone tumanem sinawym bory, powiedział nam, że to Galicja.

– A w Galicji?... ktoś zapytanie rzucił.

– Ha, dobijają się ludziska swobody... Wywiązała się stąd rozmowa o wypadkach, z której on wziął asumpt do streszczenia teorii demokracji republikańskiej. Wyłożył jasno i zwał w uroczyście wyrzeczonych wyrazach:

– Bóg i lud!

Później dowiedziałem się, że była to dewiza Mazziniego. Wówczas nie wiedziałem o tym. Wyrazy te wywarły na mnie wrażenie objawienia, albo zstąpienia na mnie Ducha Świętego. Przejrzałem niby. Dla rozstrzelonych a mostami sylogistycznymi powiązanych przekonań moich znalazł się wyraz konkretny. Włożył mi takowy w głowę szlachcic jakiś nieznamy. Nie spotkałem się z nim od chwili tej nigdy w życiu i nie wiem, jak się nazywa. Może on – ale nie... Chciałem go przyrównać do również nieznanego, na drodze spotkanego generała Dannenberga, który miał przekonania dwojakie: inne własne, inne służbowe. Uwaga ta sceptyczna przychodzi mi na myśl dziś; wówczas atoli, kiedy miał lat dwadzieścia cztery i wierzył ludziom na słowo, wyrazy te zapadły mi w duszę głęboko i stały się w niej światłem polityczno-filozoficznym.

O stanie rzeczy w Galicji mniej więcej wiedziałem ze źródła pewnego, bo od Marcina Tarnowskiego, pułkownika, który w Podberezcach dostawał sposobem przekradanym gazety lwowskie [...]. Powziąłem lepsze aniżeli w Kijowie i w Niemirowie wyobrażenie o gwardii narodowej i radach narodowych. Przedstawiały się mi one nie jak wojsko polskie i nie jak rząd polski, za co uchodziły w oddaleniu. Uważałem je, jak zresztą uważali wszyscy, sami Galicjanie nawet, jako prolog do dramatu, który się odegrać musi koniecznie. Przewaga imaginacji młodzieńczej nad rozumem przewidywać mi nie dawała długości międzyaktu pomiędzy prologiem a akcją samą. Wydawało mi się, że

nie będzie wcale spuszczenia kurtyny, i dlatego rwałem się za granicę.

Nie pamiętam dokładnie daty, w której do Roztoków przyjechałem. Było to w lipcu chyba, przypominam bowiem sobie, że zboża jeszcze na pniu stały, tylko owsy wczesne półkópkami się po polach znaczyły i ułani snopy kradli. Z Roztoków wyjechałem do Krzemieńca w towarzystwie Sotera; z Krzemieńca wieczorem wracając, Soter od punktu pewnego jechać kazał stępem, pokaszując i pochrząkując w sposób szczególny od czasu do czasu i oglądając się. Noc była księżycowa pierwszej kwadry. Nagle na chrząknięcie chrząknięcie odpowiedziało; Soter kozakowi, co powoził, konie zatrzymać kazał; spoza krzaka przy drodze wysunęła się postać chłopska i do bryczki przystąpiła. Pomiędzy nią a Soterem nastąpiła krótka słów zamiana, z której się dowiedziałem, że chłopu na imię Fed'. Ten ostatni, mówę do kozaka zwracając, odezwał się tonem upominającym:

– Ale, słuchaj... ty... ani słówka...

– Bodajby mnie krzyż ten pobił – odrzekł kozak, palce na krzyż składając – jeżeli słóweczko pisnę...

– No... – Soter do mnie.

Jam mu dłoń uściskał, z wózka wyskoczyłem; on zawiniątko moje podał Fediowi, który, zapytawszy, czy nie ma czego więcej, do worka je wrzucił.

Więcej nie posiadałem nic. [...]. Ze sobą zabrałem jeno dwańście koszul webowych³ i innych części bielizny po trosze tyle, ile potrzeba było, ażeby nie brakło i nie ciążyło. Fed' worek z zawiniątkiem moim na plecy sobie zarzucił: – Chodźmy...

Poszliśmy. Myślałem, że idziemy do granicy. Myśmy się udali do wsi jakiejś. Gdyśmy weszli na podwórko jednej z chat, Fed' przemówił do mnie:

– Miesiąc niebawem zajdzie, spocznijcie sobie tymczasem...

³ Weba – wyższy gatunek płótna lnianego.

Ukazał mi miejsce pod gruszą na koziołku do strugania ob-
ręczy, sam do chaty wszedł; po chwili wyniósł wódki we flaszcze
i chleba kawałek. Wódki się napiłem, za chleb podziękowałem,
powieczerałem bowiem należycie w Krzemieńcu. W pół godziny
później Fed' zjawił się w towarzystwie młodego, smukłego parobka
i wezwał mnie do pochodu. Przez ogród wydostaliśmy się w pole
i puściliśmy się krokiem szybkim, zrazu wyprostowani, następnie
wpół zgięci. Przechodziliśmy przez zasiewy różne, tu hreczka, ów-
dzie proso lub jęczmień, przeniknęliśmy się przez drogę i wpadli
w las, w którym Fed' kazał mi siebie za połę trzymać, z powodu
że w lesie ciemność, choć oko wykół, panowała. Gdym go za połę
ujmował, zapytałem po cichu:

– Daleko jeszcze do granicy?

– My za granicą już – odparł. Ale tu jeszcze na legra⁴ na-
tknąć się można...

Gdyśmy lasem kawał spory uszli, Fed' z akcentem triumfu
odchrząknął i głośno się odezwał:

– O, tu już sobie zakurzyć możemy...

Pod drzewem usiadł, fajeczkę nałożył, ognia do hubki wykrze-
sał i woń bakunu⁵ w powietrzu się rozległa. Jam siedział obok
niego. Mówiliśmy ze sobą, nie pamiętam o czym, bodaj czy nie
o tytoniu, którego ładunek spory nieśli w worach przewodnicy moi
ze sobą. Posiedziawszy trochę, ruszyliśmy dalej i doszliśmy nieba-
wem do chaty leśnika, którego Fed' rozbudził, konia mu zaprząc
kazał i, parobka z tytoniem w chacie zostawiwszy, powiózł mnie
drożyną leśną. Drożyna wyprowadziła nas w pole. W polu dzień
świata począł. Rozwidniło się na dobre, gdyśmy wjechali do wsi,
rozrzuconej poniżej dworu okazałego, stanowiącego wraz z ogro-
dem obszernym pejzaż ponętny. Przed bramą zatrzymaliśmy się.
Fed' zawiniątko moje wyjął i poprowadził mnie do stojącej wyżej
anizeli dwór oficyny ze schodami i gankiem.

⁴ Jegra – strzelca austriackiego.

⁵ Bakun (z ukr.) – tytoń.

– Śpią wszyscy – odezwałem się, gdyśmy na ganek weszli.

– A... pan nie śpią... – odrzekł Fed'.

Jakoż, jak skorośmy wyrazy te ze sobą zamienili, drzwi się otworzyły i we drzwiach ukazał się jegomość siwy, na twarzy czerwony, żwawy, i witać się jął Fedia, jak dobrego znajomego.

– A co tam przynosisz dobrego? zapytał.

– A o... – odrzekł, na mnie wskazując i karteczkę mu od Sotera wręczając.

Jegomość, z ukosa na mnie okiem rzuciwszy, dalej z Fediem mówił. Wypytywał go o jakiegoś starego, o coś jeszcze, wreszcie się odezwał:

– Gazety mam gotowe. Poczekaj.

Za drzwiami zniknął i wnet się znów zjawił ze sporym pakietem w ręku.

– Pisma nie ma? – Fed' na to, pakiet biorąc.

Nie pamiętam, co jegomość odpowiedział; po odpowiedzi zapytał:

– Cóż tam słyhać?

– Cóż? Zawsze jedno... Moskali tyle, że nie daj Boże... Dni temu trzy w Krzemieńcu z puszek⁶ walili, aż się ziemia trzęsła.

– Napijesz się wódki... co?... Chodź ze mną.

Weszli do środka, chwilę sporą ich nie było, po chwili wyszli; Fed' jegomością żegnał i, do mnie się zwracając, zdrowia dobrego mi życzył. Ja co rychlej po sakiewkę do kieszeni sięgnąłem i rubla mu podałem.

– Nie... – odparł, cofając się.

– Za fatygę...

– Co to za fatyga!...

– Na pamiętkę...

Uśmiechnął się i ręką machnął.

– Więc bodaj pół rubla – nalegałem, zmieniając sztukę monety jedną na drugą.

⁶ Tj. z armat.

– Schowajcie *hroszi* dla siebie, wam będą potrzebne. To ja bym wam dać powinien, bo ja, choć chłop, ale wiem, pociście tu przyszli. Niech wam Pan Bóg pomaga...

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 1, s. 250–256.

54. Przez Besarabię na Ukrainę. 1851

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)

Od kolebki przez życie [fragmenty]

Zaopatrzony w paszport angielski, opiewający na imię Wiliama Smitha, w listy polecające [...] puściłem się w podróż¹.

Do Jassy² miałem przy sobie list polecający od Bratiana³ pod adresem Jana Leki. Pókim z Żydami pozostawał⁴, z listu tego użytku nie czyniłem i po ich dopiero wyjeździe udałem się wedle adresu wskazanego do dworku, w którym Leka u krewnego swego Negruzziiego mieszkał. Przyjęty zostałem uprzejmie. Leka, list Bratiana odczytawszy, oświadczył gotowość oddawania mi wszelkich możliwych usług, rozpoczynając takowe od tego, że mnie na obiad prosił, do teatru zawiózł i z przyjaciółmi swoimi Kinezim i Kozadinim zaznajomił. Zbieraliśmy się często na konferencje w przedmiocie wyprawy mojej emisarskiej. Chodziło o to, ażeby mnie przez Besarabię⁵ na Podole przerzucić. [...]

Z Rumunami widywałem się co dni parę – oni się dowiadywali, kwestię studiowali. Wreszcie któryś z nich oznajmił mi, że wynaleźli sposób, ale celem dokładniejszego sposobu tego rozpatrzenia potrzeba, ażebym pojechał z nimi na polowanie do wsi, graniczącej ze Skulanami, położonej nad Prutem, a będącej własnością

¹ Miłkowski po kampanii węgierskiej 1849 roku trafił przez Turcję do Londynu, gdzie został członkiem Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. We wrześniu 1851 roku jako agent Komitetu Centralnego Demokracji Europejskiej udał się (przez Paryż, Marsylię, Konstantynopol) na Balkany i na Ukrainę. Na Balkanach posługiwał się angielskim paszportem na nazwisko Williama Smitha, dalej już bez dokumentów.

² Jassy – miasto w Mołdawii, obecnie w Rumunii.

³ Dymitr Bratianu (Dimitrie Brătianu, 1818–1892) – polityk rumuński, członek Europejskiego Komitetu Rewolucyjnego.

⁴ Poznanymi podczas wspólnej podróży.

⁵ Besarabia – kraina między Prutem a Dniestrem, na pograniczu Mołdawii i Ukrainy. Od 1812 roku była opanowana przez Rosję. Mapa, zob. https://no.wikipedia.org/wiki/Fil:Russian_Bessarabia,_1883.jpg [23.10 2017].

niejakiego Wojnesku. Propozycję tę przyjąłem z ochotą. Polowanie naznaczone było na tydzień ostatni miesiąca grudnia [...].

Wojnesku, prosty, serdeczny a gościnny człowiek, od razu mi do serca przypadł. Polowanie urządził on dla zamaskowania wyprawy mojej, którą dokonać zamierzyłem w przebraniu chłopskim. W celu tym przygotował dla mnie przeodzievek: bieliznę stosowną, buty, spodnie, kozuch ze świtą z wierzchu i czapkę baranią. Polowaliśmy dzień jeden i drugi z huczkami, obchodziliśmy okolice nad Prutem, które rozpoznawałem wedle wskazań gospodarza; w dniu drugim późnym wieczorem przebrałem się, walizkę moją i paszport angielski Wojnesce do przechowania oddałem i pod jego przewodnictwem na brzeg rzeki się udałem. Wodę pokrywał lód. Wojnesku zamówił Żyda, któremu mnie w ręce oddał jako posłańca, udającego się na stronę rosyjską w interesie jego. Żyd zobowiązał się bezpiecznie mnie przeprowadzić, ze Skulan do Faleszt⁶ odwieźć i konia z siodłem dla mnie kupić. Dla upozorowania rzeczy wzięłem w zanadrze w chustkę obwinięty, a przeze mnie napisany i zaadresowany list; pieniądze, jakie miałem, na złoto zmieniane, ukryłem w słomie w butach, i jedynym przedmiotem, który by mnie skompromitować mógł, była mapa Besarabii, potrzebna mi na to, ażeby o drogę nie pytać.

Przeprawa dokonała się pomyślnie. Żyd doprowadził mnie do miasta i zaprowadził do domku, którego położenie zapamiętać mi kazał, w tym samym bowiem domku stawić się miałem za powrotem. Zastałem przygotowaną już bryczkę jednokonną, zaprzężoną końmi paru, z których ten, co na orczyku siedł, był moim; siodło w siedzeniu schowanym było. Żydek młody powiózł mnie. Jechaliśmy drogą pocztową, klusem tęgim. Około północy stanęliśmy w Falesztach, skąd po odpoczynku parugodzinnym puściłem się konno w drogę dalszą. Na koń wsiadając, nie wiedziałem, jakiej on maści; zmiarkowałem jeno, że nie siwy ani kary. Maść wierzchowca

⁶ Granica biegła wzdłuż rzeki Prut. Skulany leżały nad samą granicą już po stronie rosyjskiej, a Faleszty nieco dalej na północny wschód.

mego – brudno kasztanową – rozpoznałem po dniu dopiero, który w godzin parę zaświtał; poczułem oraz, że mam pod sobą konia dobrego, rażącego i w nogach pewnego. I siodło było niezłe. We względzie tym nic do zarzucenia nie pozostawało. Zawadzało mi to jeno, że pośpieszać nie mogłem, mając do zrobienia w Besarabii mil piętnaście z górą i na Podolu do siedemnastu, to jest razem trzydzieści kilka, marszrutę bowiem wytknąłem sobie na Bielcy, Sorokę, Miaskówkę, Tulczyn, do Niemirowa⁷.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeź [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 11, s. 1, 19–22.

⁷ W Niemirowie na Podolu Miłkowski pobierał nauki szkolne, przed jego wyprawą do Galicji w 1848 roku mieszkała tam jego rodzina; zob. tekst nr 53.

55. Z angielskim paszportem na Wołoszczyźnie. 1855

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)

Od kolebki przez życie [fragmenty]

Po Mołdawii jeździłem bez przeszkody najmniejszej¹. Nikt się na mnie ani skrzywił. Krażenie moje nie zwróciło na siebie uwagi ni-
czyjej: ani rumuńskiej, ani austriackiej. Z Austriakami miałem do
czynienia tyle tylko, żem raz, pocztą jadąc, na wózek mój wziął ku-
riera, pod którym wózek rozłamał się na dwoje. Za przysługę tę na-
leży się mi wynadgodzenie, o którym się zresztą nie upominał. [...]

Ochota postawienia mi przeszkody pojawiła się po raz pierw-
szy na wstępie do Wołoszczyzny. W Fokszanach przechodziła po-
między gospodarstwami granica². Stanowiła ją wysychająca latem
rzeczka Miłków, która rozdziela miasto na dwie połowy: jedna
była natenczas mołdawską, druga wołoską. Przejedni meldować
się musieli z paszportami osobiście u komendantów granicznych.
Na stronie mołdawskiej major zawizował mi paszport bez obiekcji
najmniejszej; na wołoskiej trudności stawiał. Nie podobało mu się
przede wszystkim, że w paszporcie rysopisu nie było.

– Taki w Anglii zwyczaj – zauważyłem.

– Nas zwyczaj ten nie obowiązuje – odparł.

– To rzecz nie moja... Rozpraw się pan o to z ministrem, co
mi paszport wydał.

– Hm? – mruknął. – W państwie ucywilizowanym paszporty
takie!...

¹ Miłkowski, szukając zarobku, wybrał się do Mołdawii w interesach francuskiego przed-
siębiórcy Duranda. Ponieważ był skompromitowany i wobec Rumunów, i Austriaków,
posługiwał się angielskim paszportem na nazwisko Ewareta Mameta, otrzymanym
w Konstantynopolu od Karola Brzozowskiego.

² Po wojnie krymskiej księstwa naddunajskie zaczęły wyzwalać się spod wpływów Rosji,
by w 1861 roku zjednoczyć się w państwo rumuńskie.

– W państwach ucywilizowanych opisują bydło, jakiej jest miary i szerści, ale nie ludzi.

– Ja paszportu tego nie podpiszę.

– Podpisać pan musisz, jeżeli nie chcesz na siebie odpowiedzialności ściągnąć.

Zastanowiło go to. Jął się rejestry jakieś przewracać i odczytywać. Domyślał się, że musiały to być listy gończe, w których chciał wyszukać list jakiś, na mocy którego mógłby się do mnie przyczepić. Nie znalazł jednak nic. Więc do księgi począł rysopis mój wciągać. Zapytał mnie o lata – powiedziałem, o religię.

– Anglikańska – odrzekłem.

– Religii takiej nie ma.

– Jest.

– Jam nie słyszał o niej.

– To mnie dziwi, ale nie obchodzi.

– Nie mogę jej wpisać.

– Nie wpisuj pan.

Nie wiem, jak poradził sobie, ale mi paszport zawizowany oddał.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 11, s. 155–156.

56. Piechotą bez dokumentów przy komorze w Służewie. 1857

Bibianna Moraczewska (1811–1887)

Dziennik [fragment]

Z Ciechocinka do Torunia¹ odprowadzała mnie Tekla² i Julia Janiszewska. Ja naturalnie za paszportem³, one bez legitymacji. Lecz niewielki to kłopot przebywać ukradkiem granicę; aż do komory w Służewie jechałyśmy razem, potem one szły kawałek pieszo, a ja podjechałam pod graniczną barierę, rozłożyłam się w austerii, a one tam niedługo nadeszły. Zjadłszy obiad, pojechałyśmy do Torunia.

PRZEDRUK ZA: *Dziennik Bibianny Moraczewskiej*, wydany z oryginału przez wnuczkę dr. Dobrzyńską-Rybicką, Poznań 1911, s. 59–60.

¹ Ciechocinek leżał w Królestwie Polskim, a Toruń w zaborze pruskim,

² Tekla Dobrzyńska. Przyjaciółki Moraczewskiej mieszkały w zaborze rosyjskim, gdzie o paszport zagraniczny było trudno. Moraczewska odwiedziła Teklę, odpoczywającą w Ciechocinku.

³ Moraczewska mieszkała w Poznaniu i posługiwała się pruskim paszportem. Aby dostać się do Poznania z Królestwa Polskiego, musiała przejechać do Torunia, a dopiero stamtąd wyruszyć dalej. Równie mało wygodną drogą jechała Moraczewska z Poznania do Warszawy w roku 1856 – zob. tekst nr 44.

57. Ucieczki młodzięży do Mołdawii. 1862

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)

Od kolebki przez życie [fragmenty]

Razu pewnego dają mi z jednego z domów zajezdnych znać¹, że jakiś młody pan chce się ze mną widzieć. Poszedłem. Znalazłem się wobec dwudziestoparoletniego chłopca, który mi od razu oświadczył, że przybywa do legionów. Gdym mu powiedział, że legiony nie istnieją, odparł bez namysłu:

– Ale się biją w Czarnogórze...

– Biją się. Więc cóż? – zapytałem.

– Do Czarnogóry pojedę.

– Daleko – zauważyłem.

– Którędy droga? – odrzekł, wyjął z zanadru kalpenik² i jął się zapisywać miasta, które mu dyktowałem: Jassy, Fokszany, Bukareszt.

– Trzeba przebyć Dunaj – odezwałem się.

– Wpław przebędę... na koniu.

– Trudno... szeroka rzeka.

Na moje słowa jednak nie zważał, Dunaj sobie zapisał i pyta:

– A dalej?

– Dunaju pan nie przepłyniesz...

– Przepłynąłem Prut.

– Pomiędzy Prutem a Dunajem zachodzi niejaka różnica.

– Czarniecki morze przepłynął.

Trudno było na argument ten odpowiedzieć. Zapytałem przeto.

¹ Miłkowski z racji swojej działalności niepodległościowej mieszkał wówczas z żoną w nadgranicznych Michalenach. Było to miejsce bezpieczne dla poszukiwanego przez policję rosyjską i austriacką emisariusza, a przy tym znajomości z pogranicznikami umożliwiały mu działalność polityczną i agenturalną. Zob. tekst nr 25 oraz tamże przyp. 2.

² Z fr. *calépin* – notatnik.

– Dzielnego musisz mieć pan konia?

– Tak – niezły. Zmęczył się trochę, bom go sforsowałam... Kozacy mnie ścigali i po tej i po tamtej stronie Prutu³... Ale wypocznie, pojedą.

– Nie mógłbym go widzieć? – rzekłam.

– Owszem, proszę.

Wyszliśmy razem do stajni. Chodziło mi nie o widzenie konia, ale o przerwanie rozmowy i wynalezienie sposobu wyperswadowania młodemu człowiekowi ochoty bicia się w Czarnogórze. Sposób sam się znalazł. W stajni za ledwie okiem na konia rzuciłam, poznałam, że on już do niczego.

– Ależ koń pański podpalony i ochwacony – zawołałam.

– To cóż?

– To, że i do wożenia wody się nie zda.

– Jaż na nim... od samego Kamieńca.

Akcent zdradzał, że nie z Podola pochodzi.

– Pan chyba nie Kamieńczanin – rzekłam.

– Ja z Litwy. Nazywam się Rymtowl...

Naturalnie upadł zamiar wyprawy do Czarnogóry. Odesłałam młodzieńca najętą furką do Zworeszt, skąd się udał na Gałac i Konstantynopol do Włoch. [...]

O tak, jest to prawda, że gościnność ściany rozszerza.

Nie doznawaliśmy jej braku w czasie pobytu naszego na Mołdawii, a i samiśmy ją praktykowali, do czego skala rozszerzała się stopniowo, gdy nadszedł rok 1862 i wzmożło się wychodztwo młodzieży polskiej spod rosyjskiego, a nawet spod austriackiego panowania. Początek tego zaznaczył się jakoś w miesiącu lutym. Zrazu rzadziej, dalej coraz to częściej, zrazu pojedynczo, dalej po dwóch, po trzech, po kilku młodych ludzi, unikających gościny w więziennym zamknięciu lub podróży etapami na wschód w granicach Rosji, do drzwi naszych pukało. Udzielaliśmy im gościnności i wyprawiali

³ Na granicy rosyjsko-mołdawskiej.

dalej, w głąb Mołdawii, na kwatery do Polaków, oficjalistów i rzemieślników, przemieszkujących po miastach i w każdej niemal wsi mołdawskiej. Rzadkim był dzień, ażebyśmy tego rodzaju gości u siebie nie mieli. Przybywali oni najczęściej w nocy. Przyprowadzali ich strażnicy graniczni⁴, którzy mnie pukaniem w okno budzili. Dla zapewnienia sobie spokoju nocnego urządziłem się tak, żem przysposobił w oficynie pokój i umówił się ze strażnikami, ażeby przybyszów nocnych wprost do oficyny prowadzili i wskazywali im przysposobione na sianie legowisko. Rano zaglądałem przez okno dla zawiadomienia mojej żony, ile osób na kawie będziemy mieli. Raz doliczyłem się nie mniej jak szesnastu młodzieńców. O ile przypominam sobie, była to liczba największa, ale mniej więcej dziesięciu trafiało się dosyć często. Trzeba ich było nakarmić, wyprawić i niejednemu na drogę dać, a niekiedy po kilku po dni kilka przetrzymywać. Wychodztwo to wzmagало się liczebnie dzięki manifestacjom, którymi w porozbiorowych Polski dziejach zaznaczył się r. 1862. [...]

W połowie kwietnia Władysław, brat mojej żony, przywiózł nam z moskiewskiego w Żytomierzu więzienia zbiega w postaci dwudziestoparuletniej bardzo ładnej panny. Nowość ta niespodziankową nie była, wiedzieliśmy bowiem, jaki w manifestacjach, które się w tym czasie wzmogły, udział kobiety u nas brały. Panna Henryka Pustowójtówna⁵ na polu tym odznaczyła się w Lublinie, gdzie przy babce, Rulikowskiej, przebywała. Córka generała rosyjskiego, zachowywaniem się swoim, wyzywającym młodzież męską do przesadzania się w czynach demonstracyjnych, kłuła w oczy władze miejscowe. Przez wzgląd na zasługi ojcowskie obezszy się z nią o tyle względnie, że jej z Lublina wyjechać kazały. Pojechała do Żytomierza i tam – nie poprawiła się. Do pięknej

4 Współpracujący z Miłkowskim.

5 Henryka Pustowójtówna (Anna Pustowójtówna, Anna Loewenhardt, 1838–1881) córka rosyjskiego generała Trofima Pawłowicza Pustowójtowa i Marianny z Kossakowskich, działaczka patriotyczna, uczestniczka powstania styczniowego (została adiutantem Mariana Langiewicza) i wojny francusko-pruskiej.

dziewczyny, zapalonej, pieśni patriotyczne śpiewającej, młódź się garnęła i w kłopot policję wprawiała. „Generalska córka”. Wobec istot tego rodzaju Moskal mimowiednie na „wytiażki”⁶ staje. Trzeba z nią jednak było coś zrobić. W sferach, od których to zależało, ponieważ, skutkiem prawa o małżeństwach mieszanych, zaliczoną ona oficjalnie została do owieczek kościoła prawosławnego, zapadło postanowienie oddania jej czernicom⁷ pod dozór. W tym celu przyaresztowano ją. Ona, przy pomocy wielbicieli swoich, z więzienia uciekła i nie oparła się aż u nas.

Z peregrynacji panny Henryki z Żytomierza do Michalen w pamięci, według opowiadania jej, ten pozostał szczegół, że się przez Zbrucz przekradła w Siekierzyńcach. Siekierzyńce jedne leżą w zaborze moskiewskim, drugie w austriackim. Pierwsze były własnością Adama Rudnickiego, drugie jednego z trzech braci Siemiginowskich. W przeprawie przez Zbrucz wsiąść musiała jak na konia na kark Rajmundowi Rudnickiemu; ten, brodząc, potknął się i w wodę ją upuścił. Do Siemiginowskiego przybyła zmoczona, przenocowała, odzież jej przeschła, nazajutrz odesłaną została do Czortkowa, skąd Władysław przywiózł ją do nas i w imieniu Komitetu żytomierskiego nam powierzył. Przedstawiła się nam jako osobistość ważna, mocno skompromitowana i mogąca być wystawioną na ściganie poza granicami imperium rosyjskiego, dalej nawet niż na Mołdawii. Czuć się dawało w tym trochę przesady, ale trochę tylko. W gruncie mogło być coś prawdy. Zafrapowało mnie to jeno, że panna Henryka nie umiała mówić o niczym innym, jak tylko o zewnętrznych, dekoracyjnych objawach ruchu. Co się dzieje w głębi, czy istnieje jakie ognisko, czy i jakie działają sprężyny, o tym nie wiedziała. Podawała się za *spiritus movens* prawie. Taką ważną osobistość należało osłonić. Umówiliśmy się, że będzie grała rolę mojej kuzynki. Począłem ją „kuzynką”, ona mnie

⁶ Tj. na baczność.

⁷ Mniszkom prawosławnym. [Nota T. T. Jeża]. – W 1862 roku w Petersburgu zapadła decyzja o wysłaniu Henryki Pustowójtówny do prawosławnego monasteru w guberni kostromskiej.

„kuzynkiem” tytułować i w sposób ten zabezpieczyliśmy jej osobę od możliwych zamachów, o ile moja własna osoba zabezpieczoną była. Jeleki⁸ przyszedł raz był do mnie i pokazawszy mi ministerialny z Wiednia rozkaz, polecający czuwanie nad moimi krokami, powiedział, że z ministerstwa przysłany został do Seretu jakiś ze specjalnymi poruczeniami agent, i radził mi, ażebym zmienił mieszkanie. Za rady tej powód podawał, że stać się ze mną może, co się stało z ks. d’Enghien⁹ – Austriacy w nocy dom obstąpią, wezmą pana i za zgwałcenie granicy Rumunów przeproszą, tłumacząc się przed nimi, że nie dostrzegli linii granicznej, od której dom pański leży tak blisko...

W rzeczy samej tuż przy granicy leżał dom dra Kulczyckiego, w którym mieszkałem. W domu tym przeto wątpliwą nieco dla panny Henryki była rękojmia bezpieczeństwa. Na to rada się nastęrczała w odesłaniu jej w głąb Mołdawii. Środek ten, uznany za dobry i konieczny, i przez nas, i przez pannę Henrykę, odłożony został na później. Jej nie śpieszyło się rozstawać z nami, nam się z nią rozstawać nie śpieszyło. Miła, w obejściu swobodna, wesoła, gadatliwa, śpiewająca dziewczyna podobała się nam od razu; po upływie dni paru inne jeszcze odkryły się w niej zalety: uczynność i praktyczność, owiana wykształceniem, owym wykształceniem elementarno-encyklopedycznym, jakim w czasach owych meblowano głowy kobiece. Panna Henryka wychowywała się w Instytucie Puławskim: znała więc język francuski, grała na fortepianie, śpiewała, posiadała wiadomości ogólne, a przy tym nieobcym jej było domowe kobiece gospodarstwo, w którym, zdaje się, wprawy w domu babki nabrała. Rozgościła się u nas i aniśmy się spostrzegli, jak zajęła wśród nas stanowisko członka rodziny. Kuzynka przybrana stanęła na stopie kuzynki prawdziwej: wszystkim się interesowała, we wszystko wglądała, żonie mojej pomagała

⁸ Jeleki – Węgier, znajomy urzędnik przy komorze w Michalenach. Przez jego ręce przechodziły wszystkie rozporządzenia rządowe.

⁹ Księżę Ludwik d’Enghien na rozkaz Napoleona został w marcu 1804 porwany z neutralnej Badenii i po krótkim procesie stracony.

zwłaszcza w bawieniu gości, w czym pomoc jej ze względu na ilość łaskawych, co nas odwiedzali, jako też przybywające wychodztwo, wielce była przydatną.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. II, s. 329–331, 351–352, 358–360.

Na wojnie i w powstaniach



58. Przez Bug do Księstwa Warszawskiego. 1809

Leon Drewnicki (1791–1870)

Wyprawa do Warszawy i udział w bitwie pod Raszynem [fragment]

Rok po roku schodził, a ja rosłem. W 1809 r. – już miałem lat osiemnaście – dowiedziałem się, że Polacy biją Austriaków koło Warszawy. Zwierzylem się ojcu, że chcę iść do wojska polskiego i bić Austriaków. Ojciec mi z radością powiedział: „Synu! Myśl moją odgadłeś. Ja o tym myślałem. Chciałem ciebie odesłać do Warszawy, abyś uniknął rekruta moskiewskiego. W Warszawie jest twój krewny, Marcin Gadomski. Lat temu kilkanaście on uciekł od rekrutów. W Warszawie ożenił się z panną Puchalską, mieszka na ulicy zwanej Nowy Świat. W domu Wareckich prowadzi handel słonią. Trzeba, abyś się dostał do Gadomskiego, on ciebie zarekomenduje do polskiego wojska. Idź, mój synu, bić Niemców, Austriaków, a jak ich z Polski wypędzicie, wracaj z Polakami na Podole uwolnić nas od Moskali i z poddaństwa niegodziwej i zmoskwionej szlachty polskiej. A inaczej zgiń dla Polski i nie wracaj, bo będziesz poddanym i niewolnikiem szlachcica, tak jak ja jestem”.

Pocałowałem ojca w rękę, dziękując za radę i pozwolenie. Zacząłem werbować kamratów; zwerbowałem siedmiu, a sam ósmy. Ojciec dał mi pieniądze na drogę. Ucałowałem ojca, matkę, brata i siostry. Z płaczem ich opuściłem i piękne Podole, którego już więcej nie widziałem, ani mojej rodziny. Nocami szliśmy przez wsie i miasta, a dnie borami. Przyszliśmy nad Bug naprzeciw miasteczka Sławatycze¹. Położyliśmy się w boru, czekając nocy, aby się można było promem za Bug przepawić. Aż przyszedł do nas strzelec z dubeltówką, pytał nas, co my robimy w tym lesie. Ja powiedziałem, że

¹ Wieś w woj. lubelskim. Wówczas wzdłuż Bugu przebiegała tam granica z Cesarstwem Rosyjskim, obecnie z Białorusią.

my szukamy służby. On się roześmiał i powiedział: „Moje dziatki, ja wiem, jakiej służby szukacie. Chcecie dostać się do Polaków. Ja już więcej jak dwieście takich jak wy za Bug przeprowiłem, ale nie pro mem, bo tam Kozacy jak psy pilnują, aby łapać młodzież udającą się do polskiego wojska. Nie bójta się, moje dziatki, powiem wam, kto jestem. Jestem właścicielem tych lasów, nazywam się Starowolski, żołnierz kościuszkowski. Pójdźcie ze mną do mego leśniczego, mieszkającego odtąd niedaleko, a jeżeliście głodni, to tak posilicie się. W nocy mój rybak łódką was przyprowadzi do Sławatycz”.

My nie wahając poszliśmy z tym godnym patriotą. Gdyśmy weszli do chałupy leśnego, Starowolski kazał żonie leśniczego za grzać mleka i usmażyć jajecznicę. Gdyśmy jedli, on nas pytał, skąd jesteście i jak się nazywamy. Powiedziałem, że my wszyscy jesteśmy z miasta Międzyborza z Podola. Ja nazywam się Leon Drewnicki, drugi Konstanty Chabowicz, trzeci Michał Radek, czwarty Mikołaj Kisilewski, piąty Józef Jackiewicz, szósty Hilary Jackiewicz, siódmy Michał Gregoracki, ósmy Stanisław Jarema. Starowolski zapisał nasze nazwiska i powiedział: „Biorę wasze nazwiska na pamiątkę, bo ja biorę od wszystkich tych, co za Bug przeprowiam. Pamiętajcie, moje dziatki: jak wypędzicie Austriaków, przyjdźcie za Bug do wypędzenia od nas Mongołów. Odwiedźcie mnie, a znajdziecie imiona wasze zapisane w mojej książce”.

Odchodząc powiedział, że po zachodzie słońca przybędzie do nas. My podjadłszy wleźliśmy na górę, spaliliśmy i leżeli, czekając wieczora. Starowolski przyjechał bryczką. Przywiózł wódki, piwa, pieczeni i nas dobrze nakarmił. Potem z leśniczym szedł lasem, my za nimi.

Wyszliśmy nad obszerne jezioro i długo szliśmy brzegiem. Doszliśmy do jednej strugi wychodzącej z jeziora, wpadającej do Bugu. Tam rybak z synem czekali na nas. My kolejno całowaliśmy ręce patrioty, dziękując za jego dobroć. Wsiedliśmy do łodzi i popłynęli, szczęśliwie Bug przepłynęli, wysiedliśmy na brzeg Sławatycz. O jakże byliśmy kontenci, że już jesteśmy na wolnym kawałku polskiej ziemi. Chcieliśmy płacić rybakowi za przewóz, on nie przyjął

zapłaty, mówiąc: „Jeżeli macie pieniądze, to za nie kupcie broń, proch i kule na Niemców, Austriaków, a jak ich wybijecie, wróćcie nad Bug. Ja was darmo przewiozę przez rzekę, do wypędzenia od nas tych psów Kozaków”. Uściskaliśmy rybaka i syna, na całą noc puściliśmy się drogą do Warszawy.

Przechodziliśmy wsie i miasta i gdyśmy przyszli do Warszawy, pytałem o ulicę Nowy Świat, a przyszedłszy tam, znalazłem Gadomskiego. Powiedziałem, kto jestem i kto moi towarzysze. On nas całował jeden po drugim, bo znał naszych rodziców. Dał nam mieszkanie u siebie. Działo się to przed bitwą rasyńską na trzy dni. Gadomski zaprowadził nas do puszkarza Junga. Tam kupiliśmy dubeltówki, kul i prochu. I gdy młodzież warszawska biegła pod Raszyn, my z nimi udaliśmy się razem. Tam zginął nasz kolega Konstanty Chabowicz i Michał Radek. Ja dostałem od kuli armatniej kontuzji w prawą nogę i z rannymi przywieziony do Warszawy.

PRZEDRUK ZA: Leon Drewnicki, *Za moich czasów*, wstęp i przypisy
Józef Dutkiewicz, Warszawa 1971, s. 20–22.

59. Incydent graniczny. 1830
„Dziennik Wielkopolski” z 11 stycznia 1831

Z Kalisza

– Wszelkie rewolucje w swych początkach rozmaicie zwykły być wystawiane za granicą. – Rewolucja polska, która od samego początku nosi na sobie cechę zachowania i utrzymania tego wszystkiego, co jest rzeczywistym prawem, co naród z Królem, a Króla z innymi narodami łączyć powinno, dowodzi najoczywściej, że Polacy nie są buntownikami, jak ich pisarze niemieccy wystawiają, ale narodem wolnym, zachowującym przyjaźń sąsiedzką i zasługującym prawdziwie na ten szacunek, jakiego świeże odebraliśmy dowody ze strony władz pruskich w mieście Ostrowie¹; wypadek jest następujący:

W ostatnich dniach miesiąca grudnia dwóch huzarów z Ostrowa wykomenderowanych na patrol nadgraniczny, nie wiadomo z jakiej przyczyny zbrojnie napadli na spokojnych mieszkańców wsi Skrzynek; zapytani o przyczynę przejścia, w orężu swej odpowiedzi szukali. Czym obrażeni mieszkańcy, uważając to za krok nieprzyjacielski, z kosą w rękę napad odparli; jeden żołnierz ratował się ucieczką, a drugiego rozbroili, następnie przytrzymany i do władzy wojewódzkiej do Kalisza pod strażą kosynierów odprowadzony został. Po spisaniu protokołu naczelny dowódca gwardii ruchomej w-dztwa kaliskiego uznał za potrzebne powzięcie wiadomości o prawdziwej przyczynie tego napadu, wykomenderował trzech strzelców gwardii ruchomej pod dowództwem W. Rumpła podpułkownika Krakusów Xcia Poniatowskiego i zarazem celem

¹ Ostrów Wielkopolski, za pruską granicą (zob. tekst nr 5, przyp. 1), ok. 24 km od Kalisza. – Po wybuchu powstania obawiano się w Kaliszu wejścia Prusaków, natomiast władze Wielkiego Księstwa Poznańskiego obawiały się przeniesienia rewolucji na ich teren, panował więc nastrój niepewności, a zarazem praktyka skrupulatnego przestrzegania porządku przy granicy z obu stron.

odprowadzenia do Ostrowa wspomnianego huzara z końmi. Podpułkownik Rumpel powziął tam wiadomość, iż stosunki między obudwoma narodami nie są w stanie wojennym. Dowódca miejscowy złożył na dowód instrukcje, które opiewały, że żaden huzar lub żołnierz pruski o pół mili do granic Królestwa Polskiego zbliżyć się nie powinien, że znoszenie się z władzami pogranicznymi tegoż Królestwa jak najściślej zachowywane i strzeżone być ma!!! Po czym dowódca kolumny ruchomej łącznic z konsyliarzem ziemiańskim powiatu Odalanowskiego i całym orszakiem oficerów witali naszych strzelców jako kolegów, jako obrońców wolnego narodu, i przyjęli ich najgościnniej. Wypadek ten, jakkolwiek mało znaczący, dowodzi jednak, iż Prusacy żadnych nieprzyjaznych zamysłów względem nas nie dzielą, że ich z rządem i jego machinami mieszać nie możemy. Podpułkownik Rumpel, oddając sprawiedliwość postępowaniu wspomnianego dowódcy, konsyliarza i oficerów, wniósł prośbę imieniem naczelnego dowódcy gwardii ruchomej województwa kaliskiego o ułaskawienie huzara; lecz odpowiedzieli, iż dla przykładu na przyszłość do naczelnego dowódcy całej kolumny ruchomej 5 korpusu odesłany i stosownie do praw ukarany być musi. Po załatwieniu tego interesu dowódca i oficerowie z ciekawością dopytywali się o zamiarach rządu naszego, rozporządzeniu wojska, jenerałach polskich – zaspokoił ciekawość pytających się z polską otwartością podpułkownik Rumpel; zapytali się następnie, jak postępuje Dyktator? Dyktator, rzekł tenże, jest toż samo co cały naród bez różnicy stanu i płci, że w tym jest nasza siła fizyczna i moralna, która wszelkich pocisków i gromów nie ulęknie się. To było powodem, że wspomniany dowódca oddziału pruskiego wniósł toast: niech żyje naród polski, niech żyje dyktator! nawzajem wniósł podpułkownik odpowiedni toast.

PRZEDRUK ZA: „Dziennik Wielkopolski” z 11 stycznia 1831, s. 199–200.

60. Nieudana misja. Z Litwy do Królestwa i z powrotem. 1831

Ignacy Domeyko (1802–1889)

Moje podróże [fragmenty]

Kiedy jednego rana w czas słotny koło godziny dwunastej zajeżdża przed ganek zapolski wózek chłopski i z niego wysiada ktoś z obwiązaną prawie do oczu twarzą. Poznają – to Kozakiewicz¹, dawny współfilomat, filaret, mój od serca przyjaciel. „To ty? – skądże jedziesz?” „Jadę – prędko odpowiedział, jakby zadyszany – jadę z Wilna i wiozę dla ciebie słowny rozkaz od Rządu Tymczasowego (czy Komisji Generalnej Wileńskiej), abyś co najspieszniej starał się przedrzeć do naczelnego wodza, który musi teraz mieć główną kwaterę koło Płocka, i doniósł mu, że już powstanie zawiązało się w wielu miastach guberni wileńskiej, a młodzież akademicka wileńska wychodzi na powstanie do Puszczy Rudnickiej² i przyległych lasów. Masz tedy donieść o tym, prosić o oficerów instruktorów dla powstańców, jako też o rozkazy i instrukcje dla dowódców Komisji Wileńskiej i dla naczelników powstania”. [...]

Jadę tedy do Grodna w nadziei, że tam znajdę patriotów, którzy mi ułatwią przedarcie się przez granicę, i stamtąd lasami, piechotą czy jak będzie można, szukać będę sposobu dostać się do głównej kwatery naszego wojska, a choćby do Warszawy. [...]

W Grodnie znalazłem Makowskiego³, adwokata, plenipotentę Paca⁴ i drugiego jeszcze znajomego filareta⁵ w służbie rządowej,

1 Stanisław Kozakiewicz (1802–1848) – filareta, adwokat w Wilnie, w 1831 roku emisariusz, spiskowiec wileński zesłany na Syberię w związku ze sprawą Szymona Konarskiego w roku 1838; zmarł w Tomsku.

2 Puszcza Rudnicka – wokół miasteczka Rudniki w pow. trockim nad rzeką Merezanką.

3 Aleksander Makowski (1804–1874) – w powstaniu listopadowym podporucznik 2. pułku liniowego, na emigracji dyrektor mennicy w Strasburgu. Od 1848 w Gdańsku prowadził duży dom kupiecki.

4 Ludwik Pac (1780–1835) – generał z wojen napoleońskich, uczestnik powstania listopadowego, członek Rządu Tymczasowego, po upadku powstania emigruje do Francji, potem Azji.

którzy mi dali listy do jednego obywatela, mieszkającego nad Bobrem, gdzieś, jeśli się nie mylę, koło Suchowoli⁶. Nie tracąc czasu, odsyłam mój powóz do Zapola⁷, a w najętym wózku, bez żadnego ma się rozumieć przyboru ni tłumoka, jadę do tego zacnego obywatela, w którego domu i licznej rodzinie znalazłem najmilsze przyjęcie. Zaledwo zmierzchno, już miałem małą furmankę, na której też bez trudności ze strony straży granicznych dojeżdżam późno do położonego blisko granicy folwarku (już w Augustowskim) z zaletną⁸ kartką do właściciela znanego z uczynności, poświęcenia się⁹.

Nie znajduję gospodarza w domu. Młoda, piękna, z dwojga [!] małymi córeczkami jego żona z niejaką bojaźnią mię przyjmuje, ale prosi, abym zaczekał. „Mąż mój – rzecz – od rana poszedł przeprowadzać przez Augustowską Puszcę dwóch powstańców z Wilna do Naczelnego Wodza i lękam się bardzo, niespokojna jestem o niego, bo właśnie odbieram ostrzeżenie, że komenda garnizonu (w Sejnach czy w Augustowie) już się dowiedziała o przejściu emisariuszów i mają nas w podejrzeniu”.

W tym momencie zaszczekały psy na dworze; przychodzi uwinięty płaszczem, strudzony całodzienną podróżą gospodarz; uściśnął żonę i dla uspokojenia jej powiada, że już bezpiecznie przeszli dwaj emisariusze: Michał Wołłowicz¹⁰ i Przeclawski¹¹ z Wilna; że cała gubernia wileńska powstała, akademicy wyszli na partyzantkę

5 Mowa o Józefie Krassowskim, sekretarzu gubernatora cywilnego w Grodnie; w powstaniu listopadowym kapitan 8. pułku liniowego, jeden z dowódców powstania w Puszczy Białowieskiej.

6 Suchowola – miejscowość w pow. sokolskim, nad rzeką Olszańką.

7 Zapole – wieś w Zybartowszczyźnie, w pow. lidzkim, własność stryja Domeyki, gdzie autor gospodarował, skazany po procesie filomatów na przymusowy pobyt.

8 Tj. polecającą.

9 Opierając się na zachowanym fragmencie pamiętnika, można przypuszczać, że mowa tu o folwarku Dębowe (w autogr. Dembowa, ale takiego nie zna słownik geograficzny) i o „sławnym z poczciwości Litwinie” Andreackim.

10 Michał Wołłowicz (1806–1833) – filareta, rotmistrz kawalerii litewsko-polskiej. Po upadku powstania wyemigrował do Paryża, w 1833 roku wziął udział w wyprawie do Polski, zginął powieszony w Grodnie.

11 Leon Przeclawski (1806–1839) – kapitan, na emigracji członek Towarzystwa Demokratycznego Polskiego.

i nie mamy czego się lękać, bo niewielki oddział dragunów czy kirasjerów¹² z Augustowa poszedł osaczać powstańców na puszczy; a była wiadomość, że w samej Puszczy Augustowskiej było do tysiąca powstańców Puszcza¹³ czy innego jakiegoś naczelnika¹⁴.

Tą wiadomością uradowana młoda gospodyni wesoło z dziećmi spać poszła, a nam do północy prawie na przyjemnej gawędce przy dobrej wieczery godzina zesza; nazajutrz o wschodzie słońca przyrzekł mi nieoszaczony gospodarz tą samą drogą mnie przeprowadzić, którą przeszli rzeczeni emisariusze.

Gdyśmy się zabierali do spoczynku, a było już łóżko dla mnie przygotowane, jakby ruszona przeczuciem pani domu przychodzi i rzecze: „Mężu, idźcie lepiej tej nocy wyspać się spokojnie do stodoły; bo nuż zamarzy się policji tu zawitać, jeżeli się dowiedziała, żeś przeprowadził emisariuszów”. „Dobrze mówisz, moja kochana” – odpowiedział mąż i poszliśmy z nim do gumna, a wleźliśmy wysoko na ścianę pod strzechę. Za nami wszedł piętnastoletni chłopak służący, zawarł wrota i położył się na ziemi.

Zaledwo oczy zmrużyliśmy, słyszymy tętent koni i po chwili przez szczelinę widzimy przeciągających stępo ze dwieście czy więcej dragunów. Wnet płacz i krzyk kobiet i dzieci rozchodzi się po całym dworze z groźbą oficera, że spali dom, jeżeli mu nie wydadzą gospodarza domu i emisariuszów. Już po całym dziedzińcu plądrują żołnierze; wpadają na folwark, do oficyny, do stodoły – otwierają gumno. Przestraszony chłopak porwał się z ziemi; biją go, kaleczą, ofiarują nagrodę, byleby powiedział, gdzie jest jego pan; każdy ciąg, każde uderzenie w tego nieszczęśliwego chłopca czułem jakby chłostę po moim karku; zaciął się biedak, jęknął po wilekroć, nie wymówił słowa.

12 Dragun/dragon – żołnierz konny, kirasjer (z fr.) – żołnierz ciężkiej konnicy, zbrojny w hełm i pancierz żelazny.

13 Jan Kasper Puszet (1781–1843) – syn Filipa i Anny Strzemboszożówny, major 4. pułku ułanów, potem podpułkownik.

14 W Augustowskiem prowadzili partyzantki major Puszet i major Schon, który w Mariampolu dostał się do niewoli i został powieszony.

Trwało to straszne poburzenie [!] i odgrażanie się dragunów więcej godziny; już dzień poczynało – nie przyszło im na myśl wleźć na siano, a i tam może Bóg by im nie dozwolił znaleźć nas zagrzebanych pod strzechą. Uspokoilo się potem wszystko przez kwadrans, a może i dłużej. Potem znowu posłyszeliśmy koło gumna szemranie dragunów już wsiadających na konie; niejedno ich brzydkie słowo, szkaradne przekłństwo dochodziło do nas. Po chwili już tętent koni poczynał oddalać się, cichł i ustał.

Nie było czasu dłużej popasywać; zleźliśmy z siana; chłopak był zbolały, ale spokojny; zdjąłem z niego i na siebie włożyłem jego sukmaną, a jemu darowałem mój surdut; takąż zamianą zrobiliśmy na czapki; i tak przybranemu dał mi zacny gospodarz przewodnika do położonego o milę młyna, gdzie miałem znaleźć kogoś, którego obowiązkiem było przeprowadzać ochotników do najbliższego oddziału partyzantów w puszczy obozujących; ci zaś mieli wskazać mi sposób i drogą do najbliższych forpoczty naszej narodowej armii. Gospodarz sam nie mógł mi towarzyszyć; musiał zostać przy chorej, przestraszonej żonie.

Cóż było robić – pomyślałem – już emisariusze z Wilna przeszli do Warszawy; dopełnią tegoż zapewne, jakie mam, polecenia; – wracać? Ach nie! Broń Boże, jakże nie dopełnić swego postanowienia; a może ich złowią – nie, bądź co bądź idźmy dalej, choćby bez skutku i bez potrzeby.

Przebrany za chłopca, dochodzę dość rano do wskazanego mi młyna. Stary, osiwiwały młynarz pozdrowił mię uprzejmie, poznał we mnie ochotnika, posłańca z ważnym jakimś poleceniem; uraczył gościnnie chlebem i syrem i dał mi swojego syna, zalecając mu, aby mię manowcami przeprowadził do położonej o trzy czy cztery mile nad Narwą wsi, tuż przy lesie, gdzie się miał znajdować powstańców oddział do tysiąca ludzi liczący. W owej wsi miał młynarz kuma i przyjaciela swego szołtysa, na którego zaufaniu polegał.

Idziemy więc; niebo się chmurzyło; z daleka od północy dochodziły huki jakby od strzałów harmatnych czy piorunów. Szliśmy dzień cały; już ciemniało, kiedyśmy weszli do chaty szołtysa.

Z nim poszeptał zaraz mój przewodnik i odszedł. Oprócz żony i dzieci szołtysa było też niemało ludzi, których postawy nie mogłem dobrze przy migającym świetle palącej się łuczyny rozpoznać.

Był jakiś ruch w izbie, na który zrazu niewiele zwracałem uwagi; wchodzili i wychodzili chłopci i niechłopci. Posadzono mię na ławie przy stole; wypiliśmy z szołtysem czark[ę] wódki; przyniosła kobieta misę krupniku i chleb razowy. Potrzebowałem posiłku; a kiedym zajaadał, usiadł przy mnie człowiek jakiś i zagadał po niemiecku, ale znać było, że nie był to Niemiec. Nie wiem, skąd mi przyszło powiedzieć też parę słów z niemiecka. Odszedł nieznamy i wypróżnić się poczęła chata; odszedł i szołtys ode mnie, kiedym się go radził, jak mógłbym być dostać się do powstańców, z których naczelnikiem mam do pomówienia.

Wtem słyhać wielki ruch koło chaty, wbiegają ze strzelbami partyzanci. Było ich może do dziesięciu, witają mnie, witam ich, ale nie wchodząc w rozmowy prowadzą mnie do lasu. Zaledwo weszliśmy w gęstwinię, słyszymy przeciągający niedaleko drogą szwadron jazdy rosyjskiej. Podbiegamy, zasadzamy się jak do boju; nieprzyjaciel już był daleko.

Idziemy dalej w głąb lasu: księżyc wschodzić poczynął; poznaję, że niejeden z moich towarzyszy był podochocony. Dochodzimy na miejsce, gdzie z pogaszonych świeżo ogniów wnosiłem, że był tam obóz tylko co zdjęty; znajdujemy jeszcze kilku innych partyzantów i pijanych. Na próżno pytam ich o naczelnika, abym z nim pomógł; nic nie odpowiadają.

„Co to znaczy?” – pytam u jednego, który ode mnie na krok nie odstępował. „Obaczysz – odpowiedział – wiemy, kto jesteś, ty Prusak, tyś na nas naprowadził Moskali”. Nic więcej nie mówiąc, zatrzymuje mnie przy grubej sośnie, przy której dwóch jeszcze na wpół jak on pijanych usiadło, a reszta kolegów rozpierchła się czy poszła za naczelnym dowódcą.

Dosyć, że zostałem sam na sam z trzema nietrzeźwymi partyzantami, z których jeden barczysty przywiązał mię powrozem do

sosny, a dwaj drudzy z odciągniętymi kurkami na kilka kroków przede mną na ziemi siedzieli, jakby czekając na jaką komendę.

Księżyc już był się podniósł; las gęsty, cicho. Uszło może pięć minut, kiedy spomiędzy drzew, widzę, podchodzi do mnie jakaś czarna, wysoka figura, ni to człowiek, ni widmo – przybliży się, daje znak trzem moim oprawcom, aby na stronę odeszli, coś z nimi po cichu pomówił i kazał dalej odejść. Kiedy się przybliżył, poznałem, że był to ksiądz posłany może do wyspowiadania. Opowiedziałem mu, kim jestem i dokąd idę. „W złą godzinę przybyłeś – rzekł – większa część naszych podpiła; jakiś szpieg wydał nas komendzie w Augustowie; szoftys doniósł, że złowiono Prusaka i osądzono cię rozstrzelać”. „Uciekaj” – rozwiązał mnie i powtórzył „uciekaj!”. Na wpół oburzony, ale spokojny, pomyślałem, że chcą mię wypróbować, czy w istocie jestem emisariuszem, i że na zasadzce zostawieni dwaj strzelce marnie mnie zabiją. Odpowiedziałem księdzu, że nie chcę uciekać, że zostanę na miejscu; wtedy, widząc to moje postanowienie, dobry kapłan wziął mię za rękę i poprowadził może o parę staj w gęstwinę i przeżegnawszy mnie, sam uciekł ode mnie.

W tym momencie takie uczułem znużenie i osłabienie sił dziennej piechotę podróży, że padłem na mech i zasnąłem.

Ocykam się, już słońce było weszło. Cóż począć, w którą stronę obrócić się? Tu może partyzanci, tam może draguni, a tam – w puszczy zabłądzą.

Wyjść jednak nakazywała konieczność z wilgotnej gęstwini; szedłem, nie wiedząc dokąd, aż zoczyłem przerzedzający się las; byłem przy brzegu; aż tu spostrzegam mego szoftysa, bieży obces¹⁵ do mnie i pada mi do nóg. „Daruj mi, panie, oszukali mnie, byłem donosicielem, wiem teraz, kim jesteś”. Sądzę, że ów ksiądz musiał go oświecić i powiedzieć, gdzie mnie zostawił.

Serdecznie i najzupełniej przebaczyłem pocziwemu szoftysowi, a o księdzu nie wiem, jak się nazywał; był zapewne kapelanem partyzantów w tej puszczy.

¹⁵ Tj. gwałtownie, z impetem.

Przypadek nocny przyniósł rozwagę do głowy. Po cóż iść dalej, kiedy dwaj emisariusze idący prosto z Wilna mogą lepiej poinformować naczelnego wodza o ruchach powstańczych wileńskich, jako też o Rządzie czy Komisji Tymczasowej, którą znali, która ich ustnie lepiej musiała objaśnić o wszystkim niż to, co mi powiedział naprędcę Kozakiewicz.

A do tego i szołtys już mi prawił ni to, ni owo, kiedym się rozpytywał, w którą stronę poszli partyzanci i którędy lepiej byłoby przedzierać się do głównej armii, i czy może mi nastęczyć przewodnika.

Ofiarował mi się serdecznie na usługi; ale pomyśliwszy i podziękowawszy Bogu za wyratowanie z dwóch w jednym dniu niebezpieczeństw, rzekłem do szołtysa: „Jakże by tu można przeprawić się przez granicę na powrót?”. „Niełatwa sprawa – odpowiedział poczciwiec – kozacy za rzeką jak muchy latają; jednakże bądź pan spokojny, Najświętsza Panna dopomoże; pójdziemy wieczorem niby to ryby łowić, a tymczasem wyśpij się pan i posil się u mnie”.

Zaprowadził mię tedy miedzą i poza płotem do siebie, oddalił z chaty dzieci i kobiety, dał mi swoje łóżko i posiłek, zatrzasnął drzwi od podwórza i zasunął kołkiem. Spałem do wieczora. Po zachodzie słońca poszedłem z wędką z synem szołtysa na brzeg rzeki i wsiadłem z nim do czółna. On mi pierwej, niż zmierzchło, wskazał lasek, za którym miała być dróżka, i nie pamiętam, jak mi opowiedział, którędy trzeba iść nocą, aby trafić do znajomego mu obywatela, tego samego, do którego pierwszego dnia mojej niefortunnej wyprawy byłem zawitał z Grodna.

Płyniemy najprzód koło brzegu zarzucając wędkę, a spozierając na kozaków porozstawianych jakoby o parę staj jeden od drugiego na przeciwnym brzegu rzeki i przeciągających z wolna po zabrzeżu. Nieznacznie posuwamy się na środek rzeki, potem dalej nieco i znowu nazad. Nie brały się ryby na wędkę, jak sobie przypominam, a chociażby się brały, nie chodziło o nie. Zachodzi zmrok; kozak tam gdzieś jeden może był zadrzemał, drugi przejechał z wolna koło nas zajętych wędkami, a jak pomiarkowałem, że

o dobrą staję był się oddalił, plusnąłem z czołna na brzeg i cichaczem drapnąłem w las tak zręcznie, że jak mi się zdaje, ani kozacy nie posłyszeli.

Było już ciemno, przede dniem dochodzę do wspomnianego obywatela; witają mnie radośnie; w parę godzin mam już Żydka z wózkiem i chudą szkapą. Tegoż dnia wróciłem, omijając Grodno, prosto do Zapola.

PRZEDRUK ZA: Ignacy Domeyko, *Moje podróże: pamiętniki wygnańca*, przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami Elżbieta Helena Nieciowa, t. 1, Wrocław 1962, s. 46–52.¹⁶

¹⁶ Przedruk tekstu za zgodą Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

61. Groźny kordon sanitarny. 1831
„Dziennik Powszechny Krajowy” z 12 lipca 1831

Z Pyzdr

– * * Z Pyzdr¹ 30 czerwca. – Nic spisałby tego na wołowej skórze, co tu za gwałty z nami Prusacy wyrabiają na tym swoim kordonie². Świeżo wywrócili nam pograniczny słup z orłem, a gdy się nadstrażnik udał dla jego postawienia, wymierzyło do niego 5 żołnierzy karabiny, grożąc, iż go trupem położą, jeżeli się zbliży do granicy. -- Koń spętany pasący się na łące, nie wiedząc o kordonie, zbliżył się do granicy; wypadli Prusacy, zabrali go, a ponieważ nie mógł w pętach spiesznie postępować, więc go ci waleczni skłuli bagnietami. – Biedna kobieta, staruszka, żyjąca z żebraniny, głucha, kulawa, ze sparaliżowaną ręką, szła nieostrożnie koło kordonu; strzelano do niej i kula utkwiała w zdrowej nodze. – Łąk nam naszych nie wolno kosić o sto kroków od kordonu, ani pól obrabiać. Wzdłuż całej granicy wielkie rozjątrzenie, i wszyscy myślą, że to pospolite ruszenie ma być na Prusaków.

PRZEDRUK ZA: „Dziennik Powszechny Krajowy” 1831, nr 190 z 12 lipca, s. 1053.

¹ Pyzdry – miasto nad Wartą, niedaleko ujścia Proсны. Po ustaleniu na kongresie wiedeńskim (1815) granic sankcjonujących rozbiory Pyzdry należały do Prus, ale na mocy postanowienia traktatu granicznego z 11 listopada 1817 wraz z okolicznymi wioskami przekazano je Rosji i miasto stało się najdalej na zachód wysuniętym punktem Królestwa Kongresowego (a tym samym i Imperium Rosyjskiego). Po drugiej stronie granicy leżał Śmiełów Gorzeńskich, skąd w sierpniu 1831 roku Mickiewicz próbował przedostać się do Królestwa (zob. Jarosław Maciejewski, *Mickiewicza wielkopolskie drogi*, Poznań 1972, s. 161–163).

² Już od stycznia 1831 roku w związku z wybuchem powstania listopadowego granice pruskie były obsadzone wojskiem, mającym rozkaz użycia broni wobec nielegalnie przekraczających granicę. Sytuację zaostrzyło w maju zamknięcie przejść i zaprowadzenie kordonu sanitarnego z powodu cholery panującej w Królestwie.

62. Przerzut depesz przez Prosnę. 1831

Kunegunda z Giedroyciów Białopiotrowiczowa (1793–1883)

Z pamiętnika księżnej G. [fragment]

[25 lipca] ...Przybył tu¹ dziś z Poznańskiego obywatel z depeszami z Warszawy do Paryża i Londynu. Dziwnym sposobem je dostał i wszystkie szczegóły towarzyszące temu wypadkowi są tak oddzielne, jak oddzielnym jest naród polski w swoim heroizmie.

Strzelecki², bawiący tu przed krótkim czasem, razem z Chwałibogiem dostawszy się do Polski, umieszczony został w biurze dyplomatycznym, skąd tę depeszę przywiózł na granicę w Poznańskiem. Nie mając i mieć nie mogąc paszportu, ujrawszy na łące małą dziewczynę pasącą gęsi na drugiej stronie Proсны, przerzucił kostkę przez granicę³. Dziewczyna ją podniosła i do właściciela p. Gurzyńskiego⁴ oddała. „Czy podejmiesz się przyjąć depesze, od których los Polski zależy i takowe do Paryża i Londynu z największym pośpiechem przesłać? Gdybyś tej usługi odmówił – z narażeniem własnego życia przedrę się przez granicę koniecznie, bo rzecz zwłoki nie cierpi”. Gurzynski przyjął prośbę z zapałem, a depesze zawierające losy Polski, równie jak kostka powierzone zostały rękom małej pastuszki⁵.

¹ Tj. do Drezna.

² Paweł Edmund Strzelecki (1797–1873) – podróżnik, geograf i odkrywca.

³ W czasie odległym przejdzie to wszystko w bajeczność. Nad granicą w odległości stu kroków stoją warty pruskie jedne od drugich. Jedna z nich jest w domu chłopka, który – że wartownika częstuje – otrzymał od niego pozwolenie, żeby na łące mała dziewczynka pasła gęsi [przypis autorki].

⁴ Nazwisko zniekształcone; chodzi o Hieronima Gorzeńskiego, właściciela Śmiełowa nad Prosną, który w 1831 roku przemycił powstańców i broń przez granicę i przez czas jakiś gościł u siebie Mickiewicza.

⁵ Lud W[ielki]ego Ks[ięstwa] Poznańskiego w ostatnich czasach krwawych dziejów naszych zawsze dawał dowody miłości ojczyzny i prawdziwego poświęcenia [przypis pierwszego wydawcy, H. W.].

Natychmiast Gurzynski wystarał się u landrata [!] miejscowego⁶, który szczęściem jest Polak w tym miejscu, o paszport, a w przeciągu godzin sześciu obywatele tameczni złożyli wór pieniędzy na wydatek podróży do Londynu i Paryża, dokąd z tymi papierami pojechał Słowacki, młody człowiek i młody poeta.

PRZEDRUK ZA: Jerzy Starnawski, *Juliusz Słowacki we wspomnieniach współczesnych*, Wrocław 1956, s. 34–35. Pierwodruk *Pamiętnik księżnej G. z roku 1830 i 31*, z archiwum Muzeum Narodowego w Rapperswyl uporządkował i wydał H. W. „Lech”, 23 listopada 1878, nr 47, s. 373.⁷

⁶ Landrat – w Prusach urzędnik administrujący powiatem.

⁷ Przedruk tekstu za zgodą Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

63. Przejście do Prus pod Memlem. Lipiec 1831

Ignacy Domeyko (1802–1889)

Moje podróże [fragmenty]

Czekaliśmy niecierpliwie skutku narady wojennej; przychodziły ni te, ni owe wieści z głównej kwatery. Jednym razem ruch w całym obozie. Uradzano: na trzy korpusy ma się rozdzielić nasze wojsko: najliczniejszy w piechotę, koło trzech tysięcy żołnierza, pod dowództwem Rolanda¹ i Szymanowskiego² pójdzie na północ, kierując się ku Memlu czy Lipawie³, licząc, jak powiadano, na broń i amunicję z Anglii; Dembiński z półtora tysiącami jazdy i konną artylerią przedzierać się będzie do głównej naszej armii pod Warszawą; Giełgud⁴ zaś z Chłapowskim⁵ powiedzie resztę sił naszych traktem do Telsz⁶ ku granicy pruskiej⁷. [...]

1 Franciszek Maksymilian Rohland (1779 lub 1780 – 1860) – dowódca Brygady Piechoty. Awansowany do stopnia generała w lutym 1831 roku. Odnazczył się pod Grochowem i Wawrem.

2 Józef Szymanowski (1779–1867) – oficer napoleoński, w powstaniu listopadowym generał brygady. Następnie na emigracji, od 1848 roku służył w armii Republiki Rzymskiej. Walczył po stronie papieża Piusa IX. W Rzymie wspomagał i zaprzyjaźniony był z nowo założonym polskim zgromadzeniem misyjnym oo. Zmartwychwstańców.

3 Memel – Kłajpeda; Lipawa – miasto portowe nad Bałtykiem, w pow. grobińskim.

4 Antoni Giełgud (1792–1831) – syn Michała i Eleonory z Tyszkiewiczów, uczestnik wojen napoleońskich, generał brygady Królestwa Kongresowego, bohater spod Grochowa i Wawra.

5 Dezydery Adam Chłapowski (1788–1879) – generał dywizji, uczestnik walk napoleońskich. Po upadku powstania listopadowego i odbytym więzieniu osiadł w Turwi i oddał się gospodarstwu. W latach 1843–1865 wydawał „Przegląd Poznański”.

6 Telsze – miasto powiatowe na północny zachód od Kowna.

7 W dniu 8 lipca 1831 roku Giełgud zaatakował niewielki rosyjski garnizon w Szawlach, ale atak się nie powiódł. Po tej porażce 9 lipca podzielił polskie oddziały na trzy operujące oddzielnie korpusy – była to grupa Chłapowskiego (3 600 żołnierzy), Dembińskiego (4 000 żołnierzy), Rohlanda (5 200 żołnierzy). W połowie lipca korpus gen. Chłapowskiego (dowodzony przez gen. Giełguda) i korpus gen. Rohlanda zmuszone zostały przez Rosjan do przekroczenia granicy Prus, co oznaczało, że wojska powstańcze utraciły 15 000 żołnierzy regularnej polskiej armii z pełnym uzbrojeniem i wyposażeniem.

Pierwszy przez granicę przeszedł ten sam szwadron ułanów z biało-czerwonymi chorągiewkami, który przed dwoma miesiącami zwiastował mi najmiłszą w życiu moim nadzieję i najżywszą na tym świecie napoił radością, jaka już nigdy nie wróci.

Boleść okrutna bierze patrzac, jak ten piękny zastęp naszego żołnierza wchodzi na krzyżacką ziemię, a za nim zaciąga od zachodu łańcuch landwerów⁸ z na pół czarnymi, z na pół białymi chorągiewkami na pikach. Zsiadają nasi z koni, odpasują pałasze, rzucają je na kupę, a na nich składają, jakby róże białe i czerwone, swoje chorągiewki.

Za nimi ciągnie legion kaliski i Wielkopoleanie, obywatele wracający do swoich siedzib, do pługą, do żon i rodzin swoich. Zbladły, namyślający się, drżący od skrytej w sobie boleści, Janusz Czetwertyński⁹ i jego nie mniej oburzony [przyjaciel] Przeździecki¹⁰ wahają się jeszcze, co mają czynić; nagli ich rozkaz, prowadzą swoje działa za fatalną granicę, ale stawia je tuż przy niej i konie przy sobie.

Słońce zaszło krwawo za horyzont, a w tym momencie był już cały nasz korpus rozbrojony na ziemi najgorszego z trzech zaborców Polski. Giełgud został we dworze o ćwierć mili oddalonego od nas folwarku i przespał tę noc jeszcze na Żmujdzi.

Byłaż to noc niełatwa i niemiła do opisanja, noc poddania się z bronią bez bitwy. [...]

Przez całą noc były znowy, narady, kłótnie i niepokoje. Chodzili jak mary czy potępieńce nasze wiarusy, złorzeczac sobie, to jedni drugim, to narzekając na dowódców: na Giełguda, na Chłapowskiego. W istocie jednak widoczne było osłabienie ducha nie

⁸ Rodzaj wojsk terytorjalnych, składających się z rezerwistów; *Landwehr* (niem.) – obrona krajowa.

⁹ Janusz Światopełk Czetwertyński (1805–1837) – adiutant sztabu głównego; internowany w Prusach, zorganizował ucieczkę w chłopskim przebraniu, schwytany dostał się do więzienia w Ragnicy. Na emigracji w Paryżu organizował kursy wojskowe, na których był wykładowcą, członek licznych towarzystw. W autografie stałe: Czetwertyński.

¹⁰ Józef Janusz Przeździecki (1805–1885) – kapitan artylerii konnej, poseł wileński na sejm powstańczy; na emigracji zamieszkał wspólnie z Czetwertyńskim w Tarbes, stolicy departamentu des Hautes-Pyrénées.

od wczora, nie od klęski szawelskiej, lecz od batalii wileńskiej¹¹, od wcielenia powstańców do regularnego ustroju wojska, niemającego dostatecznej organizacji ni siły, aby się oprzeć w marszu i na otwartym polu mierzyć się z armią nieprzyjacielską o wielokrotnie liczniejszą.

Chłapowski był waleczny, pełen zapału, uczciwy generał: nikt go ani Giełguda o zdradę, o sprzedajność posądzać nie mógł, bo jakże sława, jakież choćby bogactwo całego świata mogło iść w porównanie z tym, co ich czekało w nagrodę, gdybyśmy odzyskali byt niepodległy, wskrzeszenie Polski.

Ale jak kiedy armia odniesie wygraną, tryumf i chwała spadają na dowódców, tak i z niepowodzenia, z klęski odniesionej pierwsza wina rzuca się na tego, kto dowodził. Chłapowski, widząc nieudolność Giełguda, nie mógł sobie przywłaszczyć władzy, która do wyższej rangi generała musiała należeć; dałby przykład niekarności i wątpię, żeby mu żołnierz regularnych pułków, przybyłych od głównej armii z Giełgudem, był posłuszny.

Co go zmusiło do marszu ku granicy pruskiej, czy rozkaz Giełguda, czy to, co wynikło z rady w Kurszanach. Tego nie wiem. Chłapowski liczył, jak zapewniano, na manifest króla pruskiego, zaręczający wolne przejście oddziałom sił wojujących z tym zastrzeżeniem, że Rosjanom wolny będzie powrót z orężem; nam zaś tylko rozbrojonym. Wielki obszar kraju, oddzielający nas od teatru wojny w Królestwie, a zajęty co dzień pomnażającą się armią nieprzyjacielską, już to nadchodzącą z Rosji, już z powiatów oczyszczonych z powstania, czynił przedarcie się do Warszawy tysiąca ludzi pod Chłapowskim trudne zapewne; chciał ich Generał ocalić. Na parę dni przed wejściem, tejsze nocy i nazajutrz, użyci przez niego poufali oficerowie, a może i sami z siebie namawiali jedni drugich, mianowicie nas, Litwinów, do oddzielenia się małymi oddziałami na partyzantkę; mogliśmy jeszcze tej nocy mieć od Chłapowskiego i broń, i konie. Jeden z ochotników (nie pamiętam, jak się nazywa)

¹¹ Giełgud podjął próbę zdobycia Wilna, jednak 19 czerwca przegrał z Rosjanami bitwę pod Ponarami, tracąc dwa tysiące żołnierzy, po czym był zmuszony przebijać się przez Kowno na Żmudź.

w istocie spod samej granicy we 20 koni doszedł do stolicy naszej. Wielu bardzo uwierzyło, że łatwiej będzie przedrzeć się przez Prusy w Mazowsze czy w Kaliskie lub z Memla, lub z Królewca przemykać do Francji pierwiej, nim się wojna zakończy. Sam Chłapowski i Poznańczycy, jako obywatele pruscy, pewni byli kary fortecznej.

Przykro i boleśno jest przypomnieć, co się tej pierwszej nocy na terytorium pruskim działo. Wiedzieliśmy, że mieszkańcy tej części Prus, mianowicie Memla i Królewca, byli nam przychylni; od nich powstańcy nasi żmudźcy kupowali broń i amunicję; oni raczej, pewniej i na każdym punkcie, mogli nam ułatwiać powrót małymi partiami przez granicę. Na nich pewniej niż na króla mogliśmy liczyć i niejeden z nas liczył.

Nie było snu tej nocy ani się zważało na głód, na słotę, na wilgotny grunt, na którym byliśmy rozpołożeni. Co kilka minut objazdy i zmiany wart na posterunkach landwerów dochodziły do uszu. Północ minęła, odszedłem od ogniska, by już nie słyszeć sporów i niewczesnych odgrózek, i narzekań, i – jak to bywa na rozweselenie – rozpustnych obozowych rozmów. Spocząłem na ustroniu, położywszy głowę na kępie. Tu mnie znalazł po długim szukaniu mój wierny służący Łukasz; nie odstąpił on mnie od mego wyjścia z Zapola; spostrzegłszy on natenczas na pierwszym noclegu, że nie było jeszcze dla nowozaciężnych broni ni amunicji, ni porządku, jak sobie obiecywał, został przy mnie, opiekował się mną bardziej, niż służył, upatrywał zawsze lepsze miejsce na spoczynek dla mnie, pilnował, dopatrywał konia i czym się posilić niekiedy wyszukał. On to, kiedym z Kowna, zostawiwszy przy nim mego nieco chorego kasztana, musiał na innym, nowo kupionym uchodzić, znalazł mię w Kiejdanach, był bardzo mi użytecznym i po porażce na trakcie do Szawel dziwnym sposobem po drugi raz odcięty ode mnie, znowu mnie dognał, oddał mi mego kasztana i sam na gorszym towarzyszył mi aż do tej granicy nieszczęsnej. W tym momencie przyniósł mi płaszcz, herbaty, pomówiliśmy z sobą nieco o Niedźwiadce, gdzie byli jego rodzice i gdzie się urodził; potem niedaleko mnie położył się. Zdrzemałem się, a równo

ze snem poczęły mię dręczyć sny gorsze od rzeczywistości obecnej; widziałem w nich matkę, siostry; wymawiały mi, że je opuszczam na zawsze, ukazywały mi się wsie, pola, łąki i gaje rodzinne jakoś zmienione i ludzie nieznannej postaci.

Ocknąłem się ze zroszoną łzami twarzą, a obudził mię harkawy, niemiły głos mowy niemieckiej objeżdżającego nasz obóz jakiegoś oberlandrata¹² i starego, może z frydrykowskich czasów majora, lustrujących nasze gromady rozbrojonych żołnierzy.

Broń naszą i konie oficerom tylko zostawiono; konie zaś żołnierskie miał rząd pruski zabrać i oddać Moskalom. Z tej przyczyny ze wschodem słońca poczęli oficerowie, kto z nich miał niedobrego konia, przemieniać z ułanami na lepsze, nagradzając im, jak kto mógł. Niejeden porucznik, kapitan czy major zaopatrzył się [we] wcale niezłe rumaki. Trwały te handle na konie cały ranek i przez cały też ranek druga jeszcze sprawa zajmowała gorliwie; było to na nieszczęście ubieganie się o nominacje. Przeczuwano, że urząd miejscowy królewski będzie rozróżniał emigrujących według ich rang i świadectw, jakie ukażą. Kto ich nie miał, ubiegał się o świadectwa w głównej kwaterze u Giełguda i u Chłapowskiego. Stąd bieganiiny nieustanne od tego generała do Giełguda i na powrót do Chłapowskiego. Co gorsze, starano się w tej smutnej chwili o awanse.

Zostawało jeszcze między nami przy Chłapowskim ośmiu czy dziesięciu oficerów z formującego się za przybyciem na Litwę Chłapowskiego 25. pułku piechoty, który – jak powiedziałem – za ledwo parę razy był w ogniu i był pobity. Ci moi koledzy nalegali na mnie i na Macewicza, abyśmy dla nich upomnieli się u Chłapowskiego o należne im świadectwa nominacji, a nawet niektórzy prosili o podwyższenie stopni; nie chciałem się podjąć tego polecenia i Macewicz odmówił. Sami więc poszli o to się starać do generała i Chłapowski dał dla każdego z nich świadectwo zaginionej nominacji. Nie żądałem jej dla siebie, ale Chłapowski i mój były komendant Macewicz uznali, że mnie jako byłemu adiutantowi

12 Oberlandrat – wyższy pruski urzędnik administracyjny, tyle co starosta.

pułkowemu odpowiadało powieźć te nominacje do głównej kwatery, domagać się zatwierdzenia ich przez Giełguda, jako do tej chwili głównodowodzącego. Nie mogłem odmówić, wsiadłem tedy na koń i jadę do owego folwarku, gdzie – jakem powiedział – zatrzymał się był z wieczora ze swoim sztabem Giełgud. Kiedym przyjechał i zameldowałem się, było już południe; Generał jadł spokojnie obiad, u stołu siedziało kilku oficerów i nie brakło potraw i wina. Czekałem może z pół godziny. Wstał Giełgud z jednym z adiutantów i poszli przechadzać się po ogrodzie, a konie ich stały już osiodłane. Korzystając z momentu, przybliżyłem się do generała i opowiedziałem cel mego przybycia. Uprzejmie mnie przyjął i natychmiast poszedł podpisać nominacje.

Między pierwszą a drugą, kiedym wracał do obozu, spostrzegam daleko na trakcie memelskim wielką kurzawę. W obozie sądzono z początku, że był to nieprzyjaciel goniący za nami; lecz wkrótce nasi żołnierze poznali idący spiesznym marszem korpus Rolanda. W istocie szedł od Memla czy od Połagi w odwrocie ten sam oddział naszego wojska, który przed czterema czy pięciu dniami wyszedł był z Kurszan, kierując się na północ.

W miarę jak pierwsza straż Rolanda zbliżała się ku nam, rosło zamieszanie w naszym obozie; a kiedy tą samą drogą, którą weszliśmy do Prus, przeciągał, nie zatrzymując się, w porządku cały korpus Rolanda i Szymanowskiego poza granicę, kierując się do Polski, powstał rozruch między naszymi; jedni rzucali się do koni, by iść za Rolandem, drudzy ich przytrzymywali; było ogólne szaleństwo.

Dochodziły też z szeregów Rolanda krzyki i nawoływania ku nam i przybiegali z nich żołnierze i oficerowie, poburzając i zachęcając do łączenia się z nimi i opuszczenia Prus. Pierwszy przeszedł granicę i pośpieszył ze swymi działami za tylną strażą Rolanda Janusz Czetwertyński z Przeździeckim; rzuciło się też w tymże momencie niemało żołnierzy do złożonej na kupę broni, lecz im na przeszkodzie stanął landwer prusaczy i powstrzymywali ich od tego własni oficerowie; niejeden ułan wyrwał się oklep bez piki na koniu, niejeden pobiegł i pieszo. Byli i tacy, co w małe oddziały

łączyć się usiłowali; ale też niejeden z piechoty i z jazdy korpusu Rolanda przebiegł do nas i został w[e] wzburzonym obozie.

Działo się to więcej pół godziny – aż oto na owym niefortunnym trakcie memelskim, po którym przeszedł cały korpus Rolanda i Szymanowskiego, nowa poczyna ukazywać się kurzawa i słychać strzały dalekie; był to nieprzyjaciel. Ciemne chmury nadchodziły od wschodu.

W tym momencie Giełgud w towarzystwie brata swego¹³ i trzech czy czterech adiutantów przyjeżdża konno do obozu naszego, kiedy jeszcze rozruch, zamieszanie brały coraz groźniejszą siłę. Zaledwo przekroczył granicę stary wojak, kupić się do niego poczęło wielu oficerów. Byłem o kilka kroków od niego, kiedy w pędzie na koniu przyskoczył Skulski¹⁴ i wymówiwszy tylko słowo „z d r a j c a”, ugodził z pistoletu kulą w serce Giełguda i sam poleciał za uchodzącym korpusem Rolanda.

Posłonił się generał, pochwycił go w swoje ramiona brat, błyszczało jeszcze jakby żywe jego szklane oko na bladej, spokojnej, pogodnej twarzy; nie było to wejście umierającego zdrajcy.

Kiedy się to stało, okrążyły nas świeżo przybyłe szwadrony pruskich landwerów: dały ich trąby znak do wymarszu, a ich komendant naglił nas do opuszczenia granicy i powiódł za sobą. Podążyli za nim naprzód ułani nasi z swoim pułkownikiem Borkowskim, jeżeli się nie mylę, z Chłapowskim i kilku oficerami na przedzie, a za nimi poszły inne oddziały, nie trzymając się już pierwszeństwa ni porządku. Za nami wieziono ciało zabitego Generała, przy którym szedł brat i kilku wiernych towarzyszy broni.

Cały ten pochód, otoczony na wpół czarnymi, na wpół białymi chorągiewkami landwerów, miał wejście pogrzebowego konduktu. Bolesnie było patrzeć na naszych bez broni, bez lanc ułanów; siedzieli jak zmokłe dziady, a ich konie wlekły się jakby chudziaki od brony. W gromadzie naszych rozmaitej broni oficerów

¹³ Jan Giełgud (1795–1877) – major, po upadku powstania osiadł w Prusach, potem w Anglii; był członkiem Komitetu Emigracyjnego. Zmarł w Londynie.

¹⁴ Stefan Skulski, kapitan z korpusu gen. Rolanda.

była niezgoda, kłótnie, żwawe zatargi z powodu popełnionego morderstwa. Jedni chwalili czyn Skulskiego, wołali: „niech żyje! dobrze zrobił, taka śmierć zdrajcom!” – i odgrażali się na Chłapowskiego; drudzy przeciwnie, potępiali ten czyn jako niepolski, nieszlachetny. Giełgud był patriotą, a jeżeli słabotą swoją czy nieudolnością zaszkodził, toby go nie ominął sąd narodu i własne zabiłoby go sumnienie, a nikt nie powinien być razem oskarżycielem, sędzią i wykonawcą kary. Niejeden wykrzyknął: „toć on nas do Prus zaprowadził, on porozrywał powstania”, na to ktoś tam odrzekł: „któż wam zabronił był na nowo w Kurszanach formować oddziały lub iść za Dembińskim, lub wonczas czy dziś jeszcze pójść na partyzantkę?”. Szanowany od wszystkich, jadący w pośrodku nas Adam Sołtan¹⁵, syn ostatniego marszałka litewskiego, starał się ochładzać zapaleńskich, zalecał umiarkowanie – na próżno; „kto broni zdrajców, ten sam zdrajca” – krzyczano jakby na sejmikach; przychodziło do grubych wyrazów, do wyzywań się na pojedynki.

Tymczasem szliśmy za Prusakami, nikt nie pytał, dokąd. Czarnymi chmurami było zaciągnięte niebo; z daleka dochodziły do uszu to grzmoty nasuwającej się burzy, to przerwami huk dział nieprzyjaciela goniącego za korpusem Rolanda. Przerwała w końcu nasze nienarażne¹⁶ kłótnie silna ulewa i nie opuściła nas do wieczora.

Zmoczeni przyszliśmy na jakąś obszerną łąkę, przy której był las i wieś pobliska. Tu zatrzymał nas komendant landweru wojennego okręgu tej prowincji, gruby, osiwiwały, niemilej twarzy i postawy i oświadczył Chłapowskiemu, że chce do nas przemówić. Choć każdy z nas myślał tylko o tym, żeby się osuszyć i czym pożywić się, zesłaliśmy się na miejsce, gdzie był komendant, i od niego usłyszeliśmy, że z przyczyny cholery i zaprowadzonej kwarantanny na całej granicy pruskiej od strony Rosji i Polski będziemy zmuszeni pozostać obozem w przeciętej komunikacji z miejscową ludnością przez cały czas przepisany ustawą. W istocie był to czas ciężkiej

¹⁵ Adam Sołtan (1792–1853) – syn Stanisława i Franciszki z Radziwiłłów, pułkownik z wojen napoleońskich, więzień za sprawy towarzystw tajnych.

¹⁶ Nienarażne – nie na czasie.

cholery na całym pograniczu Polski i w głębi kraju, a tylko ruch wojenny, zapał, czynność i niepowodzenia odwracały uwagę od tego drugiego nieprzyjaciela, który zabijał ludność po szpitalach i niejednego nam żołnierza uchwycił.

Była to już ostatnia tego dnia gorycz do zgryzienia. W głodzie i wilgoci przespaliliśmy tę noc nieszczęsną. Na drugi dzień te same land[w]ery i komendant przeprowadzili cały nasz oddział do siedmiuset ludzi liczący na inne miejsce, gdzieśmy cały dzień gorący na piasku pod słońcem obozowali. Tam odebrano konie prostym żołnierzom, a naszym oficerom zostawiono do woli utrzymywać na swoim koszcie konie lub je przedawać mieszczanom i chłopom, w wielkiej liczbie z całej okolicy na to przybywającym. Rozpoczęły się więc targi na konie i ja tu mego kasztana za 60 talarów przedać musiałem.

Zapomniałem powiedzieć, że było między nami niemało rannych, z których jedni od samych Kurszan dojechali na chłopskich wózkach do granicy, wkroczyli z nami do Prus, drudzy na koniach. Trzeba tu było ich opatrzyć i nimi się zajmować, a mieliśmy trzech czy czterech lekarzy, między którymi był Marci[n]kowski¹⁷ z Poznania i Sobolewski¹⁸, mój szkolny przyjaciel, Litwin.

Nie dano nam jednak długo tu odpoczywać i zaraz nazajutrz zawiedziono dalej o parę mil do miejsca zwanego Ascheken, gdzie pod pozorem kwarantanny przez dwa miesiące pod ścisłą strażą nas trzymano.

PRZEDRUK ZA: Ignacy Domeyko, *Moje podróże: pamiętniki wygnańca*, przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami Elżbieta Helena Nieciowa, t. I, Wrocław 1962, s. 74, 77–83.¹⁹

¹⁷ Karol Marcinkowski (1800–1846) – lekarz, społecznik, filantrop, oficer w powstaniu listopadowym, do 1834 roku na emigracji (w 1833 Francuska Akademia Nauk przyznała mu złoty medal za rozprawę o cholery), potem powrócił do Poznania, inicjator powołania Spółki Akcyjnej Bazar w 1838 oraz Poznańskiego Towarzystwa Pomocy Naukowej w 1841 roku.

¹⁸ Adam Sobolewski – filareta, lekarz, zmarł w Ascheken.

¹⁹ Przedruk fragmentów tekstu za zgodą Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

64. Pod Brodnicą 5 x 1831

Napoleon Sierawski (1809–1883)

Pamiętnik oficera konnego pułku gwardii

Nazajutrz, dnia 5 października¹, równo ze świtem zagrzmiały w naszych obozach trąbki głoszące pobudkę. – Mieliśmy ją usłyszeć raz ostatni. Zaczęło się wojsko ruszać. Ze zbliżającą się chwilą tego wielkiego aktu umysły nasze uginały się, pod jakimś otrętwieniem przygniecione. Rzucić kraj rodzinny, broń ukochaną, te wierne konie, które nas do zwycięstw poprzednich niosły, iść daleko w nie wiadomą przyszłość... te to uczucia miały nami po kolei.

W tych chwilach przyszła do naszego pułku deputacja innych pułków jazdy. Żądała od nas wiadomości i postanowienia, czy przechodzimy granicę?... czyli, przeciwnie, pójdziemy w tył oddać się tuż stojącemu z wojskiem rosyjskim generałowi Toll², pogłoska się bowiem rozeszła, że pułk nasz strzelców konnych gwardii odprowadzi jedynie wojsko polskie do granicy – a jeśli mam wyznać, sami Rosjanie byli tego pewni³. Pułkownik Zielonka⁴ zebrał nas wszystkich: deputacja swe zapytanie powtórzyła. Jednogodnie odpowiedzieliśmy: że, jak przez cały przeciąg wojny, pułk wiernie wykonywał swój obowiązek, tak i w tym dniu, idąc za drogą honoru, nie odłączy się od wojska. A jeśli chodzi o przykład, domagaliśmy

¹ Tego dnia oddziały polskie pod dowództwem ostatniego wodza naczelnego powstania generała dywizji Macieja Rybińskiego przekroczyły granicę Królestwa Polskiego i Prus między Górnem a Jastrzębiem i złożyły broń. Armia liczyła jeszcze prawie 20 tysięcy żołnierzy, w tym dziewięciu generałów. Wraz z wojskiem na emigrację udały się też władze cywilne – prezes Rządu Narodowego Bonawentura Niemojewski, posłowie sejmu i liczni politycy.

² Karl Wilhelm hr. von Toll (1777–1842) – generał wojsk rosyjskich, w tłumieniu powstania listopadowego szef sztabu armii Iwana Dybicza, a po jego śmierci – Iwana Paskiewicza.

³ Potem decyzją cara Mikołaja I wszyscy oficerowie i żołnierze tego pułku zostali objęci amnestią i umożliwiono im powrót na teren Królestwa.

⁴ Benedykt Zielonka (1785–1835) – uczestnik kampanii napoleońskich, od 1829 roku fi-geladiutant cara, w powstaniu listopadowym dowódca 5. pułku strzelców konnych.

się przejść pierwsi za graniczne słupy. Deputacja, po przyznaniu nam pierwszeństwa, oddaliła się.

Około 10 godziny rannej uderzono w bębny – u nas rozkazano wsiąść na koń, Prusacy też na drugiej stronie stali już pod bronią, wyciągnięci w szyku bojowym.

Jak zapowiedzieliśmy, w plutonowym pułkowym marszu, bez dobytka pałaszy, bez żadnego odgłosu muzyki, pierwsi przeszliśmy ten wąski pas graniczny. Przyjął nas zaraz generał pruski z eskortą huzarów i prosił pułkownika, by pułk rozwinął się frontem do granicy Królestwa. Manewr ten uskuteczniliśmy w całym pędzie koni i z wzorową precyzją. Generał przejechał pułk po całym jego froncie, salutował wszystkich oficerów – myśmy stali niemi, z zaciśniętymi zębami. Przejście granicy innych pułków trwało dwie godziny i po jego ukończeniu zasłonili Prusacy ścianę od Królestwa. Nam się zdało, że jakaś czarna zasłona nam na oczy spadła. Rosjanie też w 20.000 wojska podstąpiwszy, szeroko linię graniczną z drugiej strony zajęli.

Zaledwie godzina upłynęła, generał pruski z swym sztabem i naszymi dowódcami wojsko objechał. Rozkazano nam zsiąść z koni. Zielonka zebrał oficerów, mówił i prosił, abyśmy tę klęskę z wytrwałością przyjęli; wezwał, aby w szeregach spokojność i powaga zachowaną była! Prosił jeszcze, abyśmy w przyszłości w braterskim a ścisłym pożyciu, honor pułku i pamięć jego zachowali. Zawiadomił, że według ułożonej konwencji, oficerowie broń swoją i konie zatrzymają. Żołnierze mają tylko mantelzaki⁵ od siodła odpiąć, życzył sobie, aby zachowali na wieczną pamiątkę orły polskie kaszkiety ich zdobiące.

Splakaliśmy się rzewnymi łzami i dziś po pięćdziesięciu latach ubiegłych nie wstydę się, że pod wspomnieniem tego dnia i godziny, gorzka łza zwilża me oczy. Poświęcam ją pamięci mych dawnych towarzyszy broni, których przeżyłem wszystkich!...

⁵ Mantelzak (z niem.) – wojskowy tobolek przytroczony do siodła, zawierający zwinięty płaszcz wojskowy i inne przedmioty. Z różnymi haftami i obramowaniami – w zależności od formacji.

Nastąpiła ostateczna chwila... Spieszona część jazdy pruskiej przystąpiła i po kilkudziesięciu stanęła przed szwadronami, by nam konie i broń odebrać. Stali nasi żołnierze bez tchu i mowy... bez myśli i nieruchomi. Nareszcie należało wypowiedzieć ostatecznie to słowo: „Odpinać pałasze!... zdejmować karabinki!...”. Szmer głuchy dał się słyszeć po szeregach, minęło kilka minut pod tym wahaniem się wiarusów – Prusacy nalegali... nareszcie zaczęto się rozbrajać. Żołnierze powoli odpinali pałasze, całowali je, do piersi tulili, potem pod nogi rzucali je Prusakom. Kilka wystrzałów dało się słyszeć... zmieszali się Prusacy, dopadamy – to kilku naszych swe konie zastrzeliło!...

Wolno szło to rozbrajanie – zdawało się, że ta straszna chwila się nie skończy, ale i to nastąpiło. Rozkazano żołnierzom w tył od koni odstąpić; kiedy się zobaczyli bez koni, bez broni, z mantelzakami na plecach, jeden ich jęk wybuchnął. Z wzorowego tego pułku i tyle męźnego, zrobiła się garstka do dziadów podobna... Co do mnie, z tego wzruszenia nerwowego porwała mnie na miejscu straszliwa febra, która mnie potem pięć kwartałów męczyła. Jak się odbyło złożenie broni w piechocie i artylerii – nie wiem. Nie widziałem – byłem prawie nieprzytomny.

PRZEDRUK ZA: *Pamiętnik Napoleona Sierawskiego, oficera konnego pułku gwardii za czasów W. Ks. Konstantego*, z przedmową prof. dr. Stanisława Smolki, Lwów 1907, s. 277–279.

65. Przez Kalisz na emigrację. 1831

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa (1798–1845)

Pamiętniki [fragmenty]

14 października. [...]

Dziś w piątek o godzinie 4 z południa, przy najczulszych pożegnaniach rodziny i przyjaciół, wyjechałam z Warszawy za paszportem przez fortel otrzymanym. Bogu dzięki przebyłam wszystko szczęśliwie. Nocowałam pierwszego dnia w Sochaczewie, drugiego w Kole.

16 października. – W południe stanęłam w Kaliszu. Uczuć moich w czasie tego odjazdu z ojczyzny, wrażenia, jakie widok spustoszonych okolic, rozłożonych obozów, sprawiał, tęsknoty za opuszczonymi przyjaciółmi a oraz radości i chęci zbliżenia się do granicy, wszystkiego tego nie jestem w stanie opisać. W Kaliszu dzień cały zszedł mi na bałamuctwach z kwarantanną i 17 nocowałam w Wieruszowie¹, a 18 z rana stanęłam w Podzamczu, na granicy już pruskiej, jeszcze nie z radością, bom się bała przetrząsania rzeczy i pięciu dni niewoli². Przeszło i to szczęśliwie, rzeczy cokolwiek przerzucone. [...]

23 października. – W niedzielę, o 7 z rana wyjechałam z Podzamcza, i o smutne przeznaczenie! dopiero obaczywszy się z pewnością na obcej ziemi, odetchnęłam lekko. O 7 wieczór stanęłam w Wrocławiu z niezmiennym biciem serca; jakiś pocziwy Niemiec wskazał mi dom W... Kochane ciotki wraz z dziećmi wybiegły naprzeciw mnie, odurzałam zupełnie, bom wiedziała, że już nie jestem w kraju, a przecież czułam się między swoimi. [...]

¹ Wieruszów nad Prosną (ok. 60 km na południe od Kalisza); rzeką biegła ustanowiona na kongresie wiedeńskim granica z Prusami. Po drugiej stronie rzeki, w Prusach, leżało Podzamcze.

² Mowa o kwarantannie w związku z epidemią cholery. Zob. tekst nr 15, przyp. 3.

8 listopada. Przyszły listy z Warszawy po trzytygodniowym milczeniu. Głosili, że mnie z granicy zwrócą i wyjechać z kraju nie dadzą; ta wieść była przyczyną, że rodzina i przyjaciele nie pisali. Zdrowi Bogu dzięki wszyscy, nie mogłam się dosyć nacztać ich listów. [...]

5 grudnia. – Wyjechaliśmy³ dnia 30 zeszłego miesiąca z Wrocławia, unosząc wdzięczność szczerą dla W... i podwójne przywiązanie dla jedynej ciotki. Nazajutrz stanęliśmy w Görlitz, gdzie nas na dwa dni zamknięto w *Kontumatzhaus*⁴. [...]

12 grudnia. – Doniesiono nam wczora, że kwarantanna zmniejszona i żeśmy już wysiedzieli nasze. Upakowawszy się przeto, ruszyliśmy w imię Boże dnia 30 listopada i stanęliśmy dziś w Dreźnie, które może na czas długi miejscem naszego mieszkania będzie. Drogę trzynastu mil z Görlitz tu i saską komorę przebyliśmy jak najszczęśliwiej pocztą; kosztowała nas droga do stu złotych, lubośmy parą końmi jechali, prawda, że nocleg mieliśmy wyborny w Bautzen.

PRZEDRUK ZA: Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, *Pisma pośmiertne. Pamiętniki*, t.1, Berlin 1849, s. 239–243, 244–246.

³ Z Wrocławia Hoffmanowa podróżowała z mężem, który tam po nią przyjechał, zob. tekst 35, przyp.1.

⁴ *Kontumatzhaus* (niem.) – termin używany w XIX wieku dla kwarantanny.

66. Na Węgry z ułańską fantazją. 1848

Jacenty Grabowiecki (1795–1857)

Moje wspomnienia w emigracji [fragment]

Droga przez Szląsk i Morawią była zbyt niepewna, zwłaszcza że w tym kierunku ściągano wszystkie wojska z Galicji przeciw Wiedniowi, wybraliśmy drogą przez Węgry¹, które już były w otwartej wojnie z cesarzem austriackim, pewni będąc, że tą drogą dostaniemy się bez przeszkody do Wiednia.

17 października 1848 r. z rana o godz[inie] trzeciej po północy sześciu nas wyjechało z Limanowy²: Łącki, Grabowiecki, Miłkowski, Wójcik, Stanisz i Szewczyk. Na noc stanęliśmy w Harklowy³ u Krobickiego, tu dowiedzieliśmy się przez sędziego tamtejszego, że Węgrzy nie wzbraniają przejścia, owszem, że nas oczekują i szczerze przyjmą jako swych braci.

Dnia 18 [października] po dobrym śniadaniu na pożegnanie, w humorach więcej jak wesołych, z orzełkami polskimi i kokardami, w które nas panny Krobickie przyozdobiły, wsiedliśmy na bryczki i ruszyli ku granicy. Na naszej [bryczce] było nas sześciu, półgłówek Miłkowski powoził, na szosie rozpuścił konie, w największym pędzie coś łamie się, wywracamy [się], konie unoszą przodek bryczki i wszystko tłuką w kawałki, niektórzy dostali guzów, najwięcej się potłukł wariat Miłkowski⁴. Zebrawszy nasze manatki na plecty,

1 Pięćdziesięcioletni wówczas Grabowiecki – uczestnik powstania listopadowego, emigrant, na wieść o rewolucji w monarchii austriackiej udał się przez Marsylię do Krakowa. Brak szans walki w Galicji skłonił go do podróży na Węgry, by wesprzeć tamtejsze powstanie. Po klęsce Węgrów i internowaniu z polskimi oddziałami w Turcji powrócił do Marsylii, gdzie w ostatnich latach przed śmiercią spisał swoje wspomnienia.

2 Tj. z Limanowej.

3 Harkłowa – wieś w pow. jasielskim.

4 Być może chodzi o kogoś z dalekich krewnych Zygmunta Miłkowskiego z Gorlic, odległych od Harkłowej o 17 km. Zob. Teodor Tomasz Jeż, *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 1,

piechotą doszliśmy do granicy węgierskiej, gdzie Węgrzy z okrzykiem: „Wiwat Polacy” (*Éljen a Lengyelek*) nas przyjęli i wyprawili obiad.

Już nas kilkunastu zebrało się, Węgrzy wysłali nas dalej podwodami.

PRZEDRUK ZA: Jacenty Grabowiecki, *Moje wspomnienia w emigracji, od roku 1831 do 1854, spisane w Marsylii*, z rękopisu przygotowała do druku, wstępem i przypisami opatrzyła Elżbieta Helena Nieciowa, Warszawa 1970, s. 141.

s. 272. Ponieważ relacje Grabowieckiego i następną Miłkowskiego z trasy ich podróży nie są precyzyjne, nie da się też wykluczyć, że mowa tu o Zygmuncie Miłkowskim.

67. Droga na Węgry. 1848

Teodor Tomasz Jeż (1824–1915)

Od kolebki przez życie [fragmenty]

Nie mogłem iść do Włoch – poszedłem na Węgry. Jak skoro mnie wieść doszła, że po tamtej stronie Karpatów na wojnę się przeciwko Austrii zanosi, natychmiast wybierać się począłem. Wybieranie się nie zabrało czasu dużo. [...]. Obstalowałem sobie w Złoczowie buty i na uszycie onych jeno czekałem. Zwierzchowski puszczać mnie na oślep nie chciał. Na szczęście, dowiedzieliśmy się o zawiązaniu w Krakowie i Lwowie komitetów, pertraktujących z rządem węgierskim o legiony polskie.

Legiony!

Wyraz ten miał dla mnie urok, działający magicznie. Urok ten – zapewne – byłby mnie nie pociągnął, gdyby nie przeświadczenie, że legiony nie będą wojskiem od parady, jak gwardia narodowa. Ponęty dodawała mu wojna, wojna prawdziwa, wojna przeciwko Austrii, bez udziału której nie byłyby się rozbiory dokonały i którą – wedle przekonania mego – z drogi Polsce usunąć należało. Od przekonania tego nie wyzwoliłem się dziś, kiedy krzyżyk siódmy na grzbiecie dźwigam, nie dopieroż wówczas, w epoce rozkwitu młodości mojej, kiedy krzywdy Polsce wyrządzone oburzały mnie do głębi, a niewola jej czoło mi paliła. Nie skutkowały przedstawienia ani perswazje żadne, za pomocą których ten i ów próbował od zamiaru mnie odprowadzić, a przynajmniej do czekania, aż się rzeczy wyklarują, namówić. Wydawało mi się, że obecność moja na Węgrzech wojnę nieuniknioną uczyni. [...]

Co do podróży, takowa tamże w biurze¹ ułożoną została. Jeden z ochotników zaproponował mi, ażeby do formującego się towarzystwa podróżnego należał. Komplet towarzystwa składać

¹ W biurze werbunkowym we Lwowie.

się miał z osób dwunastu, potrzebnych do zapewnienia bryki żydowskiej. Przyjąłem propozycję z ochotą. Dwunastu się nas wnet zebrało. Umówiliśmy się o czas i o punkt zborny. W godzinie oznaczonej zesłaliśmy się wszyscy i ruszyli. Towarzystwo nasze składało się ze stanów i klas różnych: urlopnik² był chłopem, ja szlachcic, studentów paru, krawczyk, ekonom, czeladnik ogniomistrza, który ze sobą rakiety zabrał, muzykant z fletem, aptekarz. [...]

Nie pamiętam, gdzie brykę żydowską zmieniliśmy na wóz drabiniasty, zaprzężony w cztery konie w lejc, powożone z konia przez Mazura. Wozem tym ostrośmy jechali³ i dojechali do granicy. Było to wieczorem. Znaleźliśmy się na drożynie górskiej, na której z krzaków postać jakaś niewidoma wygłosiła do nas przemowę, wyrzucając nam, że się łączymy z Madziarami przeciwko Słowianom.

– Stul pysk! – odpowiedział jej jeden z grona naszego.

Nie wiem, kto przewodnika wyszukał, przewodnika górala, który prowadził nas ścieżkami i przeprowadził tuż obok strażnicy pogranicznej. Widzieliśmy strażnika, stojącego z bronią u nogi. Uszliśmy staj parę i wydostali się na drogę, przez las prowadzącą. Czładnik od ogniomistrza jął się rakiety puszczać, a myśmy krzyczeli:

– Niech żyje wolność...

Znajdowaliśmy się na wolnej ziemi węgierskiej.

Student na gardło całe „Bartoszu, Bartoszu!...” śpiewał, muzykant mu na flecie wtórował. Ognie sztuczne puszczając, śpiewając i grając, szliśmy przez las i zatrzymali się przed karczmą, z której nam Żyd arendarz wyniósł wina halbę. Piliśmy, podając halbę z ręki do ręki, rozpytaliśmy się o drogę i pociągnęli dalej. Niebawem ukazała się nam wieś, jeżeli się nie mylę, Komarnik. W karczmie, w izbie szynkowej zastaliśmy słomy pełno, a na słomie pokotem uspionych ochotników, co nas wyprzedzili. Było ich ze dwudziestu. Spali. Hałas, jakiśmy czynili, nie rozbudził żadnego. Chodziło nam o to, ażeby języka dostać. Żyd wskazał nam izbę, zajęta przez dwóch podróżnych,

² Urlopnik – żołnierz na pewien czas uwolniony ze służby.

³ Zob. tekst poprzedni (66), przyp. 4.

co bryczką własną przyjechali i u których świeciło się jeszcze. Do izby tej wszedłem. Na dwóch łózkach, wygodnie zasłanych, pod kołdrami czerwonymi leżeli dwaj jegomości z fajkami w rękach, jeden wieku średniego, czerwonorudy, oblicza marsowego, drugi młodziutki, blondyn jasny. Rudy przyjął mnie opryskliwie i na zapytanie, jakie mu zadałem, odpowiedział, żebym sobie precz szedł, bo mu spać nie daje. Wszedłem, posililiśmy się; Żyd i dla nas słomy naniósł i na słomie, w objęciach snu twardego doczekaliśmy się dnia następnego.

Z datami nie znajduję się w porządku. Nie pamiętam, był li to koniec września, czy początek października. Lat od momentu tego upłynęło tyle⁴. Młodość minęła, pamięć stępsiała. Przypominam sobie jeno, że pogoda sprzyjała nam stale, pogoda jesienna, pyszna, we dnie nawet słońce mocno przygrzewało, a poranki mgłą ziemię owijały.

Na noclegu była mowa o forszpanach (podwodach), aleśmy dalej iść musieli piechotą. Ruszyliśmy w liczbie zwiększonej – głów trzydzieści z górą, i zaciągnęli na noc do miasteczka Zboro⁵. U wnijsia do miasteczka spotkała nas banda cygańska, która nas powitała marszem Rakoczego i grając, poprzedzała do oberży. Tłum dzieci towarzyszył nam przez ulice. Przed oberżą czekało na przybycie nasze Węgrów kilkunastu; z tych jeden przemawiał do nas po polsku w imieniu krainy węgierskiej i zaprosił nas do izby obszernej na odpoczynek i wino. Węgrów przybywało coraz to więcej. Izba się zapełniła. Służba nakryła stół długi. Podano wieczerzę pamiętną dla mnie tym, że po raz w życiu pierwszy spożywałem gulasz węgierski. Przy wieczerzy były przemowy, spełnialiśmy toasty i po raz pierwszy zabrzmiały mi w uszach okrzyki: *eljen a Lengyel, eljen a szabadsag!*⁶ Przemowy wygłaszano w dwóch językach: po polsku i po łacinie. Nazajutrz, podczas kiedyśmy czekali na obiecane nam forszpany, jawiło się kobiet kilka i jedna z nich oznajmiła nam, że

⁴ Autor zaczął spisywać pamiętnik w 1884, ale jeszcze w 1909 kontynuował tę pracę.

⁵ Zborov na Słowacji.

⁶ Niech żyją Polacy, niech, żyje wolność.

mają z nami do pomówienia. Zebraliśmy się około pań tych. Były to wszystkie Polki w Zboro zamieszkałe. Powtórzyć nie potrafię rozmowy, jakąśmy z nimi mieli, pamiętam jeno, że opuściły nas rozrzewnionych, widzenie się bowiem z nami zakończyły ofiarowaniem nam wyszytego przez nie sztandaru dla legionu polskiego. Była to scena wzruszająca. Kobiety płakały i nam łzy za powiekami z trudnością przychodziło zatrzymywać. Odchodząc, niektóre żegnaly nas krzyżem na drogę, na walkę.

Forszpanów nie doczekaliśmy się. Trzeba było dalej jeszcze piechotą ciągnąć.

W pochodzie ze Zboro do Preszowa⁷ doznałem w połowie drogi znużenia tak silnego, żem się ledwie włókł. Przystawałem i odpoczywałem. Koledzy wyprzedzili mnie i do miasta weszli na jakich godzin parę przed nadejściem moim. Spotkanie wspaniałe i huczne, jakim ich Preszowianie uczcili, odbyło się w nieobecności mojej. Rozdano im kwatery u mieszkańców. Ja, z powodu żem się spóźnił, nie wiedziałem nawet o tym, zaszedłem do hotelu pierwszego, jaki mi się przedstawił, i kazałem sobie numer dać. Wydało mi się, żem zachorował, takiego doznawałem bólu w kościach i pałania w ciele. Położyłem się, zażądałem herbaty. Żądanie to sprowadziło do łóżka mego gospodarza i gospodynię, dopytywali się i naradzali; w końcu podali mi ziółka jakieś apteczne. Herbata w r. p.⁸ 1848 była jeszcze w Preszowie nieznaną. Ziółka posłużyły mi. Wstałem nazajutrz zdrów jak ryba i wypoczęty zupełnie. Na miasto wyszedłszy, spotkałem jednego z kolegów, od którego dowiedziałem się, że mamy już dowódcę w osobie przybyłego przed nami ze Lwowa kapitana Matczyńskiego. Udałem się na kwaterę jego, przedstawiłem się mu; dobre wrażenie sprawiła na mnie postać kapitana, człowieka młodego jeszcze, o obliczu otwartym, jasnym, wyrazem rycerskości i inteligencji nacechowanym. Opowiedziałem mu powód spóźnienia mego.

⁷ Była to odległość ok. 50 km.

⁸ Tj. roku pańskim.

– Zmaruderowałeś... – rzekł. Na pierwszy raz, to ujdzie. Wiedz jednak, że w marszu przyzostawać nie można... Tylna straż z maruderami nie żartuje...

Do urzędu mnie odesłał i tam mi bilet kwaterunkowy dano. Kwaterna dostała mi się u Słowaka, starego eks-huzara, który mnie gościł i podejmował z serca całego, opowiadając o czasach dawnych i stosunkach swoich rodzinnych.

W Preszowie pozostawialiśmy przez dni dwa; w trzecim, wypłaciwszy nam pierwszy żołnierski żołd, wyprawiono nas dalej podwodami. I już do Pesztu samego forszpany nam dawano. W podróży tej uderzył mnie jeno zaprząg u wozów, który bywał bądź po cztery konie, bądź po cztery woły wzdłuż, para w dyszlu, para na przodzie. Jechaliśmy częściej klusem aniżeli stępem. Woły kłusowały na równi z końmi, a przedstawiały się oku inaczej aniżeli nasze; rosłe, smukłe, lekkie, ozdobione rogami ogromnymi, a wspaniale rozłożonymi, dotrzymywały koniom sprawy i nie znać na nich znużenia było. I Węgrzy się inaczej aniżeli ludzie nasi prezentowali. Typ całkiem odmienny, uakcentowany odzieżą, jakiej nie widywałem: spodnie szerokie, koszule krótkie, do pasa jeno, nieokrywające ciała nad pasem, a zaopatrzone w rękawy szerokie i długie, które się do ramienia zataczają; na grzbiecie kurta granatowa z guzami wielkimi, na opaszki zazwyczaj zarzucona; na głowie kapelusz z kryzą wywróconą, przyozdobiony we wstążki i pióra kogucie lub pawie. Ruch każdy Węgra cechuje zamaszystość, tryskająca w kłótwach z ust, niby z rogu obfitości sypanych.

Nas na kroku każdym spotykała uprzejmość, w okazach niezradko do zachwytu dochodząca.

– *Lengyel baraton... Lelkem, galambom...* – wyrazy te nam się ustawicznie o uszy obijały; znaczą one: „Polaku przyjacielu... duszko, gołąbku”.

PRZEDRUK ZA: Teodor Tomasz Jeż [Zygmunt Miłkowski], *Od kolebki przez życie. Wspomnienia*, do druku przygotował Adam Lewak, wstęp Aleksander Brückner, Kraków 1936, t. 1, s. 270–275.

68. Rozbrajanie posterunków na granicy rosyjsko-austriackiej. 1863

„Czas”, luty 1863

[fragmenty]

Spod Sandomierza 2 lutego.

W okolicach naszych zwiększa się ruch powstańczy. Powstańcy, opierając się na upoważnieniu Władzy Narodowej, zarekwirowali podwozy i od Nowego Miasta-Korczyna aż do Sandomierza zabrali i rozbroili wszystkie posterunki straży granicznej. Od Sandomierza do Zawichosta jest już granica odsłonięta. Dnia jutrzejszego będzie po nabożeństwie publikowany przez władzę narodową w Staszowie Rząd Narodowy. [...]

PRZEDRUK ZA: „Czas” 1863, nr 30 z 7 11.

*

Jak w Sandomierskiem, tak w Krakowskiem powstanie coraz większy zajmuje obręb. W Proszowicach i Wiślicy ogłoszono władzę narodową; z drugiej strony w dniu wczorajszym oddział zbrojnych powstańców zajął komory rosyjskie w Maczkach⁹ na ko-

⁹ Maczki – od 1975 roku w granicach Sosnowca, były od 1848 roku ostatnią rosyjską stacją graniczną nowo wybudowanej kolei warszawsko-wiedeńskiej. Budynek dworca stacji, zwanej „Granicą”, zaprojektował Enrico Marconi. – O wydarzeniach w Maczkach pisał Wacław Tokarz: „Rankiem dnia 5 lutego Kurowski opuścił Ojców z zamiarem «oczyszczenia granicy aż do Czeladzi». Oddział, który prowadził ze sobą, liczył 150 ludzi: 50 strzelców pod komendą Edwarda Staweckiego, uzbrojonych w zdobyte karabiny rosyjskie, 50 kosynierów Teodora Cieszkowskiego i 50 kawalerzystów Mięty. [...] Celem wyprawy były w pierwszym rzędzie Maczki; Kurowski wiedział bowiem o zebraniu się tam straży granicznej, znał nawet dokładnie stan sił przeciwnika. [...] 5 lutego major dowodzący w Maczkach otrzymał doniesienie, że powstańcy maszerują na Niwkę, zamierzając przeciąć jego połączenie z Modrzejowem i z tym oddziałem brygady kaliskiej, który ścigał do Sosnowca, a następnie uderzyć na Maczki. Oficer ten, nie zastanawiając się dłużej nad ścisłością doniesienia, pospiesznie opuścił ten ważny posterunek i pomaszerował ze swymi 309 ludźmi przez Niwkę do Modrzejowa. Na stacji pozostał

lei warszawsko-wiedeńskiej i w Modrzejowie¹⁰, a straż graniczna rosyjska cofnęła się z bronią do Prus do Mysłowic. Jak wszędzie, tak i w tamtych miejscach własność prywatna była szanowaną święcie, zabrano tylko 300 rs. z kasy rządowej, zrzucano orły rosyjskie i aresztowano znajdującego się tam kapitana żandarmerii. Następnie oddział powstańców udał się do Sosnowca¹¹, komory na kolei warszawsko-wrocławskiej, a po utarczce z kozakami, których kilku padło trupem, gdy reszta pierzchła, opanowali Sosnowiec, zabrali kasę z 65,000 rubli. Z powstańców dwóch poległo, a 4 jest ranionych.

PRZEDRUK ZA: „Czas” 1863, nr 31 z 8 II.

*

tylko kapitan żandarmerii Tajnowskij z 6 szeregowcami. Mała stacja graniczna przeżyła wówczas dobę dziwnego stanu rzeczy, który z zaciekawieniem obserwowały władze austriackie z sąsiedniej Szczakowej, skąd komisarz Kasperek przysłał tutaj nawet urzędnika kolejowego dla obserwacji [...]. Ludność Maczek i urzędnicy kolejowi nie mogli się doczekać przybycia powstańców; wszystkich ogarniało coraz żywsze zniecierpliwienie. W końcu praktykant w służbie ruchu, Koraga, zdobył się na krok decydujący: ogłosił rządowi Komitetu Centralnego i sam objął prowizoryczne dowództwo stacji. Zdaje się, że już wówczas rozbrojono żandarmów, którzy nazajutrz udali się do Szczakowej, gdzie ludność przyjęła ich tak niechętnie, że ekspozytura policji musiała wystąpić (ze względów humanitarnych) w ich obronie [...]. Tymczasem w Maczkach nowo ukonstytuowani urzędnicy polscy odbierali już paszporty. Pod wieczór nadszedł wreszcie Kurowski, witany serdecznie przez ludność miejscową i licznie przybyłych mieszkańców Szczakowej, którzy korzystali teraz ze zniesienia kordonu i usunięcia posterunku rosyjskiego na moście granicznym. Na Przemszy oddział zatrzymał się przez parę godzin. Zajęto się zabranie kasy komorowej, usunięciem aparatu telegraficznego, a przede wszystkim obmyśleniem dalszego planu działań” (Wacław Tokarz, *Kraków w początkach powstania styczniowego i wyprawa na Miechów*, Kraków 1916, t. II, s. 126–128).

- ¹⁰ W Modrzejowie nad Czarną Przemszą (obecnie dzielnica Sosnowca) znajdowała się od 1815 roku komora celna – po drugiej stronie rzeki leżały Mysłowice z pruską komorą celną. Po aneksji Wolnego Miasta Krakowa przez Austrię w 1846 roku w widłach Czarnej i Białej Przemszy zbiegły się granice trzech zaborczych mocarstw. Od zjednoczenia Niemiec w 1871 roku zaczęto to miejsce nazywać Trójkątem Trzech Cesarzy.
- ¹¹ Stacja kolejowa i komora celna w Sosnowcu istniejąca od 1859 roku po połączeniu linii kolei warszawsko-wiedeńskiej i górnośląskiej (z Wrocławia do Mysłowic).

Na Sosnowce¹² uderzył oddział powstańców w nocy z 6-go na 7-my b.m. Straż graniczna w ilości przeszło 100 żołnierzy i kozacy przygotowani na atak zabarykadowali się w domu komory celnej i z okien strzelali, lecz powstańcy wyparowali ich z tego domu i rozbili, zabiwszy do czterdziestu, przeszło 20 wzięwszy do niewoli, a resztę pierzchło za granicę pruską, gdzie wojsko pruskie obsadzające granice przyjęło uciekających Rosjan. Ze strony powstańców 2 poległo, 18 jest ranionych. Miał się odznaczyć szczególnie dowódca kosynierów, dwa razy ciężko ranny. W Sosnowcach i w Maczkach wynoszące razem do 100,000 rs zabrali powstańcy kasy, 100 centnarów ołowiu, 80 karabinów i wiele pałaszy.

PRZEDRUK ZA: „Czas” 1863, nr 32 z 10 II.

¹² Sosnowce, Sosnowiec – pierwotna nazwa Sosnowca. – Atak na Sosnowiec przedsięwzięto z Maczek. Jak pisał Tokarz: „Kurowski zdecydował się dość szybko. Ludzi i konie wsadził do wagonów pociągu towarowego, który o godz. 11 w nocy wyruszył w drogę, jadąc z zagaszonym światłem. Fortuna miała jeszcze i w tym wypadku dopisać Kurowskiemu. Straż graniczna rosyjska nie zebrała się, jak przewidywano, w jednym miejscu, ale większy jej oddział, liczący przeszło 300 ludzi, stanął w Modrzejowie, podczas gdy drugi, złożony ze stu mniej więcej ludzi, zajmował Sosnowiec. [...] Między godziną 1–2 po północy (7 lutego) pociąg, wiozący powstańców, zatrzymał się na linii Sielca, odległego o dobrą wiorstę od stacji i komory w Sosnowcu. Rozpoczęło się wyładowanie żołnierzy i koni. Zaraz potem jazda, omijając stację i komorę, ruszyła ku granicy pruskiej, aby stanąć na linii odwrotu przeciwnika. Walka zaczęła się mniej więcej koło trzeciej stacji, mając w centrum kosynierów, trzymanych cokolwiek w tyle, a na obu skrzydłach linię tyralierską strzelców, wysuniętą naprzód. Postępowano naprzód bardzo cicho, licząc na zaskoczenie. Przeciwnik miał się jednak na baczności, i w chwili, gdy oddział Kurowskiego zbliżył się od strony południowej do dworca, przyjął go gęstymi wystrzałami karabinowymi z okien. Odpowiedziano mu bezładną strzelaniną i rozpoczęła się walka, która z przerwami trwać miała do 4-rech godzin. [...] Zdobyto 40 koni z rzędami, 40 karabinów, pałasze, pewien zapas prochu; zabrano 100 centnarów ołowiu należącego do kupca z Katowic Konigsbergera; w kasie komorowej znaleziono przeszło 97,000 rubli. Jeńców, zdziwionych tem, że tak łatwo darowano im życie, wypuszczono na wolność, dając im po 2 złp, na drogę; chodziło tu najwidoczniej o propagandę, o dalsze szerzenie demoralizacji w szeregach przeciwnika). Paru z nich wstąpiło dobrowolnie do szeregów humanitarnego przeciwnika, który rannymi Rosjanami zaopiekował się z równą gorliwością, jak i własnymi, i biło się później nie najgorzej w Miechowie. Od oficerów, m.in. od kapitana żandarmerii, wzięto słowo, że nie będą walczyć przeciw powstańcom” (Wacław Tokarz, *Kraków w początkach powstania styczniowego i wyprawa na Miechów*, s. 130–136).

*

Nowym dowodem, jak postępują wojska rosyjskie jest to, że nie tylko ludność polska, ale urzędnicy rosyjscy uciekają za zbliżaniem się wojsk rosyjskich, gdy przeciwnie za przyjściem powstańców pozostawali na miejscu zupełnie spokojni i bezpieczni. I tak np. z pobliskich Krakowowi komór wczoraj, na wieść o zbliżeniu się Rosjan, urzędnicy rosyjscy wraz z rodzinami uszli do Krakowa, obawiając się losu, jaki spotkał ich kolegów w Tomaszowie, gdzie ich rozjuszone żołnierstwo wymordowało. Gdy zaś powstańcy zajęli Michałowice, pozostał na tej komorze bezpieczny jeden z urzędników, znany jako agent policji tajnej, który denuncjował swoich kolegów i obywateli.

PRZEDRUK ZA: „Czas” 1863, nr 37 z 15 II.

69. Barbarzyństwa kozactwa przy granicy. 1863

Korespondencja „Czasu”

Z Rzeszowskiego 17 lutego

Otrzymałem z pewnego źródła bliższe wiadomości o wypadku w Ulanowie i przysyłam takowe z tej przyczyny, że wypadek ten, jakkolwiek pojedynczy, wskazuje nie tylko lekceważenie tutejszych władz ze strony komend rosyjskich, ale nadto nakazuje obmyśleć zaradcze środki w najbliższej przyszłości, jeżeli i mieszkańcy Galicji na barbarzyństwa żołądactwa rosyjskiego nie mają być wystawieni.

Dnia 12 b.m. to jest w przeszły czwartek oddział kozaków gonił za dwoma jeźdźcami przed barbarzyństwem rozhukanego żołądactwa rosyjskiego uchodzącymi i schronienia u nas szukającymi. Już na tutejszym terytorium, a nawet pod samą wioską Kurzyna w obwodzie Rzeszowskim w powiecie Ulanowskim położonej, dopadło kozactwo uciekających, a gdy jeden z nich, ksiądz Karol Kобрzyński, nie będąc wprawnym jeźdźcą, przypadkowo spadł z konia, kozacy rzucili się na bezbronnych i prócz niebezpiecznego cięcia w głowę wiele ran mu zadali. Nadbiegli w tej chwili ludzie odpędzili Moskali, którzy w granice kongresówki wrócili. Ranny ksiądz Karol Kобрzyński wraz z pozostałym przy nim Witoldem Rosenwertem, przez patrol żandarmów austriackich dnia następnego, to jest 13 b.m. rano z domu włościanina odprowadzeni do urzędu powiatowego w Ulanowie, zostają dotąd w tym miasteczku. Pieniądze księdza Kобрzyńskiego kilka tysięcy rubli wynoszące urząd powiatowy wzięł w tymczasowe przechowanie.

Gdy cały wypadek zdawał się już załatwiony, przybywa dnia 13, to jest w piątek popołudniu, oddział kozaków z kapitanem Krywo-kenkoj na czele do miasteczka Ulanowa przeszło milę od granicy odległego i żąda wydania powstańców. Naczelnik powiatowy nie miał zapewne znajomości prawa, gdy nie rozkazał rozbroić najeźdźców, wszelako stanowczo kapitanowi odmówił wydania obu

schronionych i zagroziwszy za takie naruszenie granicy surową odpowiedzialnością, kazał zastęp kozaczy i rosyjskiego kapitana aż do granicy odprowadzić przez żandarmów i straż finansową, co może potrzebnym było, już z tego powodu, że ludność miasteczka Ulanowa, mając współczucie dla nieszczęśliwych tułaczy, po przybyciu Moskali, uderzywszy w dzwony, wyruszyła całą masą i gotowa była rzucić się na oddział rosyjski, obrzuciwszy go na miejscu i przy powrocie błotem i przekleństwami, gdyż kapitan rosyjski i żołdactwo podczas zajścia tego szkalowali nie tylko rząd tutejszy, ale wyraźnie odgrażali się, że przyjdą wkrótce i pocziwym mieszkańcom Ulanowa jako buntowczykom tak jak u siebie zaświecą i łby pościnają. Za autentyczność wypadku i za rzetelność źródła, z którego czerpię, zaręczam.

PRZEDRUK ZA: „Czas” 1863, nr 40 z 19 II.

70. Z Wielkopolski do powstania. 1863

Bibianna Moraczewska (1811–1887)

Dziennik [fragment]

20 stycznia 1863.

Już od 11 dni bój o niepodległość w Polsce pod zaborem moskiewskim rozpoczęty. [...]

15 marca.

Obywatele z Poznańskiego, w połączeniu z częścią mieszczan i służby dworskiej w liczbie 150, przeszli granicę blisko Witkowa pod Ruchocinkiem¹. O północy połączyli się z oddziałem Kazimierza Mieleckiego², a nazajutrz nastąpiło fatalne starcie pod Mieczownicą i Dobrosławiem³, po których nasi poszli w rozsypkę i przysłała wiadomość do Poznania, którą przywiózł naoczny świadek, Osten Władysław.

Zostaliśmy przażeni jak piorunem, radość, jaka była z przejścia szczęśliwego oddziału, krótko trwała i w wielką boleść i płacz się zamieniła. Kto nie zginął, dostał się do niewoli. A byli to po części krewni, przyjaciół synowie lub znajomi. Złe było wielkie, padło z jakich 80 bez potrzeby (tj. z obu oddziałów Mieleckiego i Poznańskiego), broni i amunicji Prusacy nazabierali, i całe powstanie w tej okolicy zostało wstrzymane na czas pewien. – Poznańskie czyni ofiary znaczne. Mnóstwo stawa w szeregach powstańczych. Wszystkie warstwy społeczeństwa spieszą z pomocą przeciw

¹ W późniejszym okresie granice były już obsadzone pruskim wojskiem i trudne do sforsowania.

² Kazimierz Mielecki (1837–1863) – pułkownik, naczelnik sił zbrojnych województwa mazowieckiego i kaliskiego z okresu powstania styczniowego.

³ Drugiego marca Rosjanie zaatakowali oddziały wielkopolskich ochotników, które 28 lutego szczęśliwie przedostały się do Królestwa, ale zostały rozdzielone w wyniku nieporozumień dowódczych między Mieleckim i Antonim Rajmundem Garczyńskim. Powstańcy stracili 100 żołnierzy, lecz zdolali wycofać się z powrotem do Prus.

Moskalom, tak szlachta, jak mieszczenie i chłopi. Składki dają znaczne, a obok tego osobiste dary. Malczewski Albin 50,000 talarów, Jan Działyński⁴ 25,000 tal., Rogier Raczyński⁵ 10,000 talarów, Erazm Zabłocki 5,000 tal., być może, że dali i inni, o których głośno nie mówią.

Bentkowski⁶, piękna, szlachetna dusza, udał się do powstania. Postąpił jak praojcowie, gdyż ukończywszy sprawę w sejmie berlińskim o konwencję, jaką Prusacy z Moskalami zawarli, ruszył dnia następnego do Krakowa.

Niechże mu tam Bóg we wszystkim błogosławi i zachowa go przy siłach duszy i ciała i pozwoli, iż po szczęśliwie dla Polski ukończonej sprawie ujrzymy go zdrowego i szczęśliwego!

PRZEDRUK ZA: *Dziennik Bibianny Moraczewskiej*, wydany z oryginału przez wnuczkę dr. Dobrzyńską-Rybicką, Poznań 1911, s. 80.

4 Hrabia Jan Kanty Działyński (1829–1880) – właściciel Kórnika, działacz społeczny i polityczny, organizator pomocy zaboru pruskiego dla powstania, potem jego uczestnik.

5 Roger Maurycy Raczyński (1820–1864) – działacz polityczny, publicysta.

6 Władysław Bentkowski (1817–1887) – zrzekł się mandatu poselskiego, opuścił Poznańskie i przyłączył do powstania, w którym pełnił funkcję szefa sztabu Mariana Langiewicza.



Spis ilustracji



Frontysepis:

Trójkąt trzech cesarzy, pocztówka 1907–1917 [fragment], źródło: https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Tr_3_cesarzy_20005.JPG, domena publiczna.

Kolorowe wkładki:

1. Artur Grottger, *Przejście przez granicę*, olej na płótnie, 1865 r., wys. 53 cm, szer. 43 cm, w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie (nr inw. MNK 11-a-971), fot. Pracownia Fotograficzna MNK.
 11. Napoleon Orda, *Kowno na pocz. XIX w.*, źródło: https://commons.wikimedia.org/wiki/File:20071016221438_04_SenamiesTio-vaizdas_Orda-.jpg, domena publiczna.
 111. Dietrich Monten, *Finis Poloniae 1831*, źródło: http://pl.wikipedia.org/wiki/Powstanie_listopadowe#/media/File:Finis_Poloniae,_1831.PNG, domena publiczna.
-
1. Kalisz Nowe Skalmierzyce, pocztówka z pocz. XX w., źródło: <http://fotopolska.eu/foto/247/247952.jpg>.
 2. Słupca, urząd celny, pocztówka, źródło: <http://fotopolska.eu/foto/247/247052.jpg>.
 3. Strzałkowo, granica rosyjska, pocztówka, źródło: http://fotopolska.eu/458192_foto.html?o=b72489.
 4. Franz Josef Sandmann, *Krzemionki Podgórskie, widok na Kraków*, litografia, ok. 1850 r. Źródło: http://commons.wikimedia.org/wiki/File:Krzemionki_1850.JPG, domena publiczna.
 5. Przejście graniczne w Michałowicach, źródło: <http://strumillo.org.pl/quest>.
 6. Komora na Baranie, koniec XIX w., źródło: <http://www.kocmyrzowka.pl/o-nas/>.

7. Friedrich Arnold Brockhaus, *Rynek w Lipsku podczas targów*, grawiura, 1800 r., źródło: http://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/9/93/Leipzig_Marktplatz_Messe_um_1800.jpg, domena publiczna.
8. Dworzec kolei żelaznej warszawsko-wiedeńskiej w Warszawie (1859), rys. Ludwik Piechaczek, ryt. H. Roeber, „Tygodnik Ilustrowany” 1859, t. 1, nr 14, s. 108.
9. Stacja Granica-Maczki, pocztówka, źródło: http://historycznemaczki.wordpress.com/2016/02/05/pamietny_rok_1863/.
10. Dworzec w Sosnowcu, pocztówka sprzed 1902 r., źródło: http://fotopolska.eu/1037977_foto.html?o=b194940.
11. Trójkąt trzech cesarzy, pocztówka 1907–1917, źródło: http://commons.wikimedia.org/wiki/File:Tr_3_cesarzy_20005.JPG, domena publiczna.

Ilustracije



↑ 1. Kalisz Nowe Skalmierzyce, pocztówka z pocz. xx w.



↑ 2. Słupka, urząd celny, pocztówka



↑ 3. Strzałkowo, granica rosyjska, pocztówka



↑ 4. Franz Josef Sandmann, *Krzemionki Podgórskie, widok na Kraków*, ok. 1850 r. Litografia



↑ 5. Przejście graniczne w Michałowicach



↑ 6. Komora na Baranie, koniec XIX w.



↑ 7. Friedrich Arnold Brockhaus, *Rynek w Lipsku podczas targów*, gawiura 1800 r.



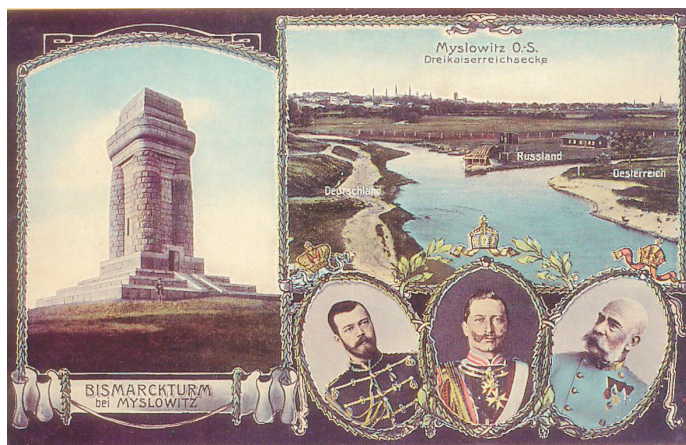
↑ 8. Dworzec kolei żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej w Warszawie (1859)



↑ 9. Stacja Granica-Maczki, pocztówka



↑ 10. Dworzec w Sosnowcu, pocztówka sprzed 1902 r.



↑ 11. Trójkąt trzech cesarzy, pocztówka 1907–1917

REDAKCJA: Krzysztof Smólski
KOREKTA: Nina Brzostowska-Smólska

PROJEKT GRAFICZNY: Daria Malicka
SKŁAD I ŁAMANIE: Marcin Kiedio

Projekt Pracowni Romantycznej IBL PAN, nr 0097/NPRH2/
H11/81/2013, finansowany przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa
Wyższego, opracowywany w l. 2013–2018



NARODOWY PROGRAM
ROZWOJU HUMANISTYKI

KIEROWNIK GRANTU I REDAKTOR NAUKOWY SERII:
dr hab. Marta Zielińska

RECENZENT TOMU:
dr hab. Jerzy Borowczyk

REDAKTOR PROWADZĄCY SERII:
Krzysztof Smólski

© Copyright by Marta Zielińska, 2018

© Copyright by Instytut Badań Literackich PAN, 2018

ISBN: 978-83-65832-34-4

Druk: Oprawa Sp. z o.o., ul. Dowborczyków 17, 90-019 Łódź